



**AGNIESZKA
FIBICH**

REQUIEM
dla
TANCERKI

W
a
b

**Niebezpieczna miłość, seryjny zabójca
i przeszłość, która powraca...**

Podczas swojego wieczoru kawalerskiego César Bresson, inspektor paryskiej policji, zadurza się w Loli, przypadkowo poznanej tancerce.

Mimo że spędza z nią noc, stawia się na swój ślub, sądząc, że zauroczenie szybko minie.

Tymczasem w Paryżu ktoś zaczyna mordować dziewczyny tańczące w nocnych klubach, a śledztwo zostaje przydzielone właśnie Bressonowi. W znużonej pracy wspiera go Marie, zdolna i inteligentna policjantka.

W toku dochodzenia inspektor, który wciąż nie może zapomnieć o pięknej Lolii, odkrywa, że przy zwłokach dusiciel zostawia ślad: literę namalowaną czerwoną farbą. Marie wysuwa hipotezę, że litery ostatecznie ułożą się w słowo lub zdanie, którym zabójca chce coś przekazać. Wkrótce okaże się, że podobne zbrodnie wydarzyły się przed laty w Polsce...

www.wab.com.pl



cena 39,90 zł

W
ab

AGNIESZKA
FIBICH

REQUIEM
dla
TANCERKI

Redaktor prowadzący:

Filip Modrzejewski

Redakcja:

Małgorzata Denys

Korekta:

Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Pawłowska

Projekt okładki i stron tytułowych oraz zdjęcie:

Agnieszka Morawska

Fotografia autorki: © Agnieszka Pisarczyk

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa,

ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 64605 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie:

Tekst - Małgorzata Krzywicka,

Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

Druki oprawa:

ABEDIK S.A., Poznań

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

ISBN 978-83-7414-910-5

1.

Paryż, październik 2008 roku

Skończyło się przedstawienie, kurtyna opadła, a na widowni rozległy się gromkie brawa. Tancerki nigdy nie wychodziły na scenę, żeby się uklonić. Żadnych bisów. Zapaliły się światła. Kelnerzy wkroczyli z tacami, by zebrać puste naczynia. Tłum podniósł się z miękkich bordowych kanap i wolno sunął korytarzem w stronę szatni. Kobiety ustawiały się w kolejce do toalety. Mężczyźni z zaciekawieniem oglądali zdobiące ściany zdjęcia nagich tancerek. Lubieżna Katia prężyła się przy kolumnie, przyodziana jedynie w wąską szarfę na biodrach. Peruka i szarfa miały ten sam wściekle różowy kolor. Czarnowłosa Lola leżała na czerwonej pluszowej kanapie w kształcie ust. Długie piękne nogi wyeksponowała na oparciu, a jej głowa opadała lekko w dół. Seksowne, powłóczyście spojrzenie spływało spod sztucznych rzęs. Była całkiem naga. Piersi i łono zakrywała dłońmi, przez co wydawała się jeszcze bardziej prowokująca.

- W damskiej toalecie jest podwójna deska! Wyobrażasz to sobie? - szczebiotła do wysokiego mężczyzny drobna kobietka w nieokreślonym wieku.

- Nie rozumiem. - Mężczyzna spoglądał na nią ze zdziwieniem. W rękę obracał numerek do szatni.

- Deska ma dwa otwory. - Jego towarzyszka chichotała, przysłaniając dłonią usta. - Dzięki temu mogą siusiać równocześnie dwie kobiety. Hi, hi, hi...

- To interesujące. - Puścił do niej oko i zerknął w stronę szatni. Podał numerek i pieniądze. Szatniarz zniknął w głębi, by po chwili wrócić z dwoma okryciami. Kobieta wzięła go pod rękę i żartując, oboje skierowali się w stronę schodów. Szatniarz schował do kieszeni błyszczący pieniążek i podał młodemu szatynowi skórzaną kurtkę. Ten przerzucił ją przez ramię i wyjął z kieszeni paczkę czerwonych marlboro. Chwycił zębami papierosa i wyciągnął go z pudełka. Paczkę schował do kieszeni spodni. Zza marmurowej balustrady u góry schodów wychylił się ochroniarz.

- Proszę pana, tu się nie pali!

- Wiem, wiem - odpowiedział mężczyzna, po czym przesunął językiem niezapalonego papierosa w kącik ust.

Ochroniarz uśmiechnął się ze zrozumieniem. Minąwszy go, mężczyzna wyszedł na aleję George V. Wilgotne jesienne powietrze miało zapach tytoniu. W świetle neonu z napisem „Crazy Horse” stało kilku palaczy, żywo dyskutujących o spektaklu.

- To najpiękniejsze kobiety świata! - usłyszał za plecami mężczyzna.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Poczul ciepło rozchodzące się po całym ciele.

- Mają doskonałe kształty - dodał inny. - Idealną długość nóg, obwód bioder i talii. Podobno pępek musi być ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia osiem centymetrów powyżej cipki. - Wybuchnęli śmiechem.

Mężczyzna dopalił papierosa i zgasił go w dużej metalowej popielniczce. Założył kurtkę, po czym skierował się w lewo. Skręcił w najbliższą przecznicę i znów w lewo. Doszedłszy do tylnego wyjścia z kabaretu, przebiegł na drugą stronę ulicy i schował się za zielonym kontenerem na śmieci. Będzie tak stał i palił, dopóki Lola nie wyjdzie z budynku. W dżinsach i płaszczu, z włosami związanymi w kucyk, niczym nie- przypominająca epatującej seksem nagiej tancerki z Crazy Horse.

Tym razem nie wzięła taksówki. Szybkim krokiem skręciła za róg i mijając zamkniętą o tej porze aptekę, spojrzała na swoje odbicie w ciemnej szybie. Kątem oka dostrzegła nieznaczny ruch kilka metrów za sobą. Właściwie nie tyle ruch, ile mignięcie żarzącego się punkcika. Znowu tu jest, pomyślała, uśmiechając się do siebie. Przyspieszyła w nadziei, że usłyszy jego kroki w nocnej ciszy. Nic z tego. Zwiększenie tempa spowodowało naturalny efekt uboczny: zadyszka. Otworzyła usta, żeby zaczerpnąć tchu. Wilgotne, zimne powietrze osiadło w krtani, drażniąc delikatną śluzówkę. Musi odchrząknąć. Raz, a potem jeszcze raz, i jeszcze... Do diabła, co jest? Sięgnęła ręką do kieszeni płaszcza, próbując wymacać chusteczkę. Bezskutecznie. Już miała skręcić w kolejną przecznicę, gdy nagle poczuła szarpnięcie za kołnierz. Zachwiała się i omal nie straciła równowagi. Z piersi wydobył się świst, który miał być okrzykiem przerażenia, ale uwiązł w gardle. Ktoś pociągnął ją do tyłu, popchnął w bok, w stronę wnęki kryjącej bramę. Napał na nią całym ciałem, przyciskając do zimnej metalowej kraty.

- Dlaczego mi to robisz? - usłyszała szept i poczuła ciepły podmuch pary płynący wprost do jej ucha. Czyjeś ręce objęły ją mocno, jeszcze mocniej, by w końcu całkowicie ją unieruchomić. Miała wrażenie, jakby skrępowano ją liną. Jedna dłoń ugrzęzła w kieszeni płaszcza, druga ścisnęła nerwowo torebkę. - Droczyś się ze mną... co? No powiedz, przyznaj się, że to lubisz... - Usta mężczyzny przesuwają się po małżowinie jej ucha. Były gorące i wilgotne. Czuć od niego zapach papierosów. Przeszedł ją dreszcz.

- Czego chcesz? - prychnęła jak rozzłoszczona kotka. - Nie wystarczy ci gapienie się w teatrze?

- Dobrze wiesz, że to nie to samo... - Mężczyzna przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Jego dłoń przesuwała się po połach płaszcza i wsuwała pod ubranie. Kobieta zeszytywniała. To nie powinno się zdarzyć... westchnęła w duchu. Czuła, jak jego palce wędrują po jej piersi, muskają delikatnie sutek. - Lola, kochanie, chodźmy do ciebie... Proszę...

- Daj spokój. - Wprawdzie się nie broniła, pozwalając, by jego ręce nadal pieściły jej ciało, ale wydawała się trochę rozdrażniona całą sytuacją. - Powinieneś raczej wracać do domu.

- Chcę tylko ciebie, przecież wiesz... Tylko ciebie, Lolu... - Szept mężczyzny rozplątał się w nocnej ciszy.

- Przestań! Prosiłam, żebyś mnie tak nie nazywał. - Kobieta odwróciła się do niego przodem. Zobaczyła teraz zarys jego twarzy oświetlony uliczną latarnią. Popatrzyła mu prosto w oczy i dostrzegła w nich mieszaninę bólu, pożądania i determinacji. Niepotrzebnie się odwróciła. Teraz już na pewno nie powie tego, co jeszcze przed sekundą była gotowa wykrzyknąć w przypływie gniewu. Stali tak i patrzyli na siebie bez słowa. W końcu on

przywarł do jej warg, wpił się w nie i całował żarliwie, bez opamiętania. Torebka wypadła jej z dłoni. Cichy odgłos uderzenia o chodnik nie przerwał ich namiętnego pocałunku. Mijały sekundy. Z oddali słychać było warkot nadjeżdżającego samochodu. Białe długie światła spływały po ukrytych w bramie postaciach. Kierowca zwolnił. Może zauważył jakiś ruch, a może szukał po prostu wolnego miejsca, żeby zaparkować. Po chwili oddalił się. Kobieta podniosła rękę i odsunęła od siebie twarz mężczyzny.

- Już dobrze, César. Wystarczy. Czas na mnie - powiedziała, otulając się połamami rozchełstanego płaszcza.

Pochyliła się szybko ku ziemi, żeby odszukać w ciemności torebkę. Mężczyzna nie ruszał się z miejsca. Kobieta wyprostowała się z cichym westchnieniem.

- Czas na mnie - powtórzyła, po czym wyminęła mężczyznę. Nie oglądając się za siebie, ruszyła miarowym krokiem w dół ulicy.

- Zaczekaj! - zawołał César i natychmiast ruszył za nią.

W sypialni rzucił się na nią, drżąc z pożądania. Obsypywał pocałunkami i pieścotami. Zachowywał się jak zwierzę. Zerwał z niej ubranie, potem wziął na ręce i zaniósł do łóżka. Ona poddała mu się całkowicie. Chwilami była uległa, chwilami przejmowała inicjatywę. Śmiała się i ten wysoki zmysłowy ton wzbudził w nim kolejną falę pożądania. Pod powiekami wciąż miał obraz jej smukłego ciała w czarnej błyszczącej bieliźnie, pończochach i lakierowanych pantoflach na wysokich szpilkach. Oczami wyobraźni widział, jak prawie naga przeży się na kanapie w świetle reflektorów. Kanapa jest krwistoczerwona.

Ma kolor jej ust. Lola kładzie się na plecach i puszcza oko do publiczności. Rozpina biustonosz, po czym zasłaniając jedną ręką piersi, drugą wyrzuca go w górę. Atmosfera gęstnieje. Mężczyźni poluzowują krawaty. Tancerka porusza wargami w takt melodii, udając, że głęboki, zmysłowy głos należy do niej. Klęka na kanapie w kształcie ust tak, by widzowie mogli podziwiać jej krągłe, jędrne piersi w całej okazałości. Potem pochyła się, opiera ręce i podbródek na miękkim pluszu sofy i kołysze podniecająco biodrami. Kolejna zwrotka dobiega końca. Lola znów kładzie się na plecach. Długie nogi opiera na górnej wardze kanapy. Głowa opada w dół. Rozchyła usta. Głaszcze czarne lśniące włosy swojej peruki. Śpiewając refren, zsuwa szpilki i odpina pończochy. Zrzuca pas, a następnie ruluje czarną mgiełkę pończoch od uda aż po kostkę. Ściąga je i upuszcza na podłogę. Słychać ciche sapnięcia mężczyzn na widowni. Lola uśmiecha się szelmowsko. Przyodziana w same tylko koronkowe majteczki, nie większe niż listek figowy, spogląda na pożerający ją wzrokiem tłum. Niespiesznie dawkuje uroki swojego boskiego ciała i jest w tym naprawdę doskonała. Z wdziękiem przewraca się na bok, prezentując smukłe, kształtne plecy. Bardzo powoli zsuwa ostatnią część bielizny i odsłania dwa zgrabne pośladki. Widownia zamiera w oczekiwaniu na ujrzanie nagiej Loli *en face*. Światła przygasają, po czym zaczynają wirować tysiącem czerwono-złotych kóleczek. Gdy niecierpliwie oczy widzów przyzwyczajają się wreszcie do tego świetlistego chaosu, mogą dostrzec już tylko zarys sylwetki Loli, która leniwym kocim krokiem wycofuje się ze sceny. Muzykę zagłuszają gromkie brawa.

César opadł na łóżko i sięgnął po papierosa. Z rozkoszą wciągnął pierwszy haust dymu, by po chwili wypuścić go nosem. Patrzył na drobną, subtelną twarz Nadii leżącej obok. Teraz, bez ostrego makijażu i czarnej peruki, w niczym nie przypominała tamtej zmysłowej i bezwstydnej Loli, uwodzącej tysiące mężczyzn jednym tylko spojrzeniem. Jak to możliwe, że ta dziewczyna o delikatnej, by nie rzec niewinnej urodzie, potrafiła przeistoczyć się w rasowego wampa?

Nadia wyjęła mu papierosa z dłoni. Zaciągnęła się lekko i natychmiast mu go oddała.

- Jak możesz palić takie świństwo?... - Skrzywiła się z niesmakiem. Wstała z łóżka i poszła nago do łazienki. César nie odrywał od niej wzroku. Mógłby na nią patrzeć całymi godzinami. Jak się schyla, jak podnosi ubranie z podłogi. Kiedy sprząta i gotuje. Albo myje głowę, siedząc w wannie... albo skulona na stołeczku pije poranną kawę.

Pierwszy raz zobaczył ją w połowie sierpnia, w przeddzień własnego ślubu. Koledzy zrobili mu niespodziankę, żeby uczcić jego wieczór kawalerski. Kupili bilety do Crazy Horse, a na resztę wieczoru zarezerwowali stolik w pubie. Najpierw mieli obejrzeć spektakl, potem się upić. I tak się prawie stało. Z jednym małym wyjątkiem. Pan młody zgubił się zaraz po występie. Zniknął gdzieś w tłumie odpływającym do szatni. Nie można się było do niego dodzwonić. Dwa razy obeszli cały lokal, potem przez kwadrans czekali przed wejściem, jednak bez powodzenia. Po krótkiej naradzie poszli do pubu. Po półgodzinie otrzymali esemesa z informacją, że uciekinier niedługo do nich dołączy, więc - żeby nie tracić czasu - wypili za jego zdrowie.

Pomyśleli, że ani chybi się urwał, chcąc sprawdzić, co robi narzeczona z koleżankami. Wiadomo, zawsze trzeba trzymać rękę na pulsie... Podśmiewali się i żartowali, z każdą kolejką coraz głośniej. Nikomu wówczas nie przyszło do głowy, że nowożeńca *in spe* zauroczyła jedna z kabaretowych tancerek. Czekał na nią na tyłach teatru. Kiedy wyszła, z trudem ją poznał. I nie dlatego, że było ciemno. Dziewczyna, w której się zadurzył, miała krótkie czarne włosy i była mocno umalowana. Ta, którą teraz zobaczył, była blondynką o błękitnych oczach. Poznał, że to ona, po sprężystych i gibkich ruchach jej ciała. Przywodziła na myśl panterę. Szła tak cicho, jakby płynęła w oparach nocy. Natychmiast się zorientowała, że ktoś ją śledzi. Wyjęła telefon i podniesionym głosem wezwała policję. César zatrzymał się na środku ulicy. Przydepnął niedopałek papierosa i z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki stanął w świetle latarni. Czekał spokojnie na przyjazd radiowozu.

- Pana dokumenty - poprosił mundurowy pełniący tej nocy dyżur.

- Proszę. - César podał mu wyjętą z wewnętrznej kieszeni kurtki legitymację.

- Inspektor Bresson - przeczytał ze zdziwieniem policjant.

- Zgadza się. - César skinął głową.

- Trochę to dziwne... inspektorze. Ta młoda dama zgłosiła telefonicznie napaść.

- Mnie też to dziwi.

- Twierdzi, że została przez pana zaatakowana, inspektorze.

- Mogłem się tego domyślić... - mruknął do siebie. - Słyszałem, jak wzywała policję przez komórkę. Dlatego się zatrzymałem i postanowiłem poczekać, aż przyjedziecie. - Widząc wyraz skonfundowania malujący się na twarzy młodego stróża porządku, dodał: - Chcę wyjaśnić tej pani, że wcale nie miałem złych zamiarów.

- Aha... - wysapał w dalszym ciągu zdziwiony funkcjonariusz. - To co pan w takim razie tutaj robił?

- Spacerowałem.

- Słucham?

- Przechadzałem się. Chyba mi wolno? Jutro po południu się żenię. Oczywiście, niech to zostanie między nami. Postanowiłem przemyśleć to i owo... Bądź co bądź, to ostatnie godziny mojej wolności. Rozumie pan? - Spojrzał wymownie na młodego policjanta.

- Nie bardzo... - odparł tamten, na wszelki wypadek przyglądając się raz jeszcze legitymacji Césara.

- Wie pan... Mam wątpliwości, jak się to wszystko ułoży.

- Ach, teraz kapuję. Jasne! - Policjant uśmiechnął się szeroko. - Głowa do góry, inspektorze, naprawdę nie ma się czym przejmować. Będzie dobrze. Ja sam jestem już półtora roku po ślubie. Mamy prześliczną córeczkę, Julie. Jutro skończy trzy miesiące. - To mówiąc, wyjął z kieszeni portfel, a z niego zdjęcie dziecka.

- Gratuluję. - César wyciągnął do niego rękę. - Rzeczywiście, uroczą.

- Dziękuję. Zobacz pan, inspektorze, małżeństwo to cudowna rzecz. - Policjant z wdzięcznością odwzajemnił uścisk dłoni starszego stopniem kolegi. - A tymczasem oddaję panu legitymację i proszę wracać do domu. Powinien pan się dobrze

wyspać przed jutrzejszą uroczystością. - Zasalutował i podszedł do dziewczyny obserwującej z zainteresowaniem całą tę scenę. Ta wysłuchała jego wyjaśnienia, po czym ruszyła przed siebie wolnym krokiem. César dogonił ją przecznicę dalej.

- Przepraszam, że panią nastraszyłem - wysapał. - Proszę mi wierzyć, że to ostatnia rzecz, której bym sobie życzył.

Spojrzała na niego z ukosa, nie zaszczycając go nawet jednym słowem. Szła dalej z podniesioną głową, całkiem już spokojna. César przyglądał się jej ukradkiem. Z każdą chwilą wydawała mu się piękniejsza i bardziej obca. Postawił wszystko na jedną kartę.

- Chciałem tylko poprosić panią o autograf. Ale... kiedy wyszła pani z teatru, zabrakło mi odwagi. Cóż... najzwyczajniej w świecie się speszyłem. - Uśmiechnął się lekko. - Wiem, że to idiotyczne... Powinienem być od razu podejść i przedstawić się jak cywilizowany człowiek.

- W co pan ze mną pogrywa? - spytała nieco zirytowana i przystanąła.

Doszli do Champs Élysées. Aleje były rześście oświetlone. Setki latarń i neonów walczyło o palmę pierwszeństwa w konkurencji „więcej światła” Pomimo późnej pory nadal panował tutaj tłok. Mężczyzna i kobieta stali na środku chodnika, opływani przez ruchliwy, zaafcerowany tłum.

- Nie rozumiem. - Patrzył zdziwiony w jej błękitne oczy, zupełnie niepodobne do tych, w których się zadurzył podczas spektaklu. Miała jasnobrązowe rzęsy i brwi, a na nosie i policzkach kilka uroczych piegów, niewidocznych wcześniej pod grubą warstwą makijażu. Jasne włosy w odcieniu dojrzalej pszenicy zaczesala gładko do tyłu i związała zwykłą gumką.

Było w tej wysokiej i smukłej dziewczynie coś posągowego, wręcz majestatycznego. W długim oliwkowym płaszczu, który przypominał fasonem wojskowy trencz, wydawała się wyniosła i odległa.

- No i co? Napatrzył się pan?

Nadal nie rozumiał.

- Więc teraz już pan wie, że Lola i ja to dwie różne osoby. Żegnam pana... inspektorze - wycodziła przez zęby. Odwróciła się i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem.

- Halo! Proszę pani! - Pognał za nią przestraszony, że może ją stracić na zawsze, teraz, zanim jeszcze w ogóle coś się zaczęło. - Chyba nie mówi pani tego poważnie? - spytał, kiedy już ją dogonił.

W odpowiedzi posłała mu zjadliwy uśmiezek. Udał, że go nie widzi. Szedł z nią ramię w ramię, starając się dotrzymać jej kroku.

- Przecież pani i Lola to jedna i ta sama osoba. Na scenie jest pani Lolą. Tygrysią, seksowną femme fatale. A po spektaklu... jest pani sobą.

Przystanęła i popatrzyła na niego jakoś dziwnie, jakby chciała powiedzieć: Strasznie mnie pan męczy. Proszę już sobie iść. César nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że w jej oczach ujrzał także cień żalu. A może tylko chciał go widzieć?

- Przepraszam, jeśli panią obraziłem.

- Nie o to chodzi. Nie ma pan pojęcia, ilu facetów próbuje mnie poderwać. Wszyscy myślą, że prywatnie jestem taka sama jak na scenie. Kiedy odkrywają, że tak nie jest, są rozczarowani. Pragną tylko jednego. Żebym przez cały czas była Lolą. Wyuzdaną, wymalowaną lalką, która robi striptiz i myśli tylko

o jednym. A prawda jest całkiem inna. Tam, na scenie, tylko gram. To moja praca. Mój zawód. W życiu jestem po prostu zwyczajną dziewczyną, jakich tysiące.

- Jasne, ale czy... Czy w takim razie mógłbym postawić pani kawę? Nie chciałbym być nachalny, ale może, jeśli oczywiście się pani zgodzi, moglibyśmy porozmawiać?

- O czym? - Spojrzała na niego rozdrażniona.

- O pani, o mnie... Ja też nie jestem taki, jak pani myślała.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnęła się, rozchylając leciutko wargi.

I to był ten filuterny, lekceważący uśmiech Loli, który widział wcześniej na scenie. Poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Więc mówi pan, że nie jest mężczyzną, któremu wpadłam w oko podczas spektaklu i który zaczął się w ciemnym zaułku, żeby mnie potem śledzić, co? - Spojrzała na niego zadziornie. - Jak mogłam podejrzewać pana o takie zdżożności? Przecież pan jest policjantem i czekał tam na mnie, żeby porozmawiać o mnie, o sobie... No cóż, to doprawdy fascynujące.

- Racja. Czekałem, ponieważ nie mogłem oderwać od pani oczu. Było w pani coś hipnotyzującego, coś magnetycznego... Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ten pani uśmiech, taki piękny, a równocześnie odpychający, jakby chciała pani powiedzieć: możecie sobie na mnie popatrzeć, ale tylko z daleka. Żaden z was nigdy się nie dowie, jaka naprawdę jestem. - Spojrzała mu prosto w oczy, a on starał się wytrzymać jej wzrok. Przez chwilę milczeli. W końcu wyciągnęła do niego rękę.

- Mam na imię Nadia.

Zgodziła się poświęcić mu kwadrans. Weszli do restauracji. O tej porze było tutaj tłoczno, ale w kącie za barem znaleźli wolny stolik. Zamówili po kieliszku wina. Potem dała się namówić na kolację przy butelce cabernet sauvignon. Gdy wychodzili, była prawie druga w nocy. Przystanęli na ulicy i César zatrzymał taksówkę. Wsiedli oboje. Jechali przytuleni, nie odzywając się do siebie. Każde z nich było zajęte swoimi myślami, choć i on, i ona dobrze wiedzieli, jaki będzie finał tego wieczoru. César zapłacił za kurs i wszedł za Nadią krętymi schodami na poddasze. Tutaj mieszkała, w małej uroczej mansardzie starej kamienicy przy bulwarze Sebastopol.

Polska, czerwiec 1998 roku

Pociąg dudnił miarowo. Za oknem panowała ciemność. Pusty o tej porze korytarz był słabo oświetlony. Paliła się co druga żarówka. Drzwi jednego z przedziałów otworzyły się. Stała w nich młodzianka dziewczyna. Wyglądało, jakby przez moment wahała się, czy opuścić przedział. Rozejrzawszy się po korytarzu, stwierdziła, że jest zupełnie sama. Cicho zamknęła za sobą drzwi przedziału. Podeszła do okna. Pociągnęła za rączkę i opuściła nieco szybę, pozwalając, by do dusznego pomieszczenia wpadło świeże powietrze. Przymknęła powieki. Jej włosy zaczęły lekko falować, a twarz i ramiona omiótł podmuch ostrego zimnego wiatru. Wzdrygnęła się, mimowolnie robiąc krok do tyłu. W tej samej chwili na końcu korytarza mignął jakiś cień. Dziewczyna spojrzała w tamtym kierunku, ale nic się nie poruszyło. Stała jak zahipnotyzowana nie mogąc oderwać

wzroku od mrocznego przedsionka wagonu. Jednak nic więcej się tam nie zdarzyło. Dziewczyna zamknęła okno i ruszyła w przeciwnym kierunku, w stronę toalety.

Postać, która wcześniej ją obserwowала, stała teraz przytulona plecami do ściany przedsionka wagonu. Szary kaptur kurtki opadał jej mocno na twarz, kryjąc w cieniu czoło, nos i usta. Widać było jedynie nienaturalny blask oczu, niczym u kogoś chorego, rozgorączkowanego.

Wokół panowała cisza, przerywana rytmicznym stukotem kół pociągu. Postać w kapturze poruszyła się niespokojnie. Zbliżyła twarz do przeszklonej szyby drzwi prowadzących na korytarz. Dziewczyny tam nie było. Spod kaptura wydobyło się coś w rodzaju warknięcia. Wahadłowe drzwi otwarły się bezszelestnie, a tajemnicza postać niczym duch przemknęła korytarzem. Po chwili w świetle jarzeniówki na progu toalety stanęła dziewczyna. Niczego nie przeczuwając, zamknęła za sobą drzwi, odwracając się tym samym tyłem do ukrytej w kącie postaci. Kiedy jej drobna dłoń zsunęła się z zimnej metalowej klamki, usłyszała szept:

- Nie odwracaj się. Wiesz, że to ja.

Stanęła jak wryta. Źrenice jej oczu rozszerzyły się, ale nie poruszyła się i nie odezwała.

- Czemu mi to robisz? Jesteś taka...

Plecy dziewczyny przeszedł dreszcz. Na jej ramiona opadły czyjeś dłonie. - Bawisz się ze mną, tak? Wystawiasz mnie na próbę? - zapytał ten sam głos.

Dziewczyna chciała zaoponować, odwrócić się i wytłumaczyć, ale przyparta od tyłu do drzwi toalety nie była w stanie się poruszyć. Czyjeś gorące dłonie zacisnęły się na jej szyi. Spróbowała krzyknąć, lecz głos uwiązał jej w gardle. W krtani poczuła

mocny i niespodziewany ból. Po pierwsze się bronić. Z całej siły wbiła paznokcie w zaciśnięte na szyi ręce, aby rozluźnić ucisk. Bez skutku. Napastnik był silniejszy i raczej przygotowany na taki atak, bo jego ręce zaciskały się jeszcze mocniej, niczym stalowe kleszcze. Dziewczyna zaczęła się szarpać. Z całej siły kopała nogi przeciwnika. Nic to nie dało. Z każdą sekundą słabła, a ból stawał się coraz większy. Wreszcie jej ciało zawisło bezwładnie, podtrzymywane już tylko przez napastnika.

Postać w kapturze położyła martwe ciało na podłodze i pochyliła się nad zmarłą. Drżącymi palcami przesunęła po twarzy dziewczyny, przeczesując jej długie włosy. Po chwili drzenie rąk ustało. Spod kaptura wydobył się jakiś nieokreślony dźwięk przypominający charkot, a może śmiech. Jedno mocne szarpnięcie otworzyło stalowe drzwiczki pociągu. Pęd powietrza, stukot kół i odgłos lokomotywy zagłuszyły łomot spadającego na nasyp kolejowy ciała.

Warszawa, 21 czerwca 1998 roku

WCZORAJ, WE WCZESNYCH GODZINACH RANNYCH, PRZY TORACH KOLEJOWYCH NA ODCINKU ŁĄCZĄCYM MIEJSCOWOŚCI PIŁA I KRZYŻ PRACOWNICY KOLEI PAŃSTWOWYCH ZNALEŻLI ZWŁOKI SIEDEMNASTOLETNIJ MARYLI K. DZIEWCZYNA PODRÓŻOWAŁA NOCNYM POCIĄGIEM RELACJI WARSZAWA-ŚWINOUJŚCIE. PRAWDOPODOBNIENIE ZOSTAŁA UDUSZONA, A NASTĘPNIE WYRZUCONA Z POCIĄGU OKOŁO GODZINY 3.30. SPRAWĘ BADA PROKURATURA. OSOBY MOGĄCE POMÓC W USTALENIU OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI DENATKI PROSZONE SĄ O PILNY KONTAKT Z POLICJĄ.

2.

Paryż, sierpień 2008 roku

Kiedy przed świtem dotarł do pubu, zastał tam już tylko kilku niedobitków. Na jego widok najwierniejsi towarzysze broni ocknęli się jak na komendę. Zamówili u padającego z nóg barmana kolejkę karnych drinków. Podśmiewali się z marudera, dając mu w dosadny sposób do zrozumienia, że dobrze wiedzą, gdzie się podziewał. César nie słuchał, o czym mówią. Z przyklejonym do twarzy głupkowatym uśmiechem wpatrywał się w wiszący na ścianie landszaft z latarnią morską, wychylał kieliszek za kieliszkiem, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia oraz wątpliwości, jakie ogarniały go od momentu, kiedy opuścił mieszkanie Loli. Tak właśnie nazywał ją w myślach. Lola. Używał jej scenicznego pseudonimu, a nie prawdziwego imienia, mając jakby nadzieję, że w ten sposób jego niezwykła przygoda pozostanie na zawsze w świecie fantazji. Im więcej w siebie wlewał, tym mniej realne wydawały mu się wydarzenia minionych kilku godzin. Kiedy kwadrans po piątej barman definitywnie odmówił dalszej sprzedaży alkoholu i po raz kolejny oznajmił wszem wobec, że - niech się dzieje, co chce! - za pięć minut zamyka pub, „drużyna pierścienia” jak nazywał swoją kompanię César, ruszyła na ulicę. Rudy Henri, cherlawy Jean-Marc i atletyczny, czarnoskóry Pierre oraz César, podtrzymując jeden drugiego, ze śpiewem na ustach zataczali się drzemiącymi jeszcze ulicami Paryża. Ich hałaśliwy pochód wystraszył kilka

bezpańskich kotów buszujących między workami pełnymi śmieci. Od północnej strony doszli do katedry Notre Dame oświetlonej blaskiem wschodzącego słońca. Jej śnieżnobiała fasada wydawała się teraz ażurowa i mniej majestatyczna niż zwykle. César rzucił okiem na tańczące w zagłębieniach portali cienie. Miał wrażenie, że wszystko wokół niego wiruje, także dwie kanciaste wieże katedry. Nad jego głową przefrunęła właśnie gromada obudzonych gołębi, prawie dotykając skrzydłami jego włosów. Mimowolnie uniósł rękę i przyglądał zmierzwioną fryzurę. Pierwsze promienie ciepłego sierpniowego poranka migotały wesoło w spokojnym nurcie Sekwany. César przystanął na Pont au Double. Zmrużył oczy, żeby z mostu lepiej się przyjrzeć tej nierealnej scenerii. Dołem właśnie przepływała niewielka barka, zostawiając za sobą smugę zmaconej wody. César oparł się o kamienną balustradę i spojrzał w górę na błękitniejące niebo. Wciągnął do płuc chłodne powietrze i poczuł, że kręci mu się w głowie. Jego towarzysze szli dalej, w stronę Quai de Montebello, kolebiąc się na boki niczym stare wilki morskie i wyśpiewując szanty, choć już nie na całe gardło. César uśmiechnął się, czując pod sercem miłe ciepłko. Ech, nie ma to jak starzy przyjaciele... Spojrzał w dół i zobaczył swój cień w aureoli wschodzącego słońca. Zachwiał się od nadmiaru wypitego alkoholu. Gdybym mógł cofnąć czas, czy zrobiłbym to znowu?, zadał sobie w duchu pytanie, rozpamiętując noc spędzoną z Lolą. Nie zdążył jednak na nie odpowiedzieć. Z rozmyślań wyrwały go krzyki kompanów, którzy machali mu z drugiego końca mostu. „Hej, hej, César, chodź tu do nas! Na co się tak gapisz? Chyba nie chcesz skoczyć do Sekwany w dniu

własnego ślubu? Ha, ha, ha!” Wyprostował się i dziarsko ruszył w ich stronę.

Z krótkiego, męczącego snu wyrwał go natrętny dźwięk budzika. Wyłączył go po omacku i z trudem otworzył zapuchnięte oczy. W ustach czuł smak popiołu. Głowa bolała go niemiłosiernie. Przewrócił się na drugi bok i nakrył głowę kołdrą, żeby słońce nie wdzierало mu się pod powieki. Nie zdążył jednak ułożyć się wygodniej, bo tuż nad jego uchem zadzwonił przeźliwie telefon. Poderwał się i zaczął szukać słuchawki. Ręce mu się trzęsły. Po pięciu denerwujących dzwoneczkach odnalazł ją wreszcie pod stertą gazet.

- Halo? - wychrypiał rozdrażniony. Kto jeszcze chce go dręczyć prócz kaca giganta?

- Cześć, skarbie! - usłyszał w słuchawce słodki głosik. - Nareszcie cię znalazłam. Dzwoniłam już do Jean-Marca i do Henriego. Zero informacji. Dopiero Michel mi powiedział, że najpewniej zanocowałeś u Pierre'a.

- Uhm - bąknął.

- Dobrze się bawiliście? - Głosik docierał do niego jakby z zaświatów.

- Jasne. A ty? - Właśnie sobie uzmysłowił, że rozmawia z narzeczoną.

- Doskonale. Mój wieczór paniński był po prostu boski. Oczywiście zrobiliśmy rundkę po knajpach. Każda z dziewczyn zaproponowała coś od siebie. Zaczęłyśmy od Café de l'Homme na Trocadero. To był pomysł Anne. Tam wypiliśmy aperitif. Potem pojechaliśmy do małej pakistańskiej restauracji... zapomniałam, jak się nazywa. Zresztą nieważne. Zjadłyśmy przepyszną kolacyjkę. Mówię ci, niebo w gębie. Musimy się tam

kiedyś razem wybrać. Koniecznie! Poproszę Monique, żeby zapisała nam jej adres. I wiesz co? Aurelie wpadła na fantastyczny pomysł, żeby popłynąć statkiem po Sekwanie. Na górnym pokładzie odbywały się akurat warsztaty salsy. Super! Wytańczyliśmy się za wszystkie czasy. Do tej pory bolą mnie nogi. Nie mam pojęcia, jakim sposobem przetrwam ten najważniejszy dzień w moim życiu... Halo, jesteś tam?

- Co? Tak, oczywiście. - César rozglądał się po obcym pokoju, starając się przypomnieć sobie, jak tu trafił.

- W końcu wylądowałyśmy u nas. Dostałam mnóstwo prezentów. Nie uwierzysz jakich! Nie mogę ci teraz powiedzieć. Sam zobaczysz. Już widzę twoją minę! Trzeba przyznać, że dziewczyny mają fantazję!

- Uhm - westchnął po raz kolejny.

Głowa mu pękała. W ustach czuł suchość. A jego oblubienica dalej trajkotała jak katarynka.

- Kochanie, czy coś się stało? Jesteś jakiś nieswój.

- Nie. Wszystko w porządku - odchrząknął. - Wczoraj trochę za dużo wypilem.

- Słyszałam, słyszałam... - Joan zachichotała. - Coś mi tam chłopcy mówili. Podobno szukałeś mnie w nocy?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie udawaj, to takie słodkie... Ty zazdrosny chłopczyku. Chciałeś sprawdzić, jak się bawimy? Czy jesteśmy grzeczne, tak?

- Daj spokój.

- Okej. Skoro nie chcesz o tym mówić, to nie... - naburmuszyła się i zaraz zadysponowała: - Bierz taksówkę i natychmiast jedź do domu. Twój garnitur już czeka. Musisz jeszcze

wypastować buty. Na błysk, tak jak lubi moja mama. Za pół godziny Monique przywiezie bukiet. Ja właśnie kończę mani-kiur, a potem siadam do czesania. Gilbert już daje mi znaki, że jest gotów. Muszę kończyć. W razie czego dzwoni na moją komórkę. Aha, i koniecznie naładuj swoją. Słyszysz? Straciłam ponad pół godziny, żeby cię zlokalizować. Zaczęłam się już niepokoić, że może celowo ją wyłączyłeś. Wyobrażasz to sobie? Jeszcze trochę, a byłabym gotowa pomyśleć, że chcesz zreje-rować z naszego ślubu... Tak, tak, już idę, Gil. No to pa! Do zobaczenia, skarbie.

Cisza.

César odłożył telefon na stertę gazet. Patrzył w sufit. Głowa nadal mu pękała. W uszach szumiało jak diabli, ślina zastygła w przelyku. Powieki opadały. Usłyszał skrzypnięcie drzwi.

- Siema. - Pierre zatrzymał się na progu. - Żyjesz, chło-
pie?

- Uhm. A ty?

- Żyję... - Wzruszył ramionami. - Ale co to za życie?

Obaj wybuchnęli śmiechem. Pierre wyciągnął przed siebie rękę z butelką wody.

- Suszy?

- Oj, suszy, suszy... - jęknął César i złapał butelkę w lo-
cie. Odkręcił niebieską zakrętkę i pił łapczywie, głośno przely-
kając. Pierre przysiadł w nogach łóżka, nie spuszczał go z oczu.

- Się porobiło, co?

- Noooo... - César zakręcił pustą butelkę i postawił ją na
podłodze.

Potem podłożył pod głowę poduszkę i usiadł, opierając się
plecami o ścianę.

- Wczoraj, kiedy się zgubiłeś, ja... - Pierre próbował coś powiedzieć, ale szło mu to niesporo.

- Daj spokój, stary. Przynajmniej ty mnie dziś nie dobijaj - poprosił błagalnym tonem César.

Nie miał ochoty rozmawiać na temat wczorajszego wieczoru i swojego zniknięcia.

- Trzeba się będzie ździebko ogarnąć, brachu... - powiedział Pierre bez przekonania.

- Ano trzeba - przytaknął César, nie ruszając się z miejsca.

- Dzisiaj twój wielki dzień, inspektorze.

- Aha.

- Łamiesz się?

- Trochę...

- Tak myślałem. - Pierre popatrzył na niego z ukosa. - Bo wczoraj w nocy, to... ty wcale nie poszedłeś szukać Joan, prawda?

- Co takiego?

César zeszytniał. Siadł na łóżku wyprostowany, jakby kij połknął.

- Tak myślałem - mówiąc to, Pierre spoglądał przez okno.

- O co ci chodzi? - zapytał César z niepokojem.

- Mnie o nic. Ale jak się już powiedziało a, to trzeba też powiedzieć b. Weź się w garść, chłopie. Jakoś to będzie. Nie taki diabeł straszny...

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz, rozumiesz, i to nawet bardzo dobrze. Joan to świetna dziewczyna. Gdyby nie to, że ty, że wy...

- Gdyby nie co? - Césarowi coraz bardziej dokuczał szum w głowie. Na domiar złego poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Cholera, trzeba było tyle nie pić, wyrzucił sobie w

duchu. Będę się teraz włókł do ołtarza jak za własną trumną. Cała ta rozmowa zaczynała go męczyć.

- Nic. My tu gadu-gadu, a czas ucieka. - Pierre poklepał się dłonią po gołym udzie. - Zbierajmy się. Najwyższa pora.

César popatrzył na niego w osłupieniu. Więc Pierre'owi podoba się Joan? Nie miał o tym zielonego pojęcia. Opuścił nogi na podłogę i z markotną miną podniósł się z łóżka. Się porobiło...

Stróże, koniec sierpnia 1997 roku

Na dworcu panował ścisk nie do opisania. Mała stacja pękała w szwach. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dobiegał końca kolejny dzień upalnego lata. Dwie nastolatki z wielkimi plecakami próbowały przepchnąć się bliżej torów.

- Co jest, malutka? - Obleśny grubas w przepoconej koszuli szturchnął jedną z dziewczyn w ramię. - Gdzie się tak spieszysz? Bo jeszcze nóżki połamiesz i co będzie?

Dziewczyna wzdrygnęła się odruchowo, próbując jak najdalej odsunąć się od źródła nieznośnego odoru, co w tłoku wcale nie było takie proste. Przycisnęła się do swojej koleżanki i szepnęła jej coś do ucha. Tamta wychyliła głowę, żeby lepiej zobaczyć pyskacza.

- Panie, czego się pan tak pchasz? Więcej kultury, dobra? Nie widzisz pan, że depczesz ludziom po nogach? Ćwok! - krzyknęła zza pleców przyjaciółki. Dziewczyny parsknęły śmiechem. Kilka osób obejrzało się z zaciekawieniem.

- Sama się nie pchaj! - odciął się mężczyzna. - Najpierw się taka przyklei, ociera jak... jak, eeee tam, szkoda słów, a

potem jej za ciasno. Hrabianka z Koziej Wólki, psia mać. Myślałby kto!

Kilka osób zmierzyło je wzrokiem, w którym można było wyraźnie wyczytać naganę: Ach, ta dzisiejsza młodzież!... Dziewczyny zaczerwieniły się i jeszcze mocniej przycisnęły do siebie. Z głośników ryknęła zapowiedź, że pociąg do Warszawy wjedzie za chwilę na peron. Przyjaciółki wzięły się za ręce, żeby falujący tłum nie rozdzielił ich w wyścigu po wolne miejsca. Świst i zgrzyt lokomotywy dały znak do startu. Obładowani bagażami podróżni ruszyli do drzwi wagonów, przepychając się jeden przez drugiego. Kto pierwszy, ten lepszy! Dziewczyny porwała fala tłumu.

- Przepuścić kobiety z dziećmi! - zawołał piskliwie wsparty na lasce starszy jegomość. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi.

Pierwszy dopadł do drzwi najbliższego wagonu tłuścioch w przepoconej koszuli. Z zadziwiającą zwinnością wspiął się po metalowych stopniach i szarpnął energicznie za klamkę. Droga wolna. Za nim zaczęli pchać się inni. Dziewczyny miały kolejne wagony, przy których tłoczyli się zaafetowani ludzie. I nic dziwnego, następny pociąg dopiero za siedem godzin. Wreszcie dobiegły do ostatniego wagonu, przy którym nie było nikogo. Niestety drzwi były zamknięte. Spojrzały na siebie rozczarowane, po czym wróciły do przedostatniego wagonu i ustawiły się grzecznie na końcu kolejki. Kiedy w końcu udało im się wejść do środka, okazało się, że wszystkie przedziały i korytarz są już szczelnie zaphane. Pozostały im jedynie wolne miejsca przy toalecie. A to pech! Zmęczone i osowiałe zrzuciły plecaki na podłogę, tuż obok drzwi do ubikacji.

- Masz bilety, Soniu? - zapytała jedna z dziewczyn.

Sonia sięgnęła do kieszeni spodni.

- Chcesz jeden?

- Nie, trzymaj. Jutro się rozliczymy.

Sonia kiwnęła głową i schowała bilety.

- Szkoda, że ten ostatni wagon jest zamknięty - westchnęła z żalem. - Psiakość. Miałybyśmy siedzące miejsca w przedziale. A może by tak...

Podeszła do rozsuwanych drzwi i nacisnęła klamkę. Nawet nie drgnęły. Przyłożyła twarz do szyby i przysłoniła ją ręką, żeby coś za nimi wypatrzeć. Brudne szkło odbijało zarys jej opalonej buzi. Wewnątrz niewiele można było dostrzec. Niestety.

- Mówi się trudno - koleżanka pocieszyła ją, a przy okazji siebie. - Siła wyższa. Jakoś się przemęczymy. - Popatrzyła przez szybę w drzwiach. Tłum na peronie znacznie się przerzedził. - Mam nadzieję, że przynajmniej ruszymy planowo. - Spojrzała na zegarek.

- Taaak. - Sonia ziewnęła. - Dobrze, że jesteśmy już po kolacji. Jeść w tym syfie to dopiero byłby koszmar, co nie? Od samego patrzenia zbiera mi się na wymioty. - Rozejrzała się z odrazą po brudnej podłodze i ścianach.

- Noo... Twoja ciotka zrobiła supernaleśniki. Pychota! - Na wspomnienie posiłku dziewczyna oblizwała wargi. Postawiła plecak pod ścianą, usiadła na nim. - O kurczę, co ja tam wsadziłam? - powiedziała do siebie zdziwiona, czując jakieś twarde kanciaste kształty. - Trzeba to jakoś poprawić, bo rano będę cała pogięta jak chiński paragraf! - Zachichotała i uklepała plecak ręką. - O właśnie, teraz już dużo lepiej. A ty? Masz zamiar tak stać przez całą drogę? - zwróciła się do koleżanki

wyglądającej przez okienko w drzwiach.

- Lubię tak patrzeć. Chcę jak najwięcej zapamiętać - stwierdziła odwrócona do niej plecami Sonia. - Ten śmieszny dworzec, drogę do miasteczka, jabłonie... To były fajne waka-cje. Co nie, Aniu? - Uśmiechnęła się sama do siebie.

- Fakt. A konkretnie to masz na myśli Piotrka? - rzuciła z przekąsem Anka.

- Ojej, ty zawsze musisz sprowadzać wszystko do jedne-go. - Sonia musiała przytrzymać się poręczy przy drzwiach, ponieważ pociąg właśnie ruszył. - Nawet nie wiem, czy do mnie napisze... - westchnęła cicho.

- To się okaże. Za jakiś czas.

- Właśnie. - Sonia odwróciła się od drzwi. Za szybą mi-gnął budynek dworca, latarnia i wielki napis „Stróże”. Podeszła do swojego plecaka i ułożyła go podobnie jak Ania. - Jak my wytrzymamy całą noc w takich warunkach? - burknęła ze zło-ścią, próbując sobie znaleźć wygodną pozycję.

- Nie narzekaj. - Anka wzruszyła ramionami. - Mogło być dużo gorzej. Tu przynajmniej możesz swobodnie rozpro-stować nogi. I żaden tłuścioch nie chrapie ci nad uchem - do-dała z uśmiechem.

Pociąg toczył się po szynach, wybijając monotony rytm. Tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk... Na korytarz wpadały ostatnie pro-mienie zachodzącego słońca. Ania zmrużyła oczy. Poczula na twarzy złote ciepło. Pod powiekami zobaczyła sad oświetlony szkarłatną łuną. Idzie między drzewami, dotyka zwisających nad głową liści. Pomiędzy nimi leciutko kołyszą się dojrzewają-ce jabłka. Większość jest jeszcze zielona, ledwie co zarumie-niona. Zrywa jedno i pociera je o bluzkę. Wypolerowana skórka

pięknie lśni w słońcu. Wbijają zęby w twarde mięsz. Jeszcze niedojrzałe. W ustach czuje cierpki smak. Z początku kwaśno-gorzki, od którego mimowolnie kurczy się podniebienie, jakby dostawało gęszej skórki. Ale już po chwili język przyzwyczaja się do tej kompozycji i smak owocu wydaje się słodko-kwaśkowy. Nagle spostrzega, że za drzewami coś się poruszyło. Zatrzymuje się z jabłkiem przytkniętym do ust. Stoi nieruchomo i nasłuchuje. Krwawa łuna zachodzącego słońca bije jej prosto w oczy, oślepia, nie pozwalając rozpoznać postaci. Ania unosi dłoń i przykładą ją do czoła. Tak, teraz już lepiej. Wyteża wzrok i wtedy dostrzega dwie przytulone do siebie sylwetki. Mruga powiekami, jakby nie wierzyła w to, co widzi. Jakby miała nadzieję, że to tylko złudzenie, ale nie, nadal tam są i... całują się! Niesprawiedliwość. Czuje bolesny ucisk w żołądku. Jabłko wypada jej z ręki i toczy się po trawie. Ania odwraca się i opiera plecami o jabłoń. Policzki palą ją ze złości. Przed oczami ciągle ma obraz dwojga przytulonych do siebie postaci. Soni i Piotrka. Dlaczego ten przekłety obraz nie chce zniknąć?

- Śpisz? - dobiegł ją szept koleżanki.

Ania otworzyła oczy. Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem po swojej mało komfortowej sypialni. Za oknem powoli zapadał zmierzch. Obok siedziała Sonia, wpatrując się w koleżankę.

- Śpisz? - zapytała ponownie.

- Nie. - Ania przetarła powieki. - Już nie.

- To dobrze. - Sonia przysunęła się bliżej. Jej ramię dotykało teraz ramienia koleżanki. - Tam się coś poruszyło. - Spojrzała znacząco na przegub łączący wagony.

- Tam? - upewniła się Anka, wyężając wzrok.
 - Uhm. - Sonia kiwnęła głową. - Słyszałam jakiś szmer.
- Przez chwilę siedziały nieruchomo, wpatrując się z napięciem w brudne szyby drzwi łącznika. Jednak slychać było tylko turkot kół jadącego pociągu.
- Może ci się zdawało? - zapytała po chwili Ania.
 - Raczej nie - odpowiedziała Sonia. - Tam... tam chyba ktoś jest...
 - To dlaczego drzwi są zamknięte?
 - Nie mam pojęcia. - Sonia wzruszyła ramionami.
 - Widziałas coś? - Ania uważnie przyglądała się koleżance.
 - Chyba tak. Jakby ktoś się ruszał.
 - Ciągnął za uchwyt?
 - Jaki uchwyt?
 - No, w tych drzwiach przed nami.
 - Tych do przegubu? Nie. Akurat tego nie widziałam.
 - No więc?
 - Sama już nie wiem... Zdrzemnąłam się. Kiedy się obudziłam, miałam wrażenie, że ktoś mi się przygląda.
 - Może ci się zdawało?
 - Nie sądzę. Do tej pory nie zdarzyło mi się mieć halucynacji.
 - W takim razie trzeba to sprawdzić. - Ania zerwała się z miejsca.
 - Daj spokój! - Sonia złapała ją za rękę. - A jeżeli tam naprawdę ktoś stoi? To co wtedy?...
 - Zobaczymy. - Ania wyszarpnęła rękę i podeszła do drzwi. - Nic nie widzę - stwierdziła, próbując je rozsunać. Nawet nie drgnęły. Odwróciła się i siadła na swoim miejscu. -

Szkoda.

- Ja nie żałuję - powiedziała Sonia i uśmiechnęła się przekornie. - Wprost przeciwnie, nawet się cieszę.

- Z czego? Z tego, że musimy się tu gnieździć, na plecach, przy śmierdzącym kiblu?

- Tak. Uwielbiam podróżować w ekstremalnych warunkach. - Sonia poczuła się urażona.

- Jasne. - Anka poprawiła plecak i oparła głowę o ścianę. Spojrzała z ukosa na koleżankę zapatrzoną w ciemność za oknem. Uśmiechnęła się i przymknęła powieki.

3.

Ślub i wesele przeżył tak, jakby wszystko działo się obok niego. Kolejne sceny przesuwały mu się przed oczami, jedna po drugiej. Przejazd do kościoła. Msza. Małżeńska przysięga. Życzenia. Kwiaty. Kolacja. Tańce. Toasty. Niezliczona ilość drinków. Krótki, męczący sen, a w nim Lola w czarnej peruce, w najbardziej wyuzdanych pozach. Prężąca się na czerwonej kanapie i dająca mu znaki, by do niej dołączył.

Rozpierający czaszkę ból zwiastował niechybnie poranek. Wody! Przejazd z walizkami na lotnisko, a potem znowu drinki w samolocie, żeby nie myśleć. Nie zastanawiać się. Nie pamiętać, w jaki sposób przylecieli na Majorkę. Potem nastąpiły dwa tygodnie nieustającej fiesty. Nocne eskapady do barów i klubów, mocno zakrapiane alkoholem, odsypiane do południa. Leniwe wylegiwanie się pod parasolem na plaży. Popołudniowe kąpiele w morzu. Przedwieczorny seks z Joan. Dzień podobny do dnia. Noc do nocy. Pod koniec pobytu sen z Lolą w

roli głównej zaczął się zmieniać. Jej obraz stopniowo się zacie-
rał. W przeddzień powrotu śniło mu się już zupełnie coś inne-
go. Był dzieckiem z niewielkiej miejscowości położonej daleko
od Paryża. Chodził do szkoły, w której panoszyły się dwie ban-
dy. Wytatuowane wyrostki rządziły młodocianym światkiem,
terroryzując całe otoczenie. Właśnie wracał ze szkoły i natknął
się przypadkiem na przedstawicieli jednego z gangów. Nieźle
oberwał. Jego rozdzierający krzyk zwabił chłopaków z prze-
ciwnej grupy. Nie żeby stanęli w jego obronie. Po prostu zaczęli
walczyć ze swoimi wrogami. I chociaż liczył na wsparcie, dostał
wciry po raz drugi. W poszarpanym ubraniu, z rozkwaszonym i
opuchniętym nosem dotarł do domu. Rzucił się na łóżko, płac-
ząc z bezsilności i wściekłości. Był dużo młodszy i znacznie
mniejszy od tych, którzy spuścili mu manto. Poza tym był sam,
a ich cała zgraja. W tej nierównej walce nie miał żadnych
szans. Buntował się w duchu przeciw ewidentnej niesprawie-
dliwości, która go spotkała. Ocierając łzy, które tak nie po mę-
sku płynęły mu z oczu, poprzysiągł sobie, że kiedy dorośnie,
zrobi porządek z takimi jak oni.

Do Paryża wrócili w ostatnich dniach sierpnia. Opaleni, wypo-
częci i trochę już stęsknieni za własnym łóżkiem. Kiedy czekali
na walizki w terminalu lotniska Charles de Gaulle, wzrok Césa-
ra przykuła gazeta leżąca przy koszu na śmieci. Jeden z tytułów
informował o tajemniczej śmierci tancerki z paryskiej rewii.
César poczuł nagłe ukłucie w sercu. Bez słowa zostawił Joan
wypatrującą walizek. Podniósł gazetę i odszedł kilka kroków
dalej, żeby w spokoju przeczytać artykuł. Na

pierwszej stronie znajdowała się jednak tylko krótka informacja, że dziewczyna została najprawdopodobniej napadnięta, kiedy wracała po spektaklu do domu. Dalszych szczegółów trzeba było poszukać na stronie jedenastej. César czym prędzej przekartkował gazetę i zaklął pod nosem. Brakowało środkowych stron. Zdenerwowany, cisnął ją do kosza i szybkim krokiem ruszył w kierunku taśmy bagażowej. Joan właśnie się pochylała, żeby złapać jedną z walizek. Naprężyła opalone ramiona, na jej czoło wystąpiły kropelki potu. César wysunął się zza jej pleców, szarpnął walizkę i postawił z hukiem na podłodze. Spojrzała na niego wystraszona, ale zaraz się rozpromieniła.

- Dzięki, skarbie - szepnęła z wdzięcznością.

Nachyliła się, żeby cmoknąć go w policzek. Nie zdążyła. Zrobił unik, wskazując podbródkiem drugą zbliżającą się do nich walizkę. Joan cofnęła się posłusznie, ustępując mu miejsca.

- Idziemy - rzucił krótko, wyciągając bagaż. Zabrzmiało to jak komenda.

Złapał większą walizę za rączkę i pociągnął ją za sobą. Joan stała przez chwilę oniemiała, patrząc wielkimi oczami za oddalającym się mężem. Zaraz jednak otrząsnęła się ze zdumienia, wysunęła rączkę mniejszej walizki i ruszyła w ślad za nim. Plastikowe kółka zaterkotały wesoło na gresowej posadzce.

- César! - zawołała w biegu. - Co ty wyprawiasz? Zaczekaj!

Nawet się nie obejrzał. Szedł przed siebie z pociemniałą twarzą i dziwną rozpaczą w sercu, przez cały czas myśląc tylko o Loli, o tym, że być może właśnie stracił ją bezpowrotnie i że

nigdy sobie tego nie wybaczy. Czuł miarowe ukłucia w klatce piersiowej. Minał zieloną strefę „Nic do oclenia” i przeszedł przez rozsuwane drzwi, za którymi kłębił się tłum oczekujących. Wszedł, a raczej wpadł jak burza, prosto w grupkę Arabów, którzy natychmiast się rozstąpili, robiąc mu przejście. Podszedł do stoiska z napojami i spytał o kiosk z prasą. Młody piegus w firmowym niebieskim fartuchu odparł niechętnie, że sklepy znajdują się na piętrze odlotów. César zaklął pod nosem i już miał się skierować do windy, kiedy dopędziła go zdyszana Joan.

- Uff... Chyba nigdy w życiu tak nie galopowałam! Prawdziwy bieg na czas z przeszkodami. Powiesz mi wreszcie, co się stało?

- Zaczekaj tutaj - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Zaraz wrócę.

Nie zdążyła zapytać o nic więcej. Po prostu puścił walizkę i wyrwał do przodu. Zobaczyła tylko jego plecy znikające w korytarzu.

Szedł jak w transie. Gdy w końcu dotarł do kiosku, stanął przed półkami z prasą, żeby przejrzeć tytuły. Żadna nie przypominała jednak tamtej. Pomyślał, że gazeta mogła być sprzed kilku dni. Wyrzucał sobie, że nie sprawdził daty. Psiakrew! Wszystko przez ten pośpiech. Schylił się, a potem zaczął wyciągać najbardziej popularne dzienniki. Stanął z boku i gorączkowo je wertował, strona po stronie. Stojąca za ladą Murzynka nie spuszczała go z oczu. Licho wie, co to za jeden... Kiedy obsłużyła ostatniego klienta, spojrzała wyczekująco na Césara.

- Kupuje pan?

- Tak... Szukam jednej notatki. - César podniósł wzrok znad gazety. - Może pani czytała? Chodzi o informację na temat pewnej tancerki. Została napadnięta w drodze do domu.

Kobieta wzruszyła ramionami. César zrobił to samo, po czym wrócił do przeglądu prasy.

- Kupuje pan coś? - Kioskarka miała nieprzyjemny głos. Chyba zaczynał ją wkurzać. - Dwa pięćdziesiąt - powiedziała nieco uprzejmiej do dziewczyny, która stała grzecznie z czekoladowym batonikiem w dłoni. Wystukała cenę i wydała resztę z pięciu euro. Zamknęła z impetem szufladę kasy i wyraźnie już niezadowolona, spojrzała na Césara.

- Nic tutaj nie ma - westchnął, odkładając gazety na półkę. Zrobił w tył zwrot i czym prędzej się oddalił.

Biegąc korytarzem, César myślał gorączkowo, jak odzyskać gazetę, którą tak bezmyślnie wyrzucił do kosza przy stanowiskach bagażowych. Minął pilnującą walizek Joan (kątem oka zauważył, że była zajęta rozmową telefoniczną) i dopadł do rozsuwanych drzwi łączących poczekalnię z pomieszczeniem odbioru bagażu. Drzwi były zamknięte. Widniała na nich tabliczka z napisem „Zakaz wstępu” Przypomniał sobie, że sterująca drzwiami fotokomórka znajduje się po drugiej stronie. Cholera! Trzeba poczekać, aż ktoś będzie wychodził. Stojący przed barierką ludzie przyglądali mu się z zaciekawieniem, niektórzy kiwali głową z dezaprobatą. César nie zwracał na nich uwagi. Myślał o tym, że gdzieś w pobliżu musi być kamera. Kiedy tylko ochrona się zorientuje, że wchodzi do środka, z pewnością go zatrzymają. Na wszelki wypadek postanowił wyjąć służbową legitymację. Zawsze robi wrażenie... Potem przyszło mu do głowy, że nie tędy droga i powinien obrać inny

kierunek działania. Postanowił znaleźć jakieś biuro obsługi lotniska. Ruszył dalej korytarzem i rzeczywiście już po chwili natknął się na stanowisko obsługi celnej. Podeszedł do urzędującego tam mężczyzny i przedstawił się. Wytłumaczył, że odbierając bagaż, niechcący wyrzucił gazetę, na której miał zapisane ważne informacje. Bardzo ważne. Urzędnik spojrzął na niego spod oka, najwyraźniej mu nie dowierzając. Dopiero kiedy César pomachał mu przed nosem legitymacją służbową i dodał z naciskiem, że notatki, o których wspominał, są ściśle związane z jego pracą, mężczyzna przywołał kogoś przez radiotelefon. Po kilku minutach podeszła do nich sprzątaczką pchająca wózek z kubłem, mopem oraz środkami czystości. Na wszelki wypadek poprawiła fartuch i skinęła głową urzędnikowi. Ten wyjaśnił jej pokrótce, o co chodzi, a César wytłumaczył, do którego kosza wyrzucił gazetę. Kobieta kiwała tylko głową i spoglądała na niego, nie kryjąc niezadowolenia. W końcu nie najęła się jako chłopiec na posyłki, ale kogo to obchodzi... Zabrała jednak swój wózek i bez słowa ruszyła korytarzem. Czas oczekiwania dłużył się niemiłosiernie. W kieszeni Césara zadzwonił telefon. Wyjął komórkę i zobaczył znajomy numer.

- César, co się z tobą dzieje? - mówiła wzburzona Joan.
- Zaraz wrócę - odparł krótko.

Nie miał czasu ani ochoty zastanawiać się nad tą, całkiem naturalną przecieź, reakcją żony.

- Ale co się stało? - Joan nie dawała za wygraną. - Gdzie ty się właściwie podziewasz?
- Powiedziałem, że za chwilę wrócę. - Jak mnie przedtem szlag nie trafi, dodał w myślach.

- Ale César...
- Nie przedłużajmy - warknął. - Czekał tam, gdzie jesteś. Za chwilę po ciebie przyjdę. - Rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Urzędnik popatrzył na niego ze współczuciem, jakby chciał powiedzieć: Ach, te kobiety. Zawsze takie niecierpliwe.

Komórka w kieszeni Césara znowu zaczęła wibrować. A to uparta sztuka. Rozejrzał się nerwowo po korytarzu. Sprzątaczkę ani śladu. Skrzyżował ręce na piersiach i zaczął chodzić tam i z powrotem. Pięć kroków w jedną stronę, pięć w drugą. Minuty płynęły wyjątkowo wolno. Znow zadzwonił telefon. Tym razem, zerknąwszy na wyświetlacz, odrzucił rozmowę. Kiedy po raz kolejny usłyszał irytujące brzęczenie, wzruszył tylko ramionami i po prostu wyłączył aparat. Na końcu korytarza pojawił się wózek sprzątaczkę. Nareszcie! César popędził w tamtą stronę. Dopadł do kobiety niosącej w rękę zmiętą gazetę. Złapał pognieciony papier i rozprostowując go drżącymi palcami, poszukał daty. Gazeta była sprzed trzech dni. Złożył ją na pół, potem jeszcze raz i jeszcze, i upchnął do kieszeni spodni. Wręczył zdumionej sprzątaczkę pięć euro i poszedł szukać Joan. Na pewno przygotowuje prywatne śledztwo i za nic w świecie nie odpuści.

Pociąg do Warszawy, koniec sierpnia 1997 roku

Koła pociągu dudniły miarowo. Na korytarzu panował półmrok. W przedsiönku wagonu było prawie całkiem ciemno. Jedynie spod drzwi do toalety wypływała jasna smuga światła.

Sonia poczuła na plecach dreszcz, któremu towarzyszyło uczucie dziwnego wewnętrznego niepokoju. Otworzyła oczy i zaspianym wzrokiem omiotła najbliższą przestrzeń. Była sama. Spojrzała na podłogę i znieruchomiała. Plecak Anki znikł. Czy to sen?! Niezupełnie jeszcze rozbudzona, zerwała się na równe nogi. Zakręciło jej się w głowie. W pierwszej chwili nie mogła złapać równowagi. Zakołysała się i zrobiła krok do tyłu, uderzyła plecami o ścianę. Oparła się o nią, żeby nie upaść i żeby pozbierać myśli. Jeszcze raz rozejrzała się wokół. Po Ance nie było śladu. Postanowiła sprawdzić w toalecie. Pudło. Mała, brudna kłitka była pusta. Czowała, że serce zaczyna jej bić coraz szybciej, a w skroniach pulsuje krew. A może zwolniło się miejsce w którymś z przedziałów i Anka się tam przeniosła? Ruszyła wzdłuż wąskiego korytarza, przeciskając się między bagażami i śpiącymi ludźmi i zaglądając do wszystkich przedziałów. Przyjaciółki nigdzie nie było. Postanowiła szukać dalej. Szła przez kolejne wagony, rozsuwała drzwi do przedziałów, w których zaciągnięte zasłonki nie pozwalały zajrzeć do środka. Rozbudzeni hałasem pasażerowie spoglądali na nią ze zdziwieniem, inni syczeli, żeby poszła do diabła i dała im spać. „Bardzo przepraszam, ja tylko...” bąkała i próbowała szczęścia w następnych przedziałach. Bez powodzenia. Była coraz bardziej zdenerwowana. Z każdą minutą serce biło jej coraz mocniej. Przeszła przez wszystkie wagony. Nic. Anki ani widu, ani słychu. Przepadła jak kamień w wodę. Sonia zatrzymała się przy uchylonym oknie. Powiew wiatru chłodził jej rozpalone czoło. Co się z nią mogło stać?, zadawała sobie w myślach pytanie, ale żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. Przecież nie wysiadła po drodze, bo i po co? Nagle przypomniała

sobie o plecaku pozostawionym pod drzwiami toalety.

- Cholera, jeszcze go ktoś ukradnie - zaklęła cicho i rzuciła się z powrotem w głąb pociągu.

Zdyszana, wpadła na korytarzyk, na którym tak niedawno spały razem z Anką. Zatrzymała się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Był całkiem pusty. Niemile zaskoczona, zlustrowała centymetr po centymetrze całą podłogę, jakby wciąż nie dowierzała, że jej plecak naprawdę się ulotnił. Nie dostrzegła jednak niczego poza kilkoma papierkami po cukierkach. Kolana miała jak z waty. Oparła się plecami o ścianę i powoli zsunęła się na dół. Łzy napłynęły jej do oczu. „Ja chcę do domu, do mamy!” Czuła się taka bezsilna, samotna i bezbronna. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Kiedy wycierała nos, jej spojrzenie zatrzymało się na brudnej szybie drzwi łącznika z ostatnim wagonem. Znieruchomiała, wpatrując się w jeden punkt i broniąc się przed natrętną myślą, którą za wszelką cenę pragnęła odgonić. Powoli złożyła chusteczkę i schowała ją do kieszeni. Nie spuszczać oczu z brudnej szyby, podniosła się z podłogi. Stała tak przez chwilę, bijąc się z myślami. „Co robić? Najpierw Anka, teraz plecak... Iść tam czy nie?” W końcu zwyciężyła desperacja. I ciekawość. Sonia podeszła do drzwi i nacisnęła zimną metalową klamkę. Usłyszała przeciągły, ostry sygnał lokomotywy. Drzwi rozsunęły się niemal bezszelestnie.

4.

Po powrocie do domu wykonał kilka telefonów do pracy. Po wielu staraniach udało mu się ustalić nazwisko zamordowanej tancerki. Była to niejaka Tessa van Graaf, pracująca ostatnio w małej, podrzędnej rewii na Montmartrze. César zamknął się w łazience, żeby trochę ochłonąć. Przysiadł na brzegu wanny i palił jednego papierosa za drugim. Odkręcona woda spływała do umywalki. Jej szum zagłuszał odgłos rozmowy, którą mogłaby - nie daj Bóg! - usłyszeć Joan. Pomimo że teraz wiedział już z całą pewnością, że Loli nic się nie stało, nadal czuł dziwny niepokój. Szczerze mówiąc, nie miał ochoty wychodzić z łazienki. W tej chwili to małe pomieszczenie wydawało mu się czymś w rodzaju azylu, który chronił go przed resztą świata. Przypomniawszy sobie, że w dzieciństwie, kiedy mu coś doskwierało, też lubił zaszywać się w łazience. Gasząc papierosa, podjął męską decyzję, że bez względu na wszystko musi się zobaczyć z Lolą. Ostrożnie uchylił drzwi, zlustrował teren i wysunął się z łazienki. Pierwszy etap operacji miał za sobą. Bezszelestnie przemknął do drzwi wyjściowych. Zamknął je cicho i zbiegł po schodach na łeb na szyję. Nim Joan zdążyła się zorientować, że jej ślubny ulotnił się w iście angielskim stylu, César był już na ulicy.

Dotarł zziębnięty do najbliższej stacji metra. Żeby trochę ochłonąć, zjechał w dół ruchomymi schodami i zatrzymał się przed mapą sieci metra. Wprawdzie był u Loli tylko jeden raz, ale dobrze zapamiętał, gdzie mieszka. Sprawdził najlepsze połączenie, wyjął bilet miesięczny i przekroczył bramkę do szybkiej kolei RER linii „B”.

Po czterdziestu pięciu minutach znalazł się na bulwarze Sebastopol przed starą, piękną kamienicą w stylu haussmannowskim. Masywny szary budynek z prostokątnymi oknami i czarnym zaokrąglonym dachem nie wyróżniał się niczym na tle innych kamienic ustawionych ciasno wzdłuż bulwaru. Uniósł głowę i spojrzął w okna na poddaszu, ale żadne z nich nie było otwarte. Tak samo jak drzwi prowadzące na klatkę schodową. Nacisnął guzik domofonu. Gdy po siedmiu sygnałach nikt się nie odezwał, pomyślał, że Loli nie ma w domu. Przez pół godziny wałęsał się po okolicy. Kilka razy jeszcze dzwonił domofonem, ale za każdym razem odpowiadała mu cisza. Stał chwilę, wahając się, co zrobić. W końcu podjął decyzję. Trzeba pojechać do kabaretu.

Do rozpoczęcia spektaklu zostało jeszcze sporo czasu. César kręcił się wokół tylnego wejścia do Crazy Horse. Było zbyt jasno, aby mógł zaczekać w niewielkiej uliczce, nie zwracając na siebie uwagi. Decyzję, co dalej, podjął za niego żołądek. Niestety, nie była to jeszcze pora kolacji, więc co najwyżej mógł liczyć na kawę lub piwo z małą porcją fistaszków. Na razie dobre i to. Znalazł niewielką kawiarnię z restauracją i zajął w niej stolik przy oknie. Poprosił o kawę i paczkę marlboro. Zerknął na zegarek: było po dziewiętnastej. O tej porze tancerki przygotowują pewnie w garderobie charakterystyczną do wieczornego spektaklu. Starał się wyobrazić sobie Nadię, jak siada przed wielkim lustrem i rozpoczyna codzienny rytuał przeistaczania się w wampa. Najpierw wklepuje delikatnie ciemny podkład. Następnie rozprowadza małym pędzelkiem cienie do powiek. Czarną kredką podkreśla kształt oczu i starannie tuszuje rzęsy.

Być może dokleja sztuczne. Potem konturówką obrysowuje swoje piękne pełne usta... Rozmarzył się, myśląc o tym, jak wypełnia kontur warg krwistoczerwoną szminką. Na koniec zakłada czarną perukę z równo przyciętą grzywką. I oto jest... Lola. W pełnej krasie. Bohaterka snów erotycznych zauroczonych nią mężczyzn w każdym wieku. César westchnął. Zgasił niedopalek w firmowej popielniczce i spojrzął przez szybę. Przywołał kelnera i zapytał, czy może już zamówić kolację. Młodzieniec z czarną muszką pod szyją przytaknął i zaproponował, by César przeniósł się do części restauracyjnej. Inspektor spojrzął z niechęcią na przykryte śnieżnobiałymi obrusami stoliki z grzecznie ułożoną zastawą. Wolałby zostać tutaj. Zamówił stek z frytkami i sałatą. Do tego duże piwo. Nakrywając stół, kelner dał mu wyraźnie do zrozumienia, że to nie miejsce na kolację. César puścił uwagę mimo uszu. Skończył kolejnego papierosa i rzucił się na gorące danie. Ale zapach! Starał się jeść powoli, chociaż głód go popędzał. Przerwał na moment, żeby skosztować chłodnego piwa. Spieniony napój miał cudowny posmak goryczki. César uśmiechnął się - czuł się lepiej. Ucisk w okolicy serca zelżał. Niewielka dawka alkoholu wpłynęła kojąco na jego system nerwowy. Teraz pozostało mu tylko czekać. Na cudowną, zjawiskową Lolę. Ach, dotknąć jej skóry, włosów... Całować usta. Poczul przyjemny dreszcz. Powieki same mu opadły. Przed oczami miał teraz idealne nagie ciało leżące blisko niego w małym pokoiku na poddaszu. Na wyciągnięcie ręki... Z marzeń o Loli wyrwał go hałas przesuwanych krzeseł. Nieprzytomnym wzrokiem omiótł gości przy sąsiednim stoliku. Cholera, czy muszą tak hałasować? Przed nim stygł stek z frytkami. Podniósł machinalnie nóż i widelec i

wziął do ust pierwszy kęs. Jedzenie nie sprawiało mu już takiej przyjemności. Smak piwa wydawał się teraz zwyczajny, pospolity. Odsunął talerz z resztkami kolacji i sięgnął po papierosa. Wpół do dziewiątej. Na dworze było jeszcze jasno. Z nudów wyjął telefon. Kilkanaście nieodebranych połączeń i kilka wiadomości. Wszystkie z jednego numeru: Joan. Wszystkie mniej więcej podobnej treści: „César, gdzie jesteś? Co się stało? Odezwij się natychmiast, bo nie wiem, co robić” On też nie wiedział. Nie czuł się na siłach, żeby oddzwonić. Poza tym nie miał ochoty kłamać, zwłaszcza przy obcych. Pomyślał, że najlepiej będzie, jak wyśle esemesa z przeprosinami za swoje zachowanie. Doda, że został wezwany do pracy w bardzo pilnej sprawie i jak tylko się dowie czegoś więcej, natychmiast da znać. Zaraz po wysłaniu wiadomości wyłączył telefon. Co z oczu, to z serca. Za oknami powoli zaczynało zmierzchać. César dał znak kelnerowi, by przyniósł rachunek.

Dostrzegł ją, gdy tylko otworzyła drzwi teatru. Nareszcie! I zaraz mina mu zrzędła. Niestety, nie była sama. Razem z nią wychodziły dwie inne dziewczyny. Nie mógł ich rozpoznać. Młode kobiety, ubrane zwyczajnie, by nie rzec skromnie, w dżinsach i sportowym obuwiu, wyglądały raczej na studentki wracające z imprezy. Weszły w aleję Georges V. César trzymał się w bezpiecznej odległości. Nie chciał, by go zauważyły. Nie był pewien, jak Lola zareaguje na jego widok. Może być wściekła, że nie odzywał się do niej przez dwa tygodnie. A jeśli w ogóle nie będzie chciała z nim rozmawiać? Taki wariant też brał pod uwagę i chociaż starał się nie nastawiać negatywnie, czuł coraz większe zdenerwowanie. Dziewczyny pożegnały się

przy Champs Élysées. Lola poszła w stronę stacji metra. César przyspieszył kroku, ale stracił ją z oczu, gdy weszła w tłum na schodach. Zbiegł czym prędzej na dół i zdążył zobaczyć już tylko jej czerwoną torebkę znikającą za barierką. Gorączkowo szukał biletu, ale jak na złość nie mógł go nigdzie znaleźć. Czas mijał. Słyszac łoskot wtaczającego się na stację pociągu, błyskawicznie podjął decyzję. Przeskoczył przez barierkę, a potem pognał jak burza na peron. Do wagonu wbiegł dosłownie w ostatniej chwili, kiedy zabrzmiał już sygnał odjazdu. Drzwi zamknęły się sekundę później. César rozejrzał się szybko wokół. Większość miejsc była pusta. Tu i tam siedziały przytulone mocno do siebie zakochane pary. Uśmiechnął się mimowolnie na ich widok. W kącie przy oknie, oparty o szybę, spał starszy mężczyzna. Brudne, wymiętoszone ubranie, nieogolona twarz, tobolek przytwierdzony do metalowego stelaża na kółkach i roztaczający się wokół odór przetrawionego alkoholu mówiły same za siebie. Bezdomny. Loli nigdzie nie było. Niemożliwe. César potrząsnął głową z niedowierzaniem, zrobił w tył zwrot i... wtedy ją zobaczył. Odwrócona do niego plecami, wpatrzona w ciemność tunelu za szybą, siedziała kobieta, której szukał i której pragnął. Poczul ukłucie w sercu. Jedno, potem drugie. Zawahał się przez moment. Podejść czy nie?

Usiadł naprzeciwko Loli. Niechętnie odwróciła wzrok od ciemnej szyby i spojrzała na niego, jakby spodziewała się jakiegoś natręta. Kiedy go rozpoznała, jej blada twarz natychmiast się zmieniła. W pierwszej chwili pojawiło się na niej coś na kształt uśmiechu, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Zaraz potem przybrała zacięty wyraz. Lola odchyliła się, krzyżując

ręce na piersiach, jakby w ten sposób chciała się od niego odgrodzić. Jej gest był aż nadto czytelny. Zrozumiał, że w ten sposób stara się stworzyć między nimi wyraźny dystans. Zaszło mu w gardle. Spróbował przełknąć ślinę, ale w krtani miał kluchę. Musiał kilkakrotnie odchrząknąć. Wyszło na to, że nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, a co dopiero powiedzieć „przepraszam” Porażka! Krew pulsowała mu w skroniach. Na czole, tuż u nasady włosów, pojawiły się kropelki potu.

Lola taksowała go wzrokiem. Nie mógł wiedzieć, jak bardzo był dla niej pociągający i męski. Nie zdawał sobie sprawy, że każdego wieczoru, kiedy wychodziła po spektaklu, rozglądała się w ciemnej uliczce w nadziei, że gdzieś tam, w zakamarkach, César czeka na nią, śledząc każdy jej ruch. Nie miał pojęcia, że po nocach płakała w poduszkę, a rano wstawała z bólem głowy i zapuchniętymi oczami. Że chodziła całymi dniami jak struta. Nic jej nie cieszyło. Występy odbębniała z musu. Pewnej nocy, wracając do domu, podjęła decyzję, że musi definitywnie zapomnieć o Césarze. I kiedy prawie, prawie się jej to udało, on zjawia się nagle ni stąd, ni zowąd. Dlaczego jej to robi?

- Czego chcesz? - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj mnie, Lolu... - wyszeptał błagalnie César, pochylając się w jej stronę.

Mimo chłodnego powitania nie zamierzał jeszcze składać broni.

- Nie mów do mnie Lola! - prawie krzyknęła.

César ukrył twarz w dłoniach. O cholera, miał ochotę sam się spoliczkować za tę niewybaczalną gafę.

- Dobrze wiesz, że mam na imię Nadia. - Spojrzała w okno, żeby nie zobaczył łez w jej oczach. Nawet nie pamięta mojego imienia.

- Nadiu, proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę. - César patrzył na nią z bolesnym napięciem. - Tylko ten jeden jedyny raz pozwól mi się wytłumaczyć. Proszę... Pozwól, że opowiem ci, co się stało. Potem sama zdecydujesz, co będzie z nami dalej...

Wzruszyła ramionami. Nie była w stanie nic powiedzieć. Czuła, że zaraz się rozklei. Za nic nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo ją skrzywdził i jak boleśnie przeżywa to spotkanie. Pragnęła wydać mu się zimna i bezwzględna. Ponieważ nie odzywała się, César uznał, że daje mu milczące przyzwolenie. Nabrał powietrza i zdobył się na odwagę.

- Nadiu. - Znów pochylił się w jej stronę. - Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, że... - Zabrakło mu słów. Nie wiedział, w jaki sposób ma najlepiej wyrazić swoje uczucia. - Chcę ci powiedzieć, że... że to nie jest tak, jak myślisz. Ja wtedy... Ja nie wiedziałem... Ja... - Miał w głowie kompletną pustkę. Nie był w stanie zebrać myśli. Cóż, zawsze miał problem z wyrażaniem uczuć. Westchnął żałośnie, ale Nadia nie zareagowała. Ciągle patrzyła w okno i nie odzywała się ani słowem. César puścił jej rękę. Przez chwilę wpatrywał się w jej odbicie w szybie. I nagle stał się cud. Coś się w nim otworzyło i z jego ust popłynął niepowstrzymany potok słów.

- Tego dnia, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem - zaczął - był mój wieczór kawalerski. Koledzy zrobili mi niespodziankę. Kupili bilety do Crazy. Potem mieliśmy iść do baru. Zaręczyny

odbyły się półtora roku temu. Dwa razy przekładaliśmy datę ślubu. Najpierw zmarł jej dziadek. Drugim razem miałem problemy w pracy. Prowadziłem śledztwo, ale zostałem zawieszony, bo... Zresztą nieważne. Nie chciałem się żenić, nie wiedząc, czy będę mógł zapewnić rodzinie utrzymanie. - Zrobił niewielką pauzę. Przełknął ślinę, odchrząknął, po czym opowiadał dalej. - Wtedy... Tamtego wieczoru, kiedy cię zobaczyłem... wiesz, ja poczułem, że coś się stało. Nie mogłem oderwać od ciebie wzroku, przysięgam. Byłem jak zahipnotyzowany. Teraz myślę, że może to było przeznaczenie... W każdym razie stałem tam jak jakiś idiota, jak sztubak. Sam nie wiedziałem do końca, po co i dlaczego. Mogłaś mnie splawić. Mogłaś... No wiesz, mogło się okazać, że nie jesteś taka, jak sobie wyobraziłem. - Znów odchrząknął, by ukryć zmieszanie. Nie był pewien, czy jego słowa nie urażą Nadii. - Nie wiedziałem, jaka jesteś naprawdę... to znaczy w normalnym życiu, a nie na scenie. Miałem tylko nadzieję, że... No i stało się. Coś takiego czułem pierwszy raz. Po prostu straciłem głowę. A kiedy cię dotknąłem...

- Daj spokój! - parsknęła oburzona. - Nie próbuj mnie bajerować. Nie ty pierwszy chcesz mnie nabrać na piękne słówka. Zabawiliśmy się. Było fajnie. Wróciłeś do żonki. Okej, twój wybór! Tylko po co teraz przyszedłeś? Jeśli liczysz na coś więcej, to się przeliczyłeś. Twoja opowieść mnie nie wzrusza. Znam takie teksty na pamięć. - Próbowała być cyniczna, choć w głębi duszy miała ochotę wyć. Spojrzała na niego z wyrzutem. César wyczytał w jej oczach, że cierpi i nie mówi mu prawdy.

- Nadiu... Nic nie rozumiesz. To nie tak... - Przynalę się do niej jeszcze bliżej i usiadł na samym brzegu ławki. - Ja nie

odszedłem od ciebie. Ja po prostu nie mogłem wrócić. Następnego dnia był mój ślub. Nie miałem wyjścia. Nie mogłem jej tego zrobić. Nie mogłem jej tak zostawić... Rodzina, goście. Suknia. Wszystko tak długo planowane. Nie wiedziałem, co robić... Jak się zachować. To było całe moje życie. Zналиśmy się tyle lat. Ja... Nie mogłem przecież przyjść i powiedzieć jak gdyby nigdy nic: sorry, tak się składa, że wczoraj zakochałem się w innej kobiecie. Z naszych małżeńskich planów nici, więc pakuj suknię do kufra i *adieu*... Czy twoim zdaniem właśnie tak powinienem był postąpić?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, nic nie mówiąc. Potem Nadia opuściła głowę. Łza spłynęła po jej policzku. Ukradkiem ją otarła i poprawiła włosy.

- Nie wiem, jak powinieneś być postąpić - powiedziała cicho, nie podnosząc głowy. - Ale wiem jedno: źle się stało, że tamtego wieczoru za mną poszedłeś. Żałuję, że dałam się namówić na rozmowę, a potem zgodziłam się, żebyśmy poszli do mnie. Ty zdradziłeś żonę, ja zostałam sama. Niepotrzebnie tu za mną przyszedłeś. Trzeba było o mnie zapomnieć. Było, minęło. Byłoby nam teraz łatwiej...

- Żartujesz? Nie rozumiesz, że próbowałem... I nic. Nie mogę przestać o tobie myśleć. Śniesz mi się każdej nocy. Wszystko mnie boli, wszystko mnie drażni. Nie mogę znaleźć sobie miejsca... Jesteś jedyną kobietą, której pragnę. Nadiu, spójrz na mnie. Ja... Zakochałem się w tobie. - Ujął jej dłonie i złożył na nich pocałunek. Potem osunął się do jej stóp, położył głowę na kolanach i objął ją mocno w pasie. - Błagam, nie odtrącaj mnie. Nie mogę bez ciebie żyć. Jesteś dla mnie wszystkim. Wszystkim...

Nie mógł już dłużej opanować wzruszenia.

- Przestań. Słyszysz? - Próbowwała go odepchnąć, ale nie miała szans. César nadal trzymał ją w objęciach niczym najcenniejszy skarb. Tak jak za pierwszym razem, pomyślała.

Po prostu mnie sobie wziął.

Z kieszeni spodni wyjął małą karteczkę złożoną na cztery i podał ją Nadii.

Na kartce był odręcznie napisany wiersz, który nabazgrał, siedząc w restauracji:

Będę skamlał u twych drzwi, będę błagał.

Możesz mówić, że mnie nie chcesz.

Nic to nie da.

Będę czekał na twój znak.

Będę wierny ci jak pies.

Tylko nie odrzucaj mnie...

Proszę, nie zostawiaj mnie...

- Wariat! Istny wariat.

Wzruszyła ramionami, ale w jej oczach pojawiło się wzruszenie, którego nie potrafiła ukryć.

- Przrzekam... Nigdy więcej cię nie zostawię. - César nie wypuszczał jej z objęć.

- Sam to napisałeś?

Skinął głową. Siedziała nieruchomo, przygryzając dolną wargę. Co robić? W sercu miała zamęt, a w oczach popłoch. Przecież tego właśnie pragnęła. Przez całe dwa bolesne tygodnie żyła nadzieją, że wróci. Tak bardzo chciała, żeby znów się pojawił, mając jakieś rozsądne wytłumaczenie swego nagłego zniknięcia. Gdzieś w głębi duszy ludziła się, że również dla niego ich spotkanie nie było tylko przygodą na jedną noc. A ona, Nadia,

jedynie pięknym ciałem, o którym szybko zapomni. Przez cały ten czas bała się przyznać nawet przed samą sobą, że rzeczywistym powodem wspólnie spędzonej nocy były nie tylko pożądanie, namiętność i seks, ale też coś więcej. Miłość? Czy na pewno? Pociąg zatrzymał się na stacji Châtelet.

- Wysiadamy! - rzuciła krótko. Poderwała się z siedzenia, nie wypuszczając z dłoni ręki Césara. Zaskoczony, z bijącym sercem ruszył za nią niezgrabnie, objając się po drodze o oparcia foteli. Biegł jak w transie. Dali susa na peron w chwili, gdy zabrzmiał sygnał poprzedzający zamknięcie drzwi. Pociąg wyjechał ze stacji. Na opustoszałym i słabo oświetlonym peronie stała samotnie para całujących się kochanków.

Spójrz, Guillaume. - Mężczyzna siedzący przy monitorze trącił łokciem kolegę, który pochylał się nad gazetą, usiłując odcyfrować maleńkie literki oczami krótkowidza. - Gdyby nie to, że obraz jest taki cholernie nieostry, dałbym głowę, że to inspektor Bresson!

- Mówisz? - Guillaume oderwał się od pasjonującej lektury dodatku sportowego, poprawił na nosie okulary z grubymi szklami, a potem, zmrużywszy oczy, przyjrzał się postaciom na ekranie. - Ale ta laska to chyba nie jego żona, co?

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Pociąg do Warszawy, koniec sierpnia 1997 roku

Nie mogła pozbierać myśli. Cała się trzęsła. Czowała przejmujące zimno i strach. Potworny, paniczny strach. Przyciskając skrzyżowane ręce do bioder, kołysała się w przód i w tył, powtarzając w kółko: „O Boże, Boże...” Była sama w przedziale, ale z korytarza dobiegały głosy mężczyzn. Chwilami rozmawiali głośno, później ściszałi głos aż do szeptu. Nie słyszała, o czym mówią, ale domyślała się, że ta rozmowa nie wróży nic dobrego. Zdawała sobie sprawę, że nie ma szans się obronić. Sama, w pustym wagonie, nie mogła liczyć też na żadną pomoc. Zwłaszcza po tym, co przed chwilą zobaczyła. Zrobiło jej się niedobrze na samo wspomnienie. Złapała się mocniej za brzuch i pochyliła głowę. Znowu wstrząsnęły nią dreszcze. Za drzwiami jakby trochę się uspokoiło. Nie słysząc już było żadnych rozmów.

- Boże, jak oni mogli to zrobić? - szepnęła, zaciskając powieki. Przed jej oczami znów pojawił się obraz sprzed kilku minut. Stała w przegubie łącznika. Przez szybę w drzwiach prowadzących do ostatniego wagonu zobaczyła młodą kobietę, a za nią dwóch mężczyzn. Nie mogli mieć chyba więcej niż po dwadzieścia lat. Byli wysocy, dobrze zbudowani. Jeden z nich, brunet z ekscentrycznym wąsikiem i zbyt długą grzywką opadającą na czoło, co chwilę odgarniał włosy ręką, przeczesując je w charakterystyczny sposób. Dziwne, pomyślała Sonia, przecież ten wagon był wcześniej zamknięty. Sprawdzałyśmy. Ale kiedy pociąg zaczął hamować, Sonia złapała za klamkę i wtedy drzwi się rozsunęły. Upadając, zdążyła zobaczyć, że dzieje się coś złego. Jeden z chłopaków pochylił się nad kobietą i... nagle zarzucił jej coś na szyję. Jego palce zacisnęły się mocno, jeszcze

mocniej. Twarz kobiety zeszywniała, zastygła w bólu. Jedno szarpnięcie, drugie... Stojący bliżej drzwi chłopak podbiegł do Soni. Jakimś dziwnym narzędziem zamknął drzwi łączące wagony. Potem wykręcił jej ręce do tyłu i zasłonił usta. Sonia dostrzegła konwulsyjne drgawki kobiety. Czy to już agonia...? Z całych sił zacisnęła powieki. Nie chciała na to patrzeć! Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Wiedziała, że musi się teraz bronić, chciała krzyczeć najgłośniej jak potrafi, ale nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Strach sparaliżował ją całkowicie. Ciało kobiety osunęło się bezwładnie na podłogę. To już koniec... W tej samej chwili Sonia poczuła, że ktoś chwytą ją wpół i siłą prowadzi do przedziału. Chłopak rzucił Sonię z impetem na fotel. Dziewczyna wcisnęła się w pluszowe siedzenie. W przyływie panicznego lęku zapragnęła się skurczyć, zniknąć. Przed wyjściem chłopak przyłożył palec do ust.

5.

Trzy dni spędził poza domem. Obdzwaniał wszystkich kolegów, opowiadając im jakąś nieprawdopodobną historię. Wcisnął kit na prawo i lewo, błagając o pomoc w potwierdzeniu swoich kłamstw u Joan.

Nawet jeśli mu nie uwierzyli, przeważała męska solidarność. Wymyślili jakąś nagłą, superważną sprawę, z powodu której César musiał pilnie wyjechać w teren, co rzecz jasna utrudniło mu kontakt z domem. W pracy powiedział, że się rozchorował zaraz po przyjeździe z urlopu, zmiana klimatu, te

sprawy, i poprosił o kilka dodatkowych dni wolnego.

Wszystko to było cudownie nierzeczywiste. A jednak realne. Czas spędzał z Nadią, głównie w jej łóżku. W myślach wciąż nazywał ją Lolą. Kiedy zamykał oczy, widział ją w swoim ulubionym wydaniu - wyuzdaną i bezpruderyjną, taką jak na scenie. Ona chyba to czuła, chociaż nigdy nie poruszali tego tematu. Drugiego dnia wróciła po występie w pełnym makijażu i peruce. Kazała mu włączyć muzykę, w takt której zrobiła strip-tiz, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Rozbierała się niespiesznie, zmysłowo odsłaniając swe wdzięki. Eksplozja seksu, jaka nastąpiła chwilę później, była dla obojga fantastycznym przeżyciem. On zachowywał się jak pełen erotycznych fantazji, nienasycony zwierz, spełniający każdą, nawet najbardziej wymyślną zachciankę partnerki. Ona czuła się trochę jak gwiazda filmów porno, bezwstydną w swoich pozach, dająca się namówić na seks bez żadnych zahamowań. Dla obojga było to odkrycie czegoś zupełnie nowego. Siebie samych, jakich dotąd nie znali. Pożądania, które przekracza granice cielesności.

Następnego dnia rano César przygotował dla Nadii śniadanie. Usiedli przytuleni do siebie. W milczeniu pili kawę i jedli croissanty. César pomyślał, że gdyby teraz mógł wyrazić dowolne życzenie, miałby właściwie tylko jedno. Chciałby, żeby ten dzień trwał wiecznie. Żeby poranek nigdy się nie skończył. Żeby po śniadaniu znów mogli wskoczyć do łóżka i kochać się do utraty tchu, a potem wstać tylko po to, żeby znowu zjeść razem śniadanie. I znów powrócić do łóżka... Oboje zdawali sobie sprawę, że to ostatni taki dzień. Godzina rozstania

zbliżała się nieubłaganie. Jutro César będzie musiał wrócić do pracy i do domu. *C'est la vie!* Do tej pory starannie unikali tego tematu. W porze lunchu wyskoczyli do pobliskiej knajpki, żeby coś przekąsić, ale czekając na zamówione jedzenie, już żalowali straconego czasu. Zjedli szybko, zapłacili w biegu. Wracali przytuleni, całując się i obściskując jak para nastolatków, którzy nie mogą się sobą nasycić. Wchodząc za Nadią po schodach, César nie mógł się powstrzymać, żeby nie dotykać jej bioder, ud i pośladków. Kiedy otwierała drzwi, całym ciałem przylgnął do jej pleców, pieszcząc ją i całując. Ledwie wpadli do środka, rzucił się na nią w jakimś szaleńczym zapamiętaniu i kilkoma ruchami zerwał z niej ubranie. Nadia też nie pozostawała mu dłużna, rewanżując się pocałunkami i pieszczotami. Z impetem padli na łóżko, aż jęknęły sprężyny. Zagłuszyła je salwa śmiechu.

- Kocham cię, pragnę cię... - szeptał César, w myślach dodając: „Lolu”.

Dzień upłynął zbyt szybko. Popołudnie zastało ich w łóżku. O piątej zadzwonił budzik. Nadia zaczęła szykować się do pracy. César palił papierosa i patrzył, jak jego ukochana się ubiera.

- Jutro po pracy pojedę do domu, żeby się z nią rozmówić - zakomunikował obojętnym tonem.

Nadia spojrzała na niego spod oka.

- Jakoś jej to wytłumaczę. Kotku, no nie patrz tak na mnie, proszę. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Spakuję trochę rzeczy i wieczorem do ciebie przyjadę. - Pochylił się, żeby zgasić niedopałek w leżącej na podłodze popielniczce.

- Jesteś pewien, że ci się uda? Tak szybko... Jedna rozmowa i już? - zapytała Nadia odwrócona do niego tyłem. Usiadła przed lustrem, żeby się uczesać.

- Nie mam wyjścia. Ale wiem jedno: najlepiej zrobić to jak najszybciej. Krótkie cięcie i po bólu. - Uśmiechnął się, żeby nie dać po sobie poznać, iż w gruncie rzeczy nie ma pomysłu na rozwiązanie całej tej sytuacji. Bał się przyznać przed samym sobą, że nie wie, jak wytłumaczy się Joan. Czy patrząc jej w oczy, będzie umiał się przyznać, że kocha inną kobietę, że ją oszukał i zdradził, choć tak niedawno przysięgał jej miłość do grobowej deski. Czuł na sobie ciężar odpowiedzialności i za cholereę nie wiedział, czy zdoła go unieść.

- Ale dziś jeszcze się zobaczymy, prawda? - chciała się upewnić.

- Oczywiście, skarbie. - Wyjął spod głowy poduszkę i ciśnął ją w Nadię. - Chyba nie zaczęłaś we mnie wątpić? - Nadia zdążyła się uchylić i poduszka wyładowała na podłozde.

- Chciałeś chyba zapytać, czy zaczęłam ci wreszcie ufać? - Roześmiała się.

César odrzucił kołdrę i wstał nagi z łozka. Zanim zdążyła uskoczyć, już przy niej był. Złapał ją za nadgarstki i wykręcił do tyłu ręce.

- Puszczaj! - krzyknęła ze śmiechem. - Auuuu! To boli!

- Niech boli. Teraz wezmę cię na tortury i każę przysiąc, że mi wierzysz. Bo jak nie... - zamruczał groźnie.

- Daj spokój. Spieszę się do pracy. - Nadia nie przestawała się śmiać. - No, puszczaj już! Słyszysz, ty... ty oprawco...

- Wcale mnie to nie wzrusza. Strasznie lubię takie zabawy. A ci tam i tak zaczekają na swoją gwiazdkę. Co? Może nie?

- César popchnął ją delikatnie na łóżko. Nadia upadła na plecy, a on usiadł na niej okrakiem. - Jeszcze ci nie mówiłem, że pasjami uwielbiam sado-maso? Zaraz się przekonasz. Będę cię torturował, dopóki nie powiesz, że mi wierzysz - mówiąc to, nadal ścisnął jej dłonie. Nachylił się i zaczął po kolei rozpinać ustami guziczki jej bluzki. Za każdym razem, kiedy udało mu się rozpiąć jeden guzik, całował odsłoniętą skórę i pocierał ją swoją nieogoloną brodą.

- Przestań! - Nadia chichotała jak szalona. - Kompletny wariat! Przestań... przestań... Och, nie wytrzymam tego dłużej! Zostaw, bo będę cała czerwona. Zapomniałeś, że niedługo mam występ?

- To dopiero początek - zamruczał jej do ucha.

Złapał jego koniuszek wargami i wsunął do środka język.

- César! - pisnęła.

- Zobaczysz, co będzie potem... - szepnął, dobierając się do jej stanika.

- Przestań. Naprawdę muszę już iść - powiedziała cicho i przestała się wrywać.

- Nie ma mowy. Teraz już cię nie wypuszczę.

Poczuła jego twarde, sprężyste ciało, zapach tytoniu i wody kolońskiej na rozgrzanej skórze. Zamknęła oczy i już bez protestów poddała się zmysłowemu torturom Césara.

Został sam w półmroku pustego pokoju. We wpadającym przez okno szarym świetle gasnącego dnia unosiły się smugi papierosowego dymu i mikroskopijne drobinki kurzu. Leżał wyciągnięty na łóżku, przykryty do pasa kołdrą. Myślał o tym, jak będzie przebiegała jego rozmowa z Joan. Układał w głowie

różne scenariusze. Może lepiej nic jej nie mówić o istnieniu „tej drugiej” chociaż i tak pewnie sama się domyśli. Nie jest przecież głupia. Najbardziej bał się płaczu i wypominania. Cholera, nieźle narozrabiał, to fakt. Trzeba było powiedzieć o wszystkim przed ślubem. Dlaczego wtedy tego nie zrobił? Dlaczego stchórzyl? Dlaczego?! Teraz miałby przynajmniej czyste sumienie i święty spokój. Nie, nie dalby rady. Za nic. Jej rozpromieniona twarz, błyszczące oczy i radość, która emanowała z każdego jej gestu, każdego kroku, wszystko to mówiło mu, jak bardzo jest szczęśliwa. To zachłystywanie się przygotowaniami do ceremonii ślubnej i hucznego wesela, wybieranie sukni, welonu, wiązanki, niekończące się narady z druhami przesłaniały jej wszystko inne, co działo się dookoła. Nie dostrzegła jego zakłopotania, zamyślenia i przygnębienia. Wszystko tłumaczyła sobie zmianą w ich życiu - cudowną, ale też nieco stresującą. Wprawdzie przez jakiś czas mieszkali już razem, ale taki związek na kocią łapę to przecież nie to samo co wspólnota ciał i dusz, przypieczętowana aktem małżeństwa.

César wyjął z paczki ostatniego papierosa. Przez chwilę trzymał go w ustach i dopiero po kilku sekundach zapalił. Płomyk zapalniczki rozbłysnął tuż przy jego twarzy. Zerknął na zegarek. Ma jeszcze czas. Pojedzie do komendy, a potem do teatru po Lolę.

Czuł przez skórę, że coś pójdzie nie tak, że obmyślona przez niego strategia krótkiego i bezbolesnego cięcia okaże się zawodna. Mimo to przez cały dzień powtarzał sobie ostateczną wersję przemowy, którą miał wygłosić przed Joan, żeby ją poinformować - rzecz jasna jak najbardziej taktownie i delikatnie

- że ich małżeństwo to pomyłka i że on, César, podjął nieodwołalną decyzję o rozstaniu. Żadnych dodatkowych tłumaczeń, żadnych podtekstów i dwuznaczności dających jej podstawę do wysnucia wniosku, że w grę wchodzi inna kobieta. „Kochanie, nasze małżeństwo to zwykle nieporozumienie. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Niestety, dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę, ale naprawdę szczerze żałuję. Biję się w piersi. *Mea culpa...* Przepraszam. Nic nie można na to poradzić. Po prostu nie jesteśmy dla siebie stworzeni” Koniec, kropka. Cięcie i następny kadr. Na plan pierwszy wkracza druga odtwórczyni roli głównej. Tylko że jak na razie pierwsza jeszcze nic o tym nie wie...

Tę „próbę generalną” rozgrywającą się w jego głowie prze-rwało pojawienie się na horyzoncie całkowicie realnego Pierre'a, który wołał go do pokoju Starego. Stary nie był jeszcze całkiem stary, chociaż od niepamiętnych czasów nikt nie nazywał go inaczej. Od chwili gdy César rozpoczął pracę w jego sekcji, tylko jeden jedyny raz usłyszał pełne imię i nazwisko swojego przełożonego. „Komisarz Frederic Vincent - przedstawił mu się wysoki, zwalisty mężczyzna z lekko krzywym nosem i stanowczo zbyt długimi jasnymi włosami. - Możesz mi mówić komisarzu albo szefie. Jak wolisz” César przyglądał mu się z zaciekawieniem, ale też z pewnym sceptycyzmem. Po krótkich - zbyt krótkich, jak się okazało - oględzinach stwierdził, że facet wygląda na nieco ociężałego. Nie tylko fizycznie, lecz także umysłowo. I to ma być jego szef? Dość szybko jednak się przekonał, jak bardzo pomylił się w swojej ocenie. Wprawdzie na co dzień Stary rzeczywiście miał w sobie coś z leniwca, był nieru-chawy, małowówny i często zamyślony. Nieraz César widywał

go, jak siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, ale kiedy tylko należało szybko działać, w mgnieniu oka przeistaczał się w tygrysa. Wyrzucał z siebie komendy, jakby strzelał z karabinu maszynowego. Błyskawicznie analizował sytuację, wyciągał wnioski, rozdzielał zadania. Czasem aż trudno było za nim nadążyć. César podziwiał w nim tę dwiistość. Umiejętność dostosowywania się do każdej, nawet najbardziej krytycznej sytuacji.

Wszedł do gabinetu szefa jako ostatni. Na dostawionych krzesłach siedzieli już Pierre, Jean-Marc i François. Stary ułokował się za biurkiem, rozparty w swoim obrotowym fotelu. César skinął mu głową na powitanie.

- Jak się masz? - zapytał komisarz, patrząc z uśmiechem na nieogoloną twarz Césara. - Odzyskałeś już formę?

César zamknął za sobą drzwi i oparł się o framugę.

- Staram się...

- Siadaj. - Komisarz wskazał mu miejsce. - Do rzeczy, panowie. Nie spotkaliśmy się tutaj na pogaduszki. - Natychmiast przeszedł do sedna sprawy. - Wezwałem was, ponieważ wszystko wskazuje na to, że kroi się nam śmierdząca sprawa.

Policjanci popatrzyli po sobie, ale nikt się nie odezwał.

- Pod koniec sierpnia zdarzyła się pewna przykra historia, o której być może czytaliście w gazetach. - Stary otworzył szufladę, z której wyjął kilka zdjęć i rzucił je na biurko. Fotografie rozsypały się na blacie, a oczom zebranych ukazały się zwłoki młodej kobiety. César spojrział na zdjęcia i poczuł nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. W pierwszej chwili miał wrażenie, że widzi trupa Loli. - Nazywała się Tessa van Graaf - ciągnął Stary. - Trzydzieści dwa lata.

Z pochodzenia Holenderka. Od ósmego roku życia mieszkała w Paryżu. Jej matka przyjechała tu za jakimś gościem, który dość szybko zostawił ją dla innej kobiety. Samotna, bez stałego dochodu i mieszkania, miała się różnych zajęć. Kelnerka, tancerka go-go, wreszcie prostytutka. Zaczęła pić. Na starość postanowiła sporządzić i zajęła się sprzątaniami w bogatych domach. Córkę zabrała do siebie dopiero wtedy, gdy zmarła babka mieszkająca w Holandii i dziewczynką nie miał się kto opiekować. Tessa słabo się uczyła, ale brała lekcje tańca. Od najmłodszych lat startowała w konkursach piękności, chodziła regularnie na castingi do reklam i filmów. Kiedy skończyła szesnaście lat, znalazł się sponsor, który obiecał zadbać o jej karierę. Stary, obleśny i bogaty. Dawał im pieniądze w zamian za erotyczne usługi Tessy. Po dwóch latach pojawił się inny napalony staruszek, który jak się zapewne domyślicie, w podobny sposób pomagał dziewczynie. Odtąd przechodziła z rąk do rąk, będąc utrzymanką starszych panów, mniej lub bardziej majątnych. Występowała w różnych rewiach, głównie objazdowych. Ostatnio była zatrudniona w podrzędnym klubie na Montmartrze.

Policjanci obejrzeni zdjęcia. Teraz wpatrywali się w szefa, który najwyraźniej zbliżał się do końca swojego wywodu.

- Została uduszona, kiedy wracała po występie do domu. Nad ranem znaleźli ją pracownicy zakładu oczyszczania miasta.

- Śmieciarze - wyrwało się François. Szef udał, że tego nie słyszy.

- Jej ciało leżało ukryte w bramie, tuż za kontenerami na śmieci.

- Przecież sprawy z IX dzielnicy obsługuje... - zdziwił się Pierre.

Stary przerwał mu jednak w pół zdania.

- Jeszcze nie skończyłem. Zwróćcie uwagę na jej szyję. Ślady uduszenia są prawie niewidoczne. - Mężczyźni ponownie pochylili się nad zdjęciami. - Narzędzia zbrodni nie znaleziono. Prawdopodobnie sprawca zabrał je ze sobą.

- Mógł też wyrzucić je do jednego z kontenerów - powiedział César.

Koledzy spojrzeli na niego z uznaniem. Nieogolony, ale formę już odzyskał. Brawo!

- Racja. Trzeba to koniecznie sprawdzić.

- Żadnych świadków jej wyjścia z budynku rewii? - spytał François, żeby się jakoś zrehabilitować po swojej niefortunnej wypowiedzi.

- Na razie nikt się nie zgłosił. - Stary zerknął na niesfornego podwładnego i stłumił uśmiech.

- Nie powiedział nam szef, dlaczego to my mamy się zająć tą sprawą - odezwał się wreszcie Jean-Marc. - Mam na myśli naszą sekcję...

- No właśnie - przytaknęli skwapliwie pozostali.

- Wczoraj w nocy miała miejsce podobna zbrodnia. Tym razem jednak chodzi o lokal na znacznie wyższym poziomie.

- Crazy Horse? - rzucił pytanie Pierre, który najwyraźniej postanowił być dziś aktywny.

César wzdrygnął się.

- Moulin Rouge - odparł Stary. César odetchnął z ulgą. - Nie muszę wam tłumaczyć, że jest to jedna z najbardziej popularnych rewii w Paryżu. Tancerki, które tam występują, są nie tylko piękne i utalentowane, i nie tylko mają na czym usiąść i czym oddychać... - mówiąc to, spojrzął na rozanielone twarze

swoich podwładnych i zmarszczył czoło. - Tak, tak, panowie. To wykształcone dziewczyny po szkołach baletowych. Najlepsze z najlepszych.

- Czy również w tym przypadku mamy do czynienia z uduszeniem? - César sięgnął ponownie po zdjęcie martwej Tessy van Graaf.

- Właśnie. - Stary wyjął kolejny plik fotografii, a następnie położył go na biurku. - Tym razem jednak zbrodni dokonano w znacznej odległości od teatru. Morderca musiał śledzić swoją ofiarę przez prawie całą drogę do jej mieszkania. Zamordował ją, kiedy wyszła ze stacji metra przy Trocadero w XVI dzielnicy. Jakies pięćset metrów od domu, w którym mieszkała.

- Mieszkania w tej dzielnicy są bardzo drogie - zauważył rzeczowo Jean-Marc.

- Trzeba będzie sprawdzić, czy mieszkała sama - zbył jego uwagę Vincent. - Może wynajmowała lokum razem z przyjaciółką lub ze swoim chłopakiem. Konieczne będzie przesłuchanie ewentualnych współlokatorów, konsjerżki i sąsiadów. Ktoś musi pojechać do teatru i pogadać z jej koleżankami, dyrekcją i obsługą. Może ktoś coś widział. Niewykluczone, że przestępca już wcześniej kręcił się koło rewii. Mógł także śledzić dziewczynę przez kilka dni, żeby poznać jej zwyczaje, drogę do domu, sprawdzić, z kim mieszka i czy wraca sama. Nie muszę wam przypominać, że ta sama procedura obowiązuje również w sprawie Tessy.

- Jak nazywała się druga denatka? - zapytał César, biorąc do ręki jej fotografię. Stary przysunął do siebie plik papierów leżący obok.

- Julie Strzałkowska - Stary przeliterował z trudem. - Cholera, te słowiańskie nazwiska. Można sobie na nich język połamać. Jak się to diabelstwo wymawia?

- Pewnie Strzałkowska - odpowiedział François, którego dziadkowie pochodzili z Polski.

- A niech to. Dzięki, mały. W każdym razie w rewii znano ją jako Julie Strass.

- Niezła - westchnął François. - Szkoda takiej ładnej dupeczki.

César skrzywił się z niesmakiem. Przyglądał się zdjęciom zabitej Julie. Czul jakieś dziwne mrowienie na karku. Miał wrażenie, że również i ta zamordowana kobieta przypomina mu w jakiś sposób Lolę. Czyżby wszystkie tancerki były do siebie podobne?

- Ile miała lat? - zapytał, szacując, że nie więcej niż trzydzieści.

- Dwadzieścia siedem. Przyjechała do Francji trzy lata temu. Miała polskie obywatelstwo. Zatrudniona legalnie. Podobno skończyła szkołę baletową w Warszawie. Potem wyjechała do Moskwy i tam ćwiczyła jeszcze przez rok. Dostała angaż w Teatrze Bolszoi, z którym wyjechała na tournée po Europie. Zahaczyli też o Paryż. Swego czasu było o tym głośno. Ale do rzeczy. Jakaś kontuzja spowodowała, że musiała sobie zrobić kilkumiesięczny urlop. Potem wróciła do Paryża i tutaj została. Tyle mówią dane nasze oraz Interpolu. Resztę musicie sprawdzić sami. César, jesteś odpowiedzialny za tę sprawę. Rozumiesz, że to trudna sytuacja? Jeśli nie uda się nam znaleźć żadnych innych powiązań między denatkami, poza tym że były tancerkami rewiowymi, będziemy mieć czarno na białym, iż chodzi o seryjnego mordercę. Trzeba działać szybko i

dyskretnie, żeby prasa jak najpóźniej skojarzyła te dwa zabójstwa. Jak nagłośnią sprawę, to dopiero... Chyba nie muszę wam tłumaczyć, co się wtedy będzie działo, prawda? Góra się wścieknie, polecą głowy.

- Jasne, szefie - przytaknęli zgodnym chórem.

- No to do roboty, panowie! Liczy się każda sekunda. Tu macie akta i zdjęcia obu dziewczyn. Czekaam na raport jeszcze dziś po południu.

Wychodząc, spoglądali na siebie porozumiewawczo. Śledztwo oznaczało pracę w ekspresowym tempie, również po godzinach. Nikt nie będzie się z nimi patyczkował. Jest sprawa, nie ma zmiłuj... Życie prywatne schodzi na dalszy plan. O dniach wolnych mogą zapomnieć.

Kiedy szli korytarzem, Pierre kiwnął na Césara, że chciałby z nim pogadać na osobności. César nie miał na podorędziu żadnej wymówki, więc chcąc nie chcąc, musiał na to przystać.

- Co z tobą? - zapytał Pierre, gdy znaleźli się we wnęce obok pojemnika z wodą.

- Nic. Miałem sprawę, z którą musiałem się jakoś uporać - odparł wymijająco César, nalewając sobie wody do plastikowego kubka.

- Słuchaj, nie zamierzam cię pouczać, ale...

- To nie pouczaj. Zostawmy to, okej? Nie chcę o tym gadać.

- Okej. Twój wybór. Ale musisz wiedzieć, że... - Pierre spojrział twardo na kolegę - uważam, że postępujesz nie fair wobec Joan.

- Możemy już skończyć tę rozmowę?! - najeżył się César.

Był coraz bardziej zdenerwowany. Czuł się niezręcznie. Co prawda, Pierre był jego podwładnym, ale traktował go jak przyjaciela. I w dodatku ten przyjaciel miał rację. Głupia sprawa.

- Kryłem cię, bo jesteś moim kumplem. Zrobiłem to, o co mnie prosiłeś. A wiesz dlaczego? Ponieważ ci ufałem. Miałem nadzieję, że jesteś odpowiedzialnym facetem i wiesz, co robisz. Ale teraz mam wątpliwości, czy postąpiłem dobrze. Żal mi Joan... Wiem, że ona cię kocha. Denerwowała się. Wydzwaniała. Pytała, co się stało, czy nic ci nie grozi. Chłopie, to jakiś obłąd. Jak mogłeś zrobić jej coś takiego? I to zaraz po ślubie...

- Nie twój interes! - warknął César odwrócony plecami do Pierre'a. Dopił resztkę wody, po czym zmiął w rękę jednorazowy kubek i cisnął go do kosza. - To wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? - rzucił przez ramię.

- Cholera! - zaklął Pierre. - Człowieku, co się z tobą dzieje?

César nie odpowiedział. Zwiesił głowę, oparł się o ścianę obiema rękami i milczał. Pierre przyglądał mu się bez słowa.

- Nie chcesz mówić, to nie. Ale nigdy więcej mnie nie proś, żebym cię krył przed żoną. - Widząc, że César się nie odzywa, rzucił na odchodne: - Przynajmniej dałeś jej jakiś znak, że żyjesz?

Pytanie zawisło w próżni. Po raz pierwszy po trzech dniach spędzonych z Lolą César poczuł się naprawdę winny. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, że krzywdzi żonę, w dodatku na oczach przyjaciół i za ich cichym przyzwoleniem. Z wściekłości uderzył pięścią w ścianę. Zabolało jak diabli. Zagryzł

wargi. Ból przyniósł mu jednak pewną ulgę. Uspokoił się odrobinę. Nalał sobie jeszcze jeden kubek wody, po czym wypił ją duszkiem. Wyrzucił zmięty plastik do kosza i poszedł do swojego pokoju, żeby zająć się aktami zamordowanych tancerek.

Pociąg do Warszawy, koniec sierpnia 1997 roku

Pociąg kołysał się rytmicznie. Za oknem rozciągała się noc. Co jakiś czas w oddali rozbłyskiwało słabe światelko. Czas dłużył się niemiłosiernie. Nic się nie działo. Z korytarza nie dochodził żaden ruch, żaden głos. W przedziale zaczęło się robić duszno, ale Sonia bała się wstać, żeby otworzyć okno. Była zmęczona, czuła, że lepi się od potu. Wyobrażając sobie wannę pełną pachnącej piany, wtuliła twarz w cuchnący stęchlizną zagłówek i zamknęła oczy. Niech to się już wreszcie skończy, pomyślała, niech to się jak najszybciej skończy... Czekanie było najgorsze. Nie wiedziała, ile czasu już jechali. W mroku nie sposób było odczytać godziny na cyferblacie. Tuk-tuk, tuk-tuk - koła pociągu wybijały miarowo rytm. Głowa dziewczyny osunęła się na jej ramię. Pociąg zwalniał. Za oknem majaczył słabo oświetlony budynek stacji. Wagony zatrzymywały się jeden po drugim. Cisza. Nikt nie wysiadł. Syk pary, gwizd i turkot wprawianej ponownie w ruch maszyny mieszały się ze sobą. Na korytarzu, za drzwiami przedziału, stali dwaj młodzi mężczyźni. Przyglądali się śpiącej Soni. - Łatwo poszło - stwierdził z uśmiechem jeden z nich. Miał ciemnoblond czuprynę i lekko zadarty piętogowaty nos. Wyjął z kieszeni napoczętą butelkę wódki. Upił

łyk, a potem podał ją koledze.

- Przestraszyła się. - Brunet z wąsikami wzruszył ramionami. On też wypił łyk alkoholu, skrzywił się lekko i oddał butelkę koledze. Był nieco wyższy od swojego towarzysza. - Daj papierosa - powiedział, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Blondyn wyjął z kieszeni spodni zmiętą paczkę i poczęstował kolegę. Płomyk zapalki odbijał się niebiesko-żółtym światłem w szybie drzwi. Palili w ciszy.

- No dobra. Koniec tej zabawy - odezwał się blondyn. Na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas. Rzucił niedopałek na podłogę i zgasił go czubkiem buta. Drugi nie odpowiedział. Zaciągnął się resztką papierosa i popatrzył gdzieś przed siebie. - To co, ja się zdrzemnę, a ty sobie poradzisz? - Spojrzał pytająco na kolegę.

6.

Przez chwilę stał przed drzwiami, zastanawiając się, czy wejść, czy może raczej uciec. Wreszcie przemógł się i nacisnął klamkę. Zatrzymał się w przedpokoju i nasłuchiwał. Z głębi mieszkania dobiegała cicha muzyka. Pewnie z radia w kuchni. Zrobił kilka kroków i nagle w drzwiach kuchni zobaczył Yvonne, matkę Joan.

- No, jesteś wreszcie. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Mam nadzieję, że to było naprawdę coś ważnego. - Odwróciła się na pięcie i znikła w środku.

César stał, niezdecydowany, z dość niewyraźną miną. Wprawdzie nie dostał wałkiem po głowie (czyli sukces), ale

wciąż nie wiedział, co ma dalej robić. Jak się zachować w tej, jakże przykrej dlań, sytuacji. Yvonne krzątała się przy kuchence, na której w wielkim emaliowanym garnku bulgotała jakaś potrawa. Nie zwracając na niego uwagi, założyła rękawicę i zdjęła pokrywkę. Z garnka buchnęła para i po kuchni rozszedł się smakowity zapach gotowanej kury z warzywami. César poczuł lekki skurcz w żołądku. Przez cały dzień nie miał nic w ustach poza kawą i jednym rogalikiem, którego zjadł na śniadanie w małym mieszkanku Loli.

- Potrawka? - zapytał z nadzieją, że Yvonne zaproponuje mu porcję.

- Dla Joan. - Wzruszyła ramionami. - Lekarz kazał jej się teraz dobrze odżywiać.

- Stało się coś? - César zerknął z niepokojem na teściową.

- Gdybyś tu był, pewnie nic by się nie wydarzyło. Ale nie. Ty miałeś oczywiście ważniejsze sprawy. Ledwie zdążyliście wrócić z podróży poślubnej, a ty przepadasz na trzy dni. - Westchnęła ciężko. - Możesz mi powiedzieć z łaski swojej, gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

- Musiałem wyjechać służbowo - skłamał na poczekaniu. - Rozpoczęliśmy ważne śledztwo. Taka praca. - Rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, że nie ma nic więcej do dodania. - Ostatecznie wiedziała, za kogo wychodzi za mąż.

- Tak uważasz? Moim zdaniem nie zdawała sobie sprawy, że tak to będzie wyglądać - mówiąc to, zamieszała w garnku.

- Yvonne, powiesz mi w końcu, o co chodzi?

- Sama ci powie. - Odwróciła od niego wzrok. - Jest w sypialni.

César poczuł przyspieszone bicie serca. Wycofał się na korytarz i podszedł do półprzymkniętych drzwi. Zapukać? Właściwie po co? Przecież jest u siebie. Chociaż... jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za chwilę to już nie będzie jego dom. Pchnął cicho drzwi. Na łóżku leżała Joan przykryta kocem.

- Śpisz? - zapytał szeptem, wchodząc do środka.
 - Nie - uśmiechnęła się i dała mu znak, by usiadł przy niej na łóżku.
 - Co się stało? - Przyjrzał się jej bladej twarzy i podkrążonym oczom. Czyżby tak bardzo przeżywała jego zniknięcie?
 - Dobrze, że wróciłeś. - Poglaskała jego dłoń. César nie miał odwagi jej cofnąć. - Martwiłam się o ciebie.
 - Niepotrzebnie. Źle się czujesz?
 - Trochę - westchnęła. - Zasłabłam w pracy. Wezwali pogotowie. Mama przywiozła mnie ze szpitala.
 - Zemdlałaś? Chyba nie przeze mnie? - zapytał niepewnym głosem.
 - Nie, głuptasie. Chociaż... w pewnym sensie tak. - Joan zrobiła tajemniczą minę.
 - Powiesz mi wreszcie, co się stało?
 - Przygotuj się na niespodziankę. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem w ciąży!
- César osłupiał. Przelknął ślinę. Kompletnie go замуrowało.
- Nie cieszysz się? - Popatrzyła na niego zatroskana. - Będziemy mieli dziecko.
 - Wspaniale. - Pochylił się nad nią i pocałował ją we włosy.

Za nic w świecie nie odważyłby się teraz powiedzieć prawdy.
W takiej chwili!

- Jestem taka szczęśliwa. Zobaczysz, teraz wszystko się zmieni - szepnęła Joan.

- Rzeczywiście, to wiele zmienia - powiedział stłumionym głosem. Strasznie smutno to zabrzmiało, więc czym prędzej się poprawił: - Odpoczywaj, moja kochana. - Jego głos był teraz nieco cieplejszy. - Mama gotuje dla ciebie potrawkę. - Podniósł się ciężko i poczłapał w stronę drzwi. - Muszę się wykapać.

- César... - Joan oparła się na łokciu. - Nie chcesz wiedzieć, który to miesiąc?

- Ależ oczywiście, słoneczko.

- Drugi.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Tak. Okazało się, że kiedy się pobieraliśmy, byłam w ciąży. Czy to nie cudowne?

- Uhm.

- Kochanie, musisz mi obiecać, że nie będziesz już zniknął na tak długo. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się o ciebie martwiłam. Myślałam, że... że może kogoś masz - dokończyła ledwie słyszalnym głosem.

César poczuł, że za chwilę odwiozą go na pogotowie. Albo do wariatkowa...

- Daj spokój, głuptasku. Przecież wiesz, jaką mam pracę. Mogą mnie wezwać o każdej porze dnia i nocy. Taka robota. Im szybciej się do tego przyzwyczaisz, tym lepiej.

- Ale nie oddzwoniłeś... Nie odbierałeś moich telefonów. Nie miałam pojęcia, co o tym myśleć.

- Zrozum, nie zawsze mogę mieć włączoną komórkę. Kiedy jadę na akcję, rzeczy osobiste zostawiam w depozycie.

- A ta sprawa? Czy to coś poważnego?

- Tak, ale nie chcę o tym rozmawiać. Jestem potwornie zmęczony. Padam z nóg.

- Jasne. Wykąp się i przyjdź do kuchni. Poproszę mamę, żeby podała nam kolację.

César poszedł do łazienki. Po drodze minął Yvonne, która przyglądała mu się z dezaprobatą.

Nie miał ochoty na rozmowy. Nie w tej chwili. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi na zasuwkę. Usiadł na brzegu wanny i ukrył twarz w dłoniach. Wszystkiego mógłby się spodziewać, tylko nie tego. I co teraz? Jego plany ułożenia sobie życia z Lolą chwilowo wzięły w łeb. Przecież nie może zostawić ciężarnej żony. Byłby ostatnią świnią. Jak wytłumaczy to Loli? Co jej powie? Ma kłamać? Bez sensu. Będzie musiał powiedzieć jej prawdę. Odkręcił kran i zaczął się rozbierać. Na koszuli poczuł zapach perfum. Jej zapach. Zwinął koszulę i przyłożył na chwilę do twarzy. Wciągnął głęboko powietrze, a potem cisnął ją ze złością do pojemnika na brudną bieliznę.

Przez dwa dni zwodził Lolę obietnicami rychłego spotkania, a potem w ostatniej chwili wymawiał się, tłumacząc, że coś mu wypadło w pracy i że na pewno, ale to na pewno przyjedzie jutro. Myślał o niej przez cały czas. Co godzinę wysyłał jej esemesa, pytając, co robi i czy się gdzieś wybiera. Wieczorem zamykał się w łazience i po raz kolejny odczytywał wszystkie wiadomości, które od niej otrzymał. Trzeciego dnia Lola straciła cierpliwość.

- Słuchaj, jeżeli nie masz odwagi jej o nas powiedzieć, to dajmy sobie spokój. Nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność. Szkoda czasu. I wiesz co?

- Co takiego?

- Znudziła mi się rola kochanki.

Zabrzmiało to dość alarmująco. César postanowił ratować zagrożone terytorium.

- Skarbie, to nie tak.

- A jak? Może mi wreszcie wytłumaczysz?

- Po prostu mam mnóstwo pracy. Siedzę tu do późna...

- Ale na noc wracasz do żony. César, chcę wiedzieć, co jest grane.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Spotkajmy się dziś po południu.

- Codziennie tak mówisz. Mam już tego po dziurki w nosie.

- Obiecuję.

Przez chwilę milczała. W końcu odparła z westchnieniem.

- Dobrze. Ale pamiętaj: to twoja ostatnia szansa. Jeśli dzisiaj nie przyjdiesz...

- Przyjdę.

- ...jeśli nie przyjdiesz, to z nami koniec. Rozumiesz? Koniec!

- Będę na pewno.

Przez cały dzień nie mógł znaleźć sobie miejsca. Śledztwo rozwijało się w ślimaczym tempie. Skończyli przesłuchiwać personel obu rewii, sąsiadów oraz osoby z najbliższego otoczenia. Nikt niczego nie widział. Żadnego podejrzanego typu kręcącego się wokół teatru. Nic, co mogłoby wskazać mordercę lub

przynajmniej naprowadzić na jego trop. Po raz kolejny przeglądał zdjęcia denetek zrobione na miejscu zbrodni. Odłożył je na biurko i spojrział przez okno. Nagle go olśniło. Znów chwycił fotografie, a następnie ułożył je w dwóch rzędach, jak karty do pasjansa. Na górze zdjęcia Tessy, na dole Julie. W zasadzie nie było na nich nic szczególnego. Ciała ofiar sfotografowane z różnych stron. Kilka zbliżeń twarzy. Sine pręgi na szyi. Reszta to ujęcia pokazujące miejsce zbrodni z pewnej odległości. César sięgnął po dwie fotki, każdą z innego rzędu. Przez chwilę trzymał je w rękę, jakby się nad czymś zastanawiał, a następnie położył jedną obok drugiej.

- Bingo! - powiedział sam do siebie, wkładając zdjęcia do koperty. Wybrał numer wewnętrzny, a kiedy w słuchawce usłyszał głos Pierre'a, zakomenderował tonem nieznośnym sprzeciwu: - Weź aparat. Za pięć minut spotykamy się na parkingu.

Zanim Pierre zdążył zakwestionować jego polecenie, César odłożył słuchawkę.

Przez całą drogę ani razu nie odezwali się do siebie. Pierre siedział obok Césara prowadzącego służbowe auto. Z aparatem na kolanach i łokciem wysuniętym za okno całą swoją postawą demonstrował kompletną rezerwę wobec przyjaciela. Oczy ukrył za opalizującymi szklami okularów przeciwsłonecznych, trudno więc było odgadnąć, co myśli. Ale musiał być niezłe wkurzony, bo cicho pogwizdywał przez zaciśnięte zęby, a robił to tylko wtedy, gdy ktoś mu nadepnął na odcisk. Zjechali z zatłoczonej obwodnicy. Przejechali pod starym mostem dźwięgającym naziemną linię metra. Tłum różnobarwnych postaci

wylewał się właśnie z górnej stacji. Zmuszeni zatrzymać się na czerwonym świetle, obserwowali przesuające się przed maską samochodu twarze. Dwóch młodych Mulatów w skórzanych kurtkach wbiegło na skrzyżowanie w chwili, gdy właśnie zmieniło się światło. Dobrze, że César miał refleks i zdążył w porę zahamować.

- Co, kurwa, robisz... kretynie! - rzucił wściekle za oddalającym się chłopcem. Tamten nawet nie spojrzał. Dogoniwszy kolekę, uniósł wysoko w górę środkowy palec, co nie uszło uwagi Césara. Zaklął znowu pod nosem. Dałby głowę, że na twarzy siedzącego obok kolegi pojawił się na moment zjadliwy uśmiešek. Jednak Pierre nie odezwał się ani słowem. César dodał gazu. Minęli wiadukt kolejowy i skręcili w prawo, w labirynt wąskich uliczek, pomiędzy ciasno usytuowane odrapane kamienice. Wjechali na chodnik z piskiem opon. Mieli szczęście, bo było to jedyne wolne miejsce w zasięgu wzroku. Wyszli bez słowa i zatrzasnęli za sobą drzwi. Pierre natychmiast rozpoznał dzielnicę, do której przyjechali, i domyślił się, że idą na miejsce pierwszej zbrodni. Minęli zgraję czarnoskórych dzieciaków bawiących się nożem, po czym skierowali się w stronę bramy, w której znaleziono martwą Tessę. Dwie tęgie kobiety siedzące na schodach jednego z domów przyglądały się im z ciekawością. Jedna z nich tuliła do piersi śpiące niemowlę owinięte w kraciastą i mocno już wysłużoną chustę. Obok przebiegi wychudzony pies. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i wilgoci. Dotarli wreszcie do miejsca zbrodni. César zlustrował metr po metrze poszarzałe mury budynku wokół bramy. Miał wrażenie, że od tamtego tragicznego dnia, kiedy zrobiono zdjęcie, różnokolorowych graffiti jeszcze przybyło.

César rozglądał się po murach, szukając czegoś, co zobaczył na zdjęciu. Na widok kolażu rozmaitych napisów, mniej lub bardziej cenzuralnej treści, w pierwszej chwili pomyślał, że już tego nie znajdzie. Lecz kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył to, czego szukał: czerwoną literę zamazaną trochę niebieskim sprayem. Mam cię, ucieszył się w duchu i zatarł ręce.

- Zrób zdjęcie - polecił Pierre'owi, który stał za nim zdezorientowany, nie rozumiejąc ni w ząb, o co chodzi.

- Co mam fotografować? Możesz się wyrażać jaśniej?

- Ścianę. Widzisz przecież. - Spojrzał na kumpla, który w dalszym ciągu czekał na jakieś wskazówki. - Chodzi o dowód w sprawie. A ściślej mówiąc, o literę. Podobna była na murze przy drugiej zabitej.

Pierre wzruszył ramionami i włączył aparat.

- Co konkretnie mam pstryknąć?

- Ten fragment. - César zatoczył ręką wokół czerwonej litery.

Kiedy Pierre robił zdjęcia, jego szef wyjął z kieszeni mały składany scyzoryk.

- Zaczekaj. - Dał znak Pierre'owi, żeby się odsunął, a sam podszedł do ściany i zaczął delikatnie zdrapywać niebieski spray, którym jakiś nieświadom niczego młodociany twórca tak bezmyślnie spryskał część litery. Potem wyjął jednorazową chusteczkę do nosa i zeszkrobał do niej trochę czerwonej farby.

- Nie zawadzi zbadać. - Zwinął pieczołowicie chustkę, po czym z największą ostrożnością schował ją do kieszeni spodni.

Gdy przyjechali na miejsce drugiego zabójstwa, w bramie eleganckiej kamienicy zastali starszą kobietę, która z ponurą miną szorowała ścianę, raz po raz ocierając pot z czoła rękawem fartucha. Podeszli do niej i César wyjął legitymację.

- Panowie w sprawie tej zabitej? - nie tyle zapytała, ile stwierdziła konsjerżka. - To potworne. Strach teraz wychodzić po nocy. Nie ma już bezpiecznych dzielnic. Takie czasy - westchnęła, wyzymając ścierkę.

- Czy tamtej nocy słyszała pani coś podejrzanego?

- Boże broń! Sen to ja mam jeszcze dobry.

- Pani okna wychodzą na...

- Na ulicę - pokazała ręką. - Ale sypialnię mam od podwórka. Ciszej jest.

- Więc nie słyszała pani żadnych krzyków, szamotaniny, wołania o pomoc?

- Niestety - westchnęła ciężko.

- A lokatorzy? Z pewnością rozmawiała pani z nimi o tej sprawie... - César wyjął notes i długopis.

- Przecież ludzie od was już tu byli - odparła, mrużąc oczy. - Wszystkich przepytali. To chyba wiecie, co kto widział - dodała podejrzliwie.

- Owszem, ale często się zdarza, że coś się komuś przypomni dopiero po jakimś czasie. Wie pani, jak to jest.

- Nie bardzo. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu morderstwa. - Konsjerżka ujęła się pod boki i spojrzała butnie na policjantów.

- Chcielibyśmy zrobić zdjęcie tej bramy i ścian budynku.

- A proszę bardzo. Tylko nie zdążyłam jeszcze całkiem zmyć tego świństwa. O, widzi pan - wskazała ledwie już widoczną literę namalowaną czerwoną farbą. - Skaranie boskie

z tymi brudasami. Zawsze muszą zostawić po sobie jakieś ślady. Banda nierobów. Tfu! - Splunęła na chodnik.

- Nic nie szkodzi. Napis nam nie przeszkadza.

César polecił Pierre'owi, żeby sfotografował to, co jeszcze pozostało z czerwonej litery.

Pociąg do Warszawy, koniec sierpnia 1997 roku

Kiedy Sonia otworzyła oczy, w przedziale panowała ciemność, ale dziewczyna poczuła, że nie jest sama. Za wszelką cenę starała się nie dać po sobie poznać, że już nie śpi. Nie zrobiła najmniejszego nawet ruchu. Upłynęło kilka minut, zanim zaczęła dostrzegać zarys męskiej sylwetki. Nieznajomy siedział na wprost niej, z nogą niedbale założoną na nogę i rękami splecionymi za głową.

- Nie bój się - odezwał się szeptem, pochylając się w jej stronę, gdy zauważył, że patrzy na niego. Sonia przywarła całym ciałem do oparcia fotela i zeszywniała. Męska dłoń oparła się na jej kolanie, a potem powędrowała w górę do mocno zacisniętych dłoni. Była miękka i ciepła. Zaczęła gładzić delikatnie jej skostniałe palce. - Nie bój się - powtórzył chłopak i przysunął się bliżej. - Nie chcę ci zrobić krzywdy...

Wpatrywał się w nią, jakby chciał sprawdzić, czy dziewczyna w ogóle rozumie to, co do niej mówi. Prawą ręką nadal gładził jej splecione palce. Sonia siedziała sztywno wyprostowana i z przestrachem w oczach obserwowała każdy j ego ruch. Mężczyzna przybliżył się jeszcze bardziej, aż wreszcie zsunął się ze swojego fotela i kucnął przed nią. Drugą dłoń

położył na jej udzie. Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby się właśnie przebudziła z głębokiego snu.

- Nie obawiaj się. Nic złego cię nie spotka. - Chłopak położył głowę na kolanach Soni, mocno obejmując ją w pasie obiema rękami. Zalatywało od niego alkoholem. Nie było mowy o ucieczce. Sonia w dalszym ciągu się nie poruszała. Wszystkie mięśnie miała napięte jak postronki. Czowała, jak zaczynają drżeć. Dłużej tego nie wytrzymam, pomyślała w panice. Zamknęła oczy. Gorąca łza spłynęła po policzku. Jej oddech stawał się coraz szybszy. Nabrała powietrze w płuca, po czym wypuściła je powoli nosem i wtedy jej mięśnie się rozluźniły. Ciało stało się lżejsze i prawie bezwładne. Uścisk chłopaka osłabł. Podniósł głowę i spojrzał na twarz Soni. Jego dłoń dotknęła jej policzka, rozmazując łzę. Ciemne oczy nieznajomego wydawały się jej ogromne i przepastne. Opuszki jego palców muskały jej powieki, włosy i usta, jakby badał kształt jej twarzy. Jego ręka zatrzymała się na karku dziewczyny. Najpierw pogładził palcami meszek na skórze, potem przywarł do niej całą dłonią, zmuszając ją w ten sposób, żeby pochyliła głowę. Wtedy jego usta złączyły się z jej wargami. Były gorące i wilgotne. Sonię przeszedł dreszcz. Poczowała mrowienie na karku, pod włosami i w czubkach palców. Zaczęła oddychać bardzo szybko. Powieki opadały, w głowie zawirowała szalona karuzela. Kiedy chłopak rozchylił jej usta koniuszkiem języka, Sonia poczuła smak alkoholu i papierosów. Ostatkiem sił otworzyła oczy i wyciągnęła ręce, starając się odepchnąć mężczyznę.

- Nie walcz ze mną - usłyszała szept. - Nie zrobisz ci krzywdy.

Palce Soni zacisnęły się na jego klatce piersiowej. Paznokcie wbijały się w koszulę. Chłopak nie przestawał jej całować. Przywarł do niej całym ciałem. Był zmysłowy i gorący. Dotknął jej piersi. Sonia zamknęła oczy i opuściła ręce.

7.

Cholernie bał się tego spotkania. Robił wszystko, żeby je odwlec, choć jednocześnie pragnął mieć je wreszcie za sobą. Wiedział, jak bardzo jego słowa zranią Lolę i chciał je z siebie wyrzucić, by móc ją potem przytulić, poczuć jej zapach i ciepło jej ciała. I w końcu, po tym akcie skruchy udobruchać ją na swój sposób.

Nie dał rady zobaczyć się z nią przed spektaklem. Natychmiast po tym jak wrócili z Pierre'em z oględzin miejsc zbrodni, Stary wezwał ich na naradę. Było piątkowe popołudnie, a sprawa dwóch zabójstw nie posunęła się do przodu nawet o milimetr. W tej sytuacji należało się spodziewać, że komisarz będzie wściekły i zarządzi dyżury w dni wolne od pracy. César wziął aparat i powlókł się do sali konferencyjnej. Tym razem grupa się powiększyła. Oprócz szefa, Pierre'a, Jean-Marca i François były jeszcze dwie osoby. Marie i Fabien, zwany Mrukiem. Marie dopiero niedawno zasilila szeregi ich sekcji. Z wyróżnieniem skończyła szkołę policyjną. Przez pierwsze dwa lata pracowała w okręgu południowym Paryża, głównie w podmiejskich dzielnicach i okolicznych miasteczkach. Była zrównoważona i spokojna, a jednocześnie bystra i analityczna. Szybko wyciągała wnioski. Przeniesienie do centrali dostała

po tym, jak wpadła na trop gwałciciela, który w ciągu ponad sześciu miesięcy zaatakował co najmniej dwadzieścia kobiet. Większość z nich pobił i zgwałcił. Jedna z ofiar zmarła wskutek doznanych obrażeń. Marie skojarzyła drobny fakt, który przeoczyli inni. „Bestia” bo tak nazwały gwałciciela media, działał w lateksowych rękawiczkach i używał prezerwatyw, co sprawiało, że był właściwie nieuchwytny, ponieważ na miejscu przestępstwa nie pozostawiał żadnych śladów. Kiedy już dokładnie ustalono, jakich rękawiczek używał, Marie postanowiła wyselekcjonować sklepy, w których można było nabyć te właśnie produkty. Ostatecznie wybrała dwa supermarkety z okolicy, w której grasował zwyrodnialec. Poprosiła o przedstawienie raportów kasowych, chcąc sprawdzić, ile razy w ciągu ostatniego półrocza kupowano tam jednocześnie rękawice z lateksu i prezerwatywy. W pierwszym supermarkecie w ostatnich sześciu miesiącach taka transakcja miała miejsce dwukrotnie, a w drugim - aż osiem razy. Marie spędziła kilka dni na oglądaniu nagrań ze sklepowych kamer. Równocześnie zaś z jej inicjatywy policja zwróciła się do dyrekcji supermarketów z prośbą o zainstalowanie dodatkowych kamer przy każdej z kas. Prócz tego podjęto decyzję, że w godzinach pracy obu sklepów razem z ochroną będzie dyżurował policjant. Dzięki wszystkim tym posunięciom łatwiej było zaobserwować, jakich zakupów się tam dokonuje. No i... bingo! W drugim tygodniu pojawił się mężczyzna, który prócz paru innych produktów nabył pięć par lateksowych rękawiczek i dwie paczki prezerwatyw. Rozpoczęto dyskretną obserwację, która nie dość, że potwierdziła perwersyjne skłonności mężczyzny, to jeszcze pozwoliła przyłapać

go na gorącym uczynku. Pełen sukces! Który w efekcie zapewnił Marie awans i otworzył drzwi do kariery.

Mruk był z całkiem innej bajki. Wielki, barczysty, z ogoloną głową i licznymi tatuażami na całym ciele przypominał raczej bandziora aniżeli policjanta. Oględnie można było o nim powiedzieć, że jest małomówny. Przeważnie milczał i stąd wziął się jego przydomek. Odzywał się jedynie wówczas, gdy rozmawiano o piłce nożnej. Futbol był jego pasją. Regularnie chodził na mecze, znał nazwiska wszystkich zawodników, trenerów i sędziów. Zawsze wiedział, kiedy odbędzie się jakaś rozgrywka, kto z kim zagra i która drużyna ma szansę na zwycięstwo. César podejrzewał, że Mruk obstawia mecze, ponieważ co rusz sprawdzał ich wyniki i często gęsto klął siarczyście pod nosem, kiedy coś poszło nie po jego myśli. Polecenia służbowe wykonywał z właściwą sobie dokładnością. Nigdy nie dyskutował z przełożonym. Po prostu przyjmował do wiadomości to, co mówili, szedł, robił swoje i bez słowa przekazywał raport. Niewątpliwym atutem Mruka było posiadanie informatorów w środowiskach przestępczych. Jego wygląd budził respekt, a znajomość futbolu zapewniała mu wielu przyjaciół.

César położył swój aparat obok laptopa stojącego na stole, po czym usiadł na krześle przy drzwiach. Stary przygotował dla nich jakąś prezentację. Tytułowy slajd zawierał jedno słowo: „pasażer” co oznaczało, że nadał już sprawie kryptonim.

- Dlaczego właśnie „pasażer” szefie? - spytał François, kręcąc się niespokojnie na krześle.

- Gdybyś dokładnie przestudiował akta, nie musiałbym ci teraz tłumaczyć, co i jak - ofuknął go Stary, wyciągając się

w fotelu. - Morderca śledził swoje ofiary, kiedy wracały do domu jednym z ostatnich kursów metra. On sam był więc ostatnim pasażerem, który widział je żywe.

François zaczerwienił się po same uszy i opuścił głowę. Zaczął pospiesznie gryzmolić w notesie, jakby chciał w ten sposób zademonstrować przełożonemu, że od tej chwili będzie wzorowym uczniem i żaden, choćby najdrobniejszy detal już mu nie umknie. Reszta siedziała cicho, wpatrując się w ekran.

- Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że stanowicie grupę operacyjną, to znaczy zamknięty krąg wtajemniczonych, i nic, absolutnie nic, nie ma prawa wydostać się stąd na zewnątrz. Żadna z informacji, które od tej chwili usłyszycie lub zdobędziecie, nie może być przekazywana dalej komukolwiek poza nami. Jasne? - Kilka osób przytaknęło, inni chrząknęli lub westchnęli, co oznaczało, że zgadzają się z zaleceniem szefa. Stary powędrował wzrokiem po twarzach obecnych i kliknął myszką. Na ścianie wyświetliły się zdjęcia dwóch ładnych młodych kobiet. Każde z odpowiednim podpisem. - Jak już wiecie, śledztwo dotyczy dwóch zamordowanych tancerek: Tessy van Graaf i Julie Strzzzz... Stzaal... Cholera, jak się to wymawia?

- Strzałkowska - odpowiedział mu szybko François.

- No właśnie... - westchnął Stary. - Na ścianie pojawił się nowy slajd ze zdjęciami zrobionymi w miejscach zbrodni. - Przed wami leżą akta i mam nadzieję, że każdy z tu obecnych jak najszybciej i jak najskrupulatniej się z nimi zapozna. O ile już tego nie zrobił... - Spojrzał wymownie na François, który z wielkim przejęciem robił notatki, nie śmiąc nawet podnieść oczu. - Na razie ustaliliśmy, że ofiary łączy rodzaj wykonywanej

pracy, a także sposób, w jaki pozbawiono je życia. Obie dziewczyny pracowały jako tancerki i obie zostały uduszone. Zarówno pierwszego, jak i drugiego morderstwa dokonano nocą, kiedy wracały po pracy do domu. Ze wstępnych raportów z sekcji zwłok wynika, że żadna z kobiet nie została przed śmiercią zgwałcona. Nie znaleziono śladów spermy ani jakichkolwiek obrażeń wskazujących na ten czy inny rodzaj przemocy seksualnej, chociaż i tego aspektu nie można jeszcze całkowicie wykluczyć - zawiesił na chwilę głos i spojrzał na zebranych, jakby chciał się upewnić, czy wszyscy zakodowali sobie tę cenną informację. - Nie mamy jeszcze ostatecznych wyników z laboratorium. Powinny przyjść jeszcze dziś po południu. Są to badania na obecność toksycznych substancji, nosicielstwo i tak dalej. Tessa van Graaf miała niewielki siniak w zagłębieniu ręki na wysokości łokcia, co mogłoby wskazywać na wstrzykiwanie narkotyków. Chciałbym, żeby César zapoznał was teraz z wynikami śledztwa, które prowadził na moje polecenie przez ostatnie dwa dni.

César przysunął sobie notatki i dał znak Pierre'owi, żeby podłączył aparat do laptopa.

- Na tym etapie możemy powiedzieć z całą pewnością, że nie znaleźliśmy niczego, co wskazywałoby na bezpośredni związek między ofiarami. Interesujące może być to, że obie były cudzoziemkami. Tessa miała wprawdzie obywatelstwo francuskie, ale urodziła się w Holandii. Julie natomiast była Polką. Żadnych powiązań rodzinnych. Każda mieszkała w innej części Paryża. Nic nie wskazuje również na to, że miały wspólnych znajomych. Pracowały w zupełnie różnych rewiach. Inne półki, rozumiecie, o czym mówię... Tessa w podrzędnym

teatryku, Julie w znanym na całym świecie Moulin Rouge. Tessa nie ukończyła żadnej szkoły. Jej edukacja ograniczała się do lekcji tańca, które brała przez półtora roku, i to z przerwami. Julie zdobyła solidne wykształcenie baletowe. Podróżowała po świecie, robiła karierę.

- Czy były samotne? - pierwszy raz odezwała się Marie.

- Z przesłuchań świadków wynika, że Tessa regularnie miewała kochanków. Zazwyczaj starszych panów z forszą. Często ich zmieniała, trudno więc uznać, żeby była w jakimś stałym związku. Podejrzewamy, że z jej strony w grę wchodziły korzyści materialne. Uczucia były sprawą raczej drugorzędną. - Spojrzał wymownie na swoich słuchaczy. - Natomiast Julie była z całkiem innej bajki. Miała chłopaka, chyba nawet niespecjalnie majątnego, z którym przez jakiś czas mieszkała. Anglik. Odbył w Paryżu staż. Kilka dni przed śmiercią Julie skończyło mu się stypendium i wrócił do Londynu. Próbujemy się z nim skontaktować.

- Czy udało się wam znaleźć jakichkolwiek świadków którejs z tych zbrodni? - zapytał Stary.

- Do tej pory nie. Żaden z kolegów, współpracowników ani sąsiadów zabitych dziewczyn nie zauważył niczego podejrzanego.

- Czyli śledztwo utknęło w martwym punkcie? - Stary spojrzał przenikliwie na Césara. Na jego twarzy malowało się rozczarowanie.

- Niezupełnie. - César podłączył do komputera aparat i na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie. - Jest jeszcze coś, co łączy te dwie zbrodnie.

Wszyscy spojrzeli z zainteresowaniem na ekran. Przez chwilę panowała cisza. Na slajdzie widać było zbliżenie muru pokrytego graffiti.

- To zdjęcie ściany budynku, w którego bramie znaleziono pierwszą ofiarę. - César podszedł do ekranu. - Spójrzcie tutaj. Interesujące, prawda? - Wskazał ręką ledwie widoczną czerwoną literę E. - Szkoda, że tak słabo ją widać. Niestety, sfotografowaliśmy ją dopiero dzisiaj, a od dnia, w którym popełniono zbrodnię, przybyło kilka napisów. - Zerknął na Pierre'a, który natychmiast przytaknął. - Możecie porównać to zdjęcie z tymi, które zostały zrobione dzień po morderstwie.

Dał znak Pierre'owi, żeby podał plik fotografii siedzącej najbliżej Marie. Kobieta przejrzała uważnie zdjęcie po zdjęciu, a następnie przekazała je kolejnej osobie. César zmienił slajd.

- To miejsce, gdzie znaleziono zwłoki drugiej ofiary. Tutaj też odkryliśmy literę. Czyli mamy już dwie... - Rzucił Staremu wymowne spojrzenie, po czym mówił dalej. - Jest trochę starta, ponieważ konsjerżka akurat postanowiła posprzątać. Powstrzymaliśmy ją niemal w ostatniej chwili. Na zdjęciach zrobionych w trakcie oględzin widać tę literę znacznie lepiej. Jest to R. Nie wiem, jak wam, ale mnie przyszło do głowy, że czerwony kolor tych liter i te ociekające strużki farby symbolizują krew. - Kilka osób mruknęło coś niewyraźnie. - Tyle udało się nam ustalić. Na razie nie mamy żadnych świadków, którzy widzieliby kogoś malującego któryś z napisów. Na dobrą sprawę są to więc tylko nasze przypuszczenia. Uważam jednak, że nie powinniśmy lekceważyć tego tropu. Potraktowanie go jak zwykłego zbiegu okoliczności byłoby z naszej strony

lekkomyślnością. Dwa morderstwa, dwie litery. To nie przypadek.

- Całkiem niezłe. - Stary spojrział z uznaniem na Césara.
- Próbkę farby oddałem już do analizy. Constance obiecała się sprężyć, wyniki dostaniemy w poniedziałek. Fabien - zwrócił się do Mruka - chciałbym, żebyś trochę powęszył w okolicy miejsc zbrodni. Może dowiesz się czegoś więcej od panienek, złodziei i dilerów.
- Zrobi się... - Mruk skinął głową.
- Co o tym myślicie? - Stary popatrzył na twarze zebranych.
- Powinniśmy się zastanowić, co mogą oznaczać te litery - odparła Marie. - E i R nie są przecież inicjałami zamordowanych kobiet. Inicjały pierwszej ofiary to TVG, drugiej to JS.
- A może jednak te litery nie mają związku ze sprawą? - rzucił z kąta sali Jean-Marc. - W końcu przypadki też się przecież zdarzają...

César spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Niemożliwe - stwierdziła stanowczo Marie. - Wszystko to, co pojawia się na miejscu zbrodni, ma ukryty sens, który rozumie jedynie morderca. Choć czasem bywa i tak, że nawet on sam nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. Dziewięć lat temu na południu Francji znaleziono zmasakrowane zwłoki młodego mężczyzny. Miał poderżnięte gardło, a całe jego ciało było potwornie pocięte. Nacięcia na nadgarstku układały się w podwójny krzyż. Przypadek? Otóż nie. Pół roku później inny denat, którego znaleziono kilka kilometrów dalej, miał podobny wzór na nadgarstku. Kiedy schwytano mordercę, okazało się, że w dzieciństwie próbował popełnić samobójstwo,

a blizny, które mu pozostały na pamiątkę po tym traumatycznym wydarzeniu, tworzyły taki właśnie wzór.

- A może morderca wybiera litery losowo?... - zastanowił się Pierre, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w ekran monitora.

- Myślę, że są one raczej fragmentem jakiegoś słowa lub sentencji - stwierdził César.

- Jestem tego samego zdania - poparła go skwapliwie Marie. - Co wskazywałoby na to, że ofiar będzie więcej. Niestety...

- To by znaczyło, że skurwiel będzie zabijał tak długo, póki nie skończy swojej układanki - wtrącił sarkastycznie Jean-Marc.

- Dajcie spokój! - podniósł głos François. - Przecież to nie zabawa w rozwiązywanie krzyżówki.

- Obawiam się, że w pewnym sensie tak... - powiedziała cicho Marie.

- W pewnym sensie... - powtórzył za nią jak echo Stary. - Co chcesz przez to powiedzieć? No, słucham...

W pokoju zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na jedyną kobietę w tym towarzystwie.

- Uważam, że tok rozumowania Césara jest słuszny. Morderca rozpoczął z nami swego rodzaju grę. Przy każdej z ofiar pozostawia literę, ponieważ w ten sposób chce coś przekazać. Jestem przekonana, że za miesiąc, a może rok, to się jeszcze okaże, te litery utworzą jakieś słowo klucz. Coś, co ma ścisły związek z osobą zabójcy. I co być może wyjaśni nam motyw zbrodni. Nie wiem dokładnie. Jeszcze za wcześnie na wyciąganie ostatecznych wniosków.

- Super! Teraz wreszcie zajarzyłem. Ten psychol chce nas poinformować, dlaczego morduje. - Jean-Marc uśmiechał się ironicznie. - To może niech od razu wyśle list do prefektury. Będzie szybciej i łatwiej.

- Przestań się wygłupiać! - przerwał mu ze złością Stary. - To poważna sprawa. Powinniśmy się lepiej zastanowić nad słowem, które można by z tego ułożyć. Jakie to litery? - Spojrzał pytająco na Césara.

- E i R.

- Er... Era... Erupcja... Ergonomia... - zaczął wyliczać Stary. - No nie wiem, co by to mogło być. - Potarł czoło w zamyśleniu.

- Erozja... Eryka... - dorzucił Pierre.

- Erazm... - zawtórował mu François.

- Z Rotterdamu - dokończył César i cała sala ryknęła śmiechem.

- Spokój! - zagrzmiął komendant.

- Litery niekoniecznie muszą być w takiej kolejności. - Marie wreszcie doszła do głosu. Spojrzeli na nią ze zdziwieniem. - Chodzi o to, że wyraz może się składać z liter, które zostały porozrzucane jak... jak na przykład puzzle.

- Po co? - dopytywał się Jean-Marc.

- Żeby trudniej było odgadnąć. Bądź też dlatego, że każdej ofercie przyporządkował wcześniej konkretną literę - próbowała wyjaśnić.

- Jak Boga kocham, nic z tego nie kapuję - jęknął Jean-Marc.

Marie popatrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby chciała powiedzieć: To już twój problem.

- Przyjmijmy, że morderca upatrzył sobie z góry kilka ofiar. Każdej z nich przypisał jedną konkretną literę jakiegoś słowa. Natomiast morderstw nie dokonuje po kolei - ciągnęła dalej.

- Czyli mamy do czynienia z perfekcjonistą! - Głos Staroego zawisł w powietrzu niczym gradowa chmura. - Trochę mi się to kłóci ze schematem działania seryjnych morderców. Zazwyczaj kierują się impulsem lub jakimś silnym bodźcem.

- Skąd możesz wiedzieć, co się dzieje w jego głowie? - Marie po raz pierwszy zwróciła się do szefa w tak bezpośredni sposób. - Już sam fakt, że zaplanował coś tak makabrycznego, wskazuje jednoznacznie na chorą wyobraźnię. Tego rodzaju pomysły rodzą się czasem latami. A wiele z nich pozostaje na zawsze tylko w sferze fantazji.

Kiedy Stary odtrąbił koniec narady i większość wyniosła się już na korytarz, Jean-Marc powiedział do Césara:

- Strasznie przemądrzała, nie sądzisz?
- Przeciwnie - burknął César, odłączając aparat od laptopa. - Wielu mogłoby jej pozazdrościć takiej wiedzy.
- Z wyjątkiem ciebie, oczywiście - rzucił przez ramię Jean-Marc, wychodząc z pokoju.

Warszawa, koniec sierpnia 1997 roku

Jasny jęzor światła wpadał przez wąską szczelinę między brudnymi zasłonkami z logo WARSZAWA PKP. Ciepłe promienie dotykały dziewczęcego podbródka, przesuwaly się z policzka na powiekę i czoło osłonięte jasnymi włosami. Sonia przetała oczy i rozejrzała się dookoła ze zdziwieniem. Więc jednak żyje.

Obok leżał jej plecak. Powoli zaczęła sobie przypominać, co się wydarzyło nocą. Podeszła do okna i odsunęła zasłonki. Pociąg stał na boczniczy. Obok ciągnęła się płatanina torów. Słońce było już wysoko. Zaspana pasażerka uchyliła okno i wystawiła głowę. Dzień był bezwietrzny. Sonia odwróciła się od okna i spojrzała na zamknięte drzwi przedziału. Drżącymi rękoma rozsunęła drzwi i wyjrzała na korytarz. Nikogo. Poszła do końca wagonu, zaglądając do każdego przedziału. Drzwi do toalety były zamknięte. Położyła dłoń na klamce, ale kiedy już miała ją nacisnąć, opuściła rękę. Nie! Za nic w świecie. Poczula, jak serce podchodzi jej do gardła. Być może znajdzie tam ciało uduszonej kobiety, a może... Ani? Kilka sekund wahania. Cofnęła rękę, by zaraz znów wyciągnąć ją w stronę klamki. Trudno. Niech się dzieje, co chce! Muszę. Zacisnęła powieki i energicznie popchnęła drzwi. Usłyszała, jak uderzają o ścianę. Otworzyła oczy i... nie zobaczyła niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że nocą rozegrała się tutaj tragedia. Wypuściła powietrze z płuc i zwiesiła głowę.

Przepraszam, gdzie ja jestem? - zapytała pierwszego napotkanego robotnika Kolei Państwowych. Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Panna to chyba wczorajsza? - Zagadnięty uśmiechnął się szeroko, demonstrując pokaźne braki w uzębieniu.

- Nie... ja tylko... zapałam w pociągu. - Dziewczyna wskazała oddalony skład wagonów.

- „Wsiąść do pociągu byle jakiego, nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet...” - Mężczyzna w roboczym kombinezonie uśmiechnął się pod nosem.

Powrócił do przerwane go przed chwilą zajęcia, czyli w dalszym ciągu kontrolował stan podkładów.

- Powie mi pan wreszcie czy nie? - nie ustępowała bliska płaczu Sonia.

- Warszawa. A co, nie widać? - Mężczyzna zaśmiał się, ubawiony swoim dowcipem.

- Warszawa - powtórzyła jak echo Sonia.

- Bocznica za Dworcem Wschodnim. - Robotnik ode-rwał wzrok od torów i zaczął uważniej przyglądać się dziewczynie.

- Wschodnim - szepnęła bezgłośnie Sonia.

- O, tam jest dworzec. - Wskazał palcem mający w oddali zabytek minionej epoki.

8.

César siedział w pracy do późnych godzin wieczornych, kolejny raz przeglądając akta. W ten sposób chciał odwlec spotkanie z Lolą, której miał do zakomunikowania wyłącznie przykre rzeczy. O dziewiętnastej zadzwonił na jej komórkę. Najczulej, jak umiał, wytłumaczył, że chociaż naprawdę bardzo się starał, nie dał niestety rady wyjść wcześniej z pracy, ale będzie na nią czekał po spektaklu. Słowo skauta! Uśmiechnął się pod nosem i powrócił do notatek. Nie mógł się jednak skupić, czytanie go męczyło. Zdania rozplływały się mu przed oczami, tekst wydawał się niezrozumiały. Westchnął ciężko, sięgnął znów po telefon i zadzwonił do domu. Odebrała podejrzenie wesoła Joan. W tle słychać było muzykę i rozbawione kobiece głosy.

- Wpadło do mnie kilka przyjaciółek. Dowiedziały się, że jestem w ciąży i chcą mnie nastraszyć, że za parę miesięcy to będą już tylko pieluchy i butelki, pieluchy i butelki... I zero seksu. Zazdrośnice, hi hi hi! Żartuję. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że trochę dłużej posiedzimy i pogadamy?

- Jasne że nie. Świetny pomysł. Zwłaszcza że wrócę dziś później. Mam masę roboty - odparł César, w gruncie rzeczy bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.

- Tak? - W głosie Joan dało się wyczuć nutę podejrzliwości.

- Bawcie się dobrze, kwiatuszku... - dodał ciepło. - I pamiętaj, że w twoim stanie nie wolno przesadzać z alkoholem.

- Oczywiście. Jak mogłabym zapomnieć - zapewniła. - Dziewczyny trochę sobie pozwoliły, ale ja nie piję. No, jeden kieliszek wina, może dwa... Roześmiała się jak dziecko, które ma chęć nabroić.

- W takim razie miłej zabawy. I pamiętaj...

- Tak jest, inspektorze! - Joan znów się roześmiała, zawtórowały jej koleżanki.

César odłożył słuchawkę. Ciszę i wcale niewesołe refleksje, jakie nasunęły mu się po tej rozmowie, zakłóciło czyjeś nagłe wtargnięcie do pokoju. Stary bez zaproszenia przysunął sobie wolne krzesło, po czym rozsiadł się wygodnie, opierając nogi o rant biurka Césara. Skrzyżował ręce na brzuchu i westchnął. Potem popatrzył znacząco na swojego podwładnego.

- Powinieneś więcej pracować z Marie. Ta dziewczyna ma potencjał.

- Zauważyłem... - burknął César, zły, że tak brutalnie przeszkodzono mu w rozmyślaniach. Udał, że jest bez reszty pochłonięty przeglądaniem dokumentów.

- Nie chciałem u nas tej małej - kontynuował Vincent, nie przejmując się ani trochę, czy César go słucha, czy nie. - W takim wydziale jak nasz, gdzie kręcą się sami faceci, kobieta wprowadza tylko niepotrzebny zamęt.

César spojrział na niego ze zdziwieniem, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi szef. Oderwał się od notatek i cały zamienił się w słuch.

- No i nie pomyliłem się, jakżeby inaczej! Ma się jednak tego nosa... - Stary rozgadał się na dobre. - François i Jean-Marc od razu potracili dla niej głowy. - Césara po prostu zatkało. Nie miał o tym pojęcia. - Dobrze, że nasza Marie nie jest żadną seksbombą, tylko inteligentną brzydulą.

- Z tą brzydulą to chyba trochę przesadziłeś... - zaproponował natychmiast César.

Vincent wzruszył ramionami.

- Nieważne. Baba to baba. W taki czy inny sposób potrafi zrobić na facecie wrażenie. No i stało się.

- Jeśli mam być szczery, to przynajmniej po François niczego nie zauważyłem.

- Bo kocha się w niej skrycie. Wodzi tylko wzrokiem i wzdycha. I wiesz co? Czerwieni się na jej widok jak pensjonarka. Biedaczysko, całkiem mu odbiło.

- A Jean-Marc? Zwróciłem uwagę, że wobec Marie jest raczej uszczypliwy.

- Bo dała mu kosza. Zaraz na samym początku. Chłopak myślał, że polecą na jego pierwsze skinienie. A tu masz. Trafiła kosa na kamień. - Uśmiechnęli się porozumiewawczo.

César był zadowolony, że Marie utarła nosa temu bufonowi, który strasznie czasem go wkurzał.

- Powinieneś częściej z nią rozmawiać. Zabierać na oględziny. Dziewczyna ma wyczucie i świetnie analizuje. Może się nam bardzo przydać. Zwłaszcza przy tej sprawie. - Stary spojrzał wymownie na Césara. - A jak u ciebie? Mam na myśli... prywatnie...

- Cóż.... - César wzruszył ramionami. - Joan spodziewa się dziecka.

- Gratuluję. - Vincent poklepał go po ramieniu. - Ale coś mi się widzi, że chyba nie bardzo się cieszysz, co? Mnie nie musisz się krępować. Stary jestem - zaśmiał się głośno - to i owo przeżyłem i kupę rzeczy rozumiem.

- Trudno mi się oswoić z tą myślą.

- Głowa do góry, chłopie! Dzieci zmieniają nasze życie. Potem nic już nie jest takie jak przedtem.

- No właśnie - mruknął pod nosem César.

Dochodziła pierwsza w nocy. Wiał porywisty wiatr, a Césarowi strasznie chciało się palić. Znalazł wreszcie jakąś wnękę w murze i zapalił papierosa, po czym natychmiast się stamtąd oddalił. Cuchnęło jak sto diabłów. Najwyraźniej ten gościnny zakamarek służył nie tylko palaczom. César postawił kohnierz kurtki i pomaszerował ciemną ulicą, zaciągając się raz po raz. Kiedy doszedł do miejsca, w którym zwykle czekał na wychodzącą z rewii Lolę, poczuł, że zmarzł na kość. Postanowił poszukać jakiegoś przytulnego kąta, gdzie mógłby się rozgrzać. Szedł dalej ulicą, ale nieliczne sklepy były już od dawna zamknięte. Jedyna w tej okolicy restauracja pękała w szwach. Amatorów

rozgrzewki jak widać nie brakowało. Nie ma co marzyć o wolnym stoliku, pomyślał z żalem, patrząc na zaparowane szyby. Zmagając się z wichurą, doszedł wreszcie do stacji metra, na której zwykła wsiadać Lola. Postanowił poczekać na nią na peronie. W tunelu było dużo cieplej, a nawet odrobinę duszno. Wciągnął do płuc powietrze. Poczul typowy zapach podziemnych korytarzy: wilgoć zmieszana z kurzem. Usiadł na wysłuzonym plastikowym krześle i przyjrzał się billboardom po drugiej stronie torów. Zwłaszcza jednemu, na którym rudowłosa piękność reklamowała najnowszą kolekcję bielizny. Mimowolnie się uśmiechnął. Po chwili nadjechał pociąg. Wsiedli do niego wszyscy oczekujący, prócz Césara. Został sam, owiany smugą chłodniejszego powietrza. Nie miał ze sobą gazety ani książki. Gapienie się na roznegliżowaną modelkę z plakatu już mu się znudziło. W dodatku poczul przenikliwe zimno. Postanowił wstać i pospacerować wzdłuż peronu. Schował ręce do kieszeni kurtki - cholera, tam też chłód! - i zaraz pomyślał, że przydałby mu się jakiś cieplejszy płaszcz. Popatrzył w dół, na zimowe buty. Do zeszłorocznej pary był wprawdzie bardzo przywiązany, ale tak nieludzko ją wyeksploatował, że nie nadawała się już do niczego. Zwłaszcza do chodzenia. Po raz kolejny przemierzył prawie cały peron. Nagle spostrzegł, że na jego końcu, za nieczynnym automatem do sprzedaży napojów, leży jakiś pokaźny tobolek. César skrzywił się z odrazą. Pewnie pijany kloszard. Jeszcze jeden nieszczęśnik, któremu nie udało się w życiu i musi to sobie powetować hektolitrami podłego wina. Ani myślał się do niego zbliżyć. Jednak, kiedy miał już zawrócić, jego uwagę przykuł pewien drobny szczegół. Nie-wielka stopa wystająca spod sterty szmat. Z pewnością nie

należała do mężczyzny! Zatrzymał się raptownie, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Teraz już wyraźnie widział kobiecą stopę w przezroczystej pończosze. Reszta ciała była niewidoczna, bo zasłaniały je brudne koce. Przez kilka sekund walczył ze sobą, zastanawiając się w popłochu, czy powinien podejść i sprawdzić, czy też odwrócić się na pięcie i udawać, że niczego nie widzi. Wybranie pierwszego wariantu oznaczało, że ten wieczór nie skończy się tak romantycznie, jak to sobie zaplanował. Ze spotkania z Lolą będą najpewniej nici. César uważał się jednak za policjanta z krwi i kości. Ostatecznie zwyciężyło poczucie obowiązku. Podszedł do kupki szmat. Schylił się i zaczął odrzucać na bok kolejne płachty cuchnące stęchlizną. Nie czuł już chłodu, tylko ciepło, gwałtownie rozchodzące się po całym ciele. Krew napłynęła mu do głowy. Poczul strach na myśl o tym, co zobaczy za chwilę. Szarpnął postrzępiony koc, który kiedyś musiał być beżowy albo szary, albo... i odkrył drugą stopę leżącej kobiety. Ta dla odmiany była jednak w pantoflu. W czarnym, eleganckim czółenku na wysokim obcasie. César przeklnął ślinę i chwycił za róg ostatniej szmaty. Zadrżał, a z jego ust wydobył się cichy jęk. Zgrabne ciało zastygło w bezruchu, odwrócone twarzą do posadzki. Jasne włosy rozsypały się jak snop pszenicy na wietrze. Oliwkowy trenz ściśnięty w talii paskiem wydał mu się dziwnie znajomy. Przez chwilę stał jak zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać wzroku od leżącej przed nim kobiety. Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Nie mógł oddychać. W uszach mu szumiało, w klatce piersiowej czuł coraz gwałtowniejsze kołatanie. Dlaczego? Dlaczego?! Poczul się tak, jakby wpadał w czarną bezdenną studnię i leciał

głową w dół, coraz szybciej i szybciej. Nie, tylko bez hysterii! Ostatnim wysiłkiem woli wziął się w garść. Westchnął głęboko i przykucnął obok leżącej dziewczyny. Dotknął jej zimnego policzka, po czym bardzo powoli odrzucił na bok włosy. Modlił się w duchu, żeby to był tylko koszmarny sen, z którego zaraz się obudzi. Przekręcił ostrożnie ciało i spojrzał na twarz zmarłej. Przeszył go krótki elektryzujący ból. Dziewczyna była młoda i ładna. Nawet teraz... Miała zamknięte oczy i lekko wykrzywione bólem usta. W kącikach sinych warg zastygła ślina. Jednak ta twarz była mu obca. Na smukłej szyi miała zaciśnięty jedwabny szalik. Poluźnił go odrobinę i wtedy zobaczył ciemnofioletową pręgę. Wzdrygnął się na ten widok. Która to już? Musiałby być skończonym idiotą, żeby się nie domyślić, że jest to kolejna ofiara mordercy, którego ścigają. Ułożył głowę denatki z powrotem w tej samej pozycji, w jakiej ją znalazł. Wstał i rozejrzał się po peronie. Na drugim końcu dostrzegł dwie kobiety rozmawiające z ożywieniem. Prawdopodobnie weszły do metra, gdy on był zajęty ściąganiem z ofiary wszystkich tych szmat. Wyglądały na sprzątaczkę. Miały na sobie za ciasne płaszcze i mocno sfatygowane buty na płaskim obcasie. César oparł się o automat do napojów, po czym wyjął z kieszeni komórkę. Miał szczęście, jakimś cudem udało mu się złapać zasięg. Zadzwoił na policję i nie wdając się w szczegóły, złożył doniesienie o popełnieniu morderstwa. Zerknął na zegarek. Dochodził kwadrans po pierwszej. To znaczy, że do nadejścia Loli zostało jeszcze parę minut. Policjanci też powinni się zjawić tu lada moment. Spojrzał na stos gazet i szmat oraz pustą butelkę po tanim winie. Wszystkie te przedmioty dowodziły

niezbicie, że było to legowisko jakiegoś kloszarda. Co w takim razie robiła tutaj ta dziewczyna? Gdzie jest jej drugi but? I gdzie się podział właściciel tej „sypialni”? W jego rozmyślania wdarł się odległy szum nadjeżdżającego pociągu. W ciemnym tunelu mignęło białe światło. César zmrużył oczy. Wydało mu się, że w oddali dostrzegł jakiś ruch. Zupełnie jakby ktoś przebiegał na drugą stronę torów kilka metrów przed nadjeżdżającym pociągiem.

Wagony zatrzymały się na stacji z przeciągłym piskiem. Kobiety weszły do jednego z nich. Na peron wkroczyło trzech policjantów. César rozpoznał jednego z przybyłych. Był to młody szef patrolu, który wylegitymował go tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy zobaczył Lolę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Jak tam pociecha? - zapytał César. - Pańska córeczka...

- Rośnie jak na drożdżach - odparł z uśmiechem tamten.

- Miło, że pan pamięta, inspektorze. Co my tutaj mamy? - Spojrzał z zainteresowaniem na stos szmat za plecami Césara.

- Zwłoki młodej kobiety. Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Biała. Prawdopodobnie uduszona. Była przykryta tymi kocami. - Ruchem głowy wskazał na szarobure gałgany, własność anonimowego włóczęgi.

- Jest pan pewien, że nie żyje? Może... - Młody policjant ukląkł przy denatce.

- Niestety. Brak wyczuwalnego pulsu i oddechu.

- Chłopaki, wezwijcie migiem ekipę dochodzeniową! - krzyknął policjant do kolegów. - Weźcie taśmę i do roboty. Niech mi się tu nie szwendają żadni gapie. Zauważył pan coś? - zwrócił się do Césara, wydobywając z kieszeni notes.

- Brak jednego pantofla. Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozejrzeć. Szybcy jesteście... - Pokiwał z uznaniem głową. - Może leży tu gdzieś w pobliżu.

- Sprawdzimy.

- Aha, jeszcze jedno... Miałem wrażenie, że jeszcze ktoś się tutaj kręcił.

- To znaczy? - Dowódca nocnego patrolu uniósł brwi i spojrzał mu prosto w oczy.

- Wydawało mi się, że ktoś ucieka tunelem. - César wskazał ręką czarną gardziel.

- Hej, ma tam któryś latarkę? - policjant zawołał do kolegów zajętych przeciąganiem taśmy. Jeden z nich natychmiast sięgnął do kieszeni i podał mu niewielki podłużny przedmiot. Szef patrolu przekręcił pierścień obudowy. Smuga światła pała na szaro-żółte kafelki.

- Mogę z panem pójść? - zapytał César z nadzieją w głosie.

Policjant zerknął na inspektora i podrapał się w głowę.

César uznał, że gdyby był na jego miejscu, też pewnie miałby twardy orzech do zgryzienia.

Już po raz drugi spotykali się w dość dziwnych okolicznościach. Rzeczywiście, mogłoby się to wydawać trochę podejrzane.

- Dobrze, inspektorze. Chodźmy - powiedział w końcu. - Zrobił dwa kroki w stronę tunelu, zatrzymał się jeszcze i odwrócił do pozostałych policjantów. - Idziemy sprawdzić tunel. Za dziesięć minut jesteśmy z powrotem. W razie czego wiecie, co zrobić.

- Tak jest, Christian. Jakby co, przyjdziemy wam z odświeżką! - krzyknął najmłodszy i puścił oko do kolegi. Obaj się roześmiali.

Christian wzruszył ramionami, burcząc coś pod nosem. Nie oglądając się na Césara, ruszył na koniec peronu, w stronę małych schodków. César poszedł za nim. Zeszli na dół i znaleźli się na wysokości podkładów kolejowych. Posuwali się w milczeniu wzdłuż torów, jak najbliższej muru.

- Gdyby nadjechał pociąg, niech się pan oprze plecami o ścianę, inspektorze. Strasznie tu wąsko. - César usłyszał przed sobą głos Christiana, który odbijał się echem w tunelu. Brzmiało to dość niesamowicie.

Po kilkunastu metrach ich oczom ukazała się niewielka wnęka w ścianie. Zatrzymali się, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Nie było w niej żadnych drzwi ani ukrytego przejścia, wnęka była jednak wystarczająco obszerna, żeby się w niej schować i pozostać niezauważonym z peronu. Morderca mógł się tutaj ukryć i obserwować Césara, gdy ten klęczał przy zwłokach. Poszli dalej. W miarę oddalania się od stacji robiło się coraz ciemniej. W pewnym momencie światło latarki załamało się i po drugiej stronie torów zamajaczył jakiś otwór.

- Wygląda mi to na przejście, może jakiś łącznik - zastanowił się policjant.

César skinął w milczeniu głową. Weszli w niewielki korytarz. Poruszali się wolno, idąc ramię w ramię, ponieważ latarka rzucała słaby krąg światła. César wdychał bijącą ze ścian wilgoć, pod stopami miał brunatne kałuże cuchnące uryną. Wzdrygnął się z obrzydzeniem. Korytarz biegł w prawo, a potem w lewo. Na jego końcu zobaczyli niewielkie pomieszczenie. Promień światła latarki był niestety zbyt wąty, by mógł oświetlić całe wnętrze. Zatrzymali się, nasłuchując. Wokół nich

panowała głucha cisza. W mroku zaczęli dostrzegać oznaki czyjejs bytności. Najpierw stojącą pod ścianą baterię butelek po winie i puszek po piwie. Dalej kartonowe pudło, służące prawdopodobnie jako stolik. Na nim niedojedzona konserwa i kawałek pokruszonego chleba. Obok sterta gazet przewiązanych sznurkiem, za nią przewrócony wózek, służący kloszardom do transportowania nędznego dobytku. Wreszcie w drugim końcu pomieszczenia zamajaczył stos szmat podobny do tego, jakim były przykryte zwłoki kobiety na peronie metra. Do nozdrzy Césara nadpłynął ohydny, dobrze znany mu fetor.

O cholera, chyba zaraz puszcę pawia... pomyślał i poczuł, jak skręcają się mu wnętrzności, a zawartość żołądka podchodzi do samego gardła. Szybko osłonił nos rękawem kurtki. Trochę pomogło.

Światło latarki powędrowało dalej wzdłuż ściany. Obaj „eksploratorzy” zamarli. Na podłodze siedział mężczyzna. Brudną, pokrytą wielodniowym zarostem twarz opuścił na pierś. Wyglądał tak, jakby spał odurzony alkoholem. Mężczyźni spojrzeli po sobie bez słowa i podeszli do śpiącego. Pochylili się nad nim i wtedy ujrzeli dziwny grymas na jego twarzy. Światło latarki spłynęło po głowie i szyi, wzdłuż torsu, ukazując wielką plamę krwi.

Warszawa, koniec sierpnia 1997 roku

Co się z tobą działo? - zawołała matka na widok Soni. Dziewczyna rzuciła się jej na szyję. Nareszcie w domu! Plecak spadł z łoskotem na podłogę.

- Soniu, dlaczego tak późno? Miałas być z samego rana, czekałam ze śniadaniem. - Matka pogładziła ją po włosach i pocałowała w policzek. - Dobrze, że jesteś cała i zdrowa. Dwie godziny temu dzwoniłam do mamy Ani. Powiedziała mi, że pociąg się spóźnił i że Anula dopiero co weszła, więc ty też powinnaś być już niedługo... Ładne mi niedługo. - Matka spojrzała na zegarek. - Bój się Boga, dziecko! Coś ty robiła przez te dwie godziny? - zapytała z wyrzutem.

Sonia popatrzyła ze zdziwieniem na matkę.

- Ania już w domu? - upewniła się na wszelki wypadek.

- Dziwi cię to? Przecież jechałyście razem. - Matka zrobiła krok do tyłu. Przyjrzała się Soni, mrużąc oczy. - Czy stało się coś, o czym powinnam wiedzieć? Tylko nie próbuj kłamać, mnie nie oszukasz...

- Nieee... - Dziewczyna szybko sięgnęła po plecak. - Wcale nie mam takiego zamiaru. Słowo. - Poczula, że na policzki wypływa jej rumieniec. - Po prostu... - wzruszyła ramionami, kierując się do swojego pokoju - ...pokłóciliśmy się w pociągu i każda z nas wracała osobno.

- Ale tobie zajęło to dwie godziny dłużej - stwierdziła rzeczowo mama. W dalszym ciągu nie ruszała się z miejsca. - Wiesz, jak okropnie się martwiłam?

- Przepraszam, mamó - bąknęła Sonia. - Naprawdę nie chciałam.

Zdążyła się już odwrócić, żeby matka nie zauważyła wypieków na twarzy. Pojawiały się zawsze, kiedy miała coś na sumieniu. Tak jak teraz.

- Spotkałam koleżankę ze szkoły - zaszczębiotała wesoło, żeby nie wypaść z roli. - Ona też wracała z wakacji. Zagadałyśmy się trochę i tyle... - Ruszyła z plecakiem do swojego pokoju.

- Trochę? - Matka uśmiechnęła się pod nosem. - Ładne mi trochę. - Strzepnęła niewidzialny pyłek z fartucha, po czym odwróciła się w stronę kuchni. - A teraz marsz do łazienki! Wykąp się po podróży. I nie żałuj sobie wody! - rzuciła przez ramię. - Strasznie śmierdzisz.

Sonia usłyszała, jak matka śmieje się w przedpokoju. To znaczy, że niczego nie podejrzewa... Zamknęła za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko i schowała twarz w poduszkę. W głowie aż huczało od myśli. Policzki jej płonęły. Nic już nie rozumiała. Przecież Anki nie było w pociągu. Przeszukała dokładnie wszystkie wagony. Nie było też jej plecaka. A może... kiedy Sonię wciągnięto do ostatniego wagonu, Ania już tam była? Może zabrali ją wcześniej, kiedy ona spała? Mogli ją zamknąć w innym przedziale. No dobrze, ale w takim razie dlaczego matka Anki powiedziała, że Sonia zaraz będzie w domu? Musiała to wiedzieć od córki. A skoro tak, to znaczy, że wychodząc z pociągu, Anka wiedziała, że Soni nic się nie stało. Dlaczego jej nie obudziła? Nie mogła... czy nie chciała tego zrobić? Nie, to bez sensu. Mogłaby tak siedzieć do wieczora, a i tak niczego mądrego nie wymyśli. Najlepiej zapytać Ankę. Sonia wstała i sięgnęła po telefon. Wykręciła numer koleżanki. W słuchawce odezwał się sygnał. Jeden, potem drugi i trzeci. Usłyszała

trzask i dziwnie zachrypnięty głos Anki.

- Halo? - Sonia przełknęła ślinę. Poczowała, że ręka trzymająca słuchawkę drży.

- Halo? - ponowiła pytanie Anka.

- To ja - powiedziała ledwie słyszalnym głosem Sonia. Po drugiej stronie zapadła cisza. - To ja, Sonia - powtórzyła nieco głośniej.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Usłyszała brzęk odkładanej słuchawki.

Sonię zamurowało ze zdziwienia. Niemożliwe. O co tutaj chodzi? Musi się wreszcie tego dowiedzieć! Ponownie wykręciła numer. Po szóstym sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

- Anka, co się stało? - Sonia prawie krzyknęła do telefonu.

- Nie dzwoń do mnie więcej - usłyszała znajomy głos. - Rozumiesz? Nie chcę cię znać!

- Ale Aniu... Dlaczego? - Sonia była bliska płaczu. - Co się stało? Ja... Czy tobie też to zrobili? Powiedz coś, proszę... - Chciała jeszcze coś dodać, ale ze słuchawki dochodził już tylko ciągły sygnał.

Sonia padła na łóżko, zanosząc się szlochem. Jedyna przyjaciółka, jaką ma, jaką miała... właśnie odmówiła jej pomocy. A nawet gorzej: nie chce jej znać! Ale dlaczego? Czy przeżyła to samo? A może wie coś więcej i teraz strasznie się boi? Nie, Sonia tak tego nie zostawi. Za nic w świecie! Za kilka dni porozmawia z Anką w szkole. Na pewno sobie pomogą. Muszą ustalić, co się dokładnie stało. Pójdą razem na policję. Złożą zeznania. Tych bandytów da się przecież jakoś odnaleźć... Na

myśl o nieznanym chłopaku wzdrygnęła się mimowolnie. Czula jeszcze na sobie dotyk jego dłoni. Jak... jak ona się z tego wytłumaczy? O tym też będzie musiała opowiedzieć. Nie, nie da rady. Za nic w świecie. Ale... czy uda się to przemilczeć? Jeśli policja nie znajdzie ciała tej kobiety, która z nimi była... to właściwie nie będzie podstaw, żeby kogoś oskarżyć. Sonia poczuła chłód na całym ciele i okropne mrowienie na głowie. A co z Anią? Czy ona też coś widziała? A jeśli nie? Przecież mogli ją zamknąć w innym przedziale i przespała całą drogę.

- Zaraz podaję obiad! - do jej uszu dobiegło rażne wołanie z kuchni.

Sonia rozejrzała się po pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy. Zaraz, zaraz, co miała zrobić? Aha, wykąpać się. Wstała i ruszyła do łazienki. Odkręciła kurki nad wanną. Sięgnęła po różową butelkę z płynem do kąpieli, przechyliła ją i wlała całą zawartość. Musi jak najszybciej zmyć z siebie cały ten brud. Na powierzchni wody utworzyła się piana. Sonia zrzuciła ubranie i weszła do wanny. Oparła głowę na jej brzegu. Piany było coraz więcej. Zakrywała już jej piersi, szyję, podbródek. Zamknęła oczy. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Dlaczego to wszystko musiało się przydarzyć właśnie jej? Czy to jakaś kara? Ale za co? I co teraz będzie? Jak z tym dalej żyć? Jedyna przyjaciółka właśnie ją odtrąciła. niesprawiedliwość. A jeśli okaże się, że jest w ciąży? Co wtedy zrobi? Co powie mamie? Jak się wytłumaczy? Boże, jaki wstyd! Prędzej czy później będzie się musiała do wszystkiego przyznać. Czy jej uwierzą? A jeśli Anka tego nie potwierdzi? Wtedy wyjdzie na idiotkę, w dodatku puszczalską. Jak się usprawiedliwi, kiedy

spytają, dlaczego się nie broniła? Czy ktokolwiek uwierzy, że po prostu nie była w stanie, że sparaliżował ją strach? Jeszcze nigdy się tak nie bała. I prawie, prawie straciła już nadzieję, ale przecież tak bardzo chciała żyć. I dlatego pozostała bierna. Instynkt samozachowawczy podpowiedział jej, że tylko tak może się uratować. Kiedyś czytała, że ludzie zachowują się bardzo różnie w obliczu śmierci. Nie każdy walczy jak lew i rzuca się z pazurami na napastnika. Tylko czy ktoś będzie się chciał nad tym zastanawiać? Przecież najłatwiej postawić człowieka pod pręgierz...

Łzy napłynęły jej do oczu. Poczula się taka bezradna. Tak rozpaczliwie samotna. Bezbronna. Była przecież przypadkową ofiarą, która na domiar złego nie ma żadnych dowodów na to, co się stało. Jedyne, co się może jej jeszcze przytrafić, to totalna kompromitacja. A tego chyba nie przeżyje...

Zanurzyła się głębiej w wannie. Woda zakrywała jej podbródek, nos, potem czoło. Włosy, niczym wodorosty, kłębiły się pod jej powierzchnią. Było tak dobrze. Spokojnie i błogo. Nic już nie miało znaczenia. Nielojalna przyjaciółka, nikczemny gnojek z pociągu... Wszystko było takie cudownie odległe, nieważne. Nie istniał już zły świat i podli ludzie, którzy krzywdzą innych. Nie istniał już strach i ból, i rozczarowania. Wszystko odpływało coraz dalej, dalej...

- ...obiad! - usłyszała głos jak z zaświatów.

Spokojnie. Tylko spokojnie...

- Jezus Maria!

Matka wyciągnęła ręce i rzuciła się jak szalona ku wannie. Krzycząc przeraźliwie, chwyciła nagie ciało córki, żeby wyciągnąć ją z wanny.

- Soniu! Na litość boską! Co ty wyprawiasz?!

9.

Kiedy wrócili na peron, przy zwłokach krzątała się już ekipa dochodzeniowa. Na przeciwległym końcu stacji zgromadziło się kilka osób czekających na ostatnie metro. Żadne sensacji wyciągały szyje, pragnąc ujrzeć na własne oczy powód zamieszania. Dwóch mundurowych dzielnie broniło kwadratowego skrawka peronu odgrozonego plastikową taśmą. Dostrzegli powracającego z tunelu dowódcę i natychmiast dali mu znak, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Christian uśmiechnął się do nich i podszedł do mężczyzny w długim czarnym płaszczu. Wyprężył się przed nim słuźbiście.

- Christian Deroux. Dowódca patrolu.

Mężczyzna splunął w bok i nie patrząc na nich, skinął głową.

- Byliście się odlać? - spytał drwiąco i jeszcze raz splunął, jakby chciał w ten sposób podkreślić wagę swoich słów.

César poczuł się dość niezręcznie. Sam często nie przebierał w słowach, ale tego rodzaju powitanie uznał za zwykłe chamstwo. Z miejsca poczuł niechęć do Czarnego Płaszczu, jak go nazwał w myślach. Spojrzał szybko na Christiana, który najprawdopodobniej znał tego gbura i zdążył już przywyknąć do jego osobliwego stylu bycia. Ale wyraz twarzy młodego policjanta świadczył dobitnie, że i jemu nie podobają się prostackie maniery pana komisarza.

- Poszliśmy zbadać dodatkowe okoliczności - odparł szorstko Deroux, ignorując zaczepny ton zwierchnika. Twarz mu poczerwieniała. César zobaczył, jak zaciska pięści. - Znaleźliśmy drugiego trupa.

- Ach tak? - Czarny Płaszcz po raz pierwszy raczył na nich spojrzeć.

- Obecny tu inspektor Bresson, który znalazł zwłoki dziewczyny, zauważył coś podejrzanego w tunelu. - Christian wskazał na Césara. - Po drugiej stronie torów, jakieś pięćdziesiąt metrów od peronu, natrafiliśmy na niewielkie pomieszczenie. Odkryliśmy tam zwłoki kloszarda. Prawdopodobnie został ugodzony nożem. Krew na ubraniu nie zdążyła jeszcze zaschnąć. Niewykluczone, że obu morderstw dokonał ten sam sprawca.

Komisarz zmrużył oczy i popatrzył w głąb tunelu, jakby chciał przeniknąć wzrokiem ciemność i dostrzec miejsce, o którym mówił Deroux. Przez chwilę grzebał w kieszeni, po czym wyjął napoczętą paczkę gitanów. Wyciągnął rękę, częstując bez słowa Césara i Christiana. César bez zastanowienia schwytał papierosa i włożył go do ust. Od dawna czuł potworne ssanie w przełyku. Deroux odmówił skinieniem głowy. W dodatku rzucił ironiczne spojrzenie starszemu koledze, który właśnie podawał ogień jego beczelnemu zwierchnikowi. César udał, że tego nie widzi, i z lubością zaciągnął się dymem. O niczym innym nie marzył od chwili zejścia na peron. Najpierw z powodu zimna, a potem po wstrząsie, jakim było dla niego znalezienie martwej dziewczyny. Czuł, jak z każdą kolejną dawką dymu stopniowo opada z niego stres. Gdy zgasił niedopalek podeszwą buta, nagle przypomniał sobie o Loli. Bądź co bądź przyszedł tu, żeby na nią zaczekać. Spojrzał na komisarza, który w tym samym czasie polecił policjantom przeszukać tunel. O schwytaniu uciekającego mordercy raczej nie mogło być już mowy, mimo to nie należało tego wykluczać.

Konieczne było również zabezpieczenie śladów. César odczekał, aż Czarny Płaszcz odwróci się w jego stronę, po czym, patrząc wymownie na Christiana, powiedział głośno:

- To co? Ja już będę leciał. W razie czego tu jest mój numer. - Podał wizytówkę komisarzowi.

Ten zerknął na nią ciekawie.

- Pracujesz u Vincenta?

- Tak.

- Jak tam stary lis? Nie wybiera się przypadkiem na emeryturę? - César zauważył złośliwy błysk w jego oczach. - Przekaż mu pozdrowienia od Fauquarta.

Nie miał zamiaru wdawać się w dysputy z tym jegomościem, zwłaszcza że naprawdę cholernie mu się spieszyło. Pożegnał się więc z ulgą i ruszył w kierunku schodów.

Po chwili znalazł się na dworze. Wiatr był jeszcze bardziej porywisty niż przed godziną, kiedy schodził do metra, a na domiar złego zaczęło padać. César postawił kołnierz kurtki i podciągnął suwak. Spojrzał na zegarek. Za dwanaście druga. Do ostatniego pociągu pozostały dwie minuty. Musiałby być niepełna rozumu, wierząc, że Lola zjawi się tu o tej porze. Prawdopodobnie wróciła do domu taksówką. César rozejrzał się dookoła. Pusto. Ostro zacinający deszcz przegonił ostatnich przechodniów. Mógł liczyć wyłącznie na cud. Zatrzymał się przy tablicy z napisem „Taxi” Zziębniętymi rękami wyszperał w kieszeni papierosa. Kiedy wreszcie udało mu się osłonić dłonią płomień zapalniczki i papieros się rozżarzył, niespodziewanie nadjechała taksówka, ochlapując go fontanną wody. Zaciągnął się mocno i cisnąwszy papierosa do kałuży, wskoczył do auta.

Samochód mknął w strugach deszczu wyludnionymi ulicami Paryża. Rozkoszne ciepło panujące wewnątrz i cicha nastrojowa muzyka przypomniały Césarowi o zmęczeniu. Marzył o ciepłym łóżku Loli. Nagle kierowca zahamował gwałtownie. César szybko powrócił do rzeczywistości. Zapłaciwszy, wygramolił się z przytulnego auta na zimną i mokrą ulicę. Dopadł do klatki schodowej. Domofon nadal był zepsuty, a drzwi otwarte, dzięki czemu bez przeszkód mógł wejść do środka. Po chwili wdrapywał się na ostatnie piętro starej kamienicy. Zatrzymując się przed drzwiami mieszkania Loli, czuł przyspieszone bicie serca. Zapukał, potem zadzwonił, ale nikt nie otwierał. Westchnął na myśl, że jego senne marzenie o upojnej nocy z najpiękniejszą kobietą świata dziś się chyba nie spełni.

Gdy wysiadła z samochodu Sébastiena, od nadmiaru wypitego szampana kręciło się jej w głowie. Wieczór byłby cudowny, gdyby nie to, że César się nie odezwał. Nie dał żadnego znaku życia. Czują przez skórę, że z ich związku nic nie będzie. On uwikłany jest w małżeństwo, z którego chyba nie ma ochoty się uwolnić. Źle zrobiła, stawiając mu ultimatum. Teraz jej po prostu unika. Dałaby sobie rękę uciąć, że wcale nie rozmawiał z żoną o rozstaniu. Pewnie nawet nie próbował powiedzieć jej prawdy. Nadia czuła się winna, że nie potrafiła zaakceptować rzeczy takimi, jakie są. Zwłaszcza jednej z nich - tego, że jest i będzie wyłącznie kochanką Césara. Czy nie lepiej byłoby przyjąć po prostu ten dar niebios, tę szaloną miłość, którą obdarzył ją César, i cieszyć się, że coś tak wspaniałego przydarzyło się w

jej życiu? Jej dotychczasowe związki nie były udane. Cóż, nie wszyscy mogą mieć szczęście w miłości. Ona najwidoczniej nie miała... Może zacznę grać w karty?, pomyślała, uśmiechając się z goryczą. Pomachała Sébastienowi, wyjęła z torebki klucze i weszła do kamienicy. Zapaliwszy światło, spojrzała w górę, na schody. Na klatce było cicho. O tej porze wszyscy normalni ludzie już śpią. A może i ona powinna sobie znaleźć jakieś zwyczajne zajęcie? Wzdychając, zaczęła wspinać się po schodach. Kiedy dochodziła do ostatniego piętra, światło zgasło. Potknęła się w ciemności i odruchowo przytrzymała ściany. Z oddali dobiegł jakiś szmer. Serce zabiło jej mocniej. Po omacku pokonała ostatnie stopnie. Przyłgnąwszy do ściany, namacała mały świecący guziczek. Lampa rozbłysła. Nadia zamarła. Przed drzwiami do jej mieszkania ktoś leżał na wycieraczce. Zwinięty w kłębek spał w najlepsze. Poczula się trochę nieswojo. Podeszła bliżej i pochyliwszy się, rozpoznała Césara. Przysunęła twarz do jego twarzy, żeby musnąć ustami jego zaróżowiony od snu policzek. Zanim jednak zdążyła to zrobić, jej śpiący rycerz wyciągnął nieoczekiwanie ręce, złapał ją za sweter i przyciągnął do siebie. Przywarł ustami do jej ust, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Kiedy zamknęły drzwi, César ujął w dłonie jej twarz i przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Nadia starała się wyczytać coś z jego spojrzenia, ale nie było to łatwe. Przechyliła głowę i zajrzała mu w oczy.

- Lubisz ekstremalne przeżycia - stwierdziła z rozbawieniem.
- Co masz na myśli? - Spojrzał na nią zdziwiony.

Był ciekaw, co za chwilę usłyszy.

- Spanie na wycieraczce pod drzwiami - zachichotała. -

A myślałeś, że co?

César opuścił ręce i westchnął.

- To stres. Nie odbierałaś telefonu.

- Dzwoniłeś? - Sięgnęła do torebki po swoją komórkę i zakłęła cicho. - Cholera, znów się wyładowała. - Pokazała mu wyłączony aparat.

- Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Zerknęła na niego spod oka.

- Martwiłeś się o mnie? - spytała cicho, a na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Uhm... - César zawahał się przez chwilę. Nie miał żadnego pomysłu, jak jej o tym powiedzieć. Bo chyba, chcąc nie chcąc, musi to zrobić. - Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć... - zaczął i znów urwał w pół zdania. Nadia przyglądała mu się z napięciem. Uśmiech znikł z jej twarzy.

- O co chodzi? No wyduś to już z siebie.

- Znalazłem pewną dziewczynę... - César starał się zebrać myśli. Robił, co mógł, żeby jego słowa nie zabrzmiały zbyt tragicznie. - Dziś wieczorem, kiedy czekałem na ciebie po spektaklu... W metrze. Na peronie znalazłem zwłoki młodej kobiety. Przestraszyłem się, bo, bo... była podobna do ciebie. Miała taki sam płaszcz jak twój. I wiesz...

Patrząc na Nadie, uświadomił sobie, że dziewczyna odsuwa się od niego krok za krokiem, z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. Jej piękne błękitne oczy robiły się coraz bardziej szkliste.

- Mój płaszcz? Jesteś pewny? - spytała żałośnie.

- No... w każdym razie był bardzo podobny.

- Jak wyglądała? - głos Nadii zaczął się łamać.
- Czy ja wiem... Drobna. Miała jasne włosy. - César wzruszył ramionami.

- Podobna do mnie?
Szybko uciekł wzrokiem.

- Raczej tak.

Nadia ukryła twarz w dłoniach. Odwróciła się i pobiegła do sypialni. César z trudem przełknął ślinę. Gardło miał wysuszone na wiór. Na domiar złego czuł ssanie w żołądku. Organizm najwyraźniej domagał się nikotyny. Zdjął kurtkę i zawiesił ją w przedpokoju. Potem poszedł do sypialni Loli. Leżała na łóżku. W takiej samej pozycji jak tamta, którą znalazł na peronie metra. Twarzą w dół. Gdyby nie to, że jej ciałem wstrząsał szloch, można by pomyśleć, że nie żyje. César siadł na brzegu łóżka i zaczął gładzić ją po plecach.

- Skarbie... uspokój się, proszę.

Lola odwróciła się gwałtownie. Jej oczy były czerwone od płaczu. Przytuliła się do Césara i łkała na jego ramieniu. César cierpliwie czekał, głaszcząc ją po włosach. Wreszcie, kiedy się uspokoiła, podał jej chusteczkę.

- To Katia. Koleżanka z klubu. Dzisiaj pożyczyłam jej swój płaszcz.

Warszawa, koniec sierpnia 1997 roku

Dlaczego? - zapytała czule matka. Siedziała na brzegu łóżka i trzymała Sonię za rękę. Biała pościel pachniała czystością i krochmalem.

- To było niechcący. Chyba nie myślisz, że chciałam się utopić w wannie... - odpowiedziała cicho dziewczyna, nie otwierając oczu. - Musiałam na chwilę przysnąć.

- Nie kłam. - Głos matki stracił wcześniejszą miękkość, stał się twardy, stanowczy. Uścisk jej ręki był coraz mocniejszy. - Przecież widzę, że coś się z tobą dzieje. Spójrz na mnie!

Sonia otworzyła oczy i spojrzała przestraszona w twarz matki: zmartwioną, zaniepokojoną, ale też trochę gniewną. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, co naprawdę się stało. O Boże, Boże, co ja narobiłam?

- Mamo... ja nie chciałam! Uwierz mi, proszę... - Wybuchnęła płaczem.

Matka pochyliła się nad łkającą córką i odgarnęła jej z czoła mokre włosy.

- Córeńko... - Przytuliły się do siebie. Matka przyłożyła twarz do policzka Soni. Pocałowała ją kilka razy. - Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham. Mam tylko ciebie jedną... jedyną. Nie przeżyłabym, gdybyś... - Nie dokończyła. Łzy napłynęły jej do oczu. - Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Możesz mi o wszystkim powiedzieć. Nawet jeśli to coś bardzo złego... A ja zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Wiem, mamo. - Sonia otarła oczy wierzchem dłoni. - Wiem.

- Jesteś pewna, że nie chcesz porozmawiać? - Matka zajrzała jej w oczy.

- Naprawdę nie ma o czym.

- Gdybyś jednak zmieniła zdanie...

- Przecież wiem. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i... i... - Znów zaczęła łkać.

- Dobrze, już dobrze...

Matka pogładziła Sonię po głowie, po czym wstała i poprawiła zmiętą spódnicę.

- Pamiętaj, że zawsze jestem po twojej stronie...

Rzuciła córce przeciągłe spojrzenie. Zapadła cisza. Matka sprawiała wrażenie, jakby wciąż na coś czekała. Nie, dzisiaj już nic więcej nie usłyszy. Odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

- Kocham cię, mamó - szepnęła Sonia.

10.

César długo się zastanawiał, czy powinien zgłosić, że wie, kim była denatka. Szkopuł w tym, że gdyby to zrobił, musiałby wytłumaczyć, skąd ma takie informacje, a to oznaczałoby przyznanie się do romansu z Lolą. Już widzi miny kolegów... Stary też by go raczej nie pochwalił. Chociaż, jak sam mu niedawno powiedział, to i owo przeżył i sporo rozumie. Plotki mogłyby dotrzeć również do Joan, a to była ostatnia rzecz, którą chciałby jej teraz zafundować. Sporządził bilans zysków i strat i koniec końców uznał, że dla dobra wszystkich najlepiej będzie to zataić i w żadnym razie nie wciągać w sprawę Loli. Chciał jej oszczędzić wizyty w kostnicy i oglądania martwego ciała przyjaciółki. Postanowił zostawić sprawę własnemu biegowi.

Kiedy wchodził rano do budynku policji, starał się nie myśleć o wydarzeniach minionej nocy. Okazał legitymację posterunkowemu i przeszedł przez bramkę magnetyczną. Wsiadł do

windy, lecz zanim drzwi się zamknęły, ktoś zablokował je butem. César odwrócił się i zobaczył Starego.

- Dobrze, że cię widzę. - Vincent skinął mu głową. César odpowiedział mu tym samym. - Słyszałem o twoich nocnych przygodach.

- Wieści szybko się rozchodzą - burknął César.

- Nie pytam, co tam robiłeś po północy, bo to nie moja sprawa. - Komisarz puścił do niego oko, ale César przeczuwał, że ten temat może jeszcze powrócić. Postanowił, że w wolnej chwili przygotowuje sobie jakąś wiarygodną historyjkę na tę okoliczność.

Winda zatrzymała się. César przepuścił szefa, szli teraz długim korytarzem.

- Pozdrowienia od komisarza Fauquarta - wydusił z siebie César. Stary zerknął na niego przez ramię.

- Jak go znam, będzie wściekły, jeśli do dziesiątej nie dostanie twojego raportu - rzucił od niechcienia Vincent.

- Przecież nie jestem jego podwładnym - zdziwił się całkiem szczerze César.

Przystanął, żeby móc lepiej przetrawić słowa szefa. Stary spojrzął na niego znacząco.

- Z tego, co słyszałem, ty pierwszy odkryłeś zwłoki.

- Wszystko, co wiem, powiedziałem Deroux, dowódcy patrolu. Ręczę, że spisał moje zeznania ze szczegółami. - César uśmiechnął się na wspomnienie młodego stróża prawa. - A Fauquart niech sobie przejrzy zapis z kamer. Jak będzie miał szczęście, to może nawet uda mu się zobaczyć moment morderstwa. To powinno mu ułatwić sprawę.

- Zrobisz, jak uważasz. - Vincent wzruszył ramionami.

Wszedł do swojego gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. Usiadł przy biurku i bez słowa zaczął przeglądać papiery.

César zatrzymał się i przez chwilę patrzył na pochyloną sylwetkę i stanowczo zbyt długie włosy szefa, jakby się wahał, czy jeszcze o coś spytać.

Po przyjsciu do swojego pokoju zajął się przeglądaniem akt sprawy. Postanowił przeczytać od deski do deski wszystkie raporty i jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciom. Po kilku minutach usłyszał pukanie do drzwi. Podniósł głowę znad akt i uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Na progu stała Marie.

- Cześć. - Usiadła po drugiej stronie biurka, stawiając na nim dwa kubki kawy.

- Dla mnie? - César spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Pomyślałam, że się nie wypaleś. - Marie do niego mrugnęła.

- Widzę, że i ty dostąpiłaś już wtajemniczenia - odpowiedział z niezadowoleniem i natychmiast przestał się uśmiechać. - Właściwie mogłem się tego spodziewać. W końcu detektywów u nas nie brakuje. I plotkarzy też...

- Ludzie są tylko ludźmi. - Marie wzruszyła ramionami. - Każdy ma swoje słabostki.

Zapadła chwila ciszy. César czuł, że Marie chce go o coś zapytać, ale nie zamierzał ułatwiać jej tego zadania. Pili kawę w milczeniu.

- Więc to prawda, że odkryłeś wczoraj kolejne ciało... - zaczęła dyplomatycznie.

- Przypadkiem.

- Rozumiem, że pasuje do naszego scenariusza?
- Niestety tak. - César rozparł się wygodnie w fotelu i skrzyżował ręce za głową.
- Opowiedz mi o tym - poprosiła.
- Dziewczyna leżała pod stertą szmat. W najdalszym kącie peronu.
- Jak to możliwe, że nikt jej wcześniej nie zauważył?
- Miejsce było słabo widoczne, zasłonięte nieczynnym automatem z napojami.
- Ale ty ją dostrzegłeś. - Marie nie kryła zdziwienia.
- To przesłuchanie?
- Co?
- Przepytyujesz mnie.
- Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu chcę dowiedzieć się jak najwięcej.
- Możesz poczekać na raport.
- Nie uważasz, że czas nas goni?
- Okej. Było mi zimno. Spacerowałam po peronie tam i z powrotem. Nie od razu zobaczyłem tę stertę brudnych koców.
- Dlaczego tam podszedłeś?
- Zauważyłem, że spod szmat wystaje stopa.
- Stopa?
- Tak. Bosa stopa.
- Była bez butów?
- Jednego brakowało.
- Może leżał gdzieś w pobliżu?
- Raczej nie. Wszystko przeszukałem. Na drugiej nodze miała czarny pantofel... - zawiesił na chwilę głos.
- A poza tym jeszcze coś charakterystycznego?

- Młoda. Ładna buzia. Zgrabne ciało. Jasne włosy.
Ubrana w płaszcz.

- Uduszona?

César skinął głową.

- Na szyi miała niebieską apaszkę, która zakrywała przęgę.

- W jakim kolorze był płaszcz?

- Jasnozielony.

- Bardziej zielony groszek czy oliwka?

- Raczej oliwka - odparł po chwili namysłu.

- Czarne eleganckie pantofle, zielony płaszcz, niebieska apaszka... Nie bardzo to wszystko do siebie pasuje. Raczej nie miała gustu. - Marie uśmiechnęła się lekko.

- Apaszka była szarobłękitna. Wiesz, taki gołębi kolor - pospieszył z wyjaśnieniem.

- Czemu ją tłumaczysz? - Spojrzała przenikliwie na Césara.

- Staram się po prostu lepiej ją opisać. - Wzruszył ramionami.

Poczuł się trochę nieswojo.

- Znałeś ją? - Marie nie spuszczała z niego wzroku.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Twój stosunek do denatki nie jest... - zrobiła wymowną pauzę - ...obojętny.

- Przesadzasz.

- Co było dalej?

- Wezwałem gliny. - César uśmiechnął się mimowolnie.

- Kiedy na nich czekałem, w pewnym momencie zauważyłem w tunelu jakiś ruch. Ktoś mi tam mignął, jakiś cień, kapujesz? Poszedłem to potem sprawdzić razem z dowódcą patrolu.

Znaleźliśmy zabitego kloszarda. Dźgnięty w pierś jakimś ostrym narzędziem. Pewnie nożem.

- O, to coś nowego. Myślisz, że zrobił to ten sam sprawca?

- Chyba tak. Wykorzystał szmaty kloszarda, żeby ukryć ciało. Możliwe, że bezdomny go widział, dlatego musiał zginąć.

- Czemu użył noża? Do tej pory wyłącznie dusił.

- Mogła się wywiązać szarpanina i wtedy morderca zabił bezdomnego.

- To prawdopodobne.

Marie zamilkła na chwilę. César przyglądał się jej, zgadując, jakie będzie następne pytanie.

- Jaką literę namalował tym razem?

Wiedziałem, wiedziałem!, ucieszył się w duchu.

- Nie było żadnej.

- Jesteś pewien?

- Na peronie niczego nie zauważyłem.

- A w tej norze, gdzie znalazłeś kloszarda?

- Było ciemno. Mieliśmy tylko małą latarkę.

- W takim razie powinniśmy to sprawdzić.

- Teraz?

- A na co mamy czekać?

Nie miał ochoty tam jechać, ale argumenty Marie były nie do zbicia. Poza tym za wszelką cenę chciał zatrzeć wrażenie, że coś go łączy z tą sprawą. A ściśle mówiąc: ktoś. Odmawiając wizji lokalnej, naraziłby się tylko na kolejne podejrzenia z jej strony.

Rano stacja metra wyglądała nieco inaczej niż ostatniej nocy. Taśmy policyjne zostały już zdjęte i wydawało się, że jest tu

więcej światła. Choć może było to tylko złudzenie. Na peronie stało sporo osób czekających na pociąg. Przeszli pomiędzy ludźmi do końca peronu, za nieczynny automat. Marie przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Potem przeniosła wzrok na ścianę pokrytą szaro-żółtymi kafelkami.

- Niczego tu nie ma. - Wydawała się zawiedziona. Przejechała palcami po kafelkach. - O rany! Jakie brudne - wzdrygnęła się, oglądając koniuszki palców. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła w nią rękę. César włączył aparat, żeby zrobić kilka zdjęć ścian i peronu.

- Gdzie leżała?

- Tam. - César wyciągnął rękę.

Marie podeszła do wskazanego miejsca i przykucnęła. Wyjęła gumowe rękawiczki, foliową torebkę i zaostrozony na końcu patyczek. Zerknęła na kolegę, po czym zaczęła zeszkrobywać coś z posadzki.

- Zauważyłeś tu wczoraj krew? - usłyszał César.

- Krew? - Przerwał robienie zdjęć i przykucnął obok Marie. - Skądże. Dziewczyna została uduszona. Nie było tutaj żadnej krwi.

- Dzisiaj są zaschnięte ślady. Popatrz. - Przyglądała się z bliska niewielkim ciemnym plamkom.

- Rzeczywiście. Może wczoraj ich nie zauważyłem. Zawsze nosisz przy sobie ten zestaw? - Wskazał na jej rękawiczki, torebkę i patyczek.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda. - Marie podniosła się z posadzki. Zaciśnęła torebeczkę i schowała ją do kieszeni. - Teraz zaprowadź mnie do mieszkanka kloszarda.

César wyjął z torby dużą latarkę i ruszył przodem.

Kiedy tam weszli, Marie ponownie wyjęła chusteczkę i zakryła sobie nos. Fetor był nie do zniesienia. Chyba jeszcze gorszy niż zeszłej nocy, skonstatował César. Wszystko, co widział wczoraj, pozostało na swoim miejscu. Z wyjątkiem trupa. No, może jeszcze skrzynki służącej za stolik. Pewnie przeszkadzała wynoszącym ciało i przechodząc, kopnęli ją na bok. Niedojedzona konserwa i kawałki chleba leżały rozrzucone na podłodze. Marie podniosła otwartą puszkę.

- Jak myślisz, czym ją otworzył?
- Nożem. Musiał nim także pokroić chleb.
- Bez wielu rzeczy można się obejść w takiej sytuacji życiowej, ale nie bez noża...
- Pewnie służył mu nie tylko do krojenia i otwierania konserw.

- Nie kończ, proszę. - Marie zrobiła przeczący ruch ręką i znów przyłożyła do twarzy chusteczkę.

- Sorry. - César zrobił przeproszającą minę. W końcu to tylko słaba i delikatna kobieta, chociaż policjantka, przemknęło mu przez głowę. Rozejrzał się po ścianach. Nagle stanął jak wryty.

- Zobacz! - krzyknął.

Marie spojrzała szybko w tamtą stronę. Na szaroburej nieotynkowanej ścianie widniała czerwona litera A.

- To chyba krew - szepnęła Marie z przejęciem.

Wyjęła nową torebeczkę i zeskrobała do niej trochę substancji, którą namazana była litera.

Ciemność rozświetlił błysk flesza. César zrobił kilka zdjęć. Potem spojrzął na Marie wpatrzoną wciąż w ten sam punkt. Wziął ją pod łokieć i powiedział stanowczo:

- Wystarczy. Wracamy.

Warszawa, wrzesień 1997 roku

Przez dwa pierwsze dni szkoły Sonia próbowała porozmawiać z Anką na osobności. Bezskutecznie. Anka unikała jej jak ognia. Zmieniła miejsce i siadała w ławce z Magdą, z dala od Soni. Na przerwy wychodziła w towarzystwie innych koleżanek. Nigdy nie zostawała sama. Na prośbę o rozmowę w cztery oczy odburkiwała tylko, że nie ma ochoty. Wreszcie któregoś dnia Soni udało się ją dopaść w szkolnej toalecie. Były tu same. Sonia opierała się plecami o zamknięte drzwi, blokując jedyne wyjście.

- Czego chcesz?! - wrzasnęła Anka, czerwona ze złości.

- Dobrze wiesz - odpowiedziała spokojnie Sonia, choć czuła, że serce wali jej jak młot. - Wyjaśnij mi, co się wtedy stało w pociągu. Szukałam cię we wszystkich wagonach. - Sonia wpatrywała się natargiwie w błyszczące oczy Ani.

- Widocznie szukałaś niezbyt dokładnie - prychnęła Anka.

- Posłuchaj... - zaczęła Sonia, ale jej eksprzyciółka natychmiast jej przerwała.

- Nie, to ty posłuchaj! Odczep się ode mnie raz na zawsze. Daj mi wreszcie spokój! - Podeszła do Soni i stanęła tuż przed nią w lekkim rozkroku. Oddech miała szybki, urywany. Dłonie zacisnęła w pięści. Wyglądała wojowniczo, jakby szykowała się do ataku.

- Dobrze - odparła Sonia, przygotowana na ewentualny cios. Kolana jej drżały, ale starała się nie pokazać, że też jest zdenerwowana. - Dam ci spokój, jeśli mi wyjaśnisz, co się wydarzyło wtedy w pociągu - powtórzyła najspokojniej jak mogła.

Anka skrzyżowała ręce na piersiach i uśmiechnęła się szyderczo.

- Nic ci nie powiem - zasyczała.

- W takim razie ja ci coś powiem - odrzekła Sonia. - Opowiem ci, jak na moich oczach uduszono kobietę - powiedziała drżącym głosem. - Widziałam, jak zarzucili jej pętlę na szyję. Jak się szarpała... - Poczuli, że głos jej się łamie, a łzy napływają do oczu. - Tak strasznie krzyczała... Ze wszystkich sił walczyła o swoje życie. Nie wiem, co później zrobili z jej ciałem. - Pociągnęła nosem. - Chciałam wezwać pomoc, ale nie mogłam... Nie mogłam się ruszyć. Potem, kiedy upadłam na podłogę, wciągnęli mnie do przedziału. Tam... w tym ostatnim zamkniętym wagonie. - Łzy płynęły jej po policzkach. Nie patrzyła już na koleżankę. Jej wzrok wędrował gdzieś po podłodze. - Kazali mi tam siedzieć. Nawet nie wiesz, jak okropnie się bałam. Myślałam, że mnie zabiją... A później jeden z nich... Nawet się nie broniłam, kiedy on... - Sonia przeniosła wzrok z podłogi na Ankę. Zobaczyła, jak twarz jej dawnej przyjaciółki powoli się zmienia. Była wstrząśnięta, ale chyba wciąż nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała. Sonia spojrzała na nią żalownie. - Nic nie mogłam zrobić. Gdybym się broniła, na pewno by mnie zabił. Tak jak tamtą...

- Nie wierzę ci! Słyszysz? Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! - krzyknęła Anka.

Odepchnęła Sonię od drzwi i wybiegła z łazienki. Na schodach rozległ się tupot jej stóp. Sonia stanęła w drzwiach z otwartymi ustami.

11.

César wysadził Marie przed budynkiem prefektury, a sam pojechał do siebie, tłumacząc, że ma coś pilnego do załatwienia na mieście. Mało prawdopodobne, żeby Joan była o tej porze w domu. Cięża jej służy, więc dlaczego nie miałyby chodzić do pracy? Wszedł do pustego mieszkania. Pierwsze kroki skierował do łazienki. Zrzucił ubranie i wszedł pod prysznic. Trzeba pomyśleć o tym, żeby u Loli zostawić jakąś zapasową bieliznę i kilka koszul. Wytarł się do sucha i owinięty ręcznikiem poszedł do sypialni. Łóżko było starannie przykryte barwną narzutą, którą przywieźli z podróży poślubnej. César westchnął i usiadł na nim, żeby wytrzeć stopy. Pokój pachniał Joan. A właściwie jej delikatną wodą toaletową. W każdym razie zapach nie był tak ekstrawagancki jak perfumy Loli. Westchnął na jej wspomnienie. Wprost przepadała za zmysłowymi, ciężkimi perfumami, które tak cudownie współgrały z jej urodą i temperamentem. Jakież one są inne. Joan i Lola... Wyjął z szafki świeżą bieliznę i skarpetki. Założył czystą koszulę i spodnie. Przejrzał się w lustrze i przecesał palcami wilgotne włosy. Kilkudniowy zarost był jeszcze do przyjęcia. Poglądził policzki i brodę, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze. Znalazł czystą kartkę i skreślił na niej kilka słów do Joan. Poczul chwilową ulgę. Sam się rozgrzeszył za noc spędzoną poza domem. Prawda, jakie to proste? Nie umiał inaczej.

Gdy wchodził do biura, sekretarka podała mu złożoną na pół karteczkę.

- Dzwonili kilka razy. Strasznie się wściekali - szepnęła konfidencyjnalnie. - Powiedziałam, że załatwiasz ważne sprawy na mieście. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Dzięki. - Schował kartkę do kieszeni.

- Mam u ciebie duże lody - zachichotała, po czym spojrziała na niego zalotnie.

Przesłał jej dłonią całusa.

Wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Dopiero wtedy przeczytał, co było napisane na kartce. Mina mu zrzedła. Widniał na niej numer do biura Fauquarta oraz dopisek „pilne”

Przez chwilę siedział przy biurku, mnąc w rękach zwitek. Wreszcie sięgnął z westchnieniem po telefon i wybrał podany numer.

- Halo? - zachrypiął Fauquart.

- Mówi Bresson. Dzwonił pan do mnie.

- Nareszcie. Nie spieszył się pan.

- Załatwiałem...

- To mnie nie interesuje! - przerwał mu szorstko Czarny Płaszcz. - Jak dla mnie, mógł pan nawet wyskoczyć na szybki numererek. Chciałbym jak najszybciej spisać pańskie zeznania i mieć to już wreszcie z głowy. Liczę, że pojawi się pan u mnie w ciągu godziny.

- No, wie pan... - César był tak zaskoczony, że nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Spojrzał odruchowo na zegarek i nagle sobie uprzytomnił, że jest piekielnie głodny. Żołądek domagał się swego, burcząc niemiłosiernie. - Mam jeszcze coś do załatwienia. Powiedzmy, że będę około piętnastej.

- Przypomniało się o obiadku, co? - parsknął Fauquart, jakby czytał w jego myślach.

W Césarze aż zawrzało.

- Ma pan coś przeciwko temu? - spytał zaczepnie.
- Czekam punkt trzecia. - César usłyszał brzęk odkładanej słuchawki.
- Kretyn - powiedział do siebie i rzucił słuchawkę na widelki.

Spóźnienie się na lunch w kantynie oznaczało drastycznie zminimalizowany wybór dań oraz dojadanie w pośpiechu przypalonych resztek w towarzystwie czarnoskórych sprzątaczek - żeby chociaż były młodsze i zgrabniejsze... - które udawały, że są całkowicie pochłonięte zmywaniem stołów i podłóg. César zajął strategiczną pozycję w najdalszym kącie kantyny, aby szwadron sprzątający dotarł do niego jak najpóźniej. Spróbował ukroić kawałek zimnej pizzy. Bez powodzenia. Ciasto było twarde jak kamień. Zrobił trzy czy cztery podejścia, manipulując z wprawą nożem i widelcem, ale czołowa reprezentantka włoskiej kuchni okazała się wyjątkowo trudnym przeciwnikiem. Pizza umykała mu spod sztućców, ślizgała się po talerzu, za każdym razem lądując na stole. W końcu dał za wygraną i zabrał się do sałatki. Cholera, pewnie leży tu od wczoraj. Skrzywił się i odsunął talerzyk z niejadliwymi warzywami. Jedyne, na co nie mógł narzekać, to ser. Z wielkim apetytem spałaszował trzy kawałki, dopychając się kromką bagietki. Pozostał mu już tylko jogurt i woda mineralna. Zanim jednak zdążył zerwać wieczko z kubeczka, naprzeciwko niego usiadła Marie.

- Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz?
- Nie doceniasz mnie, kolego... - Uśmiechnęła się szeroko, prezentując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów.

Ladna jest, kiedy się tak uśmiecha, pomyślał.

- Coś się stało? - César zerwał wreszcie wieczko i zabrał się do jedzenia jogurtu.

- Uhm... - Marie położyła przed nim teczkę z dokumentami. - Przyszły raporty z sekcji zwłok dwóch pierwszych uduuszonych. Przejrzyj je w wolnej chwili, dobrze?

César otworzył butelkę z wodą.

- Napijesz się?

- Chętnie.

Nalał nieco wody do kieliszka i podsunął go Marie. Sam pił z butelki.

- Jadę złożyć zeznania do Fauquarta. - Marie uniosła jedną brew. - Stacja metra, na której znalazłem ciało, należy do jego rewiru. Będziemy musieli wystąpić o przekazanie nam tej sprawy, ale czuję, że będą problemy.

- Dlaczego?

- Nie wiem... Fauquart wygląda na zawodnika, który tak łatwo nie oddaje pola.

- To nie zabawa, tylko śledztwo.

- Nie jestem pewien, czy on potrafi dostrzec tę subtelną różnicę... - César kwaśno się uśmiechnął.

- Zobaczymy.

- Muszę już iść. - Zerknął na zegarek i podniósł się z krzesła.

Czuł niechęć do tego faceta, ale wolał się nie spóźniać. Nie chciał mu się tłumaczyć jak jakiś uczeń. Zabrał ze stołu tacę z brudnymi naczyniami.

- Nie zapomnij raportu. - Marie złapała teczkę i włożyła mu ją pod pachę.

César usiadł na wskazanym mu krześle. Czuł się niepewnie, ale nie zamierzał dać satysfakcji Czarnemu Płaszczowi i trząść portkami na sam jego widok. Postanowił zastosować technikę pokerowej twarzy. Guzik z niej wyczyta. Fauquart milczał przez chwilę, lustrując gościa od stóp do głów. Stara taktyczna zagrywka, chce mnie przygwoździć wzrokiem. Okej, niech próbuje, uśmiechnął się w duchu César. Wreszcie Fauquart przemówił:

- Co to za wycieczki urządza sobie na miejsce zbrodni, mój mały?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. - César poruszył się niespokojnie na krześle. Cholera, jakim cudem się o tym dowiedział?

- No, no, tylko nie próbuj kombinować. Przecież byłeś tam dzisiaj ze swoją dziewczyną.

- To nie jest moja dziewczyna, tylko koleżanka z wydziału.

- Nieważne. Może być nawet twoją ciotką. Co tam robiliście?

- Nie pańska sprawa.

- Nie podskakuj, tylko odpowiadaj grzecznie na pytania.

- O co panu właściwie chodzi?

César był coraz bardziej wściekły. Czuł, że za chwilę eksploduje.

- Słuchaj, jeśli jeszcze tego nie zrozumiałeś, to zaraz cię oświecę. Ja pytam, ty odpowiadasz, *capito*? Więc po co tam poszliście?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie seryjnych morderstw.

Zapadła chwila ciszy. Wyraz twarzy Fauquarta świadczył o tym, że komisarz nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie spuszczał wzroku z Césara, jakby to była próba sił.

- Seryjnych, powiadasz.
- W związku z tym proszę o udostępnienie mi raportów dotyczących wczorajszego zdarzenia, a także o kopię zapisu kamer umieszczonych na peronie.
- No oczywiście, mój mały. Już się rozpędzam - zakpił Fauquart.
- Komisarzu Fauquart, jeśli nie zechce mi pan wydać dobrowolnie tych akt, będę zmuszony powiadomić o tym mojego zwierzchnika, a wtedy...
- Goń się! - Fauquart spłoszył na twarzy. Odwrócił się raptownie na obrotowym fotelu, zatrzymując tyłem do Césara.
- Wynocha stąd. Ale już!
- César skoczył na równe nogi, trzęsąc się z oburzenia.
- Z największą przyjemnością.
- Wybiegł z gabinetu, głośno trzaskając drzwiami.

Pierwsze kroki skierował do gabinetu Starego. Komisarz siedział przy biurku, ukryty za stertą papierów. César zastukał w futrynę otwartych drzwi, zanim jednak zdołał powiedzieć choć słowo, Vincent wskazał mu ręką krzesło.

- Niepotrzebnie go obraziłeś - skarcił Césara. - Będzie nam siedział na karku i czekał na nasze pierwsze potknięcie.
- Chwila moment! To nie ja go obraziłem, tylko on mnie - zachnął się César. - Zaczął mnie przesłuchiwać jak jakiegoś drobnego złodziejzka. Jakbym to ja był głównym podejrzanym.
- Rzeczywiście... Ma trochę dziwny styl pracy. Ale też niezłe efekty.
- Dziwny? Jego sposób prowadzenia rozmowy jest nie do przyjęcia. To gbur i prostak. Zwyczajny cham, on...

- Tak, wiem. Znamy się już trochę. Ale uważaj, chcę cię przestrzec przed otwartą wojną z Fauquartem. Ten facet nie ma skrupułów. Jest jak stalowy byk. Sunie do przodu, tratując po drodze wszystko, co mu wpadnie pod kopyta. Czasem, dla świętego spokoju, lepiej mu ustąpić. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Szefie, przecież on... A zresztą! - machnął ręką - Fauquart nie ma racji. Robię, co do mnie należy. Prowadzę śledztwo i najzwyczajniej w świecie potrzebuję tych dokumentów. Więc niech mi je przekaże i odpieprzy się ode mnie raz na zawsze!

Stary patrzył na niego zatroskany i tylko kiwał głową.

- Uspokój się, César, i posłuchaj wreszcie, co do ciebie mówię! - wrzasnął niespodziewanie.

- Okej, okej... - mruknął potulnie César.

- Fauquart jest kuty na cztery nogi. Przyczai się, będzie węszył. W końcu, prędzej czy później, coś na ciebie znajdzie. I wyciągnie to jak asa z rękawa w najmniej oczekiwanym momencie. Lepiej z nim nie zadzierać. Staram się tylko dać ci dobrą radę, a ty zrobisz z tym, co zechcesz.

- Nie mam sobie nic do zarzucenia. - César spojrzał Vincentowi prosto w oczy.

- Być może. Ale pamiętaj, że cię uprzedzałem. Miej się na baczności przed panem komisarzem. Bo będziesz gorzko żałować.

- Więc jak? Wystąpi pan do niego służbową drogą o przekazanie akt?

- Powiedz Irène, żeby przygotowała pismo.

César skinął głową. Wyszedł na korytarz zadowolony, że wreszcie dopiął swego.

Warszawa, wczesna jesień 1997 roku

Początek października przyniósł ochłodzenie i deszcz. Sonia złapała grypę i została na tydzień w domu. Niestety, rutynowy zestaw leków zaordynowany przez lekarza nie pomógł i grypa przeszła w zapalenie oskrzeli. Kolejny tydzień wolnego. Była nawet zadowolona, że nie musi chodzić do szkoły. Przykryta ciepłym pledem, z zapasem papierowego ręcznika przy łóżku, chwilowo zastępującego chusteczki, patrzyła przez okno. W strugach deszczu ludzie przeskakiwali przez bure kałuże. Napuchnięty czerwony nos bolał od wycierania szorstkim papierem. Kaszel strasznie ją męczył. W radiowej Trójce zapowiedzieli kolejny odcinek *Z pamiętnika młodej lekarki*. Sonia nadstawiła ucha. Przy pierwszych słowach słuchowiska zaczął dzwonić telefon. Dziewczyna zmarszczyła czoło, z niechęcią wsunęła stopy w ciepłe pluszowe kapcie i poczłapała do przedpokoju.

- Halo - zachrypiała do aparatu.
- Sonia? - zapytał cienki dziewczęcy głosik. Sonia przytaknęła. - Ojej, to naprawdę ty? Nigdy w życiu bym nie zgadła...
- Marta nie mogła się nadziwić.
- Mam chrypę. Jestem bardzo przeziębiona.
- Właśnie dlatego dzwonię.
- Coś ciekawego w szkole? - Z radia dochodził głos młodej lekarki, do której przyszedł jakiś dziwny pacjent. - No mów! - ponaglała koleżankę.
- Słuchaj... - Marta zawiesiła głos. - Nigdy w życiu nie zgadniesz!
- Powiesz wreszcie? - znieczierpliwiła się Sonia.

- Wychowawczynie poinformowała nas na ostatniej lekcji... - Sonia odsunęła nieco słuchawkę od ucha. Strasznie jest ciekawa, co ta przezabawna radiowa lekarka zaleciła swojemu podopiecznemu. - ...więc ona już nie wróci do naszej budy. Wyobrażasz to sobie? - Chwila ciszy. - Halo, słuchasz mnie?

- Co... taak, jestem. Oczywiście. No i co dalej? - zapytała z głupia frant. Nie miała zielonego pojęcia, o czym trajkocze koleżanka.

- Soniu, ty mnie chyba w ogóle nie słuchasz? - W głosie Marty dało się wyczuć nutę pretensji.

- Nie, nie, przepraszam - tłumaczyła się pospiesznie. - Radio gra za głośno i dlatego nie usłyszałam. Możesz powtórzyć?

- Mówiłam, że Anka zmieniła szkołę.

- Coś takiego! Chyba żartujesz?

- Właśnie, że nie. Kosowska powiedziała, że Anka nie będzie już chodzić do naszej budy. Podobno jej starzy się rozwiedli. Anka wyprowadziła się razem z matką do innej dzielnicy.

- A dokładniej? - Sonia nie słuchała już radia. Teraz liczył się wyłącznie głos Marty.

- Skąd mam wiedzieć? Nikomu nic nie powiedziała. Nawet Magdzie. A przecież ostatnio siedziały w jednej ławce. I w ogóle strasznie się zakumplowały. A może ona tobie coś wspominała? Spędziłyście przecież razem wakacje.

- Nie. Nic nie wiedziałam.

- Myślałam, że się przyjaźnicie. - Marta nie odpuszczała.
- W zeszłym roku...

- To było dawno - ucięła krótko Sonia.
- Aha. - Marta dała wreszcie za wygraną. - No... w każdym razie tak to wygląda. Moim zdaniem dość nieciekawie. A jak ty się czujesz?
- Kiepsko. Biorę drugi antybiotyk.
- Kiedy wracasz?
- Może w przyszłym tygodniu. W czwartek idę na kontrolę.
- Aha, no to trzymaj się ciepło. I zdrowiej jak najszybciej!
- Dzięki. Marta...
- Tak?
- Zadzwoń... gdybyś się jeszcze czegoś dowiedziała.
- Myślałam, że cię to nie interesuje.
- No wiesz... tak tylko mówię.
- Nie ma sprawy. Cześć.

Sonia odłożyła w zamyśleniu słuchawkę. Do oczu napłynęły jej łzy. Czowała, że coś się w jej życiu skończyło. Coś pękło. Szurając kapciami, powlokła się do swojego pokoju.

11

Następnego dnia rano wszystkie gazety rozpisywały się o seryjnym zabójcy kobiet. Miasto ogarnęła panika. Telefony się urywały. Wszyscy chcieli poznać wyniki śledztwa.

- Ktoś dał im cynk. Jestem przekonany, że Fauqourt maczał w tym palce - skomentował to César z błyskiem w oku.

Ten „stalowy byk” jak go określił Stary, nieźle zalał mu za skórę. Teraz miał okazję się na nim odegrać.

- Nie ma na to dowodów - zaoponowała szybko Marie.

César już chciał zmrozić ją wzrokiem, ale doszedł do wniosku, że na początek wystarczy lekceważący uśmieszek.

- Powinniśmy zwołać konferencję, żeby uciąć wszelkie spekulacje. Trzeba przygotować oświadczenie. Marie, niech pani spróbuje napisać coś mądrego i skonsultuje to z Césarem. Przynieście mi tekst do akceptacji. - Vincent podniósł słuchawkę telefonu. - Irène, proszę mnie połączyć z rzecznikiem. Natychmiast.

- To teraz ja idę coś naskrobać. - Marie podniosła się z krzesła.

- Maksimum słów, minimum treści - uściślił swoje polecenie Stary. - Jak najmniej szczegółów.

- Zobaczą, co się da zrobić. - Kiedy wychodziła, zadzwonił telefon.

- Tak? Połącz. Witam cię, Marcus. Ja właśnie w tej sprawie. Chcemy położyć kres plotkom i domysłom. Oczywiście, przygotuję oświadczenie i prześlę ci je mejlem. Myślę, że nie ma na co czekać. Zrobimy to jeszcze dziś... Tak, tak, najlepiej po południu i miejmy to już za sobą. Cześć. - Komisarz odłożył słuchawkę.

César pomyślał, że już dawno nie widział Vincenta tak zdeenerwowanego.

O siedemnastej sala konferencyjna pękała w szwach. Dla części dziennikarzy zabrakło krzesel. Chcąc nie chcąc, musieli usiąść na podłodze. Kiedy dziesięć po piątej do sali weszli Vincent, César i Marcus Lacroix, rzecznik prasowy policji, w pomieszczeniu zawrzało. Rozbłysły flesze. Wszyscy trzej usiedli za długim stołem, na którym Irène postawiła wcześniej dzbanek z wodą i szklanki. Marcus przywitał dziennikarzy, przedstawiając

Vincenta i Césara, a następnie Vincent odczytał oświadczenie.

- Informujemy państwa, że w wyniku prowadzonego przez nas śledztwa mamy wszelkie powody przypuszczać, iż trzy morderstwa, których dokonano w obrębie Paryża na przestrzeni ostatnich dwóch miesięcy, mogą być w jakiś sposób ze sobą powiązane. Istnieje domniemanie o wspólnym sprawcy tych zabójstw. Dla dobra śledztwa nie możemy ujawnić szczegółów. Zapewniam jednak, że dochodzenie jest i będzie prowadzone z jak największą dbałością i zaangażowaniem z naszej strony. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby jak najszybciej ująć sprawcę.

César patrzył na twarze zebranych dziennikarzy wsłuchujących się z napięciem w każde słowo komisarza i czuł, że za moment rzucą się na niego z najbardziej podchwytliwymi pytaniami, jak wilki na upatrzoną ofiarę. Nie mylił się. Gdy tylko Vincent przeczytał ostatnie słowo, posypał się istny grad pytań.

- Czy to prawda, że ofiarami są wyłącznie młode kobiety?

- Dlaczego policja ukrywa personalia ofiar?

- Czy nie należałoby przestrzec wszystkich kobiet w Paryżu, żeby zachowały szczególną ostrożność?

- Jakie podjęto dotychczas środki zmierzające do ujęcia seryjnego zabójcy i co jeszcze policja zamierza zrobić w tej sprawie?

- W jaki sposób dokonano tych morderstw i jakie elementy są dla nich wspólne?

Mężczyźni siedzący za stołem popatrzyli po sobie. Marcus podniósł dłoń, uciszając salę.

- Drodzy państwo, proszę zachować spokój. - Uśmiechnął się pojednawczo i opuścił rękę. - A zatem, wracając do meritum, jak już powiedział komisarz Vincent, dla dobra śledztwa nie możemy na razie ujawnić jego szczegółów. Zapewniam jednak wszystkich tutaj zgromadzonych, że kiedy tylko nastąpi przełom w sprawie, zwołamy bezzwłocznie następną konferencję, na której poinformujemy o postępach w naszym dochodzeniu.

- Nie zaprzeczy pan jednak, komisarzu, że ofiarami tych morderstw są wyłącznie młode i ładne blondynki? - Dziennikarka z „France Soir” niemal wykrzyczała swoje pytanie. Wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Siedziała bardzo blisko stołu, a wyciągnięty dyktafon skierowała wprost do Vincenta. Zapadła chwila ciszy. Słychać było tylko trzask fleszy.

- Skąd ma pani takie informacje? - Komisarz nie dał się zbić z tropu.

- Więc potwierdza to pan? - Blondynka nie ustępowała.

- Niczego takiego nie powiedziałem - podniósł głos Vincent.

- Dosyć - warknął cicho Marcus.

Wstał z krzesła, dając tym samym znak, że konferencja dobiegła końca. Vincent i César zrobili to samo.

- Dziękujemy za uwagę. Do widzenia. - Wszyscy trzej ruszyli do wyjścia.

- Chwileczkę, inspektorze. - Dziennikarka zagroziła Césarowi drogę. - Podobno ostatnim razem było więcej ofiar. Nie tylko jedna... Czy to prawda, że zamordowane zostały cztery, a nie trzy osoby? - Inni dziennikarze zdążyli już otoczyć Césara ze wszystkich stron, wyciągając do niego mikrofony.

- Nie wiem, z jakiego źródła czerpie pani swoje informacje, ale przyrzekam, że dopadnę tego sukinsyna, który je roznosi, i zrobię z nim porządek. A pani może spokojnie spać, przecież ten drań morduje tylko ładne blondynki, nieprawdaż? - syknął César wprost do ucha dziennikarki. Cholera, trochę się zagalopował. Opanował wzburzenie i zwrócił się do reszty dziennikarzy: - Proszę państwa, na tym etapie śledztwa każda, najgłupsza nawet plotka może spowodować masową histerię. Czy o to właśnie wam chodzi? Chcecie wywołać panikę? - Odepchnął reporterkę, która stała przed nim, blokując mu przejście, i wymaszerował z sali.

- Brawo, inspektorze - powiedział Marcus, kiedy César zamknął już za sobą drzwi. - Tylko tego nam jeszcze brakowało. Wojny z mediami.

Vincent nie odezwał się, ale César czuł na sobie jego pełen wyrzutu wzrok.

Tego wieczoru miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Postanowił się upewnić i wysiadł nieoczekiwanie na najbliższej stacji metra. Wchodząc po schodach na powierzchnię, starał się obserwować, czy ktoś za nim idzie, ale w tłumie nie było to łatwe. Zatrzymał się na moment przy starej żelaznej tabliczce z napisem „Métropolitain” udając, że poprawia but, a potem ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem. Wpadł w tłum przechodniów, głównie czarnoskórych i Azjatów. Szedł szybko, trącając barwnie ubranych ludzi. Przyspieszył, gdy krępy Turek w niebieskiej kurtce i czerwonym wełnianym berecie krzyknął coś niezrozumiale, popchnięty przez niego niechcący. Kiedy przebiegał przez ulicę, zauważył po drugiej stronie niewielki sklep spożywczy. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Z głośników płynęła

arabska muzyka. Przysadzisty Turek z wielką łysą czaszką siedział przy kasie i czytał gazetę. César skinął mu głową. Wziął druciany koszyki zaszył się między półkami. Na przeciwległej ścianie sklepu, tuż pod sufitem, wisiało lustro pozwalające właścicielowi przyłapać ewentualnego złodzieja na gorącym uczynku. Udając, że ogląda konserwy rybne, César ukrył się za regalem, skąd mógł obserwować w lustrze wejście do sklepu. Czekał przez chwilę, kiedy nagle w drzwiach zobaczył znajomą postać. Z konserwą w dłoni rzucił się w tamtą stronę.

- Co tutaj robisz?! - krzyknął.

- César? - Marie wydawała się zaskoczona, choć akurat to go nie zdziwiło, gdy uzmysłowił sobie, jak raptownie wypadł zza regalu.

- Po jaką cholere mnie śledzisz? - wydyszał jej prosto w twarz.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Na twarzy Marie pojawił się leciutki rumieniec.

- Pytam, dlaczego za mną chodzisz. Stary ci kazał? A może współpracujesz z Fauquartem?

- Odbiło ci? Ja tutaj mieszkam. - Ruchem głowy wskazała żółtą kamienicę po drugiej stronie ulicy.

- Co?

- Ogluchłeś? Mieszkam tu, naprzeciwno. Po pracy zawsze robię zakupy w tym sklepie. Jak nie wierzysz, zapytaj właściciela.

César poczuł się jak ostatni kretyn.

- Przepraszam - wybąkał. - Miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

- Czy coś się stało? - zapytała, przyglądając mu się uważnie.

- Może jestem trochę przewrażliwiony.

- Trochę? - zachichotała Marie. - Chcesz o tym pogadać? Mam wolny wieczór, moglibyśmy...

- Dzięki, może innym razem. Dzisiaj strasznie się spieszę. Sama rozumiesz, rodzina, żona... - rozłożył ręce.

- Nie ma sprawy. Cześć. - Marie wzięła koszyk i ruszyła w głąb sklepu.

César spojrział na puszkę, którą wcześniej wziął z półki. Były to koreczki anchois. Położył je na ladzie. Sięgnął jeszcze po butelkę różowego wina, camembert i poprosił o zważenie kilku mandarynek. Zapłacił i wrócił do metra.

Pół godziny później stanął przed drzwiami mieszkania Loli przy bulwarze Sebastopol. Otworzyła mu dopiero po szóstym dzwonku. Bosa, w nocnej koszuli, ledwie trzymająca się na nogach. Jej twarz była przeraźliwie blada. César w jednej chwili upuścił na podłogę siatkę z zakupami i pomógł jej się położyć. Przykrył ją troskliwie kołdrą, a potem usiadł na brzegu łóżka.

- Myślałam, że już nie wstanę... - szepnęła. - Znalazłam dla ciebie drugą parę kluczy. Leży w kuchni.

- Dobry pomysł. - César pogłaskał Lolę po włosach. Poczuli, że dziewczyna lekko drży. - Kochanie, nie możesz się tak zamartwiać. Życie płynie dalej. Wiem, że to trudne, ale musisz się jakoś pozbierać i wrócić do pracy.

- Nie dam rady. Dzwoniłam już do teatru. Powiedziałam, że mam grypę.

- Przynajmniej coś dziś jadłaś?

- Nie mam apetytu.
- Zrobię ci herbaty.

César poszedł do kuchni. Po drodze wziął z przedpokoju siatkę z zakupami. Leżące na stole klucze schował do kieszeni. Nastawił wodę w czajniku i otworzył butelkę wina. Nalał sobie kieliszek. Popijając małymi łyżkami, poczekał, aż zagotuje się woda. Otworzył puszkę z anchois, po czym ułożył je na małym talerzyku. Wyjął z szafki zeschniętą bagietkę, spryskał ją wodą i ogrzał nad płomieniem gazowego palnika. Pokroił bułkę na grube kromki. Wyjął camembert. Na koniec zaparzył herbatę i poszedł do sypialni.

- Zrobiłem kolację - szepnął do ucha Nadii. - Chodź. Musisz coś zjeść.

Dziewczyna wstała niechętnie. Narzuciła szlafrok i poszła boso do kuchni. Usiedli przy stole. Nadia włączyła niewielki telewizor stojący w rogu kuchennego blatu.

„A teraz skrót wiadomości - usłyszeli głos spikerki. Na ekranie zobaczyli budynek policji, przed którym kłębił się tłum fotoreporterów. - Dziś po południu przedstawiciele policji potwierdzili niepokojące informacje o serii zabójstw na terenie Paryża... - Na ekranie pojawiły się migawki z konferencji. - W oficjalnym oświadczeniu komisarz Frédéric Vincent poinformował, że trzy morderstwa popełnione na przestrzeni dwóch ostatnich miesięcy są dziełem tego samego sprawcy. Mając jednak na uwadze dobro śledztwa, policja nie może ujawnić szczegółów sprawy. Nieoficjalnie mówi się, że wszystkie ofiary łączy fizyczne podobieństwo. Więcej na ten temat już za chwilę”

César wyłączył telewizor. Nie mógł już tego słuchać. Nie tutaj.

- Czy to prawda, César?! - Nadia popatrzyła na niego z napięciem.

- Kochanie, wiesz, że nie mogę o tym rozmawiać.

- Nie pieprz! - wybuchnęła. - Znalazłeś przecież Katię... Nie pomyślałeś, że to mogłam być ja?!

- Jak możesz o to pytać? Nie masz pojęcia, co przeżywałem, kiedy zrzucałem wszystkie te przekłete szmaty, pod którymi ona... - powiedział łamiącym się głosem.

- Co ty opowiadasz?! Jakie znowu szmaty? - Nadia spojrzała na niego przerażona.

- Cholera. Mam za długi język. Nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Przecież to była moja przyjaciółka... Chyba mam prawo wiedzieć?

- Przykryto ją kocami. Prawdopodobnie było to legowisko jakiegoś kloszarda.

- A on?

- Kto?

- Ten bezdomny. Niczego nie zauważył?

- Kochanie, nie próbuj mnie przesłuchiwać.

- César...

- I tak wystarczająco dużo ci powiedziałem. Zakończmy już ten temat, zgoda?

- Kiedy ja naprawdę nie potrafię przestać o tym myśleć.

- Nadia zaczęła płakać. César przytulił ją do siebie i gładził po włosach.

- W teatrze już wiedzą?

- Chyba nie... - Oczy Nadii zrobiły się wielkie i szkliste. - Może powinnam ich zawiadomić?

- Nawet o tym nie myśl.

Paryż, wrzesień 2007 roku

Taksówka mknęła w stronę lotniska. Za oknem przesuwały się paryskie przedmieścia. Minęli wielkie betonowe bryły hoteli Ibis i Kyriad, a potem centrum handlowe obwieszane gigantycznymi płachtami reklam. Za nimi pojawił się rząd drzew.

Zielono-żółte liście i unosząca się nad polami mgiełka przypominały, że niechybnie nadchodzi jesień. Na autostradzie nie było na szczęście korków.

W sobotni rano na Roissy samoloty lądowały i startowały jeden za drugim, a ich długie skrzydlate sylwetki widać było z okien pędzącej w kierunku lotniska taksówki. Minął dokładnie miesiąc od chwili, kiedy wydarzyło się coś, co przewróciło do góry nogami całe jego życie.

Samochód zjechał ostro na prawy pas, żeby dostać się na ślimak prowadzący do terminalu numer i. Przejechał przez bramkę i zatrzymał się przy szklanych rozsuwanych drzwiach z numerem 22.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu sięgnął po portfel. Szofer odwrócił się, żeby wydać resztę.

- Poproszę o rachunek - powiedział pasażer.

Kierowca wyjął ze skrytki bloczek i zaczął wypisywać blankiet.

- *Voilà* - podał klientowi świstek. - I jeszcze pański bagaż, *monsieur*.

Taksówkarz wysiadł z samochodu, żeby wyjąć z bagażnika walizkę. Mężczyzna schował pospiesznie rachunek i spojrzał na zegarek, a zaraz potem skierował się w stronę okienek odprawy bagażowej Star Alliance.

- *Bon voyage* - usłyszał za plecami głos taksówkarza.
Oby... pomyślał, oby to była miła podróż.

Cztery tygodnie wcześniej, lecąc tym samym lotem do Warszawy, poznał kobietę, która zafascynowała całym jego sercem i umysłem. Nigdy wcześniej nie doświadczył podobnego uczucia. Zakochał się w niej bez pamięci, w jednej chwili, jeszcze podczas startu, zanim zdążyła zdjąć wielkie przeciwsłoneczne okulary i zobaczył jej ogromne szare oczy. Obserwował ją ukradkiem, coraz bardziej ulegając fascynacji. Poczł, jak ciarki przechodzą mu po plecach na myśl o tamtym zdarzeniu i zapragnął znów przy niej usiąść, dotknąć jej ramienia, poczuć jej subtelny zapach. Nie znał jej, nie wiedział nawet, kim jest, a mimo to miał wrażenie, że kogoś mu przypomina.

12.

Czytałeś akta, które ci dałam? - spytała Marie, wsunąwszy głowę do pokoju Césara.

- Zacząłem je przeglądać - odparł z głową w papierach.
- Lekarz stwierdził, że Tessa była pod wpływem narkotyków - zakomunikowała, siadając po drugiej stronie biurka.
- Myślisz, że najpierw ją naszprycował, a potem udusił?
- Z raportu wynika jasno, że brała regularnie.
- Czyli narkomanka.
- Prawdopodobnie. W ciele znaleziono ślady kilku różnych substancji.
- Do tego eksperymentatorka.

- Może brała to, co miała akurat pod ręką.
 - Jeszcze jakieś rewelacje?
 - Julie Strass była w piątym tygodniu ciąży.
 - O cholera! Ciekawe, czyjej chłopak o tym wiedział.
 - Ustalono już jego dane. Można poprosić o przesłuchanie za pośrednictwem Interpolu.
 - Załatw to jak najszybciej. Czy Fauquart przesłał już akta dotyczące trzeciej zamordowanej?
 - Nie.
 - Gra na zwłokę. Muszę zmobilizować Starego, żeby wreszcie wyciągnął od niego te dokumenty.
 - Spróbuj. Ale moja kobieca intuicja podpowiada mi, że nie będzie to najłatwiejsze zadanie.
 - Masz na myśli Fauquarta?
 - Mam na myśli Starego.
 - Czemu? Powinno mu zależeć tak samo jak nam. W końcu jest odpowiedzialny za ostateczny wynik śledztwa.
 - Sam wiesz, że między Starym a Fauquartem są jakieś zaszłości z dawnych lat. Odnoszę wrażenie, że nasz szef woli unikać bezpośredniej konfrontacji z tym jegomościem.
 - Hm, masz rację. Coś musi być na rzeczy... - zamyślił się César.
- Do pokoju zajrzał François.
- Znacie najświeższe wiadomości?
 - Jakież? - zapytali niemal równocześnie. François rzucił na biurko plik gazet.
 - Ktoś poinformował prasę, że zamordowane dziewczyny były tancerkami z nocnych klubów. Afera na całego! Stary zarządził walne zebranie. Za dwadzieścia minut w konferencyjnej! - krzyknął i pobiegł dalej obwieszczać swoją nowinę.

- Idę o zakład, że to Fauquart. Wredna szuja... - zasyczał César, biorąc do ręki gazetę, która już na powitanie krzyczała wielkim nagłówkiem: „Seryjny morderca wybiera na swoje ofiary najpiękniejsze tancerki Paryża!”

- Myślisz, że to on? - spytała Marie, przeglądając inną gazetę.

- Widocznie zdążył już ustalić tożsamość dziewczyny znalezionej w metrze.

- Skąd wiesz, że ona też była tancerką? - Marie spojrzała Césarowi prosto w oczy.

- Co? No... zakładam, że tak właśnie było. - César szybko odwrócił wzrok. Udawał, że czyta artykuł, modląc się w duchu, żeby ta nadzwyczaj przenikliwa policjantka nie zauważyła zmieszania na jego twarzy.

- Nie sądzisz, że to raczej ktoś z naszej ekipy?

- Chyba żartujesz. Kto mógłby wpaść na taki absurdalny pomysł? I po co?

- Nie wiem... Na przykład dla pieniędzy.

- Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Snuję czysto teoretyczne domysły. - Marie wzruszyła ramionami.

César zachodził w głowę, czy Marie mówi poważnie, czy też prowadzi z nim grę zmierzającą do wyciągnięcia z niego informacji, które wolał zachować dla siebie.

- To co, chyba czas na nas? - Spojrzał na zegarek. - Nie chciałbym być tym, który się dziś spóźni. Stary ma pewnie nie najlepszy humor.

Nie mylił się. Vincent przywodził na myśl rozjuszonego buhaja.

- Powtarzam, jeśli się dowiem, że to ktoś z was przekazał prasie informacje na temat naszego śledztwa, nie zawaham się przed wyciągnięciem najsurowszych konsekwencji, z możliwością zwolnienia ze służby włącznie! - Twarz komisarza była purpurowa z wściekłości i jakby lekko nabrzmiała. Gdyby nie dramatyzm chwili, można by rzec, że wyglądał dość komicznie. W sali panowała cisza jak makiem zasiał. Vincent potoczył wzrokiem po twarzach zebranych. Powiało grozą. - Panowie... i pani... - poprawił się szybko Stary, spojrzawszy na Marie - od tej chwili żadna, podkreślam, żadna informacja dotycząca prowadzonego przez nas śledztwa nie ma prawa się stąd wydostać bez mojej zgody. Opuszczając mury tego budynku, macie zapomnieć o wszystkim, co się tutaj dzieje. Całkowita amnezja, że się tak wyrażę. Żadnych rozmów z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi... Nic. Po prostu morda w kubeł. Rozumiemy się? - Po sali przeszedł pomruk mający wyrażać pełną aprobatę dla tego „odgórnego rozporządzenia” - Dobrze, czyli tę kwestię mamy omówioną. Przejdźmy zatem do postępów w naszym śledztwie. César...

- Jak już wicie, znaleziono trzecią ofiarę - chrząknął wywołany do odpowiedzi, starając się zyskać na czasie, żeby dobrać najodpowiedniejsze słowa, równocześnie zaś jak najmniej powiedzieć o swoim udziale w tej sprawie. - Nie znamy jeszcze jej personaliów, ponieważ komisarz Fauquart nie raczył nam ich przesłać - dodał z przekąsem.

Po prostu nie mógł sobie odmówić tej drobnej przyjemności.

- Do rzeczy - skarcił go Vincent. - Nie będziemy teraz dyskutować o współpracy międzywydziałowej.

- Trzecia denatka została uduszona w podobny sposób jak dwie pierwsze. Była również w zbliżonym do nich wieku. Kolejny wspólny element to fizyczne podobieństwo. Wszystkie trzy ofiary łączy taki sam typ urody.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem jedną kwestię: skoro prowadzący tę sprawę komisarz Fauquart do tej pory nie dostarczył nam akt, to skąd inspektor ma na ten temat tyle informacji? - zapytał z końca sali Jean-Marc, któremu natychmiast przytaknęło kilka osób.

- Nie twój interes - ostro zgasił go César.

- Spokój! - wrzasnął Vincent. - Tak się składa, że to właśnie inspektor Bresson znalazł ciało. Czekał na ekipę, miał okazję przyjrzeć się ofierze oraz miejscu zbrodni. - Jego słowom towarzyszył szmer zdziwienia. Marie spojrzała wymownie na Césara, który opuścił głowę, udając, że przegląda notatki.

- Proszę, kontynuuj - zwrócił się do niego komisarz już nieco łagodniejszym tonem.

- W trakcie oględzin miejsca zbrodni zostały odkryte ślady prowadzące do pomieszczenia, które znajduje się w tunelu metra. Znalaziono tam zadźganego nożem kloszarda. Jak już powiedziałem, nie mamy jeszcze wyników analizy, można jednak wstępnie przypuszczać, że również to morderstwo jest dziełem naszego seryjnego zabójcy.

- Ale... przecież do tej pory wyłącznie dusił - stwierdził z niejakim zdziwieniem Pierre, który siedział obok Jean-Marca.

- Istotnie. W tym przypadku jednak należałoby wyjść z założenia, że bezdomny mógł być świadkiem uduszenia dziewczyny. Jego szmaty posłużyły mordercy do przykrycia zwłok.

Kiedy zauważył świadka swojej zbrodni, najpierw go dogonił, a następnie, po krótkiej szamotaninie, zabił nożem. Moim zdaniem ten wariant jest zupełnie możliwy.

- Chwilowo są to jedynie nasze przypuszczenia, które mam nadzieję, potwierdzimy lub ostatecznie wykluczemy, jak tylko dotrą do nas niezbędne dokumenty - włączył się Vincent.

- Mamy jednak kilka dowodów. Po pierwsze, w miejscu znalezienia uduszonej odkryto ślady krwi. Marie, czy są już wyniki badań?

- Tak. Szkoda tylko, że nie dysponujemy materiałem porównawczym. Nie wiemy, czy jest to krew kloszarda, czy też mordercy. Dopóki komisarz Fauquart nie udostępni nam swojego raportu...

- W porządku. César, co jeszcze?

- Na ścianie pomieszczenia znajdującego się w tunelu metra widniała kolejna litera. Oto zdjęcia. Przepraszam za ich jakość, ale było strasznie ciemno. - César położył na stole kilka odbitek.

- Tym razem wiemy z całą pewnością, że literę namalowano lub raczej namazano krwią, a nie czerwoną farbą. Potwierdziły to badania laboratoryjne. Nie jest to jednak ta sama krew, którą znaleźliśmy na peronie - dodała szybko Marie.

- Podejrzewamy, że do napisania litery sprawca użył krwi kloszarda, natomiast brunatne plamki na stacji metra to krew mordercy. Być może został zraniony podczas szamotaniny z kloszardem.

- W dalszym ciągu są to jednak wyłącznie domysły - zabrał głos Vincent. - Wróćmy do faktów. Marie, bardzo proszę, zapoznaj nas z wynikami badań dwóch pierwszych ofiar.

- Z raportu lekarza sądowego wynika, że pierwsza zamordowana, Tessa van Graaf, brała regularnie narkotyki. W chwili morderstwa również znajdowała się pod ich wpływem.

- Będziemy więc musieli powęszyć w środowisku dilerów i narkomanów w pobliżu tej budy, w której występowała Tessa. - Komisarz rozejrzał się po sali, po czym zakomenderował: - François i Fabien, wy się tym zajmiecie.

- Tak jest, szefie - odpowiedział François, a Mruk tylko skinął głową.

- Julie Strass była w piątym tygodniu ciąży - mówiła dalej Marie. - Ustaliliśmy dane jej chłopaka, który na tydzień przed morderstwem wyjechał do Londynu. Poprosiłam Interpol o pomoc. W najbliższych dniach powinnam otrzymać informacje w tej sprawie. Kiedy tylko zjawi się w Paryżu, natychmiast go przesłuchamy.

- Świetnie - pochwalił ją Stary.

- To wszystko - dodał César.

- Niezupełnie - sprostowała Marie. - Uważam, że powinniśmy dokładnie sprawdzić wszystkie zabójstwa kobiet, które miały miejsce w obrębie Paryża w ciągu ostatniego roku. Być może nasz zabójca zaczął działać już wcześniej, nie tylko w centrum, ale też przykładowo na obrzeżach miasta, a my nawet o tym nie wiemy. Wiedza na ten temat pozwoliłaby nam sporządzić bardziej precyzyjny portret psychologiczny sprawcy.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy zadawali sobie pytanie, dlaczego sami na to nie wpadli.

- Świetnie. - Vincent spojrział na nią z podziwem. - Weź do pomocy Pierre'a. W razie potrzeby wyznaczę dodatkową

osobę. - Pierre nie wydawał się zachwycony poleceniem szefa, ale milczał potulnie. - To tyle na dziś, moi państwo. Bierzcie się do roboty.

Kiedy wszyscy zbierali się już do wyjścia, César pochylił się do Vincenta i spytał przyciszonym głosem:

- Masz jakąś odpowiedź od Fauquarta?
 - Taa... Odpisał, że jak tylko skończą przesłuchiwać świadków, prześlą nam niezwłocznie raport.
 - Tere-fere - parsknął César.
 - Fauquart ma obowiązek spisać twoje zeznania - odparł bez mrugnięcia okiem komisarz. César oniemiał. - W przeciwnym razie nie zechce nam przekazać akt. Dotarło?
 - To co? Może powinienem teraz poprosić o przesłuchanie? Mam się przed nim płaszczyć? Niedoczekanie...
 - Po co się zaraz tak unosisz? Ostrzegłem cię przed nim. Dobrze wiesz, że bez tych akt nie ruszymy z miejsca.
- Vincent zebrał swoje dokumenty i wyszedł z sali.

Samolot do Warszawy, sierpień 2007 roku

Przez całą drogę próbował ją zagadnąć. Bez powodzenia. Najpierw wyjęła książkę, którą czytała przez pół godziny. Zerkał na nią raz po raz, łudzac się, że kiedy oderwie się od lektury, będą mogli wreszcie porozmawiać. Plan numer i spalił na panewce, co go jednak nie zraziło. Potem stewardesy podały posiłek, a ona założyła słuchawki. Podczas jedzenia patrzyła przez okno, mógł więc tylko podziwiać jej profil. Przed końcem lotu oparła się wygodnie o zagłówek fotela i zasnęła. Kiedy samolot

wylądował na warszawskim lotnisku, dotknął delikatnie jej ramienia. Dziewczyna otworzyła ze zdumieniem oczy, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Uśmiechnęła się lekko, po czym natychmiast oprzytomniała i schowała do torebki słuchawki, a następnie książkę. Wyjęła telefon komórkowy i zamówiła taksówkę. Zdobył się jedynie na niewiele mówiący uśmiech, kiedy podawał jej podręczną walizeczkę, a potem na jeszcze jeden, kiedy ją przepuszczał do wyjścia. Chciał ją dogonić, ale naraz przypomniał sobie, że zostawił w schowku teczkę. Szlag by to trafił! Zrezygnowany i zły na siebie, przeszedł przez opustoszały kadłub samolotu, przepraszając stewardesę. Dotarł do swojego miejsca, no tak... Pokiwał głową - w otwartej szafce leżała jego czarna skórzanateczka. Szybko ją wyjął i już miał się odwrócić w stronę wyjścia, gdy nagle jego uwagę przykuł mały niebieski notes wciśnięty między siedzeniem a oparciem fotela, na którym siedziała nieznajoma pasażerka. Zatrzymał się niezdecydowany, co robić. Spojrzał w stronę kokpitu. Stewardesa była zajęta zbieraniem porozrzucanych gazet. Czym prędzej sięgnął po notes i schował go do kieszeni marynarki.

Idąc z samolotu do wyjścia z lotniska, przez cały czas myślał o zawartości swojej kieszeni. Miał nieodpartą ochotę zajrzeć do środka. Oparł się jednak pokusie, postanawiając, że zrobi to dopiero wówczas, gdy opuści lotnisko. Na postoju taksówek jeszcze raz rozejrzał się za nieznajomą, którą tak niefortunnie stracił z oczu. Może nie zdążyła jeszcze odjechać. Niestety, nigdzie jej nie było. Wsiadł do taksówki i natychmiast wyjął z kieszeni niebieski notes.

W poszukiwaniu jakichś informacji o właścicielce zaczął przeglądać go uważnie. I wtedy, pod datą 2 września, dostrzegł zapis: „17.00, Marriott, Lobby”

- Yes! Yes! Yes! - wykrzyknął triumfalnie i aż podskoczył na siedzeniu. Taksówkarz uśmiechnął się z politowaniem. Co to się tu, panie, porobiło, jak Boga Kocham! Nie ma dnia, żeby się nie trafił jaki oszołom. Co za czasy...

13.

Tego popołudnia César nie miał ochoty siedzieć do późna w pracy. Wyszedł kilka minut po siedemnastej, z nikim się nie żegnając. Nie obchodziło go, czy reszta towarzystwa będzie zasuwac po godzinach. Zacerpnął świeżego powietrza i zapalił papierosa. Joan uprzedziła go przy śniadaniu, że do Paryża ma przyjechać rodzina jej matki, która złoży im wieczorem wizytę. Nie chciał jej zawieść. Nie tym razem. Poszedł w stronę stacji metra. Wiatr ostro zaciął. Wielkie ołowiane chmury gnały po niebie. César spojrzął w górę i zaklął w duchu: Cholera, znowu będzie lało. Pieska pogoda... Postawił kołnierz kurtki i wtedy mu się przypomniało, że miał sobie kupić ciepły płaszcz. Cemu nie dziś? Skierował się w stronę mieniącego się kolorowymi neonami bulwaru Saint-Michel. Kwadrans potem był już po drugiej stronie Sekwany. Na ulicach panował ożywiony ruch. Minął wąskie przecznice pełne straganów z pamiątkami dla turystów i wszedł na chodnik bulwaru. Po obu stronach, na parterze wysokich kamienic mieściły się sklepy z ubraniami i obuwiem. Wystawy zachęcały do wejścia. Zerknął na witrynę z

męskimi butami. Jedna z par wydała mu się na tyle ciekawa, żeby zawiesić na niej oko. Wprawdzie cena nieco go odstraszyła, ale postanowił coś przymierzyć. Obszedł półki, na których stary męskie pantofle, i zatrzymał się przy ostatnim regale. Na samym końcu dostrzegł kilka par nieco ekstrawaganckich butów w kowbojskim stylu, niektóre ze ściętymi obcasami, stępowane grubą kontrastową nicią. Wziął do ręki te najmniej „spektakularne” - był w końcu policjantem, a nie wykonawcą muzyki country - sprawdził rozmiar i założył. Przy opuszczonej nogawce spodni trudno było je odróżnić od zwykłych butów. I bardzo dobrze! Leżały jak ulał. Za taką cenę! Ze sklepu wymaszerował już w nowych butach. Starą parę zabrał w plastikowej torbie, którą zaraz wyrzucił do najbliższego śmietnika. Szedł dalej bulwarem, przystając co kilka kroków, żeby pogapić się na wystawy. Minął przecznicę, na rogu której znajdowało się spore zagłębienie z odkrytymi wykopaliskami. Nie miał czasu się temu przyjrzeć, ale obiecał sobie, że w wolnej chwili tu wróci. Wreszcie dotarł do placu Sorbony z ośmiokątną fontanną pośrodku po obu stronach otoczoną szpalerem drzew i latarń w stylu retro. Pełno tu było roześmianej młodzieży dyskutującej w różnych językach. Nic dziwnego, w centralnym miejscu placu stał bowiem rozłożysty budynek najsłynniejszej francuskiej uczelni, Sorbony. Rozglądał się chwilę, po czym wszedł do usytuowanego na rogu sklepu Gapa. Na parterze królowała niepodzielnie moda dla pań w każdym wieku. Kręciło się tam kilka młodych dziewczyn, które oglądały ciepłe zimowe swetry cieszące oko soczystymi kolorami. Ten z dekoltem w serek na pewno spodobałby się Joan, przemknęło mu przez głowę. Pod

wpływem impulsu podszedł do wieszaka i wybrał mały rozmiar w kolorze fuksji. Spojrzał na metkę z ceną. Sześćdziesiąt dziewięć euro. Bagatela! Skrzywił się, ale zabrał sweter ze sobą. Wjechał schodami na pierwsze piętro. Wełnianych płaszczy wprawdzie nie znalazł, ale na wieszakach wisiało sporo kurtek o interesujących fasonach. Przymierzył trzy. Wszystkie mu się podobały. No bracie, szybka decyzja, ponaglił się w duchu. Wreszcie wybrał czarny sportowy model z kapturem. Sprzedawczyni podała mu również niebieski szalik z miękkiej wełny, dobrany kolorystycznie do podszewki. Okręcił go wokół szyi i stwierdził z zadowoleniem, że ten dodatek przydaje sportowej kurtce nutkę elegancji. Pogwizdując wesoło, zszedł do kasy. Teraz musiał jeszcze tylko wstąpić do delikatesów po przeciwnej stronie bulwaru, żeby kupić butelkę dobrego wina. Zerknął na swoje nowe buty i ruszył przed siebie kowbojskim krokiem.

Już od progu poczuł zapach smażonej ryby.

- Cholera, kupiłem czerwone wino! - zaklął pod nosem.

Joan stała przy kuchence z patelnią w ręku.

- Dobrze, że jesteś! - zawołała ucieszona. - A już się bałam, że znów cię wyślą na jakieś oględziny.

- Mam coś dla ciebie. - César położył na stole torbę Gapa.

- Kupiłeś wino?

- Tak. - Wręczył jej dwie butelki i poszedł do przedpokoju, żeby się rozebrać.

- Widzę, że masz nową kurtkę! - krzyknęła za nim. - Fajna. A to co? - Joan spojrzała ze zdziwieniem na stół.

- Nie wiem, czy ci się spodoba...

César wrócił do kuchni. Zrobił tajemniczą minę i wyjął z torby sweterek.

- Prześliczny! - Joan cmoknęła go w policzek. - Jak to miło, że o mnie pomyślałeś.

- Nie tylko o tobie. Sobie też coś kupiłem. No i jak? Podobają ci się moje kowbojki?

- Super. Nareszcie masz porządne buty. Już dawno ci mówiłam, że człowiek najbardziej marznie od nóg. Pomożesz mi nakryć do stołu?

- Jasne. Tylko umyję ręce. - César poszedł do łazienki. Zamknął za sobą drzwi, odkręcił wodę i wyjął telefon. W wielkim pośpiechu napisał esemesa do Loli, po czym umył ręce. W kieszeni spodni poczuł wibrowanie. Jest! Sięgnął znów po komórkę. „Ja też Cię Kocham” odpisała. César nie posiadał się ze szczęścia. Miał ochotę fikać koziołki. Zamiast tego cmoknęła wyświetlacz, szybko skasował otrzymaną wiadomość i pobiegł jak na skrzydłach nakrywać stół.

Początkowo rozmowa nie bardzo się kleiła. Teściowa przez cały czas patrzyła na Césara takim wzrokiem, jakby chciała go przeświecić. Kiedy otwierał drugą butelkę wina, wszyscy byli już w dużo lepszych humorach niż na początku spotkania. Języki same się rozwiązały, a tematy sypały się jak z rękawa.

- Więc mówisz, że César prowadzi tę głośną sprawę seryjnych morderstw. Niesamowita historia... - zagaił wuj Henri, spoglądając na Joan. - Prasa się o tym rozpisuje.

- Kiedy złapiecie sprawcę? - spytała Cécile, jego żona.

- Mam nadzieję, że już niedługo - odparł wymijająco César. Sięgnął po butelkę, żeby napęlić kieliszki.

- Wystarczy, wystarczy... - zachnęła się Cécile. - Musimy jeszcze wrócić do domu o własnych siłach. A mój rycerz - spojrziała wymownie na Henriego - jak sobie za bardzo popije, na pewno nie będzie mnie niósł na rękach...

Oczy jej błyszczały. Usta miała pełne i zmysłowe. Choć niewątpliwie dawno już przekroczyła czterdziestkę, wyglądała świetnie. Zmarszczek niewiele. Ładne regularne rysy twarzy. Lekko kręcone kasztanowe włosy opadały w bujnych splotach na ramiona. Mimo pewnej nadwagi Cécile miała zgrabną i seksownie zaokrągloną figurę. César pomyślał, że wygląda bardzo apetycznie.

- Takich drani powinno się wieszać za jaja. I to bez żadnego sądu. Z miejsca, jak tylko ich dorwą! - wydał drakoński wyrok wuj Henri. - Ale nie, nic z tego, moi drodzy. Takie czasy teraz nastały, taka sprawiedliwość. Zamiast raz, dwa, trzy zrobić porządek z kanalią, będą się z nim cackać jak ze zgniłym jajem. No bo proszę ja was, taka teraz moda. Najpierw musi być psycholog, który sobie z nim pogada tak od serca i w końcu tak czy siak dojdzie do wniosku, że biedaczek miał niby trudne dzieciństwo, ojca pijaka, matkę dziwkę... *pardon*, nie przy damach... i takie tam dyrdymały. A potem się okaże, że facet jest niewinny. A kto za to wszystko płaci? My, to znaczy społeczeństwo, z naszych własnych podatków. Uff, muszę się czegoś napić, bo aż mi w gardle zaschło od tego gadania. César, polej...

W przeciwieństwie do żony po nim widać było upływ czasu. Z wielkimi zakolami, które usiłował na próżno ukryć za pomocą misternej zaczeski, z twarzą jak księżyc w pełni pooraną głębokimi bruzdami i pękatym brzuchem przypominał starego wieloryba.

- Proszę, częstujcie się, moi drodzy. - Yvonne podsunęła gościowi półmisek z rybą. - Joan trochę ją wprawdzie przypaliła, ale smakuje całkiem nieźle.

- Och, mamó. Wiesz, że się starałam... - naburmuszyła się zganiona kucharka.

- Ależ oczywiście, kochanie. - Cécile pogłaskała ją po ręce. - Nic się nie stało. Twoja ryba jest przepyszna. A jak pięknie pachnie. *À propos*, to flądra czy dorsz? - spytała z niewinną miną. - I przestań się wreszcie przejmować takimi głupotami. Jesteś w ciąży i to jest teraz najważniejsze. Dobrze mówię? - Spojrzała wymownie na resztę towarzystwa, jakby szukała u nich potwierdzenia swoich słów.

Jako pierwszy przyszedł jej w sukurs małżonek.

- Dobrze, bardzo dobrze mówisz. Jak zawsze, moja droga, jak zawsze. Najważniejszy brzusek. A jeśli chodzi o rybkę, to ja też uważam, że powinna być obowiązkowo dobrze wysmażona. Przynajmniej mam wtedy pewność, że się nie struje...

- Oj, Henri, dajże wreszcie spokój! Zawsze musisz się z czymś wyrwać - upomniała go Cécile, wznosząc oczy do nieba.

- W takim razie wypijmy za nowego członka rodziny! Mam na myśli tego, który niebawem do nas dołączy... Wicie już, jaka jest płeć dziecka?

- Nie, na to jeszcze za wcześnie. Lekarz powiedział, że dopiero przy następnym USG będzie mógł stwierdzić, czy to chłopczyk, czy dziewczynka. - Joan wyraźnie poweselała.

- A imiona? Macie już jakiś pomysł?

- Nie - odparł César.

- Tak - niemal równocześnie z nim odpowiedziała Joan. Spojrzeli na siebie. On był wyraźnie zaskoczony, jego żona

speszona. - To znaczy... Myślałam o tym,.. - poprawiła się szybko.

- No i...? - Cécile nie odpuszczała.

- Podoba mi się Julie.

- Wykluczone! - zaoponował stanowczo César, któremu to imię skojarzyło się natychmiast z drugą ofiarą seryjnego mordercy. - Nie zgadzam się. Ani Julie, ani Tessa, ani Katia - wypalił.

- Ale dlaczego? - zapytała Joan ze łzami w oczach. - Przecież Julie to takie ładne imię.

- Nie, i już. - Césarowi zrobiło się naraz głupio, ponieważ zdał sobie sprawę, że niechcący tak nierozważnie zdradził informacje dotyczące śledztwa. Chciał jak najszybciej zmienić temat. - Poza tym jestem przekonany, że to będzie chłopak.

- To rozumiem. Święte słowa. Nie ma to jak syn! - Henri uniósł kieliszek. - Wypijmy więc za juniora.

- Jak możesz? - Joan spojrzała z wyrzutem na męża. Zerwała się z krzesła i pobiegła z płaczem do sypialni.

Zapadła niezręczna cisza. Henri wypił toast, po czym zabrał się za dokończenie ryby, z wielkim namaszczeniem wydłubując ości widelcem. Cécile udawała, że czyści nieistniejącą plamę na spódnicy.

César miał serdecznie dosyć tego miłego rodzinnego wieczoru. Odsunął od siebie kieliszek i zatopił wzrok w talerzu. Cholera, i tak już będzie zawsze. Rodzinna sielanka do grobowej deski.... westchnął w myślach. Powinienem był ją zostawić w dniu ślubu. Dlaczego nie miałem dość siły, żeby to zrobić? Teraz mógłbym przynajmniej być u Loli. Podniósł oczy i zobaczył wlepiony w siebie wzrok Yvonne. Patrzyła na niego tak, jakby czytała w jego myślach.

- Może pójdziesz i wytłumaczysz jej swoje niemądre zachowanie? - syknęła, sztyletując go wzrokiem.

- Przecież mamy gości...

- No, no, już ty się gośćmi nie przejmuj. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Sama się nimi zajmę. Martw się o żonę. Gospodarz się znalazł. Dobrze sobie!

César poczuł ciarki na plecach. Przeprosił Cécile i Henriego i wyszedł z pokoju.

Warszawa, 2 września 2007 roku

Nie mógł się doczekać tego dnia. Już od samego rana go nosiło. Wreszcie, kiedy już się wykąpał, wypachnił i założył swoje najlepsze ubranie, zadzwonił po taksówkę i pojechał wprost do hotelu. Dochodziło wpół do piątej. Siedział w barze, popijając kawę. Kręciło się tam wiele osób. Większość stolików była zajęta. Przez chwilę przypatrywał się ludziom siedzącym wokół, potem zaczął lustrować wszystkich wchodzących do obszernego holu. Nigdzie nie dostrzegł jednak swojej sąsiadki z samolotu. Kilka minut po piątej z windy wyszedł starszy mężczyzna w popielatym garniturze i skierował się do baru. Zerknął na dwa wolne stoliki, po czym wybrał ten, który stał bliżej okna. Zamówił whisky i sącząc bursztynowy płyn, przyglądał się otoczeniu. Chwilę później do jego stolika podeszła ta kobieta. Przywitała się z mężczyzną pocałunkiem w policzek. Niezbyt wylewnie, ocenił z zadowoleniem. Nie słyszał, o czym rozmawiają, ponieważ siedział trochę za daleko. Patrzył więc tylko na tę zjawiskową kobietę, swój obiekt pożądania, na jej paryski

szyk i oszczędną gestykulację. Emanowała z niej jakaś tajemniczość, która go fascynowała i oszalała. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie oczarowała go w taki sposób.

Odczekał, aż para się pożegna. Na odchodne mężczyzna, już nieco wstawiony, przycisnął kobietę mocno do siebie. Wycałował ją w oba policzki i odprowadził do drzwi. Potem stał i patrzył przez szybę, jak idzie w stronę Alej Jerozolimskich.

Poszedł za nią, zastanawiając się po drodze, jakby nawiązać rozmowę. Był tak blisko celu. Gdyby teraz się nie ośmielił, nigdy by sobie tego nie wybaczył! I wtedy przypomniał mu się jej notes, który w dalszym ciągu spoczywał w kieszeni jego marynarki. Uśmiechnął się do siebie.

- Proszę pani! - krzyknął ucieszony. - Halo, proszę czekać!

Dziewczyna odwróciła się i przystanęła.

- Do mnie pan mówi? - spytała zdziwiona.

- To chyba pani własność? - Podał jej niebieski notes.

- Rzeczywiście. Skąd go pan ma?

- Znalazłem... na ulicy. Widocznie wypadł pani z torebki.

Dziewczyna obejrzała uważnie swoją zgubę. Potem powędrowała wzrokiem ku jego twarzy. Nie wierzy mi.... pomyślał w popłochu.

- Niemożliwe! - powiedziała zdecydowanym tonem. - Gdzieś go musiałam zapodziać, to prawda. Ale już wcześniej... chyba w samolocie.

Czul, że się czerwieni aż po same uszy.

- Zaraz, zaraz, przecież to pan siedział obok mnie. Taak, teraz pana poznaję.

Postawił wszystko na jedną kartę.

- Ma pani rację. Skłamałem. Zostawiła pani notes między siedzeniami. Na szczęście go zauważyłem, ale kiedy wyszedłem z samolotu, pani już nigdzie nie było... - Odetchnął z ulgą, najgorsze miał już za sobą. - Więc... pozwoliłem go sobie przejrzeć, proszę nie myśleć, że przez ciekawość, nie, nie... nic z tych rzeczy. - Popatrzył jej w oczy przepaszającym wzrokiem. - Sądziłem po prostu, że znajdę tam jakiś namiar na panią. Zobaczyłem notatkę pod dzisiejszą datą i oto jestem.

Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Przycisnęła notes do piersi jak coś bardzo cennego. Uznał, że dobrze będzie przejść teraz płynnie do innego tematu.

- Często pani podróżuje do Paryża?
- Raczej odwrotnie. - Znów się uśmiechnęła.
- Nie rozumiem.
- Czasami przylatuję do Warszawy.
- Ach tak - westchnął rozczarowany. - Odwiedza tu pani rodzinę?

- W pewnym sensie - odparła wymijająco.
- Ja mieszkam w Warszawie, a do Paryża dość często wyjeżdżam służbowo. To wspaniałe miasto. Od dawna jest pani... paryżanką? - zażartował.

Ruszyli przed siebie Alejami w stronę Marszałkowskiej. Dziewczyna schowała notes do torebki, po czym włożyła ręce w kieszenie spodni.

- Od kilku lat. Pierwszy raz pojechałam tam na wymianę międzyszkolną. Od tamtej pory zapragnęłam wrócić nad Sekwanę. Paryż śnił mi się po nocach... Zaczęłam studiować romanistykę i co roku wyjeżdżałam do Francji jako *au pair*. Pod

koniec studiów dostałam roczne stypendium. Wybrałam Sorbonę i... później już nie wróciłam do kraju. - Zatrzymała się w pół kroku, jakby sobie o czymś przypomniała. Przyjrzała mu się badawczo. - Ale... po co ja to wszystko panu opowiadam? Przecież się nie znamy.

- Krystian. - Wyciągnął do niej rękę. - Krystian Waszak. Znajomi mówią do mnie Kris.

- Czy ja wiem... - Zawahała się przez moment. - Zosia Dembicka. - Uścisnęła w końcu jego dłoń.

- Bardzo mi miło - powiedział, przytrzymując jej rękę. I nagle, nie wiedząc dlaczego, pocałował wierzch jej dłoni.

- Nie trzeba. - Cofnęła szybko rękę. Policzki jej zaróżowiły się, a on, jak jakiś zakochany małolat, czuł przyspieszone bicie serca.

Od tej chwili rozmowa toczyła się wartko. Zosia opowiedziała mu, że zatrudniła się w firmie logistycznej i choć nie jest to praca jej marzeń, postanowiła zostać. Nie chce wracać do Warszawy, bo w zasadzie nie ma już do kogo. Matka zmarła kilka lat temu, zostawiając jej mieszkanie, które teraz wynajmuje, co daje jej niewielki, ale stały dodatkowy dochód. Mężczyzna, z którym się dzisiaj spotkała, jest jej ojcem. Dawno temu rozwiódł się z jej matką i wyemigrował do Stanów. Tam założył nową rodzinę. Przyjechał do Warszawy w interesach, więc była okazja, żeby się spotkać. Podczas swoich warszawskich wizyt Zosia mieszka u ciotki. Tyle zdążył się od niej dowiedzieć. On sam niewiele o sobie mówił. Tylko tyle, że przez kilka lat mieszkał również za granicą. Najpierw w Niemczech, potem w Wielkiej Brytanii. W końcu znalazł pracę w firmie, która otwierała swoją siedzibę w Polsce. Uznał to za szansę powrotu do ojczyzny.

- Często odwiedzasz Paryż? - zapytała.
- Kilka razy w roku.
- Jak będziesz następnym razem, koniecznie zadzwoń.

Pokażę ci parę fajnych miejsc.

- Wspaniale. Mogę zapisać twój numer telefonu?
- Jasne.

Odprowadził ją na stację metra, gdzie się pożegnali.

Wracał do domu uskrzydłony. Rozpierała go radość i coś jeszcze. Jakieś przecucie, że oto właśnie rozpoczyna się najwspanialszy rozdział w jego życiu.

14.

César męczył się przez cały wieczór. Przed wyjściem wujostwa Yvonne dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że jest pętkiem, który nie dorósł do tego, żeby być mężem jej córki. Joan była rozżalona, płakała. Poszli spać poróżnieni, mimo usilnych prób pojednania z jego strony. Teraz Joan leżała na sąsiedniej poduszce, odwrócona do niego plecami i oddychała miarowo. César kręcił się od godziny w wielkim małżeńskim łóżu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Sen nie przychodził. W głowie miał gonitwę myśli. Wściekał się w duchu na samego siebie, ganiąc się za nieostrożność i bezmyślne wypaplanie imion wszystkich trzech zamordowanych dziewczyn. Poza tym zupełnie niepotrzebnie sprawił przykrość żonie, a co gorsza - nie mógł się z tego wytłumaczyć bez wtajemniczenia jej w dalsze szczegóły śledztwa. Miał żal do teściowej za jej zachowanie i niestosowne przytyki, które mu robiła, w dodatku przy osobach trzecich. Jakby tego jeszcze było mało, wciąż nie dawała

mu spokoju sprawa zeznań, które powinien złożyć u Fauquarta. I oczywiście martwił się o Lolę.

Wstał najciszej, jak potrafił. Przykrył kołdrą nagie plecy Joan, spojrzął na nią ze smutkiem, westchnął cicho. Myśłami był już przy Loli. Podszedł do fotela, na którym wisiały jego spodnie, wyjął z kieszeni komórkę i przemknął na palcach do łazienki. Zamknął drzwi i dopiero wtedy zapalił światło. Zapalił papierosa, a potem sprawdził, czy nie przyszedł żaden esemes, ale skrzynka była pusta. Wystukał krótką wiadomość w nadziei, że Lola jeszcze nie śpi. Poczekał kilka minut. Nic. Żadnej odpowiedzi. Coraz bardziej niespokojny, wybrał jej numer. Minęła cała wieczność, zanim odebrała. Zapytał szeptem, jak się czuje i czy chciałaby, żeby do niej przyjechał. W odpowiedzi usłyszał, żeby się o nią nie martwił. Jej głos wydał mu się dziwnie zmieniony, może senny. Albo... César poczuł ukłucie w sercu. Przypomniał sobie matkę, która często sięgała po tabletki uspokajające. Łykała je garściami. Kiedy była pod ich wpływem, jej głos zmieniał barwę. Przeciągała sylaby, jakby miała zasnąć w pół słowa. Zapytał Lolę wprost, czy brała jakieś lekarstwa. Po chwili ciszy zaprzeczyła, co jeszcze bardziej go zaniepokoiło. César dopalał papierosa, myśląc, że chyba jednak go okłamała. Cholera, a jeśli nałykała się jakiegoś świństwa, żeby się pocieszyć po stracie przyjaciółki? Tak, to był dla niej cios. Po czymś takim nietrudno wpaść w dołek. A może zamiast leków wzięła jakiś narkotyk? Nigdy wcześniej nie dawała mu powodów do tego rodzaju podejrzeń, ale z policyjnego doświadczenia wiedział, że wiele tancerek miało styczność z narkotykami. Niektóre z nich wpadały na dobre w to gówno...

Usiadł na brzegu wanny i spojrzął na wyświetlacz komórki. Było dobrze po dwunastej. Kurs taksówką do dzielnicy, w której mieszkała Lola, będzie kosztować fortunę, ale jeśli się spieszy, ma jeszcze szansę złapać metro. Strasznie go korciło, żeby zapalić, zdawał sobie jednak sprawę, że teraz każda sekunda jest na wagę złota. Wysunął się bezszelestnie z łazienki, pozbierał po omacku swoje rzeczy w ciemnej sypialni, ostatni raz spojrzął na śpiącą Joan i poszedł do kuchni, żeby się ubrać. Zerwał czystą kartkę z notesika przyczepionego do lodówki magnesem i naskrobał na niej kilka słów wyjaśnienia. Tłumaczył się „nagłym i nieoczekiwanym” nocnym wezwaniem do pracy. Napisał też, żeby się nie martwiła i że ją kocha. Założył nową kurtkę i buty, sięgnął jeszcze po szalik, po czym w sekundę znalazł się na schodach.

Pogoda była fatalna. Wiał ostry wiatr, zaczął deszcz. César włożył na głowę kaptur, winszując sobie w duchu udanego zakupu. Zaciągnął się papierosem - co za ulga! - i ruszył zważnym krokiem w stronę stacji metra. Kiedy wszedł na schody wiaduktu prowadzącego na peron, usłyszał szum nadjeżdżającej kolejki. Wyrzucił niedopałek i pobiegł w tamtą stronę. Ruchy, ruchy, dopingował się w myślach. Zziębnięty, zdążył wskoczyć do wagonu szybkiej kolei linii „B”. Niemal w ostatniej chwili. Ledwie żywy, z trudem łapiąc oddech, opadł ciężko na najbliższe siedzenie. Zrzucił kaptur i rozpiął nieco kurtkę. W wagonie poza nim nie było nikogo. Wnętrze oświetlały słabe, żółte żarówki. Na trzech następnych stacjach drzwi się nie otworzyły. I bardzo dobrze, będzie szybciej, ucieszył się w duchu. Na

peronach było niewiele osób i nawet jeśli wsiadały, kierowały się raczej do pierwszych wagonów. Zmęczony wrażeniami, otumaniony jednostajnym turkotem kół pociągu, zaczął przysypiać. Ocknął się na Châtelet - les Halles, kiedy powinien był wysiąść. Zerwał się na równe nogi i wypadł na peron. Krew pulsowała mu w skroniach. Zakręciło mu się w głowie. Musiał odczekać kilka sekund, zanim poszedł dalej. Wciągnął mocno powietrze do płuc i od razu zrobiło mu się lepiej. Zasunął pod samą szyję suwak kurtki i pomaszerował w stronę schodów z niebieskim napisem „Correspondance” żeby się przesiąść do „czwórki” jadącej w kierunku Porte de Clignancourt. Przyjechała planowo - dokładnie po dziesięciu minutach.

W mieszkaniu panował mrok. César stał przez chwilę w przedpokoju i czujnie nasłuchiwał. Martwa cisza. Powoli zdjął kurtkę i wszedł do sypialni Loli. A to co? Nocna lampka leżała przewrócona na podłodze. Musiała ją niechcący potrącić, kiedy kładła się spać. Znowu usnęła z książką? Mdle światło żarówki rzucało poświatę na zakurzoną podłogę. Lola leżała na brzuchu, odwrócona w stronę okna. Jasne włosy zakrywały jej twarz. César stanął osłupiały z powodu nagłego *déjà vu*. Zobaczył przed sobą ciało uduszonej w metrze dziewczyny, którą znalazł pod stertą brudnych koców. Przełknął ślinę i jak w transie zbliżył się do jej łóżka. Pełen najgorszych przeczucí usiadł na brzegu, a następnie przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej Loli. Sekundy płynęły, a on nie wyczuwał pulsu. Czuł za to wyraźnie, że ciało dziewczyny jest zimne. Obawa zaczęła zamieniać się w strach, który go sparaliżował. Poczuł się tak, jakby właśnie dostał obuchem w łeb, miał wrażenie, że stało

się najgorsze, że niczemu nie jest już w stanie zapobiec. Odgarnął włosy z twarzy Loli. Wyglądała tak, jakby spała, tylko dlaczego zsiniały jej usta? O Boże, tylko nie to! Łzy napłynęły mu do oczu. Widział wszystko jak przez grube szkło, które zniekształca obraz. Omiótł wzrokiem pokój i teraz dopiero dostrzegł pustą szklaną fiolkę leżącą pod oknem. Musiała spać z nocnego stolika razem z lampą. Sięgnął po nią szybko, chcąc zobaczyć, co zawierała, lecz nie było na niej żadnej naklejki. Zapach wewnątrz wydał mu się znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć, z czym mu się kojarzy. Nieważne.

Jeszcze raz pochylił się nad Lolą. Odwrócił jej ciało na wznak, szukając rozpaczliwie jakichś oznak życia. Niestety, dziewczyna nie reagowała na dotyk. César przyłożył jej fiolkę do nosa i na krótką chwilę zacisnął powieki. Kiedy otworzył oczy, szklana buteleczka była leciutko zaparowana. Potrząsnął energicznie ciałem Loli, chcąc zbudzić ją ze snu. Na darmo. Dziewczyna nadal nie odzyskiwała przytomności.

- Obudź się! Cholera, obudź się! Słyszysz? - krzyknął, szarpiąc nią niczym workiem kartofli. Jej ciało przelewało mu się przez ręce. - Na litość boską, coś ty wzięła?!

Położył Lolę na łóżku i pobiegł do łazienki, kopiąc po drodze nocną lampkę. Odkręcił ciepłą wodę, żeby napełnić wannę. Po chwili wrócił, podniósł Lolę z łóżka i pędem zaniósł do łazienki. Złapał ją wpół i przytrzymał od tyłu. Jej głowa zwisała tuż nad muszlą klozetową. Odgarnął z twarzy dziewczyny jasne włosy i włożył jej palec do ust, drugą ręką z całych sił naciskając żołądek. Wszystko na nic. Lola wyslizgiwała mu się z rąk jak piskorz, tak trudno, tak cholernie trudno było wsunąć

palce w jej zaciśnięte usta, a przecież musiał wywołać wymioty. Inaczej nic z tego nie będzie. Teraz liczyła się każda sekunda. Co robić? Z jej ciała wydobył się naraz jakiś wewnętrzny jęk, jakby jej ulatująca w zaświaty dusza dawała mu znak, żeby nie rezygnował. W przypływie nowych sił chwycił Lolę w pasie i tym razem wepchnął prawie całą dłoń w jej małe sine usta. Ciałem dziewczyny wstrząsnął gwałtowny skurcz, jeden, potem drugi. César zwiększył ucisk na żołądek. Jeszcze jeden spazm i Lola zaczęła wymiotować. Nareszcie! Dzięki ci, Boże!

Kiedy już było po wszystkim, podniósł z posadzki prawie bezwładne ciało ukochanej i włożył je do wanny z ciepłą wodą. Przemył jej twarz. Lola westchnęła. Próbowała otworzyć oczy, lecz jej powieki opadały natychmiast.

- Jesteś? To dobrze... - zamruczała, usiłując dotknąć jego twarzy, ale wiotka jak trzcina ręka odmówiła jej posłuszeństwa.

Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał następnego ranka César, widząc, że Lola budzi się powoli ze snu.

- O czym ty mówisz?

Wodząc zdumionym wzrokiem po pokoju, skonstatowała ze zdziwieniem, że César jest w pomiętym ubraniu. Że ma nieogoloną twarz. Głębokie cienie pod oczami dowodziły, że nie spał przez całą noc. W rękę trzymał tłącego się papierosa. Do sypialni wpadały pierwsze promienie słońca.

- Zdajesz sobie sprawę, że gdybym nie przyszedł na czas... - rzekł łamiącym się głosem. Znów się zaciągnął, robiąc celową pauzę. - Gdybym nie przyszedł w nocy, już byś się nie obudziła. - Na chwilę zapadła cisza. Nadia patrzyła na unoszący

się pod sufitem dym. - Nie byłoby tego dnia... ciebie, mnie... - César odwrócił wzrok w stronę okna i dopiero wtedy Nadia dostrzegła dziwną szklistość jego oczu.

- Masz rację. - Powieki jej opadły, w dalszym ciągu leżała nieruchomo. - To było idiotyczne... i nieodpowiedzialne. Przepraszam... - szepnęła.

- Powiesz mi dlaczego? - César zgasił papierosa w muszli przerobionej na popielniczkę. - Chyba mam prawo wiedzieć.

- César, ja... - Nadia poczuła się winna. Łzy same napływały jej do oczu. - Nie chciałam, żeby tak to wyszło. Ja... - Zwinęła się w kłębek i wybuchnęła płaczem. César przysunął się do niej jeszcze bliżej i nachylił nad jej uchem.

- Nie przyszło ci do głowy, że bez ciebie moje życie straci sens? Kiedy cię zobaczyłem, jak leżałaś taka... taka sztywna...

- Wiem... - Nadia znów zaczęła szlochać. - Przepraszam, kochany, nie gniewaj się - powiedziała z trudem, jakby ją to męczyło. - Ale ty też musisz mnie zrozumieć. A przynajmniej postarać się wczuć w moją sytuację. Jestem tu całkiem sama. Nie mam żadnej rodziny, przyjaciół... Katia była moją jedyną przyjaciółką. Tylko na nią mogłam liczyć. A ty... - spojrzała na niego smutno - wiem, że mnie kochasz, ale... nigdy cię przy mnie nie ma. Zjawiasz się nocą jak duch, a potem zaraz znikasz. Kiedy cię potrzebuję... jesteś akurat u żony. Niedługo urodzi się wam dziecko i wtedy będziesz miał dla mnie jeszcze mniej czasu. - Powiedz mi, ale tak z ręką na sercu, gdzie w twoim życiu jest miejsce dla mnie? - César nie odpowiadał. Milczał uparcie, spoglądając w przestrzeń niewidzącymi oczami.

- Nawet teraz nic nie mówisz, ponieważ dobrze wiesz, że nigdy nie będziemy razem - zachlipała żałośnie Nadia. - Już zawsze, zawsze będę sama...

César przyciągnął ją do siebie i zaczął tulić w ramionach jak małe dziecko. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to dać jej kolejną obietnicę bez pokrycia.

Paryż, wrzesień 2007 roku

Po tygodniu poprosił szefa o kilka dni urlopu. Nie posiadając się z radości, że dostał wolne, natychmiast wykupił bilet do Paryża i zaraz po wylądowaniu, jeszcze z lotniska, zadzwonił do Zosi. Umówili się przy katedrze Notre Dame. Poszli na spacer brzegiem Sekwany, mijając po drodze barwne stragany malarzy i bukinistów. Metrem pojechali na Montmartre. Wysiedli niedaleko placu Pigalle, skąd wąskimi uroczymi uliczkami wspięli się na wzgórze, aż do bazyliki Sacré-Coeur. Stamtąd rozciągał się imponujący widok na dachy Paryża. Wieczorem zjedli kolację w jednej z eleganckich restauracji położonych przy Champs Élysées. Wtedy po raz pierwszy pocałowali się na pożegnanie. Gdy stali w ciemności przytuleni do siebie, przez ułamek sekundy Krystian miał wrażenie, jakby już kiedyś ją całował. Poczul się dziwnie. Zaraz potem uśmiechnął się, bo przyszło mu do głowy, że może znali się w poprzednim życiu.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała Zosia, spoglądając w górę, próbując odgadnąć jego myśli.

- Uśmiecham się... do ciebie - odparł z pewnym wahaniem. Nie miał śmiałości dzielić się swoimi przemyśleniami

na temat ewentualnego życia po życiu. Za wcześnie. A nuż jest gorliwą katoliczką?

Został w Paryżu jeszcze cztery dni. Wszystkie popołudnia spędzali razem. Trzeciego wieczoru Zosia zaprosiła go do siebie na późny obiad z polskim akcentem - ciekawe, jakim sposobem zdobyła suszone borowiki, z których ugotowała przepyszną zupę grzybową - i pozwoliła mu zostać na noc. Kochał się z nią tak, jak jeszcze nigdy z żadną kobietą. Z początku nieśmiała, nawet wstydliva, odsuwała go delikatnie, jakby wystawiała na próbę jego miłość. Krystian uznał to za rodzaj gry wstępnej, co jeszcze bardziej go podniecało. Wreszcie się przełamała, podając zmysłowemu urokowi chwili. Nie wiedział, kiedy zasnął. Obudził go chłód. Zosi przy nim nie było. Zerwał się na równe nogi, rozglądając w ciemności. Stała na balkonie. Zamyślona, jakby nieobecna, wpatrywała się w czerń nieba.

- O czym myślisz? - szepnął, okrywając jej nagie plecy kocem. Zosia wzdrygnęła się mimowolnie.

- Nic takiego - westchnęła ciężko. - Kiedyś ci o tym opowiem. Chodźmy spać.

Wrócił za nią posłusznie do łóżka. O nic więcej już nie pytał. Nie chciał być natrętny.

15.

Złożyłeś zeznania? - Vincent stał w drzwiach pokoju Césara i przyglądał się z uwagą jego nieogolonej twarzy.

- Jeszcze nie...

- A czy w ogóle zamierzasz to zrobić?
- Mam się przed nim płaszczyć? Prosić, żeby raczył mnie z łaski swojej przesłuchać?...
- Chcesz nadal prowadzić tę sprawę, czy wolisz, żeby ją przejął wydział Fauquarta?
- To szantaż?
- Nie rozumiesz, że śledztwo utknęło w martwym punkcie? Bez jego raportu nie ruszymy dalej.
- Dobra... - César w końcu dał za wygraną. - Za godzinę do niego pojadę. Okej?

Stary pokiwał głową i wyszedł bez słowa. César westchnął ciężko. Objął głowę obiema rękami i przymknął powieki. Przed oczami miał sztywne ciało Loli z twarzą przykrytą jasnymi włosami.

Do gabinetu Fauquarta wszedł razem z Marie, którą poprosił, żeby była świadkiem tej rozmowy. Żył poważne obawy, że bez jej wsparcia komisarz znów będzie go obrażał i spotkanie nie przyniesie pożądanych rezultatów. W pierwszej chwili Fauquart wydawał się zaskoczony ich wizytą, ale szybko ochłonął i wszedł w rolę gospodarza. Ruchem ręki wskazał krzesła stojące na wprost jego biurka.

- Witam. - Uśmiechnął się złośliwie. - Czym mam sobie tłumaczyć ten zaszczyt? - Rozparł się wygodnie w fotelu.
- Chciałbym złożyć zeznania - odparł spokojnie César.
- A pani? - Fauquart spojrzał na Marie.
- Jest ze mną - powiedział twardo César.
- Inspektor Marie Duprès. - Marie wyciągnęła rękę do komisarza, który chcąc nie chcąc, musiał ją uściśnąć.

- Komisarz Alfred Fauquart - przedstawił się wyjątkowo cicho.

- Alfred? Ładne imię. - Marie uśmiechnęła się czarująco, a César przyznał jej w duchu punkt.

- A zatem, do rzeczy. - Komisarz wystukał coś na klawiaturze, po czym utkwił wzrok w ekranie komputera. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło wieczorem 14 października.

- Około pierwszej w nocy zszedłem na stację metra George V. Było zimno, więc przechadzałem się dla rozgrzewki tam i z powrotem. Po kilku minutach na końcu peronu, w kącie za nieczynnym automatem do napojów, zauważyłem stertę szmat, spod której wystawała stopa. Podeszedłem sprawdzić, kto tam leży, i wtedy znalazłem denatkę.

- Gdzie pan jechał?

- Wracalem do domu. Chciałem wsiąść w „jedynek” jadącą w kierunku Chateau de Vincennes, a potem przesiąść się na Châtelet w „B” w kierunku Saint-Rémy. Mieszkam w Gentilly. - César przygotował sobie zawczasu odpowiedź na to pytanie.

- Co pan robił wcześniej, zanim zszedł do stacji metra?

- Spotkałem się z kolegą. Zjedliśmy kolację na Champs Élysées - skłamał.

- Jak się nazywa pański kolega?

- Co to ma do rzeczy? - obruszył się César.

- Chcę po prostu wpisać jego nazwisko do akt.

- Traktuje mnie pan jak podejrzanego. - César utkwił wzrok w świdrujących oczach Fauquarta. Niech go szlag trafi!

- Na razie nie. Chcę jedynie poznać nazwisko kolegi, z którym spędził pan tamten wieczór. Przecież nie ma pan nic

do ukrycia, nieprawdaż?

César zaczął szybko główkować.

- Jean Breteil - odparł szybko, patrząc komisarzowi prosto w oczy.

- Kolega z pracy? - zapytał Fauquart i wpisał nazwisko do komputera.

- Nie.

- Ze studiów? - Komisarz nie dawał za wygraną.

- Co to pana obchodzi? - César był wyraźnie zirytowany.

- Dłaczego się pan tak denerwuje? - Fauquart uśmiechnął się z zadowoleniem. Najwyraźniej bawiło go wyprowadzanie przesłuchiwanego z równowagi.

- Przejdźmy do konkretów. - César zerknął wymownie na zegarek.

- Widzę, że się państwo spieszą. Może dokończymy innym razem? - Fauquart spojrzał na Marie.

- Nie ma mowy - burknął César.

Marie poruszyła się niespokojnie na krześle, ale nic nie powiedziała. César skarcił ją w duchu za ten jawny brak solidarności.

- Wracając zatem do tematu, znalazł pan trupa pod sterłą szmat na peronie metra. Co było dalej?

- Zadzwoiłem na policję.

- No i?

- Dobrze pan wie z raportu Deroux, że kiedy czekałem na patrol, zauważyłem kogoś w tunelu. Było to dokładnie w chwili, gdy nadjeżdżał pociąg. Zgłosiłem to dowódcy grupy, który podjął decyzję o sprawdzeniu tego śladu. Poszliśmy tam razem.

- Co się wydarzyło w tunelu?
- Kilkadziesiąt metrów dalej znaleźliśmy niewielkie pomieszczenie, a w nim trupa kloszarda zadźganego nożem.
- Po co wróciliście tam następnego dnia?
- Pozwolisz? - Marie spojrzała pytająco na Césara, który dał jej głową znak przyzwolenia. - To ja poprosiłam inspektora Bressona, żebyśmy poszli razem obejrzeć miejsce zbrodni. Chciałam przyjrzeć mu się z bliska, żeby móc lepiej wyobrazić sobie okoliczności zabójstwa. Jak pan wie, komisarzu, prowadzimy sprawę seryjnych morderstw. To na peronie pasuje jak ulał do naszego sprawy.

- Skąd taki wniosek? - Fauquart po raz pierwszy spojrzał na Marie z nieco większym zainteresowaniem.

- Policjant z tak dużym doświadczeniem jak pan zdaje sobie zapewne sprawę, że oprócz sposobu, w jaki dokonano zabójstwa, musi być również wiele innych podobieństw. Niestety, ze względu na dobro śledztwa, nie wolno mi ich ujawniać. - Marie zrobiła przeproszającą minę, a César przyznał jej kolejny punkt na plus.

- Sprytnie... - warknął cicho Fauquart.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w monitor, jakby całkiem zapomniał, że ma gości. César zerknął z ukosa na Marie i uśmiechnął się w duchu. Mógłby przysiąc, że mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Dziękuję państwu za wizytę. - Komisarz podniósł się ostentacyjnie z fotela. Ten gest był aż nazbyt czytelny.

- Zanim wyjdziemy - powiedział z kamienną twarzą César, nie ruszając się z miejsca - chciałbym zapytać o nagranie z kamery przemysłowej umieszczonej nad peronem. Domyślam

się, że zdążył pan już się zapoznać z tym materiałem dowodowym. Czy na taśmie został utrwalony moment zabójstwa?

- Niestety... - Fauquart wyprostował się. Patrzył teraz na Césara z góry. - Chwilowo, z uwagi na dobro mojego śledztwa, nie mogę udzielić panu takiej informacji.

César poczuł, że twarz mu płonie. Z największym wysiłkiem opanował wściekłość. Podniósł się z krzesła, żeby przynajmniej jego wzrok znajdował się na jednej linii ze wzrokiem Fauquarta. Tamten wyciągnął rękę i César musiał uścisnąć tę przeklętą dłoń, chociaż w tym momencie najchętniej by ją zmiażdżył.

- Kiedy otrzymamy akta sprawy? - zapytał na koniec, przytrzymując dłoń Fauquarta.

- Wszystko w swoim czasie, inspektorze. Pozwoli pan, że pożegnaj teraz pana uroczą koleżankę. - Komisarz wyszarpnął rękę z uścisku Césara i podał dłoń Marie. - Do zobaczenia, panno Duprès.

Teraz mi wierzysz? - zapytał Marie, kiedy po wyjściu z gabinetu Fauquarta szli obok siebie długim korytarzem.

- O czym mówisz?

- Sama widziałaś, jaki był podejrzliwy. I ten jego ton... napastliwy jak jasna cholera.

- Wiesz, César... - Marie przystanęła i spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli o mnie chodzi, odniosłam inne wrażenie.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Nie gniewaj się za szczerłość, ale to ty byłeś agresywny. W dodatku zachowywałeś się tak, jakbyś rzeczywiście miał coś do ukrycia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, nic nie mówiąc. César poczuł, że nagle zaschło mu w gardle. Odchrząknął i pierwszy spuścił wzrok.

- Przykro mi, że tak to odbierasz - stwierdził sucho. - Zaczekasz minutkę? Skoczę na jednej nodze do toalety - dodał pojednawczo.

- Jasne. Poczekam na zewnątrz.

Marie ruszyła korytarzem w stronę wyjścia. César patrzył przez chwilę, jak z wdziękiem kołysze biodrami. Skręcił pospiesznie w boczny korytarz prowadzący do toalet. Wszedł do wolnej kabiny, zamknął drzwi i wyjął telefon. Zmarszczył czoło, po czym szybko wystukał numer. Po kilku długich sygnałach odezwał się dawno niesłyszany głos.

- Słucham.

- Cześć, Jean - powiedział César. - Poznajesz?

- Jasne, stary. Kogo jak kogo, ale ciebie poznałbym nawet na końcu świata. Co słyhać?

- W porządku. A u ciebie?

- Pomalutku. Może wybierasz się na stare śmieci?

- Nie... to znaczy nie w najbliższym czasie... - zaplątał się, nie wiedząc, jak przejść do sedna sprawy.

- Wal śmiało, bracie, o co chodzi? - Jean musiał wyczuć jego intencje.

- Posłuchaj, Jean, mam prośbę. Czy... gdyby ktoś cię pytał, mógłbyś potwierdzić, że 14 października byłeś w Paryżu i jadłeś ze mną kolację na Champs Élysées? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Kto miałby pytać? - zdziwił się Jean.

- No... Jeśli na przykład zadzwoniłby do ciebie ktoś z policji.

- Nie masz chyba na myśli składania zeznań pod przysięgą? - zaniepokoił się Breteil.
- Daj spokój, stary. Proszę tylko, żebyś potwierdził moją wersję. Nic więcej. Tak się składa, że rzeczywiście byłem wtedy na tej kolacji. Tyle tylko, że z kimś... kogo danych nie mogę ujawnić.
- Brunetka czy blondynka? - zaśmiał się Jean. - Czekaaj, czekaaj, ile to czasu minęło od twojego ślubu?
- Więc jak? Zrobisz to dla mnie po starej znajomości? - naciskał César, ignorując docinki kumpla.
- Da się zrobić. Czternastego na Champs Élysées?
- Tak. Rozstaliśmy się przed pierwszą. Dokładnej godziny nie pamiętasz.
- Jasne.
- Dzięki, Jean. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.
- Nie ma sprawy. Zadzwoń, gdybyś jeszcze czegoś potrzebował. Zawsze do usług. - Jean najwyraźniej nie mógł sobie odmówić pożegnального prztyczka w nos.

Paryż, jesień 2007 roku

Niestety. Dwa najbliższe wyjazdy służbowe były związane z przygotowaniem przyszłorocznego budżetu firmy i wymagały jego wizyty w centrali, która jak na złość znajdowała się w Londynie. Tak upłynął miesiąc od pobytu w Paryżu. Przez ten czas prawie codziennie rozmawiał z Zosią przez Skype'a. To oczywiście nie to samo, co spotkanie twarzą w twarz, ale te rozmowy o sprawach codziennych, o tęsknocie i planach na następne spotkanie jeszcze bardziej zbliżyły ich do siebie.

W końcu Krystianowi udało się otrzymać dwudniową delegację do Paryża, którą bez namysłu postanowił wydłużyć o weekend. Dzięki temu mieli szansę spotkać się po raz kolejny.

W sobotę pojechali do Ogrodu Luksemburskiego, gdzie na kamiennych ławkach i drewnianych plażowych krzeselkach wygrzewali się spacerowicze, chwytając ciepłe promienie popołudniowego słońca. Wśród zieleni i świergotu ptaków nietrudno było zapomnieć o całym bożym świecie. Trzymając się za ręce, zrobili rundkę po parku, na koniec okrążyli piękną romantyczną fontannę. Potem znaleźli dwa wolne krzeselka, na których opalali się przez pół godziny z zamkniętymi oczami, pozwalając, by jesienne słońce muskało delikatnie ich twarze. Zgłodniawszy, podnieśli się z krzeseł i ruszyli na plac Edmonda Rostanda, gdzie znaleźli otwartą piekarnię. Kupili po słodkiej bułce z migdałami i poszli obejrzeć Panteon, delektując się po drodze wybornym smakiem francuskiego ciasta.

To był cudowny dzień - powiedział Krystian, kiedy znaleźli się w mieszkaniu Zosi.

Pili czerwone wino, skubali bagietkę, a potem smarowali ją wyśmienitym pleśniowym serem.

- Rzeczywiście, było super - przytaknęła, wkładając sobie do ust kawałek bułki. - Może uda ci się znowu przyjechać za jakiś czas?

- Postaram się - obiecał. - Pojedziemy na wieżę Eiffla.

- Wprost marzę o tym! - roześmiała się Zosia. - Byłam tam setki razy. Wiesz, jak tylko ktoś znajomy przyjeżdża po raz pierwszy do Paryża, to zawsze...

- Domyślam się - przerwał jej Krystian i pocałował ją w koniuszek ucha. - Myślałem raczej, że zjedlibyśmy tam kolację. Co ty na to?

- Cudowny pomysł. Jestem za! - ucieszyła się, klaszcząc w dłonie. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która dostała w prezencie nową lalkę. Był w niej jakiś dziecięcy wdzięk, który go rozczulał. - Postaram się zrobić wcześniej rezerwację. Nie myśl sobie, że jest łatwo o stolik.

- No widzisz? Rozumiemy się bez słów. Jak stare dobre małżeństwo.

Zosia przestała się nagle uśmiechać i spojrzała badawczo na Krystiana.

- Dlaczego tak mówisz?

- Czasami mam wrażenie, jakbym cię znał sto lat. Zdarza mi się przewidzieć, co powiesz albo jak się poruszysz. Zupełnie nie wiem, dlaczego... - Rozłożył ręce.

- Ciekawe... - zamyśliła się.

- Kochanie... - Krystian przysunął się do niej i objął ją czule. Był teraz tak blisko, że prawie stykali się nosami. - To dlatego, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Jeszcze nigdy nie byłem w nikim tak szaleńczo zakochany.

Musnęła ustami jej wargi, które natychmiast posłusznie rozchyliła. Zamknęła oczy i poddała się pocałunkowi. Wdychała zapach Krystiana. Zawirowało jej w głowie. Czuła, jakby świat okręcił się nagle wokół własnej osi, a ona na ułamek sekundy przeniosła się w inne, zupełnie zapomniane miejsce, mroczne i złe. Zrobiło jej się słabo. Natychmiast otworzyła oczy i wysunęła się z objęć Krystiana.

- Co się stało? - spytał zdumiony, widząc strach w jej oczach.

- Ja... Nie, nic... Przepraszam - wyszeptwała zbielełymi wargami. Krew odpłynęła jej z głowy.

- Nie pij już więcej wina, skarbie - powiedział zatroskany, przykładając dłoń do jej czoła. - Może masz gorączkę?

- Nic mi nie jest, naprawdę. Przynieś mi tylko szklanek wody, bardzo cię proszę.

- Oczywiście. - Czym prędzej pobiegł do kuchni i wrócił po chwili z butelką wody. - Może być gazowana?

- Nalej. - Skinęła głową. - Chyba rzeczywiście trochę przesadziłam z winem...

Podsunęła mu opróżniony kieliszek. Wypiła wodę duszkiem. Potem wsparła się na jego ramieniu i siedzieli tak przytuleni bez słowa.

16.

Nim zdążyli dojechać do biura, jego komórka zadzwoniła chyba z sześć razy. Trzymając jedną ręką kierownicę, drugą usiłował wydobyć brzęczący „cud techniki” co niestety utrudniał mu zapięty pas. Operację zakończył dopiero na parkingu. Otworzył kłapkę telefonu i ze zdziwieniem stwierdził, że wszystkie połączenia pochodziły z biura.

Marie nie odezwała się przez całą drogę. Patrzyła przez boczną szybę i tylko raz zerknęła krótko na Césara, kiedy po raz piąty albo szósty zadzwonił jego telefon. On też nie miał jej nic do powiedzenia, zwłaszcza że po wyjściu z biura Fauquarta podważyła jego prawdomówność. Nie powiedziała tego wprost, ale on i tak wiedział swoje. Wysiedli bez słowa. César schował telefon.

Gdy tylko znaleźli się na korytarzu prowadzącym do ich sekcji, dogonił ich zaaferowany François i wydyszał, że mają się mi-giem stawić u Starego. I to natychmiast! César poczuł nagły skurcz żołądka, który zapowiadał nadciągające problemy. Rze-czywiście, nie mylił się. Drzwi do gabinetu Vincenta były zam-knięte, co należało do rzadkości. Zatrzymali się przed nimi jak na komendę. Marie spojrzała niepewnie na Césara, który głośno zastukał. Cisza. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Marie chciała nacisnąć klamkę, ale César ją powstrzymał. Stali tak przez chwilę, spoglądając na siebie w milczeniu. Wreszcie César zdecydował się jeszcze raz zapukać. Usłyszeli trzask od-kładanej słuchawki i krótkie „wejść!” Oho, będzie się działo!, pomyślał César i znów poczuł skurcz w żołądku. Weszli do środka. Stary siedział zgarbiony i kończył coś notować. Nie podnosząc głowy, dał im znak, by usiedli. Marie zajęła wolne krzesło stojące przed biurkiem, César przysunął sobie spod ściany drugie.

- Mamy kolejne morderstwo - powiedział komisarz, od-kładając długopis. Marie i César wpatrywali się w niego z na-pięciem, czekając na ciąg dalszy. - Tym razem w okolicy Dwor-ca Wschodniego.

- W dzielnicy... - szepnął César.

Właśnie sobie uświadomił, że Gare de l'Est leży na północy Paryża, niedaleko mieszkania Loli.

- Tak - potwierdził Vincent i spojrzął na niego spod oka.
- Ciało znaleziono w jakimś kącie przejścia podziemnego. Dziewczyna siedziała skulona na podłodze, oparta plecami o ścianę, z głową zwieszoną na piersi. Włosy zasłaniały jej twarz, dlatego dość długo nikt się nie zorientował, że nie żyje. Wyglą-dała na narkomankę. Zgłoszenia telefonicznego dokonał

najprawdopodobniej jakiś bezdomny. Zawsze pełno ich tam się kręci. Dzwonił z budki telefonicznej znajdującej się na dworcu w pobliżu przejścia. Nie przedstawił się. Powiedział tylko, że w pasażu podziemnym od strony ulicy Faubourg straszy ludzi trup młodej kobiety. Zaraz potem się rozłączył. Nie można wykluczyć, że tym uczynnym informatorem był złodziej, który wcześniej okradł denatkę. Nie znaleziono przy niej torebki, pieniędzy ani dokumentów.

- To raczej mało prawdopodobne - wtrąciła szybko Marie.

Vincent puścił jej uwagę mimo uszu.

- Tak czy inaczej - referował dalej - ekipa, która przyjechała na miejsce, stwierdziła, że zgon nastąpił między jedenastą trzydzieści a pierwszą w nocy. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną śmierci było uduszenie. Narzędzia zbrodni nie znaleziono. Wyniki sekcji powinniśmy dostać jutro. Kilka patroli w dalszym ciągu przeszukuje dworzec, pobliskie stacje metra i wszystkie przejścia podziemne. Ale jak znam życie, o tej porze nic już nie znajdują...

- Cholera, to już czwarta dziewczyna - szepnęła Marie bardziej do siebie niż do kolegów. Wbiła wzrok w blat biurka, zmarszczyła czoło i zaczęła skubać zębami górną wargę. Widać było, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

- Skurwysyn chyba prędko nie odpuści - westchnął Stary.

- Powinniśmy tam jak najprędzej pojechać. - Marie zerknęła na Césara.

- Wysłałem już na miejsce Pierre'a i Jean-Marca, bo do was nie mogliśmy się jakoś dodzwonić - powiedział komisarz z lekkim wyrzutem.

- Byliśmy u Fauquarta - rzucił od niechcienia César.

- No i? - ponaglił go Vincent.

Patrzył wyczekująco na swoich ulubionych podwładnych, jakby spodziewał się usłyszeć jakieś rewelacje. César wzruszył ramionami.

- Złożyłem zeznania. Pan komisarz nie będzie miał już podstaw do przetrzymywania akt. - Zerknął na Marie, jakby szukał u niej potwierdzenia swoich słów, ale ona patrzyła w inną stronę. - To co, jedziemy zrobić zdjęcia i obejrzeć ślady?

Marie skinęła głową.

- Pospieszcie się. Jeżeli do końca tygodnia nie będziemy mieć jakiegoś konkretnego tropu, media nas rozszarpią - powiedział Vincent znużonym głosem.

- No tak... Teraz to temat numer jeden.

- Zróbcie z tym coś, na litość boską! - Vincent wybuchnął niespodziewanie. - Przed waszym przyjściem miałem telefon od władz. Zaczynają powątpiewać, czy sami sobie z tym szajsem poradzimy. Psiakrew. Szef mi zaproponował, żeby włączyć do sprawy dodatkowych ludzi. Funkcjonariuszy z długim stażem i doświadczeniem... Wiesz, co to może znaczyć?

- Fauquart? Daję głowę, że tylko on może nam chcieć zrobić taką przysługę.

Komisarz nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy zdawał się potwierdzać przypuszczenia Césara.

- A to skurwiel. Zawsze mówiłem, że mi się nie podoba. No i wyszło na moje... - westchnął głośno César. - Pewnie drażny temat i próbuje nam odebrać tę sprawę - dodał ponuro.

- Na razie jakoś się wymigałem. Na razie... - Stary pokiwał głową. - Ale jeżeli okaże się, że nie potrafimy być szybcy i skuteczni, przestaną się pytać i sami podejmą decyzję.

- Bierzmy się do roboty! - César poderwał się z krzesła. Marie zrobiła to samo.

- Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco. Chcę wiedzieć o każdym waszym kroku i każdym nowym dowodzie w tej sprawie. Choćby najbardziej błahym...

Kiedy wyszli na korytarz, Marie odezwała się pierwsza.

- Szkoda, że przy ofercie nie znaleziono dokumentów. To nam diabelnie opóźni sprawę.

- Powinniśmy pojechać do zakładu medycyny sądowej i obejrzeć ciało. Może uda się zrobić w miarę dobre zdjęcie, żeby jeszcze dziś wieczorem mogli nadać w telewizji komunikat - zastanowił się głośno César.

- Dobry pomysł. Trzeba będzie zamieścić je w prasie. Niech się wreszcie te pismaki na coś przydadzą.

Wsiedli do windy, César nacisnął guzik z cyfrą 0 i już po sekundzie zjechali na dół. Zamyśleni przeszli przez bramki obok głównej recepcji i znaleźli się na parkingu. Zaczęło się ściemniać, wiał przejmujący, zimny wiatr. César pomyślał, że jeszcze dziś powinien zajrzeć do Loli, tak na wszelki wypadek. Nie był jednak pewien, jak szybko skończą pracę tego wieczoru.

W okolicy dworca nie było łatwo o miejsce parkingowe. César długo wypatrywał jakiegoś wolnego skrawka chodnika. Na próżno. W końcu zaparkował kilka przecznic dalej i razem z Marie musieli iść spory kawałek na piechotę. W przejściu podziemnym natknęli się na jeden z policyjnych patroli. Dowódca grupy zaprowadził ich na miejsce, w którym znaleziono zwłoki uduszonej dziewczyny.

- Tutaj. - Wskazał ręką zagłębienie w ścianie.

Wnęka była niewielka, miała ze czterdzieści centymetrów głębokości i mniej więcej metr szerokości. Mogły się tam zmieścić co najwyżej dwie osoby, a i to pod warunkiem że siedziałyby przytulone do siebie. U dołu, na bocznych ścianach, widać było ciemne zacieki, niewątpliwie ślady po oddawaniu moczu. Jakie było inne przeznaczenie tego miejsca? Trudno zgadnąć. Marie skrzywiła się z odrazą, wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją sobie do nosa. Smród uryny mieszał się z zapachem stęchlizny i setek porozrzucanych petów. Osoby przebywające tu nocną porą najwyraźniej nie przejmowały się zakazem palenia. César i Marie przyglądali się z bliska brudnej betonowej podłodze i nie mniej brudnym ścianom.

- Ma pan latarkę? - César zwrócił się do policjanta.
- Nie, a po co?
- To może ktoś z pańskiej ekipy? - zdenerwował się César. Wnęka była dość ciemna, a on miał ważne powody, żeby wszystko jak najdokładniej obejrzeć.

- Zaraz zapytam. - Policjant ruszył niechętnie w stronę reszty patrolu. - Ale niczego nie obiecuję! - krzyknął nie bez cienia złośliwości.

- Latarka nie będzie nam chyba potrzebna - powiedziała cicho Marie stojąca teraz plecami do wnęki i do Césara, który natychmiast popatrzył w tę samą stronę. Na przeciwległej ścianie przejścia widniała znacznych rozmiarów czerwona litera S.

Marie nie chciała, żeby ją odwiózł do domu, co było mu nawet na rękę. Postanowił wykorzystać służbowy samochód i pojechał sprawdzić, jak się miewa Lola. Zastał ją w nieco lepszej formie niż rano. Kiedy zostawiał ją samą, miał pewne obawy,

czy w ogóle zwlecze się z łóżka. A tu proszę, taka niespodzianka! Posprzątana sypialnia oraz świeżo przygotowane, choć już zimne spaghetti dowodziły, że Nadia wzięła się w garść i odzyskała chęć do życia. Owinięta wełnianym szalem leżała na zasłanym łóżku z książką w ręku. Z radia płynęła cicha muzyka.

- Cieszę się, że masz się lepiej - powiedział z zadowoleniem, całując ją w policzek.

- Dobrze, że jesteś. - Przytuliła się do niego całym ciałem. - Tęskniłam za tobą.

- Naprawdę? - Przyjrzał się badawczo jej źrenicom i zaraz odetchnął z ulgą, konstatując, że nie były nienaturalnie powiększone.

- Uhm... - westchnęła przeciągle. Zagięła róg kartki i odłożyła na bok książkę.

César zerknął na okładkę. No tak, znowu jakieś romansidło. Mam nadzieję, że chociaż z happy endem.... uśmiechnął się w duchu.

- Dzwoniła moja siostra. Przyjedzie w przyszłym tygodniu.

- Miło z jej strony - odparł uprzejmie César.

- Dina ma dobre serce i... - popatrzyła smutno na Césara - ...bardzo się przejęła śmiercią Katii. Poznała ją w zeszłym roku.

- Dina? Dziwne imię.

- Zwyczajne. Na Ukrainie bardzo popularne.

- Na Ukrainie? Myślałem, że urodziłaś się we Francji. - César nie krył zaskoczenia.

- Tak, ale moi rodzice pochodzą z Ukrainy. Ojciec był dyplomatą. Ponad dwadzieścia lat pracował za granicą.

Urodziłam się niedługo po tym, jak przeniesiono go do Paryża. Kiedy zaczęły się zmiany w bloku wschodnim, rodzice postanowili nie wracać do kraju. Zostali tutaj na stałe. Przecież ci mówiłam...

- Nie przypominam sobie. - César przyglądał się z rosnącą uwagą twarzy Nadii.

- W każdym razie po śmierci rodziców moja siostra postanowiła wrócić na Ukrainę. Odnalazła tam resztę rodziny. Zaczęła robić jakieś interesy. To był dobry czas na rozkręcanie własnego biznesu - wyjaśniła z uśmiechem Nadia. - Ten, kto miał głowę na karku i nie bał się zaryzykować, mógł zbić fortunę. Z wykształcenia jest ekonomistką. Studiowała w Stanach. To bardzo mądra i przedsiębiorcza osoba.

- Co ty powiesz? - zdziwił się César. - Tancerka i ekonomistką... Ciekawe połączenie. - Roześmiał się głośno.

- Nie rozumiem, dlaczego tak cię to śmieszy - zachnęła się Nadia. - Dina i ja bardzo się różnimy. Można powiedzieć, że jesteśmy jak ogień i woda.

- Naprawdę? To ciekawe.

- Tak... Ona jest... całkiem inna. To znaczy, chciałam powiedzieć, inna niż ja.

- Pod jakim względem?

- Chyba pod każdym - uśmiechnęła się do siebie Nadia na samo wspomnienie siostry. - Jest niższa i trochę bardziej zamknięta w sobie. Wiesz, co mam na myśli.

- Uhm.

Oczami wyobraźni widział już tę przebojową ukraińską bizneswoman.

- Włosy ma czarne, a oczy... takie fiołkowo-granatowe. Piękne.

- Czy ona przypadkiem nie przypomina Loli? No wiesz, twojego scenicznego wizerunku?
- O co ci chodzi? - spytała zaczepnie Nadia, wyraźnie niezadowolona z tego pytania.
- O nic. Po prostu tak sobie tylko pomyślałem, że...
- Że ją naśladowę, tak?
- Że nic się nie dzieje bez przyczyny - wyjaśnił César. - Być może tak bardzo za nią tęsknisz, że podświadomie...
- Zamknij się! - warknęła Nadia nie swoim głosem. - Wiesz co, nie chce mi się z tobą gadać... Idź już lepiej do żony. Pewnie czeka na ciebie z obiadem.
- Skarbie... - César się uśmiechnął. - Nie rozumiem, dlaczego się złościś. Przecież nie miałem nic złego na myśli. No, rozchmurz się już, proszę...
- Przepraszam - odparła po chwili Nadia i zwichrzyła mu dłonią włosy. - Gadam bzdury. Wybacz, kochany. Zostaniesz na noc? - W głosie Nadii pobrzmiwała cicha nadzieja.
- Nie mogę, kotku. Nie dzisiaj... Wybacz.

Paryż, wiosna 2008 roku

Mniej więcej po pół roku ich znajomości, podczas kolejnego pobytu Krystiana w Paryżu, spotkali przypadkowo jego kolegę. Jaki ten świat mały... Szli właśnie zielonym Polem Marsowym od strony wieży Eiffla, gawędząc wesoło, kiedy minęła ich grupka mężczyzn ubranych w garnitury i długie płaszcze. Jak nic, turyści z Europy Wschodniej. Po chwili jeden z mężczyzn odłączył się od grupy i podbiegł do nich.

- Krystian, nie poznajesz mnie? - Uśmiechnął się szeroko, zastępując im drogę. Zatrzymali się.

Zosia spojrzała na Krystiana, który patrzył z niedowierzaniem na stojącego przed nim człowieka. Przez chwilę miała wrażenie, że Krystian nie jest zadowolony z tego przypadkowego spotkania.

- A to mi dopiero niespodzianka. - Nieznajomy się zaśmiał. - Nie wierzę, że mnie nie poznajesz.

Podszedł bliżej, chwycił dłoń Krystiana, a potem potrząsnął nią z całych sił. Krystian stał wciąż jak zamurowany.

- Kopę lat, co?

- Czeeeeść. - To było wszystko, co Krystian zdołał z siebie wykrzesać w odpowiedzi na to wylewne powitanie.

- Nie przedstawiś mi swojej przyjaciółce? - spojrzał wymownie na Zosię.

- Przepraszam, Zosiu, to jest Marek, kolega z dawnych lat.

Marek uściśnął serdecznie dłoń Zosi, potem ponownie zwrócił się do Krystiana.

- Co tu robicie? Przyjechaliście na wycieczkę?

- Zosia mieszka w Paryżu. A ja... - zawahał się krótko Krystian - no cóż, jestem tutaj służbowo.

- Więc przybij piątkę, stary. To zupełnie tak samo jak ja - ucieszył się Marek. - Widzicie tych frajerów? - Wskazał na czekającą nieopodal grupkę mężczyzn. - Oprowadzam ich po stolicy. Panów pseudobiznesmenów z Pcimia Dolnego. - Roześmiał się głośno. Zosia i Krystian popatrzyli w tamtym kierunku. Jeden z mężczyzn pomachał do nich wesoło.

- Skąd się znacie? - spytała Zosia.

- Chodziliśmy do tej samej budy - odparł Marek, nie spuszczać wzroku z Krystiana. Mieliliśmy nawet razem studiować, ale jakoś nie wyszło - dodał z dziwnym błyskiem w oku.

- Koledzy cię wołają! - Krystian wskazał ruchem głowy „frajerów” najwyraźniej trochę już zaniepokojonych tą nieplanowaną przerwą w wycieczce. Teraz już wszyscy machali w ich stronę, dając Markowi znaki, że chcieliby ruszać dalej.

- Faktycznie... Będę musiał lecieć. - Marek westchnął, zerkając znów na Zosię. - A może... spotkalibyśmy się wieczorem? Jakies małe wspomnieniowe przyjętko? Co wy na to?

- Mamy już inne plany - odparł szybko Krystian.

- Jeśli chcesz, możesz do nas dołączyć - przerwała mu Zosia. - Zapraszam na kolację do mnie... do nas - poprawiła się szybko.

- Będę zaszczycony - pospieszył z podziękowaniem Marek, uprzedzając ewentualne protesty Krystiana. - Zapisz mi swój adres. - Podał Zosi kartkę i długopis. - O której mam się stawić?

- Czy ósma będzie ci pasować? - zapytała Zosia.

- W sam raz. A zatem... - spojrzał z uśmiechem na dziewczynę - do zobaczenia wieczorem.

Schowal kartkę do kieszeni i pobiegł do swojej grupy.

- Sympatyczny ten twój kolega - powiedziała Zosia, patrząc, jak oddala się sprężystym krokiem.

- Czy ja wiem? - zamyślił się Krystian. - Długo się nie widzieliśmy.

17.

Rano zaczęło padać. César zasnął i teraz włókł się w stronę centrum w gigantycznym korku. Radio w samochodzie było zepsute, więc pozostało mu słuchanie odgłosów ulicy. Kierowcy trąbili na siebie i wykrzykiwali niecenzuralne słowa pod adresem tych, którzy śmieli zajechać im drogę. César denerwował się coraz bardziej. Raz po raz zerkał na zegarek. Kiedy udało mu się wreszcie dotrzeć do bulwaru Saint-Germain, było dobrze po dziewiątej. No, teraz będzie już szybciej. Oby! Niestety, okazało się to pobożnym życzeniem. I nic dziwnego, o tej porze... Utknął na światłach dwie przecznice dalej. Szlag by to trafił! Autobus wymusił pierwszeństwo na taksówce, co ostatecznie skończyło się drobną kolizją. César kłął w duchu, że nie chciało mu się wczoraj wieczorem odstawić auta na służbowy parking. Dzisiaj jechałby spokojnie metrem i pewnie od pół godziny piłby już kawę w swoim pokoju. Wreszcie taksówka zjechała na chodnik. Przejazd był wolny. César powoli ruszył, spoglądając ponuro na długi sznur samochodów.

Wszedł do budynku trzy po dziesiątej, co było doprawdy karzącym spóźnieniem, nawet jak na takiego marudera jak on. Skinął posterunkowemu i zaraz potem stwierdził ze zdziwieniem, że hol i korytarze są prawie puste, co o tej porze wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Spojrzał pytająco na posterunkowego.

- Strajk metra. Nie słyszał pan? - powiedział tamten, wzruszając ramionami. - Trąbią o tym od wczoraj we wszystkich dziennikach.

César wzruszył ramionami i poszedł do windy. Jak to możliwe? On nic nie słyszał... No, to miał jednak szczęście.

Jego piętro świeciło pustkami. Była tylko sekretarka, która rozmawiała właśnie przez telefon, pudrując sobie nos. César odebrał od niej pocztę i poszedł do siebie. Przemknął obok gabinetu Starego i zajrzał nieco dalej do pokoju Marie. Pusto. Wszedł do swojego gabinetu. Zrzucił kurtkę i szalik i poczłapał do automatu z kawą. Praca nie zajac, nie ucieknie. Zwłaszcza w takim dość nietypowym dniu... Zaaplikował sobie podwójną porcję cukru i wypił duszkiem gorący napój. Czuł, że ta dawka nie wystarczy mu na cały dzień. Wrzucił kolejną monetę i odebrał następny pełny kubek. W drzwiach swojego pokoju wpadł na Marie.

- Jak dojechałaś? - zapytał na powitanie.
- Sąsiad mnie podrzucił. Chyba ma do mnie słabość... - odparła z uśmiechem, siadając naprzeciwko niego. - To dla mnie? - Czubkiem brody wskazała kawę.
- Proszę bardzo. - Podsunął jej kubek. Marie upiła łyk i skrzywiła się z niesmakiem.
- Słodka.
- Nie słodziej?
- Nie.
- Postaram się zapamiętać na przyszłość.
- Będę wdzięczna. Coś nowego?
- Przyszedł raport z sekcji zwłok tej dziewczyny z dworca. Wiek około trzydziestu lat. Żadnych znaków szczególnych. Szatynka, oczy piwne...
- Wydawało mi się wczoraj, że była blondynką.
- Rzeczywiście - zdziwił się César.

Marie wzruszyła ramionami i położyła przed nim gazetę. Na pierwszej stronie widniał wielki nagłówek: „Kolejna ofiara dusiciela”

- Otwórz na szóstej - powiedziała.

César szybko przerzucił kartki i znalazł właściwą stronę. Marie wskazała palcem niewielkie zdjęcie w lewym dolnym rogu. „Policja prosi o pomoc w zidentyfikowaniu kobiety”

Poniżej widniało zdjęcie niezbyt ładnej twarzy z lekko wybałuszonymi martwymi oczami i jasnymi włosami do ramion. César palnął się dłonią w czoło.

- Dzięki, że to załatwiłaś. Faktycznie, miała jasne włosy... - César zerknął do raportu. - Pewnie rozjaśniała. Co jeszcze zauważyłaś?

- Nic szczególnie ważnego... - Marie zamyśliła się na moment. - Ale wiesz, mam wrażenie, że ta ofiara nie pasuje do schematu naszego sprawcy.

- Dlaczego?

- Trzy pierwsze kobiety były bardzo ładne i zgrabne, a spójrz tylko na to zdjęcie... - Postukała palcem w gazetę.

César przyjrzał się jeszcze raz prasowej fotce. Potem wyjął plik zdjęć z dużej białej koperty załączonej do raportu sekcji zwłok. Obejrzeni je razem z Marie.

- No cóż, to fotografie pośmiertne. Ciało zawsze się trochę zmienia...

- Tamte kobiety też widzieliśmy martwe. Musisz przyznać, że ona jest inna. Nieregularne rysy twarzy, wyłupiaste oczy...

- Uhm...

- W dodatku strasznie zaniedbana. Odrosty, ubranie jak psu z gardła... Słowem, flejtuch. - Skrzywiła się krytycznie.

- Myślisz, że mogła być tancerką?
- Nie sądzę. Owszem, drobnej budowy ciała, ale jakaś taka nieproporcjonalna. Nie umiem ci tego dobrze wytłumaczyć.

- Uważasz, że zabił ją ktoś inny? Że nie zrobił tego nasz sprawca? A litera?

- Przeciwnie... Myślę, że to on. Tym razem jednak się pomylił. Moim zdaniem to nie ona miała być jego ofiarą.

- Nie żartuj! - César odchylił się w fotelu. - Facet łązi po nocach za kobietami, wypatrując blond włosów i zgrabnych nóg. Najprawdopodobniej przez kilka dni je śledzi, a dopiero potem morduje. Z zimną krwią. Przy czwartej popełnia błąd. Jakby dostał jakiegoś nagłego zaćmienia. Nie zauważa, że to nie jego upatrzony wcześniej cel, tylko jakaś przypadkowa kobieta? Nie wierzę.

- Nie wiem, czy scenariusz był dokładnie taki, ale numer cztery nie pasuje do pozostałych. Chcesz się założyć?

- Nie chcę. Bo znowu możesz mieć rację. - Uśmiechnął się krzywo. - Zabity nożem kłozard też się nie mieści w charakterystyce naszych ofiar.

- To co innego. Był świadkiem morderstwa. Zabójca musiał się go pozbyć... - Nie dokończyła, ponieważ w tej samej chwili zadzwieczał telefon.

César westchnął i podniósł z niechęcią słuchawkę.

- Słucham? Tak, ja prowadzę, a o co chodzi? Świadek?! Ach tak, rozumiem. Dobrze, niech zaczeka, już do was jadę. Tylko... na litość boską nie wypuszczajcie jej z rąk! Jasne? - César rzucił słuchawkę i zerwał się z krzesła. - Ubieraj się! Jędziemy.

- Dokąd?

- Do komisariatu XVI dzielnicy zgłosiła się kobieta, którą rok temu napadł nasz stary znajomy... No, co się tak patrzysz? - huknął na Marie, która wpatrywała się w niego wielkimi oczami. - Mówię przecież o naszym dusicielu. Jakimś cudem przeżyła, choć przez tydzień leżała w śpiączce. Pospiesz się, szkoda czasu. Poprosiłem, żeby ją zatrzymali do naszego przyjazdu.

- Chyba raczej wydałeś rozkaz.

- Przestań się czepiać. - César otworzył drzwi i puścił Marie przodem.

W małym pokoiku siedziała młoda kobieta niezwyklej urody. César widział już w swoim życiu wiele pięknych kobiet, ale ta była naprawdę wyjątkowa. Przez pierwsze kilka minut rozmowy nie mógł oderwać od niej wzroku. Delikatne regularne rysy twarzy. Duże zielone oczy o długich rzęsach, niewielki nos i zmysłowe, naturalnie różowe usta. Proste długie włosy o miodowym odcieniu spływały jej na ramiona. Na oko dawał jej dwadzieścia pięć, może dwadzieścia siedem lat. Dopóki nie zaczęła mówić, wydawała się ideałem. Potem zrozumiał, że wypadek odcisnął na niej straszliwe piętno. Mówienie sprawiało jej widoczną trudność. Zaczynała się, czasami przeciągała sylaby, to znów zaczynała się jąkać, nie mogąc dokończyć zdania. Lewa strona twarzy była prawdopodobnie przez jakiś czas sparaliżowana, ponieważ kiedy otwierała usta, część twarzy nie nadążała za resztą. Najwidoczniej tylko prawy policzek nie uległ porażeniu. Lewy kącik ust pozostawał cały czas w jednym miejscu, co zaburzało symetrię jej uroczej buzi.

- Bardzo się cieszymy, że się pani do nas zgłosiła - zaczął spokojnie César.

Marie włączyła mały dyktafon i położyła go na biurku.

- Bbędziecie nnagrywaaać?

- Jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu - odparła łagodnie Marie, żeby już na samym wstępie nie peszyć tego arcyważnego świadka.

- Chyba nieeee...

- Domyślam się, że przeczytała pani artykuł na temat seryjnych morderstw i skojarzyła go ze swoją historią, czy tak? - César uśmiechnął się zachęcająco, żeby ośmielić zdenerwowaną dziewczynę.

- Nno niee. Nnamówiła mnie ppani ppsycholloog.

- Chodzi pani na terapię?

- Ccaaly czaas.

- Od wypadku? - Marie spojrzała na nią ze współczuciem.

- Tttaak. Ttoo było w gruudniu uubiegłego rooku. Wraccałam późno ddo doomu. Oon napadł na mnie, kkiiedy wwychoodziłaaam z metra.

- Widziała go pani? - César wpatrywał się w nią z uwagą.

- Chyba ttaak.

- Rozpoznałaby go pani?

- Nniee wiem. - W oczach przesłuchiwanej nagle pojawiły się łzy.

- Domyślam się, że to dla pani szalenie przykre, ale musiałem o to zapytać. Gdyby okazało się, że to ten sam sprawca, który w ostatnim czasie zamordował kilka kobiet, pani pomoc w zidentyfikowaniu tego człowieka byłaby wprost bezcenna - wyjaśnił César.

Dziewczyna wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- Oczywiście. Ppo to ttu przyyszłam.

Kiedy skończyli spisywać zeznania, wszyscy troje czuli się mniej więcej tak, jakby ich ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Przesłuchiwana dlatego, że musiała przeżywać na nowo koszmara, o którym starała się od roku zapomnieć, a także ze względu na męczarnię, jaką stanowiło dla niej mówienie. César i Marie starali się jej nie przerywać, chociaż ślimacze tempo odpowiedzi powodowało, że kiedy tylko rozpoczęła zdanie, oni już domyślali się zakończenia. Trwało to znacznie dłużej niż standardowe przesłuchanie i wszyscy byli nieludzko zmęczeni. Na koniec młoda kobieta otarła Izy, pożegnała się szybko i wyszła. César i Marie zostali w pokoju. Przez chwilę nie odzywali się do siebie, każde zajęte swoimi myślami.

- Szczerze jej współczuję. To straszne, co musiała przejść - Marie odezwała się pierwsza. - Cud, że w ogóle żyje.

- Masz rację... - César westchnął głośno, po czym zaczął przeglądać notatki, które zrobili podczas przesłuchania. - Gdybym złapał skurwiela, który jej to zrobił...

- To co? - Marie spojrzała z powagą na Césara.

- Nic - uciał szybko.

Nie chciał dokończyć, ponieważ od kilku dni miał wrażenie, że Marie jest bardzo zasadnicza i nie toleruje żadnych odstępstw od przepisów. Na wszelki wypadek więc wolał trzymać język za zębami.

- Domyślam się, co chciałeś powiedzieć. - W głosie Marie pobrzmiwała jakaś niespodziewanie miękka nuta. - I wiesz,

wcale mnie to nie dziwi. To zupełnie naturalne. Ja też miałam podobne odczucia, kiedy zobaczyłam te okropne blizny, które jej zostawił na pamiątkę... Taka piękna szyja... Myślenie w kategoriach „oko za oko, ząb za ząb” jest stare jak świat... Ale wiem też, że gdyby przyszło co do czego, zachowasz się jak prawdziwy policjant.

- Naprawdę? - César spojrział na nią zdumiony.

Słowa Marie polechtały go mile. Od razu poweselał.

- Słuchaj, ja... - Marie spuściła wzrok. - Ja cię nie osądzam. Nawet jeśli tak ci się wydaje. Co innego prowadzić z tobą dyskusje, a co innego...

- Po przesłuchaniu u Fauquarta odniosłem inne wrażenie.

- Przykro mi, nic na to nie poradzę... - Marie rozłożyła ręce. - Rzeczywiście, tak to wtedy wyglądało. Zawsze staram się mówić prawdę. Ale pamiętaj, nie jestem twoim wrogiem.

- Wezmę to sobie do serca. Sprawdziłaś nagranie?

- Tak. Wszystko w porządku.

- No to spadajmy. Stary będzie chciał się jak najwięcej dowiedzieć.

Paryż, wiosna 2008 roku

Marek okazał się bardzo rozmowny. Przez cały wieczór opowiadał zabawne historyjki z dawnych lat. Zosia zaśmiewała się do łez. W przeciwieństwie do Krystiana, którego nie mogli jakoś rozruszać ani żartem, ani winem. To prawda, był nieco markotny, ale Zosia złożyła to na karb jego jutrzejszego powrotu do Warszawy. Opróżnili dwie butelki chateauf du pape

i Marek zaczął się dopytywać, czy w pobliżu nie ma jakiegoś sklepu z alkoholem. Krystian natychmiast zaprzeczył, nim Zosia zdążyła otworzyć usta i powiedzieć, że owszem, dwie ulice dalej są delikatesy.

- Widzę, że coś nie masz dziś humoru, Kris - uśmiechnął się Marek, dopijając ostatni tyk wina ze swojego kieliszka. - A pamiętasz nasze wygłupy? Te zabawy w przebierańców? Nasz dance macabre?

- Daj spokój - warknął ze złością Krystian. Żarty szkolnego kolegi najwyraźniej go irytowały.

- To były czasy... - rozmarzył się Marek, jakby nie zauważając, że Kris unika tego tematu. - Te zadymy, wariackie wypadki, nabijanie w butelkę naiwnych pańienek...

- Przymknij się wreszcie, okej? - syknął ostrzegawczo Krystian. Na jego twarzy malowała się już nie irytacja, ale wściekłość.

- Jasne, jasne... nic więcej nie powiem. - Marek zaśmiał się cicho, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

- O czym mówicie? - zainteresowała się naraz Zosia. - Co to za awanturki wyprawialiście? - Puściła do Marka oko, a Krystiana szturchnęła lekko łokciem. - Cóż to za tajemnice?

- Zostawmy to na inną okazję - mruknął Krystian bez uśmiechu. - Myślę, że na ten wieczór wystarczy już zabawy. - Spojrzał wymownie na zegarek, dając Markowi do zrozumienia, że jego wizyta właśnie dobiegła końca.

- No to, komu w drogę... - Marek odstawił pusty kieliszek i podniósł się z kanapy. - Dzięki za zaproszenie, Zosieńko. Jesteś cudowną gospodynią i uroczą towarzyszką zabawy. - Podszedł do niej i ucałował ją w oba policzki. Potem zwrócił się do Krystiana. - Cześć, Kris. Fajnie było cię znowu zobaczyć. I...

- zerknął jeszcze raz na Zosię - ...moje gratulacje. Za taką kobietą powędrowałbym na koniec świata. Nie tylko do Paryża...

Po jego wyjściu Zosia zabrała się do zmywania naczyń. Nie kupiła zmywarki do wynajmowanego mieszkania, ponieważ uważała to za zbędny luksus. Często stołowała się na mieście. Krystian siedział na stołku, wpatrując się w strumień wody. Milczał zawzięcie. Wyglądało na to, że coś go gryzie. Od wyjścia Marka nie odezwał się ani jednym słowem. Zosia raz po raz rzucała mu ukradkowe spojrzenia i uśmiechała się pod nosem. Pomyślała, że to pierwsze objawy zazdrości, z jakimi spotkała się ze strony Krisa. I nawet ją to bawiło. Kiedy leżeli w łóżku, Krystian odezwał się nagle.

- Wiesz, kochanie... Nie zrozum mnie źle, ale Marek to dość dziwny człowiek. On...

- Tak?

- Nic... po prostu... - zaczął się płatać. - Uważaj na niego. Tak na wszelki wypadek.

- Nie rozumiem - odparła, zapalając nocną lampkę. Przyglądała mu się z zaciekawieniem, ale i z pewną obawą. - Możesz mówić jaśniej?

- Niepotrzebnie się denerwujesz - zaczął ją uspokajać Krystian. - Jestem pewien, że nie będzie ci się narzucał, ale... - Umilkł nagle.

- Ach, więc o to ci chodzi - roześmiała się ucieszona i pocałowała go w czubek nosa. - Jesteś zazdrosny?

- W pewnym sensie - odparł wymijająco. - Miałem na myśli...

- Nie masz powodu, skarbie. Przecież wiesz, że za tobą szaleję. Poza tym jestem typem Penelopy. - Zosia zachichotała.
- Ten facet nie ma u mnie żadnych szans.

Nawet tycich, tyciutkich... - Uniosła do góry palec wskazujący i kciuk, żeby pokazać, jak mizerne są notowania Marka.

18.

Jest tancerką? - zapytał Vincent, kiedy César i Marie zdawali mu relację ze spotkania z ofiarą napaści sprzed roku.

- Nie - odparł César. - Już nie. Biedna dziewczyna...

- Tańczyła kiedyś w balecie. Później w szkole tańca nowoczesnego. Chciała zdawać na aktorstwo. Ale wszystko wskazuje na to, że będzie się musiała pożegnać ze swoimi planami. - Marie pokiwała ze smutkiem głową. - Od roku chodzi na rehabilitację. Sesje terapeutyczne z psychologiem... Nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa.

- Widziała sprawcę? - Vincent spojrzał na Césara.

- Nie jest pewna.

- To znaczy? - Stary patrzył teraz na Marie, jakby chciał ją przeświecić.

- Był zakapturzony. Zaatakował ją od tyłu.

- Ale jakieś szczegóły chyba pamięta? - zirytował się Stary.

- Niewiele...

- Myślę, że nie powiedziała nam wszystkiego... - wtrącił César, zawieszając głos.

Oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Tak sądzisz? - spytała Marie.

- Wydaje mi się, że nie chce pamiętać tego zdarzenia. Przez cały rok starała się wyrzucić je z pamięci. Być może niektóre szczegóły tkwią jeszcze w jej podświadomości, obawiam się jednak, że cholernie trudno będzie je wydobyć na światło dzienne...

- Możliwe - zgodziła się z nim szybko.

- Co proponujesz? - Komisarz wydawał się również przychylić do tej wersji.

- Uważam, że powinniśmy ją jeszcze raz przesłuchać. Teraz, kiedy już nas poznała, mam nadzieję, że będzie mniej zestresowana. Zaproponujmy jej sesję przygotowującą portret pamięciowy. Jeśli i to nic nie da, a biorę pod uwagę i taką ewentualność, mam w pogotowiu plan B. - César spojrział spod oka na komisarza. - Moglibyśmy jeszcze poprosić o pomoc doktor Stewart.

- Oho, widzę, że wyobraźnia pracuje... - zaśmiał się ironicznie Vincent. Najwyraźniej nie był zachwycony propozycją Césara.

Angélique Stewart była znanym i cenionym w kręgach medycznych lekarzem psychiatrą. W swojej pracy wykorzystywała między innymi umiejętność wprowadzania pacjentów w stan hipnozy, dzięki czemu niejednokrotnie udawało jej się uzyskać spektakularne i zaskakujące rezultaty, których koledzy p'd fachu mogli jej tylko pozazdrościć. Zdarzyło się już parę razy, że policja skorzystała z pomocy pani doktor w wyjątkowo trudnych przypadkach, choć jej metody miały również wielu przeciwników. Tajemnicą poliszynela było to, że kilka lat wcześniej Vincent miał płomienny romans z Angélique, który jak twierdzili dobrze poinformowani, zakończył się dość burzliwie. César nie znał szczegółów tej historii i nie wiedział, jak

zareaguje komisarz na pomysł zaproszenia do współpracy jego ekskochanki.

- Przyznasz jednak, że jej metody... - César starał się przekonać Starego, ale ten nie pozwolił mu dokończyć. Poczzerwieniał na twarzy i zaczął sapać jak stary hipopotam. Widomy znak, że należało czym prędzej zakończyć dyskusję.

- Dobra, dobra. Kto jak kto, ale ja już najlepiej znam tę panią i jej metody... - mruknął w nagłym przypływie szczerości. - Zgadzam się na ponowne przesłuchanie i portret. Dopiero jak to nie poskutkuje, będziemy się zastanawiać, co dalej robić z tym fantem. Aha, i jeszcze jedno - spojrzał na swoją podwładną - jak się nazywa ta napadnięta kobieta?

- Jessica Isabel Artonso - wyrecytowała Marie, zaglądając w notatki.

- Hm, ciekawe nazwisko, Artonso. Jakiego jest pochodzenia?

- Zdziwi się szef. Jest Francuzką.

- Akurat na to bym nie wpadł. - Komisarz uśmiechnął się pod nosem.

- Jej rodzice pochodzą z Ameryki Południowej. Zdaje się, że z Brazylii czy Wenezueli... Nie pamiętam dobrze. W każdym razie przyjechali do Paryża tuż przed jej urodzeniem.

- Domyślam się, że panna... a może pani Artonso jest ognistą brunetką.

- Pudło. Owszem, dziewczyna piękna jak marzenie, ale to blondynka o zielonych oczach - odparł César.

- Wpadła ci w oko, inspektorze? - w głosie Marie po-brzmiewała ironia.

- Co z tego, kiedy tobie nie dorasta do pięć... jeżeli chodzi o bystrość umysłu - odgryzł się César. Marie zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Dość tego przekomarzania się - skrzywił się lekko komisarz. - Czekam na pisemny raport. Postarajcie się jak najszybciej zorganizować spotkanie. Musimy przyspieszyć dochodzenie. - Marie i César zrozumieli, że audiencja dobiegła końca. Podnieśli się z krzesel. - Aha, César, byłbym zapomniał. - Vincent wyjął z szuflady szarą teczkę. - Przyszła kopia raportu Fauquarta.

- Już myślałem, że się nie doczekam. - César z bijącym sercem sięgnął po teczkę.

- Tamta mała to tancerka z Crazy Horse. A jeśli chodzi o tożsamość kloszarda... No cóż, akurat tego nie udało się jeszcze ustalić.

- Wreszcie będziemy mogli porównać wyniki badania krwi znalezionej na peronie - ucieszyła się Marie.

Godzinę później Marie zajrzała do biura Césara.

- Jest tak, jak przypuszczałaś: litera została napisana krwią tego biedaka - powiedział, uprzedzając jej pytanie. - Ale ślady krwi z peronu pochodzą od kogoś innego. To by potwierdziło twoją teorię, że napastnik został zraniony nożem podczas szarpaniny z bezdomnym.

- Znalazłeś jeszcze coś ciekawego? - Marie usiadła *vis-à-vis* Césara.

- Staram się.

- Mogę ci pomóc - zaofiarowała się bez wahania.

- Czemu nie? Proszę. - César podsunął jej raport.

Marie zmarszczyła czoło i pochyliła się nad dokumentami.

- Napijesz się wody? A może wolisz kawę? - zapytał, wstając z krzesła.

- Wodę.

Skinął głową i ruszył korytarzem w stronę holu, w którym stały automaty z napojami. Po chwili był już z powrotem w swoim pokoju. Marie w dalszym ciągu przeglądała akta. César postawił przed nią butelkę. Usiadł w obrotowym fotelu i pijąc wodę ze swojej butelki, przyglądał się koleżance. Jak to możliwe, że do tej pory nie zauważył jej pięknych, kasztanowych oczu w czarnej oprawie długich rzęs? Przesunął wzrokiem po ciemnych, lekko kręconych włosach, które błyszczały nawet w świetle zwykłej jarzeniówki. Brzydula? Vincent powinien sobie jak najszybciej sprawić dobre okulary, przemknęło mu przez myśl.

- Na co się gapisz? - mruknęła Marie, nie podnosząc oczu znad akt.

César chrząknął speszony. Cholera, rzeczywiście jest bystra.

- Zamyśliłem się, przepraszam... - pospieszył z wyjaśnieniem.

Marie oderwała się od raportu i przyjrzała mu się z uwagą.

- Znalazłaś coś interesującego?

- W kieszeni płaszcza miała dwa wykorzystane bilety do kina. To by oznaczało, że dzień przed śmiercią była z kimś w Gaumont na Champs Élysées. O wpół do pierwszej obejrzeli film w sali numer 13. Pytanie brzmi tylko: z kim?

- Uhm.

Też to zauważył, z tą różnicą, że on wiedział o dodatkowym szczególe: że bilety, podobnie zresztą jak i płaszcz, należały do

Loli. Ale jego ciekawość, z kim jego piękna kochanka poszła wtedy do kina, była nieporównywalnie większa...

- Nie znaleziono nic więcej, a przecież to niemożliwe, żeby nie miała przy sobie torebki z dokumentami, pieniędzmi i tak dalej. Kobiety nigdy nie wychodzą z domu bez takich... akcesoriów. - Spojrzała z uśmiechem na Césara i mówiła dalej.

- Musiała mieć także bilet do metra. Bądź co bądź przeszła przez barierkę. Nie wierzę, że przeskakiwała bramki w pantofelkach na wysokich obcasach.

- Fakt. Zastanawiam się też, dlaczego nie znalazł się nigdzie jej drugi but. Przecież nie rozpułnął się w powietrzu.

- Tak, to dość dziwne... - zgodziła się Marie. - Do tej pory nasz sprawca nie zabierał żadnych przedmiotów należących do ofiar.

- Tego nie wiemy. - César miał odmienne zdanie na ten temat. - Mógł na przykład brać takie rzeczy, których zniknięcia nie byliśmy w stanie zauważyć. Coś z biżuterii - pierścionek, bransoletkę. Albo jakiś kosmetyk. Może szminkę?

- Ale musisz przyznać, że tym razem zrobił to ostentacyjnie. Jakby chciał nam coś powiedzieć. Nie zawahałabym się nawet nazwać tego prowokacją. Drań staje się coraz bardziej bezczelny.

- Sądzisz, że kolekcjonuje przedmioty osób, które uśmiercił?

- Możliwe, że jest to dla niego coś w rodzaju fetyszu. W tej sytuacji powinniśmy poprosić o pomoc psychologa lub nawet psychiatrę. Tak myślę. *À propos*, masz może numer telefonu do doktor Stewart?

- Naprawdę chcesz ją w to zaangażować? - César aż podskoczył na krześle.

- Dlaczego nie? Skoro jest taka świetna, jak mówileś... - Marie była zdumiona jego reakcją.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Wiesz... Swego czasu Stary i ona mieli romans - odparł z niechęcią.

Nie lubił powtarzać plotek. Marie gwizdnęła przeciągle.

- No, no... Nasz poczciwy stary Vincent. Kto by pomyślał?

- Uhm... - chrząknął César. - Ale to skończone. Definitywnie. I jak widać, komisarz nie ma już ochoty z nią współpracować. Sama zresztą słyszałaś...

- To jego sprawa. - Marie westchnęła. - Ja natomiast nie zamierzam rezygnować z tak znakomitego specjalisty na rzecz jakiegoś konowala tylko dlatego, że pan komisarz romansował kiedyś z panią doktor.

- Chyba nie chcesz robić mu na przekór?

- Zaproponuję jej spotkanie na mieście. Tylko w ostateczności zaproszę ją do komendy.

- W porządku. Masz jednak świadomość, że...

- César, weź na wstrzymanie, okej? Nie mieszajmy spraw prywatnych z zawodowymi. Jestem przekonana, że gdyby Stary był na moim miejscu, postąpiłby tak samo.

Mijały kolejne miesiące, a związek Zosi i Krystiana rozkwitał. Jego wizyty stały się regularne. Ona również, kiedy tylko mogła, przyjeżdżała do Warszawy, żeby częściej go widywać. Trochę zaczęło im już doskwierać takie życie na walizkach, spotkania przez internet, rozmowy telefoniczne. Niby blisko, a przecież tak daleko od siebie... Z każdym dniem, tygodniem, miesiącem coraz bardziej pragnęli stabilizacji. Pomysł wspólnego mieszkania krystalizował się stopniowo. Po roku znajomości

doszli do wniosku, że pora wreszcie skończyć z tą prowizorką. Odbyli długą naradę, postanawiając, że dają sobie sześć miesięcy na podjęcie ostatecznej decyzji o tym, gdzie powinni zamieszkać już razem. Krystian sprawdzał możliwości znalezienia dla Zosi pracy w Warszawie. Ona kusiała go perspektywą wspólnej przyszłości w Paryżu.

Pewnego wieczoru, kiedy wracała do domu, na jednej z ulic minęła znajomą postać. Zatrzymała się w pół kroku. Odwróciła głowę, przekonana, że to Marek. Ten sam, którego poznała kilka miesięcy temu. Sympatyczny żartowniś i kawalarz. Zawołała go nawet po imieniu, ale mężczyzna zdążył już zniknąć w tłumie.

Ruszyła dalej, myśląc o tym, jak dziwnie zmienioną miał twarz, zaciętą i mściwą, a jego ciemne oczy przypominały oczy ślepca albo... szaleńca, który nie widzi, co wokół niego się dzieje.

19.

Zanim wszedł do sali, w której oboje z Marie mieli przesłuchać Jessicę, ktoś chwycił go energicznie za ramię i odciągnął od drzwi.

- Po co sprowadziliście tutaj tego babsztyła?! - wysyczał mu do ucha Vincent. Dyszał z wściekłości, a twarz robiła mu się z każdym słowem coraz bardziej purpurowa.

- O kim ty mówisz? - zdziwił się César. - Bo jakoś nie bardzo rozumiem...

Niestety, już po sekundzie przypomniał sobie rozmowę z Marie na temat pani doktor Stewart i oblał go zimny pot.

- Zaraz zrozumiesz, durniu jeden. Prosiłem, żeby jej w to nie mieszać - wydyszał Stary. - Chcesz mnie wkurzyć, czy co?

- Komisarzu, ja... Naprawdę o niczym nie wiedziałem. To Marie ją tu sprowadziła.

Vincent zwolnił uścisk na ramieniu Césara i cofnął się o krok.

- Dlaczego? - Spojrzał badawczo na Césara, który stał z głupią miną.

- Mówiłem jej sto razy, tłumaczyłem, żeby wzięła kogoś innego, ale gdzie tam... Nawet nie chciała mnie słuchać. Powiedziała, że tak poważna sprawa wymaga najlepszych specjalistów.

- Tak powiedziała? - Stary zamrugał oczami.

- Słowo w słowo. To jak? Mam jej powiedzieć, żeby wszystko odwołała?

- Nie, nie... Idź już lepiej na przesłuchanie - westchnął ciężko Vincent.

Odwrócił się na pięcie i powlókł do swojego pokoju, zgarbiony, zrezygnowany. César stał przez chwilę i patrzył za nim w milczeniu. Było mu naprawdę przykro, że tak to wyszło. Odchrząknął i skierował się ponownie do sali przesłuchań.

Angélique Stewart robiła wrażenie nawet wówczas, gdy stała nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Odwrócona przodem do okna wpatrywała się w coś, co musiało być znacznie bardziej interesujące niż zwykły policyjny parking. Przypomniała posąg. Jej platynowe włosy zebrane były z tyłu w gruby

puszysty kok. Wąskie, ale ładnie zaokrąglone ramiona, wyprostowana szczupła sylwetka i zgrabne nogi stanowiły jej niewątpliwą atut. Na tę okazję ubrała się w szary kostium i eleganckie pantofle na niebotycznych obcasach. Wokół szyi owinęła niedbale jedwabną apaszkę w białe grochy. Kobieta z klasą - nic dodać, nic ująć. Kiedy odwróciła się od okna, César nie mógł przez chwilę zobaczyć jej twarzy, ponieważ stała pod światło.

- Wreszcie pan jest - powiedziała niskim, nieco gardłowym głosem. César poczuł się tak, jakby przeniósł się jakimś cudem do szkolnych lat i stał teraz przed surową panią profesor, która dawała mu reprimendę.

- Bardzo przepraszam, pani doktor. - Ukłonił się szarmancko i podszedł bliżej, żeby się z nią przywitać. Dłoń lekarki była mała i delikatna, ale uścisk mocny, niemal męski. - Inspektor César Bresson.

- Niech pan siada, inspektorze. - Angélique wskazała mu miejsce obok Marie, jakby to ona tutaj rządziła.

Dopiero teraz wzrok Césara przyzwyczaił się na tyle, by dostrzec regularne rysy jej twarzy. Miała niebieskie oczy, prosty nos i ładnie wykrojone usta. Można by rzec, że to klasyczna uroda, gdyby nie duży czarny pieprzyk po lewej stronie, nad górną wargą, który natychmiast wywoływał skojarzenie z Marilyn Monroe. Zmarszczki wokół oczu i ust zdradzały jej wiek, już nawet nie balzakowski. Jak nic pięć dych z okładem, oszacował. Pani doktor miała wypisane na twarzy, że nie jest zwolenniczką botoksu ani operacji plastycznych. Choć z pewnością mogłaby sobie na to pozwolić.

- Jak już powiedziałam pańskiej koleżance, do przygotowania portretu psychologicznego sprawcy będę potrzebować

jak najwięcej informacji zebranych w trakcie śledztwa. A najlepiej wszystkich bez wyjątku.

- Tak, tak, rozumiem - szepnął pokornie César, udając, że robi notatki na pomiętym karteluszk, który wyciągnął pośpiesznie z kieszeni marynarki.

- Jeśli oczywiście komisarz wyrazi na to zgodę - dodała od siebie Marie.

- No, moi państwo, musicie się zdecydować, czy chcecie ze mną pracować, czy nie. - Angélique wydawała się bardzo niezadowolona. - Nie znając wszystkich szczegółów sprawy, nie będę mogła postawić rzetelnej diagnozy. Chyba macie tego świadomość? - Spojrzała z góry na Césara i Marie, a jej brwi zsunęły się u nasady nosa. Wyglądała teraz naprawdę groźnie.

- Ależ naturalnie, pani doktor. Jeszcze dziś porozmawiam na ten temat z komisarzem Vincentem - odparł szybko César, który czuł się coraz lepiej w roli ucznia.

- Wracając do kwestii przesłuchania świadka... - wtrąciła Marie.

- Dobrze. Mogę spróbować wprowadzić ją w stan letargu, ale uprzedzam - popatrzyła na nich surowo - bardzo dużo zależy od niej samej.

- To znaczy? - zainteresowała się Marie.

- Po pierwsze, jeśli dobrze rozumiem, nie ma żadnej pewności, że ta kobieta w ogóle widziała twarz sprawcy. W takim przypadku nie pomoże nam żadna hipnoza.

- To oczywiste - westchnęła Marie, ale lekarka zignorowała jej uwagę.

- Po drugie, nie wiem, w jakim stopniu świadek będzie podatny na moje metody. - Marie i César spojrzeli z zaciekawieniem

na doktor Stewart. - Są różne osobowości, charaktery... - wyjaśniła, podchwytyjąc ich wzrok. - Jedne łatwiej poddają się hipnozie, nad innymi trzeba trochę popracować, a jeszcze inne w ogóle nie są na nią podatne. Nie mogę państwu zagwarantować stuprocentowego efektu.

- No tak - bąknął César. Poczul się odrobinę rozczarowany. Taka sława, a tu proszę.

- Mimo to chcielibyśmy spróbować - powiedziała zdecydowanym tonem Marie. - Jessica będzie tu za dziesięć minut. Uważam, że byłoby dobrze, żeby poznała panią i oswoiła się z pani obecnością. Jest bardzo znerwicowana i nieufna. Będzie lepiej, jeżeli dzisiaj nie będzie jej pani przesłuchiwała, a tylko obserwowała jej reakcje i przysłuchiwała się jej odpowiedziom na zadawane przez nas pytania.

- Moje dziecko... Jestem lekarzem. Nie prowadzę przesłuchań. - Doktor Stewart wydeła pogardliwie wargi. - I nie mam zwyczaju wywierać presji na moich pacjentów. Staram się z nimi rozmawiać w taki sposób, żeby sami otworzyli się przede mną - dodała profesorskim tonem.

- Rozumiem... - Marie zaczerwieniła się jak skarcona nastolatka.

César wolał na wszelki wypadek spojrzeć na zegarek, by nie napotkać wzroku żadnej z siedzących obok kobiet. Sytuacja zrobiła się dość niezręczna.

- Może filiżankę kawy, pani doktor? - zaproponował.

- Z cukrem i śmietanką - odparła Angélique i znów podeszła do okna.

- Dla ciebie? - zwrócił się do Marie.

- Chętnie. - Puściła do niego oko. - Bez cukru.

César kiwnął głową, po czym ruszył w stronę drzwi.

- I zapytaj w sekretariacie, czy Jessica już przyszła! - zawołała za nim Marie.

Tego dnia został w pracy znacznie dłużej niż zwykle. Musiał wreszcie zaprowadzić ład w aktach sprawy, chciał je jeszcze raz przestudiować w porządku chronologicznym. Przesłuchanie Jessiki szło jak po grudzie. Dziewczyna była jeszcze bardziej zdenerwowana niż poprzednim razem. Częściej się jąkała i zacinała. Chwilami nie była w stanie dokończyć zdania. Brakowało jej oddechu. Łapała powietrze, dusząc się jednocześnie, niczym wyrzucona na brzeg ryba. Nie wiadomo było, czy to obecność pani doktor tak na nią podziałała, czy też świadomość, że takich „seansów” może być więcej. A zatem i odgrzebywania zdarzeń, o których starała się zapomnieć.

Kiedy uporał się już ze stertą raportów, postanowił wrócić na noc do domu. Idąc korytarzem w stronę windy, zobaczył smugę światła sączącą się spod drzwi pokoju komisarza. W pierwszej chwili nawet się ucieszył, że Stary jest jeszcze u siebie. Chciał powiedzieć mu dobranoc. Ale już w następnej przypomniał sobie nieprzyjemną rozmowę, jaką odbyli tego popołudnia. Zawahał się przez chwilę. Cholera, co robić, iść czy nie iść? I wtedy usłyszał znajomy gardłowy głos dobiegający z gabinetu szefa. Cofnął się pospiesznie i przywarł do ściany.

- Co ty sobie myślisz, Fred? Zachowujesz się jak jakiś nieopierzony gołowąs. Nie odbierasz moich telefonów, nie odpowiadasz na esemesy... Domyślam się, że poczułeś się wtedy niezręcznie, ale wyobraź sobie, że mnie też nie było lekko.

- Daj spokój, Angel - przerwał jej Vincent. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Daruj sobie. Już mnie nie ruszają te twoje sztuczki.

- Jak możesz! Ja naprawdę niczego nie udaję.

- Dobrze, niech ci będzie.

- Pozwól, że wszystko ci wreszcie wyjaśnię. A potem zrobisz, co zechcesz.

- Nie i jeszcze raz nie! Masz mnie za idiotę? Jeśli ci teraz pozwolę, znowu będziesz chciała owinąć mnie sobie wokół palca. Nie będę tego słuchać!

- Ty jednak naprawdę jesteś idiotą. Jak myślisz, po co zgodziłam się tutaj dzisiaj przyjść?! Nie potrzebuję żadnych dodatkowych zleceń. Mam wystarczająco dużo własnej pracy i nie muszę dawać się wykazać młodemu narybkowi. Zrobiłam to dla ciebie! Słyszysz? Wyłącznie dla ciebie, Fred.

César stał oniemiały. Nie wierzył własnym uszom. Po chwili wstrząsnął nim huk trzaskających drzwi i Angélique Stewart pomknęła korytarzem w stronę windy. Jak zahipnotyzowany patrzył na jej kołyszące się biodra i zgrabne nogi na wysokich obcasach. W końcu oprzytomniał i już miał zrobić krok naprzód, gdy nagle drzwi ponownie się otworzyły i wybiegł przez nie komisarz Vincent. On również pognał w kierunku windy. Nawet nie zauważył Césara, który z zapartym tchem śledził ten spektakl.

O tym, że widziała Marka, nie wspomniała Krystianowi również wtedy, gdy odwiedził ją w Paryżu. Od dwóch dni właściwie

nie wychodzili z łóżka. Dobrze, że przezornie zrobiła wcześniej zapas jedzenia.

Drugiego dnia pod wieczór zadzwoniła komórka Krisa. Zosia nalegała, żeby odebrał, choć Krystian chciał odrzucić połączenie. Dzwonił Marek. Właśnie przyjechał do Paryża z kolejną grupą „frajerów” i powiedział, że ma dla nich na jutro bilety na spektakl w Moulin Rouge. Niegrzecznie byłoby odmówić, zwłaszcza że bilety były w prezencie, a oni nie mieli żadnych planów na następny wieczór.

Marek czekał na nich przy wejściu do rewii. Czerwony neon młyńskiego koła zapalał się i gasł, przyciągając z daleka spojrzenia turystów. Weszli do środka i już po chwili podziwiali piękny i bogaty wystrój teatru. Zaprowadzono ich do stolika na podwyższeniu, tuż za barierką we wzór serca. Na początek podano *foie gras* i kieliszek wytrawnego szampana. Potem serwowany był turbot z ziemniaczkami po angielsku, a na deser sery i owoce. Zarówno jedzenie, jak i spektakl były wymiennie. Piękne, skąpo ubrane tancerki, przystrojone kolorowymi piórami i błyszczącymi cekinami, wzbudzały podziw wszystkich mężczyzn na sali. Radosna muzyka, piękna scenografia i zmieniające się co chwila oświetlenie pobudzały wyobraźnię. Pod koniec występu Krystian nachylił się do Zosi i szepnął jej do ucha, że wszystkie co do jednej mogą być nawet miss świata, ale dla niego to ona jest najcudowniejsza.

Kiedy wyszli, Marek odprowadził do autokaru swoich podopiecznych i zaproponował, żeby skoczyli gdzieś razem na drinka. Znowu nie wypadało odmówić. Krystian zgodził się, pod

warunkiem że to on ureguluje rachunek. Poszli spacerem przez bulwar de Clichy, o tej porze tętniący nocnym życiem, rozświetlony kolorami reklam, pulsujących wszystkimi barwami tęczy. Co chwilę zaczepiali ich naganiacze oferujący usługi licznych tu klubów go-go, sex shopów oraz kin z filmami porno. Zirytowani ich nachalnością, zdecydowali się wziąć taksówkę i pojechać w jakieś bardziej cywilizowane miejsce w centrum Paryża.

Wysiedli nieopodal Łuku Triumfalnego, gdzie natychmiast wtopili się w tłum przechodniów spacerujących po baśniowo oświetlonych Polach Elizejskich. Drzewa po obu stronach alej przybrane były girlandami złotych lampek. Witryny sklepów i restauracji lśniły blaskiem kolorowych neonów. Gdzieś z otwartych drzwi dobiegały wesola muzyka i gwar. W powietrzu unosił się zapach drogich perfum, tytoniu i wina. Szli niespiesznie, ciesząc się beztroską wieczoru, a potem Marek pociągnął ich w jakąś boczną uliczkę, przy której mieściła się niewielka restauracja w stylu kubańskim. Znaleźli wolne miejsce tylko przy barze. Czekaając na stolik, wypili po drinku. Mieli szczęście, po kwadransie miejsce zwolniły cztery rosyjskie turystki obciążone wielkimi torbami, z pewnością wypełnionymi po brzegi ekskluzywnymi suvenirami od Prady i Diora. Zamówili zestaw przekąsek i następną kolejkę drinków.

Chłopcy nieźle popłynęli tej nocy. Po którejś kolejce Zosia zaczęła się obawiać o samopoczucie Krystiana następnego dnia. Coraz częściej spoglądała na zegarek i przypominała, że powinni się zbierać do domu. Kris był w wyśmienitym humorze.

Ilość wypitego alkoholu sprawiła, że wszystko go śmieszyło i miał ochotę bawić się dalej. Jego chłodny stosunek do Marka gdzieś się ulotnił. Czulo się, że znów nadają na tych samych falach. Nie do końca rozumiała ich żarty, którym towarzyszyły głośne salwy śmiechu i klepanie się po i udach. Wystarczyło, że jeden z nich rzucił jakieś półsłówko, a już obaj panowie rzeli jak młode źrebaki. W pewnym momencie Zosia poczuła się zmęczona i nieco wyobcowana. Nie nadążała za ich żartami. Przestała nawet próbować się domyślać, o czym mówią. Postanowiła zakończyć to męskie spotkanie, biorąc sprawy w swoje kobiece ręce.

- Dzwonię po taksówkę - powiedziała z naciskiem, co jednak jakby uszło uwagi jej towarzyszy. Marek chwycił ją za rękę i pocałował namiętnie wierzch dłoni.

- Daj spokój, mała. Chyba nie chcesz zepsuć tak pięknego wieczoru? - spytał żartobliwie, puszczając oko do Krisa.

Zosia spojrzała na niego ze złością. Już chciała mu palnąć jakąś stosowną mówkę, ale umilkła nagle, zaskoczona niemile tym, co ujrzała. Wyglądał niesamowicie, jakby odpływał. Oczy lśniły mu jakimś złym blaskiem. Było w nim coś diabolicznego, coś, co budziło w niej lęk. I wtedy przypomniała sobie, że kiedyś już widziała tę dziwnie nieobecną twarz. Ciarki przeszły jej po plecach.

- Przestań się wygłupiać! - Wyrwała wreszcie rękę i podniosła się energicznie z krzesła. - Idę do toalety. Jak wrócę, rachunek ma być zapłacony. - Rzuciła Krisowi wymowne spojrzenie. - Zrozumieście, czy mam powtórzyć?

- Tak jest! - roześmiał się Krystian i zasalutował.

- Przestań, to wcale nie jest zabawne... Za dużo wypiełeś - parsknęła rozzłoszczona.

- *Nemo sine vitiiis est** - rzucił Marek.

* *Nemo sine vitiiis est* (łac.) - nikt nie jest bez wad.

Obaj ryknęli śmiechem. Zosi to wcale nie bawiło. Wprost przeciwnie, jeszcze wzmogło jej irytację. W drodze do łazienki minęła kelnera, którego poprosiła, żeby jak najszybciej zaniósł rachunek do ich stolika. Mimo że była odwrócona plecami, czuła na sobie świdrujące spojrzenie Marka.

Kiedy weszli do mieszkania, Kris padł na kanapę i natychmiast zasnął. Zosia postanowiła go ukarać za „nieposłuszeństwo” i zostawić do rana w takim, pożał się Boże, stanie. Nawet nie nakryła go kocem. I dobrze mu tak! Sam się o to prosił. Poszła do łazienki wziąć prysznic i położyła się w sypialni, a właściwie we wnęce przylegającej do salonu, gdzie stało jej łóżko i mała chińska szafeczka malowana w róże i rajskie ptaki, którą kupiła na pchlim targu. Mieszkanko było niewielkie, ale funkcjonalne. Długo nie mogła zasnąć. Wciąż miała przed oczami twarz Marka. Co to za przedziwny facet. I to jego spojrzenie...

20.

Tego wieczoru César nieoczekiwanie zmienił plany. Zamiast do domu pojechał najpierw do mieszkania Loli. Wiedział, że jej nie zastanie, ale instynkt, który do tej pory nigdy go nie zawiodł, podpowiadał mu, że powinien lepiej się przyjrzeć otoczeniu, w którym mieszkała. Sam do końca nie wiedział, co spowodowało tę nagłą zmianę planów. Przeczucie, policyjny

nos, a może... bilety znalezione w kieszeni płaszcza zamordowanej Katii? Myślał o nich przez cały dzień. Zastanawiał się, czy Lola powie mu prawdę, jeśli zapyta ją o to wprost. Z kobietami nigdy nic nie wiadomo... Wydawało mu się dziwne, że w jej mieszkaniu, pełnym bibelotów i kobiecych drobiazgów, nie było żadnych zdjęć. Dlaczego? Zazwyczaj dziewczyny lubią się otaczać fotografiami najbliższych. Rodziców, rodzeństwa, przyjaciół. Taka była Joan i wszystkie jego poprzednie partnerki. Ale nie Lola. Do tej pory nie przywiązywał do tego większej wagi. Pewnie dlatego nigdy jej o to nie zapytał.

Wszedł do mieszkania Loli i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał w przedpokoju, chcąc się upewnić, że jest sam. W mieszkaniu panowała cisza. Zapalił światło, zdjął kurtkę i od razu skierował się do kuchni. Kilka brudnych naczyń w zlewie. Trochę rozsypanego cukru na blacie stołu. Rozejrzał się, zerknął na wszelki wypadek za firanki, potem znów je zasunął i zaczął metodycznie przeszukiwać szafki, jedna po drugiej. Starał się niczego nie przestawiać, żeby Lola nie zauważyła, że buszował tu pod jej nieobecność. Rzecz jasna, zawsze mógł się jakoś wytłumaczyć, na wszelki wypadek jednak wolał nie wzbudzać jej podejrzeń. Z szafki, gdzie trzymała kaszę, mąkę i cukier, wyfrunął mól. Przydałoby się tutaj trochę posprzątać. Tylko kto to zrobi...?, uśmiechnął się w duchu. Schylił się, żeby zajrzeć do dolnych szafek. Pod zlewem, wokół nieopróżnionego kosza na śmieci, kłębiło się kilka zwiniętych plastikowych i papierowych torebek. Zgarnął je szybko i wyrzucił na środek podłogi. Obok postawił kosz. Przyklęknął, żeby zajrzeć głębiej

do szafki. Wewnątrz było ciemno. Włożył rękę, by pomacać, czy nie ma tam nic ukrytego w kącie... i krzyknął z bólu, próbując równocześnie wstać. Zapomniał jednak o pewnym istotnym „szczególe”: żeliwnym zlewem tuż nad jego głową. Głuchemu uderzeniu towarzyszyła nowa porcja tępego bólu. Tym razem poczuł go na samym czubku głowy.

- Kurwa mać! - zaklął, wynurzając się spod zlewu.

Usiadł na podłodze. Lewą ręką rozcierał wyrastający właśnie guz, a prawą unióś do góry, żeby obejrzeć ranę. Trzy palce: wskazujący, środkowy i serdeczny, były przecięte w poprzek, mniej więcej pośrodku ich długości. Z rany sączyła się ciemnoczerwona krew. César nie lubił widoku krwi, choć z racji wykonywanej pracy zdążył już do niego przywyknąć. Spróbował wstać i wtedy poczuł, że robi mu się słabo. Oparł się łokciem o zlew, podciągając do góry resztę ciała. Zdrową ręką odkręcił kran z zimną wodą, po czym ostrożnie wsunął zranione palce pod strumień. Ból nie mijał, przeciwnie, jeszcze się zwiększył. Wytrzymał tylko chwilę. Cofnął rękę i opadł bezsilnie na krzesło. Zakręciło mu się w głowie. Krew znowu zaczęła się sączyć. Po chwili mała strużka dotarła do mankietu białej koszuli. César wiedział, że musi zatamować krwotok. Im szybciej, tym lepiej. Problem w tym, że nie miał pojęcia, gdzie Lola trzymała opatrunki.

- Jeśli w ogóle je ma... - westchnął.

Ponieważ zdążył już przeszukać kuchnię i nie znalazł tam apteczki, zerwał kilka kawałków papierowego ręcznika i owinał nimi krwawiącą dłoń. Starając się trzymać rękę wysoko, poszedł do sypialni. Zajrzał najpierw do nocnych szafek, ale nie

znalazł tam niczego poza chusteczkami i biżuterią. Rozsunął drzwi szafy wnękowej, w której zobaczył kilkanaście par kolorowych pantofli i kilkadziesiąt wieszaków z damskimi fatalaszkami. Przejrzał je pobieżnie, starając się wymacać, czy nie kryje się pod nimi jakieś pudełko z lekami. No i... pudło. Znalazł tylko nieprawdopodobne ilości garderoby i kilka pluszowych zabawek. Papierowy ręcznik zdążył już nasiąknąć i krew zaczęła przeciekać. César pokręcił głową, po czym zasunął z impetem drzwi od szafy i wrócił do kuchni, by zmienić prowizoryczny opatrunek. Owinął dłoń świeżym papierem. Nacięcie piekło niemiłosiernie przy każdym ruchu palcami. Przydałby się jakiś środek przeciwbólowy. Niewykluczone, że będzie musiał pojechać na ostry dyżur, żeby zszyć ranę. Zrobiło mu się słabo na samą myśl. Przed oczami tańczyły mu czarne motyle i z każdą sekundą było ich coraz więcej. Usiadł na chwilę. No jasne! Jak mógł być takim idiotą? Łazienka! Od razu zrobiło mu się lepiej. Podreptał do małego pomieszczenia kąpielowego, otworzył miniaturową szafeczkę z lustrem i uśmiechnął się szeroko. Wreszcie znalazł to, czego szukał: wodę utlenioną, bandaż oraz kilka innych, równie przydatnych rzeczy. Przemył ostrożnie ranę, sycząc przy tym i stękając. Skóra wokół niej zdążyła napuchnąć. Rozcięcie było dość głębokie. César miał wrażenie, że ostrze przesunęło mu się po kościach. Zrobił sobie wprawdzie niezbyt profesjonalny opatrunek, jednak na tyle duży i mocny, żeby krew nie zdążyła zbyt szybko przez niego przesiąknąć, a dłoń została odpowiednio unieruchomiona. Nie było mu łatwo, biorąc pod uwagę, że posługiwał się wyłącznie lewą ręką. Spłukał umywalkę, zebrał resztki pociętego bandaża i zakrwawiony ręcznik kuchenny. Na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdził,

czy nie zostawił jakichś śladów, i poszedł do kuchni. Wziął jedną z plastikowych toreb leżących na podłodze, po czym upchnął w niej wszystkie brudy. Mokrym papierem startł jak najdokładniej krew ze stołu i podłogi. Niezła jatka. Dobrze, że Lola tego nie widzi... Zawiązał woreczek i położył go na stole, by nie zapomnieć go zabrać, kiedy będzie wychodził. Pozbierał z podłogi torby i położył obok zlewu. Dochodziło wpół do dwunastej. Lola pewnie jeszcze tańczy na scenie. Jeśli szczęście mu dopisze, ma szansę złapać ostatnie metro. Przedtem jednak musi koniecznie sprawdzić, czym się tak załatwił. Rozejrzał się za latarką, ale szybko zrezygnował z poszukiwań. Przypomniało mu się, że kiedy przeszukiwał kuchenne szafki, dostrzegł tam kilka świec. Sięgnął po jedną z nich. Zapalił knot od zapalniczki. Począł chwilę, aż świeczka się rozjarzy, i dopiero wtedy ukląkł przed czeluścią ciemnego otworu. Pochylił się i ostrożnie wsunął najpierw rękę ze świecą, a potem głowę. Z lewej strony zobaczył rurę odpływową zlewu, a za nią instalację wodno-kanalizacyjną. Wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Wyglądało na to, że od lat nikt tutaj nie zaglądał. W takim razie czym się skaleczył? Przesunął świeczkę dalej w lewo. W świetle błędzącego tu i tam płomienia coś błysnęło. César poczuł lekki dreszcz. Ujął mocniej świecę w jednej pozycji, żeby lepiej widzieć. I rzeczywiście, jego wzrok zatrzymał się na ostrzu noża przytwierdzonego do jednej z bocznych rur. Z wrażenia zaschło mu w gardle i poczuł, że robi mu się zimno. Cholera, przydałyby się gumowe rękawiczki, ale jak znam Lolę, nie ma na co liczyć.... przemknęło mu przez głowę. Musiał się wysunąć, żeby podnieść z podłogi jedną z plastikowych torebek i jeszcze raz

powtórzyć całą operację. Z tą różnicą, że teraz było mu znacznie trudniej: musiał trzymać świeczkę w opatrzonej prowizorycznie dłoni, a zdrową wydobyć nóż. Szarpnął raz i klnąc pod nosem, w końcu go odczepił.

Wrócił do domu w środku nocy. Zszyta na pogotowiu ręka bolała jak diabli. Lekarz proponował mu wprawdzie zastrzyk przeciwbólowy, ale César odmówił. Nie cierpiał zastrzyków. Wystarczyło, że dostał już przeciwtężcowy. Za to bez szemrania połknął garść tabletek, podanych mu razem ze szklanką wody przez śliczną siostrę w białym czepeczku. Niezła laska! Widać i on przypadł jej do gustu, bo zlitowała się, proponując mu przeciwbólowe pigułki. Uśmiechała się przy tym i gdyby nie przenikliwy ból w ręce, César z pewnością chętnie spędziłby z nią nieco więcej czasu.

Gdy dotarł taksówką do domu, nie był w stanie nawet się umyć. Zrzucił ubranie w przedpokoju i wskoczył nagi do łóżka. Joan już spała i tylko przekręciła się na drugi bok, sapiąc i coś mamrocząc.

- Śpij, śpij - szepnął jej do ucha César.

Proszki chyba zaczęły działać, ponieważ ból znacznie zelżał. César ułożył się wygodnie na łóżku, zdrową ręką naciągnął na głowę kołdrę, marząc już tylko o tym, żeby jak najszybciej zasnąć.

Przez całą noc dręczyły go koszmary. Znów był na mrocznej stacji metra George V. W ciemności odnajdywał ciało zabitej Katii. Kiedy odgarniał jej włosy, twarz dziewczyny zamieniała się w twarz Loli, która otwierała oczy i śmiejąc się upiornie, wyjmowała z kieszeni płaszcza nóż znaleziony w jej mieszkaniu pod zlewem. Przerażony César próbował poderwać się na równe

nogi, lecz Lola była szybsza, i nim zdążył się uchylić, ostrze noża trafiło go w rękę, a krew trysnęła jak z fontanny. César krzyknął z bólu.

- Co się dzieje? - zachrypiała wyrwana ze snu Joan.

César rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Nic, nic. Coś mi się śniło - szepnął. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Wyłączył budzik i powoli podniósł się z łóżka. Dłoń znów zaczęła boleć. Widocznie cudowne tabletki pięknej siostrzyczki przestały działać. Powlókł się do łazienki. Jedno spojrzenie w lustro i wiedział, że musi się ogolić. Nie radził sobie lewą ręką. Zaciął się w kilku miejscach, klnąc pod nosem. Po drodze do kuchni zebrał swoje ubranie z przedpokoju i wrzucił je do pojemnika na brudy. Zatrzymał jedynie plastikową torebkę z nożem. Przyjrzał mu się uważniej w dziennym świetle. Był to zwyczajny kuchenny nóż z drewnianą rączką, jakim tysiące ludzi posługuje się codziennie, żeby obrać ziemniaki lub pokroić pomidory, tyle że ze śladami krwi. Czy tylko jego? César nie chciał go dotykać. Musi oddać nóż do laboratorium. Zwinął torebkę i włożył do kieszeni kurtki wiszącej w przedpokoju. Wrócił do kuchni. Zaparzył kawę w dzbanku. Znalazł kilka czerstwych croissantów, które odświeżył w piekarniku.

- Hmm... ładnie pachnie - powiedziała Joan, wchodząc do kuchni. Pod obcisłą bawełnianą koszulką widać było mocno już zaokrąglony brzusek. Odstawił kubek z kawą, którą właśnie pił, i wskazał żonie swoje kolano. Joan uśmiechnęła się i chętnie na nim przysiadła, masując sobie brzuch. - Co my tutaj mamy? - Pochyliła się nad stołem.

- Nic specjalnego - wzruszył ramionami César. - Ale jeśli chcesz, zaraz skoczę do sklepu po coś świeżego. - Objął ją w

pasie i cmoknął w gołe ramię. - Musisz teraz jeść za dwóch. To co? Jakies specjalne zamówienie? - spojrzał pytająco na żonę.

- Nie trzeba. - Ziewnęła. Sięgnęła po słoik z dżemem morelowym. Przełamała croissanta na pół i jedną część zamurzyła w słoiku. - Uhm, pycha. - Oblizwała lekko nabrzmiałe od snu wargi.

- Niestety, chyba będę musiał cię przesadzić - powiedział César, czując, jak pod ciężarem Joan, która zdążyła już nieco przybrać na wadze, drętwieje mu noga.

- Co ci się stało? - zapytała, siadając obok na taborecie. Dopiero teraz zauważyła opatrunek na rękę Césara.

- Nic takiego. Skaleczyłem się - odparł z uśmiechem, próbując zbagatelizować całą sprawę. - Musiałem skoczyć na pogotowie, żeby zszyli...

- Ktoś cię zranił? - Joan była naprawdę przejęta.

- Nie, właściwie, ja sam... - mruknął. Psiakrew, zawsze musi go odpytywać.

- Sam się okaleczyłeś? - Oczy Joan przypominały teraz dwa spodki.

- Kochanie, nie mówmy już o tym, dobrze? Miałem zadanie. Wykonałem je, a przy okazji... skaleczyłem się w rękę. Chyba nie myślisz, że jestem jakimś skretyniałym psycholem, który dokonuje samookaleczeń?

- Dostałeś zwolnienie?

- Co takiego?

- Lekarz nie dał ci nawet jednego wolnego dnia? Nie rozumiem... Przecież to prawa ręka - zdziwiła się Joan.

- Jak zwykle przesadzasz... Wiesz, że mamy teraz urwanie głowy. Śledztwo idzie jak po grudzie.

- Przecież to nie twoja wina. Oj, César, César. - Joan pokręciła głową. - Nie możesz zawsze czuć się odpowiedzialny za wszystkie sprawy, jakie prowadzi policja. Oprócz ciebie są jeszcze inni. Jest na przykład Vincent. Niech on...

- Kochanie, czy możesz już skończyć? Ja się nie wtrącam do twoich spraw zawodowych i nie mówię ci, kto i co powinien robić.

- A szkoda... - Joan spojrzała na męża z wyrzutem. - Mógłbyś chociaż od czasu do czasu po prostu zapytać, jak mi idzie.

- Masz rację. - César ujął jej dłoń i wycisnął na niej mokrego całusa. Joan zarumieniła się. - Jak tam urocza Mathilde?

- Ta gruba świnia przez cały czas pastwi się nade mną. Kiedy tylko się dowiedziała, że jestem w ciąży, z miejsca zaczęła obgadywać mnie za plecami, że się zaniedbuję, że nie damę sobie rady...

- A nie jest tak?

- No wiesz?! - oburzyła się Joan. - Jak możesz...

- A jak ty się w ogóle czujesz? Coś ci dolega?

- W zasadzie nie... ja... tylko szybciej się teraz męczę. Ale to chyba całkiem naturalne w moim stanie. Poza tym od tego ciągłego siedzenia bolą mnie plecy.

- Weź parę dni urlopu. Odpocznij. I posłuchaj mojej rady: olej tę zołzę Mathilde, nawet jeśli ma rację.

- Właśnie, że nie ma! Ani trochę - zaperzyła się Joan.

- Okej. Więc po prostu ją ignoruj. Traktuj jak powietrze, a zobaczysz, że szybko jej się znudzi.

- Tak gada, bo sama nie ma dzieci.

- Słuchaj, mała... - César położył głowę na jej ramieniu. - Powiedz tej starej raszpli, że jak jeszcze raz na ciebie nagada...

- w oczach Joan pojawił się leciutki uśmiech - ...to będzie miała do czynienia ze mną. A jak i to nie wystarczy, nawet z całą jednostką policji. Damy jej taki wycisk, że babie w pięty pójdzie....
- César przyssał się do ramienia żony.

Szła bulwarem od strony Sekwany. Minęła kolorowe stragany bukinistów pełne przeczytanych książek, kiczowatych obrazków Paryża i tandetnych pamiątek. Jesienne słońce przypiekało nieosłoniętą głowę i policzki. Cudownie, jutro jak nic będę miała czerwony nos i czoło, pomyślała, czując pieczenie skóry. Spojrzała na wystawę i zobaczyła swoje odbicie w wypucowanej na błysk szybie. Stała w jasnej garsonce, z płaszczem przewieszonym przez ramię. W ręku miała lakierowaną torebkę i zwiniętą w rulon gazetę. Już dawno nie wracała tak wcześnie do hotelu. Przyjeżdżając tu, zwykle pracowała do późnych godzin, więc kiedy szła ulicami Paryża, sklepy były już zamknięte, a ludzie spieszyli się do domów. Dzisiaj było inaczej. Odetchnęła ciepłym jesiennym powietrzem. Zapachniało pieczonym chlebem. Minęła piekarnię, gdzie zaopatrywała się niekiedy w ciastka. W kolejnej szybie wystawowej, tym razem salonu z eleganckim obuwiem, znów zobaczyła własne odbicie. Przez chwilę wydawało się jej, że w oddali mignęła jakaś znajoma postać. Odwróciła szybko głowę. Barwny korowód przechodniów przesunął się przed jej oczami. Nie było widać nikogo, kto wydawałby się znajomy. Przywidziało mi się, pomyślała. Ruszyła wolno przed siebie, przyglądając się teraz uważniej każdej mijanej wystawie. W rzeczywistości studiowała odbicie w szybach, sprawdzając, czy nikt za nią nie idzie. Nie wydarzyło się jednak już nic niepokojącego. Zerknęła na skrzyżowanie.

Właśnie zmieniał się światło. W ostatniej chwili przebiegła na drugą stronę ulicy, już na czerwonym. Podeszła do kiosku z prasą i przejrzała wyłożone tam czasopisma. Zapłaciła za „Paris Match” i dołączyła go do swojej porannej gazety. Skręciła w lewo na plac Sorbony. Jak zawsze było tam sporo ludzi. Młodzież okupowała ławeczki przy fontannie. Większość miejsc w ogródkach była już zajęta. Spojrzała na zegarek. Pora lunchu dawno się skończyła. Była mała szansa, że będzie mogła zamówić coś do jedzenia. Pewnie trzeba będzie poczekać do dwudziestej. Szybko odnalazła wzrokiem wolny stolik. Na dobrą sprawę mogła pojechać gdzieś do centrum i tam pospacerować. Czemu przygnało ją do hotelu? Pewnie dlatego, że nie miała żadnych sprecyzowanych planów na to zupełnie przypadkowo wolne popołudnie. Z nikim nie była umówiona. Nigdzie się nie wybierała. Usiadła w wiklinowym fotelu, na drugi rzuciła płaszcz, torebkę i gazety. Zaczęła studiować podaną przez kelnera kartę.

- Zaraz do pani podejść. - Kelner posłał jej zawodowy uśmiech i czym prędzej się oddalił z tacą, na której wznosiła się piramida brudnych naczyń.

Uspokojona, powróciła do lektury karty dań. Fotel przy stoliku obok przesunął się z piskiem i ktoś zajął tam wolne miejsce. W tej samej chwili zjawił się kelner.

- Sałatkę i wodę niegazowaną poproszę. - Spojrzała na niego z nadzieją.

- Bardzo proszę. - Chłopak ponownie posłał jej czarujący uśmiech i spojrzał na osobę siedzącą przy najbliższym stoliku. - A dla pani?

- Espresso.

Nadstawiła ucha. Miała wrażenie, że zna ten głos. Poczowała na plecach lekki dreszczyk. Odwróciła głowę, żeby się lepiej przyjrzeć swojej sąsiadce.

- Witaj, Anno. - Zabrzmiało to niesamowicie znajomo, choć jeszcze nie umiała dopasować głosu do osoby. Spotkanie było niespodziewane. Jak grom z jasnego nieba. Nie powinno było się w ogóle zdarzyć. Kobieta z naprzeciwka była mniej więcej w tym samym wieku co ona. Niewysoka, drobnej budowy, o aksamitnej brzoskwiniowej cerze. Długie włosy miała zaczesane gładko za uszy. Jej oczy były wprawdzie ukryte za ciemnymi szklami modnych okularów przeciwsłonecznych, ale dałaby głowę, że tęczęwki miały popielaty kolor. Ile to już lat minęło od chwili, gdy widziały się po raz ostatni? Trudno powiedzieć. Może osiem. A może dziewięć. Jakim cudem mnie rozpoznała?, pomyślała, przelatykając ślinę.

21.

Bał się, że Stary będzie robił mu wyrzuty. I miał ku temu dobre powody, bo znowu się spóźnił. Rozglądał się na wszystkie strony, przemykając jak cień do swojego pokoju i modląc się w duchu, żeby nikt go nie zauważył. Niestety, tym razem się nie udało. Zaraz po wyjściu z windy wpadł na Pierre'a.

- O, jesteś wreszcie. - Kolega uśmiechnął się kwaśno. - Świetnie się składa. Wszyscy już są, czekamy tylko na ciebie. Jak zwykle... - dodał z przekąsem.

- Stało się coś? - burknął César, wściekły, że jego mi-sterny plan spalił na panewce.

- Najwidoczniej, skoro nasz staruszek postanowił zwołać wielką naradę.

- Cholera - zaklął pod nosem César, spoglądając na zegarek. Za kwadrans dziesiąta. - Dawno się zaczęło? - spytał z nadzieją w głosie. Jeśli Stary będzie w dobrym nastroju, to kto wie, może uda mu się jeszcze jakoś wytłumaczyć.

- Pół godziny temu... - mruknął pod nosem Pierre i jak gdyby nigdy nic poszedł dalej korytarzem.

- A ty dokąd?

- Idę skserować dokumenty! A co? Chcesz mi pomóc? - Pierre pomachał plikiem kartek i zniknął za zakrętem.

- Cholera - powtórzył César.

Rzucił się pędem do swojego pokoju. Kurtkę i torbę zostawił na biurku. Złapał pierwszy z brzegu notes i pognał do sali konferencyjnej. Przez chwilę stał pod drzwiami, czujnie nasłuchując. Ze środka dobiegał tubalny głos Starego. César odetchnął głęboko i nacisnął klamkę. Poczul ostry ból w dłoni, spojrzal w dół i nagle uzmysłowił sobie, że ma kapitalną wymówkę. Niech go tylko spróbują sztorcować. Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Przez wąską szparę zobaczył siedzących wokół stołu kolegów, a wśród nich Marie, która ze spokojem zajmowała się oglądaniem swoich paznokci. Uśmiechnął się mimowolnie. No jasne! Znowu jakieś flaki z olejem? W przeciwnym razie Marie nie pozwoliłaby sobie na taką „niesubordynację” Stary siedział tyłem do drzwi, a obok niego jakiś barczysty mężczyzna, którego César nie mógł rozpoznać. Zastanawiał się właśnie, czy powinien już wejść, czy może jeszcze trochę poczekać, kiedy nagle poczul, że ktoś napiera na jego plecy. Drzwi otworzyły się na oścież, a wszystkie oczy zwróciły się na Césara. Stary przerwał

i odwrócił głowę, żeby zobaczyć, kto wchodzi.

- Wreszcie jesteś - chrząknął Vincent. - Siadaj. - Wskazał mu wolne krzesło obok siebie.

- Przepraszam. Byłem na pogotowiu. - César podniósł obandażowaną dłoń.

Na wszelki wypadek zrobił zboląłą minę, żeby jeszcze bardziej podnieść wiarygodność swoich słów. Przeciskając się do krzesła, stwierdził ze zdziwieniem, że mężczyzną, którego nie rozpoznał w pierwszej chwili, był komisarz Fauquart. A ten tu po jaką cholere?, zdziwił się niemile. Skinął mu głową i przysiągłby, że w oczach Czarnego Płaszczka pojawił się złośliwy błysk.

- Dobrze. Później nam opowiesz, co ci się tym razem przydarzyło - powiedział Vincent. - A teraz, moi państwo, będziemy kontynuować podsumowanie wyników dochodzenia. Jak już powiedziałem, komisarz Fauquart został włączony do naszej grupy. Sytuacja przedstawia się następująco: mamy cztery martwe ofiary dusiciela oraz jedną żyjącą. Pragnę jednak podkreślić, że brak nam stuprocentowej pewności, iż to ten sam sprawca napadł ją rok temu. Marie, bądź tak dobra i omów, proszę, przypadek panny Artonso. - Marie oparła ręce na notatkach i spojrzała szybko na Césara.

- Inspektor Bresson i ja sądzimy, że Jessica Isabel Artonso jest ofiarą tego samego sprawcy, który zamordował cztery pozostałe kobiety.

- Na czym opieracie swoją hipotezę? - zapytał słodkim głosem Fauquart.

W wielkiej sali zapadła cisza. César przełknął ślinę. Cholera, już się zaczyna, zaklął w duchu.

- Napaść miała miejsce w XVI dzielnicy, w tej samej, w której napadnięto Julie Strass, a także niedaleko od miejsca, gdzie została zabita przedostatnia ofiara, Catherine Miloux. Panna Artonso została zaatakowana późnym wieczorem, zaraz po wyjściu ze stacji metra. Wszystkie cztery morderstwa zdarzyły się albo w metrze, albo w jego bliskiej okolicy. Napastnik próbował udusić ofiarę. Nie znaleziono przy niej narzędzia zbrodni, co jest również charakterystyczne dla pozostałych przypadków.

- Czy napadnięta widziała sprawcę? - Czarny Płaszcz postanowił najwyraźniej przyprzeć Marie do muru. A może po prostu badał jej zawodowe kwalifikacje?

- Tak. - Marie skinęła głową.

César spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Macie rysopis?

- Jeszcze nie. Dziś po południu nasz świadek jest umówiony na sesję z...

- Jak to?! Poszkodowana widziała sprawcę, a wam nie przyszło do głowy, żeby w pierwszej kolejności sporządzić jego portret pamięciowy? - ryknął Fauquart.

- Chwileczkę, komisarzu. Tylko bez nerwów - zmitygował go César. - Napadnięta nie jest w pełni sprawna. To znaczy, komunikatywna. Wypadek spowodował u niej silną traumę. Ma duże problemy z mówieniem. Nie mogliśmy jej tak od razu...

- Nie mogliście... A to dobre! Lepiej poczekać, aż będziemy mieć następnego trupa, co? - parsknął Fauquart, przerywając mu w pół zdania.

- Uważam, że wywieranie presji na tej przerażonej dziewczynie może dać skutek odwrotny do zamierzonego. Jeśli

się w sobie zamknie, a myślę, że przy jakichkolwiek próbach nacisku tak właśnie będzie, nic z niej już nie wydobędziemy - odparł nieco już spokojniej César.

- Poza tym postanowiliśmy zwrócić się o pomoc do doktor Stewart - dodała szybko Marie.

- Naprawdę? Coś takiego! - zdziwił się chyba całkiem szczerze Czarny Płaszcz, patrząc w szczególny sposób na Vincenta. - I ty się na to zgodziłeś?

- Uhm - chrząknął Stary, wlepiając wzrok w podłogę. - Cóż, doktor Stewart...

- Możesz nie kończyć - przerwał mu Fauquart, który najwidoczniej był wtajemniczony w miłosne zawirowania starszego kolegi. - Znasz moje zdanie na jej temat - mówiąc to, posłał Vincentowi drwiący uśmiezek.

Zapadła krępująca cisza.

- Dobrze, podsumujmy zatem - powiedział znużonym głosem Vincent, ignorując komentarze Fauquarta.

- Komisarzu, jedną chwilkę... - wtrąciła Marie.

- Tak?

- Chciałabym jeszcze coś dodać. Czy mogę? - Spojrzała na niego pytająco.

Vincent bez słowa skinął głową.

- Otóż, wydaje mi się... - Marie zawahała się w pierwszej chwili, po czym dokończyła już pewnym głosem - a właściwie jestem przekonana, że czwarta ofiara nie pasuje do naszego sprawy.

- Dlaczego? - spytał zaczepnym tonem Fauquart.

- Trzy pierwsze były nie tylko tancerkami, ale też pięknymi kobietami. A ta...

- Z opisu sekcji wynika, że to młoda i szczupła blondynka. Podobno niebrzydka. Czyli mniej więcej taka jak wszystkie zamordowane.

- Opis jest dość ogólny. Widziałam jej ciało i proszę mi wierzyć, że...

- Czym aż tak bardzo różni się od pozostałych? - nie odpuszczał Fauquart.

- Właściwie... wszystkim. Poza płcią, oczywiście.

- Słucham?

- Trzy pierwsze - Marie wydawała się nie zrażać atakami komisarza - a także Jessica, która przeżyła napaść, były bardzo urodziwymi kobietami. Smukłe, zgrabne, o delikatnych rysach twarzy. Natomiast dziewczyna znaleziona na dworcu była mniej niż przeciętna, żeby nie powiedzieć brzydka... Miała nieregularne rysy. Była zaniedbana. Włosy brudne, paznokcie obgryzione, ubranie wymięte... Proszę mi wierzyć, ona jedna w niczym nie przypominała pozostałych ofiar.

- Nawet jeśli nie była tancerką, to jeszcze nie powód, żeby ją eliminować z kręgu ofiar dusiciela. A jej tożsamość? Tego też nie ustaliliście? - zapytał Fauquart.

Vincent pokręcił przecząco głową.

- Tak myślałem... - parsknął. Potem zwrócił się do Marie: - Dlaczego akurat pani znalazła się na sekcji zwłok tej ofiary?

- Lubię znać szczegóły - odparła lakonicznie Marie. Wi-
dać było, że jest coraz bardziej zirytowana.

- To się pani chwali, panno Duprès.

- Jest jeszcze coś.

- Tak? - zainteresował się Fauquart.
- Litera, którą przy niej znaleźliśmy, też była jakby... - Marie uśmiechnęła się leciutko - ...z innej bajki.

César zagryzł wargi. Cholera! Niepotrzebnie o tym wspomniała.

- A konkretnie?

- Była znacznie większa niż poprzednie i napisana w dobrze widocznym miejscu. - Spojrzała dumnie na Fauquarta. - Poprzednich liter trzeba było długo szukać. Zabójca zostawiał je w jakichś ciemnych kątach, zakamarkach. Ta wydawała się krzyżać.

- Ciekawe - zastanowił się Fauquart, patrząc przez chwilę w przestrzeń ponad głową Marie. - Zdarza się, że seryjni mordercy przechodzą swego rodzaju etapy. Może ten, przy kolejnej ofierze, nabrał większej pewności siebie. Wydaje mu się, że skoro zabił już cztery kobiety i nikt go nie złapał, to wszystko mu wolno. Drań czuje się bezkarny. I robi się coraz bardziej bezczelny. Poza tym takie zachowanie może świadczyć o tym, że bawi się z nami w kotka i myszkę. Morduje w centrum miasta, na dworcu, gdzie o każdej porze dnia i nocy są przecież ludzie. Maluje wielką literę na ścianie obok ofiary, którą właśnie posłał na tamten świat, jakby chciał nam powiedzieć: Halo, to ja! Nigdy mnie nie złapiecie.

- Możliwe - zgodziła się z nim Marie.

- Napatrzyłem się na rozmaitych oszołomów. Czasem przerażająco pomysłowych i skutecznych - westchnął ciężko. - I wiercie mi: najtrudniej jest schwytać dewianta.

- Uważa pan, że jest chory psychicznie? - Marie wydała się nieco zaskoczona.

- Droga panno, gdyby był normalny, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego! Czy naprawdę muszę to pani tłumaczyć? - powiedział nieznośnie protekcyjnym tonem. - Świat jest pełen szaleńców.

- Przy okazji, komisarzu - wpadł mu w słowo César. - Skoro dołączył pan do naszej ekipy, pozwolę sobie zadać jedno pytanie: kiedy będziemy mogli obejrzeć nagranie z kamery z metra z dnia śmierci Catherine Miloux?

- No cóż... - Fauquart posłał Vincentowi wymowne spojrzenie. - Tak się pechowo złożyło, że żadna z kamer nie obejmuje kąta za automatem do napojów. Taśmy są oczywiście do wglądu.

Grupa operacyjna przyjęła tę informację w milczeniu. W sali zapadła cisza. Przerwał ją Fauquart.

- Jakie będą twoje dalsze kroki, Fred? Czy coś już postanowiłeś? - Po raz pierwszy zwrócił się do Starego po imieniu.

- Jean-Marc weryfikuje informacje, które przychodzą w odpowiedzi na nasz apel w mediach. Chodzi o ustalenie tożsamości czwartej ofiary. Pierre sprawdza raporty z przesłuchań tancerek i personelu Crazy Horse. Przepyta jeszcze jej najbliższych, o ile uda mu się ich namierzyć, rzecz jasna. François ustala dane przyjaciela Tessy van Graaf. Na jego ślad naprowadziła nas konsjerżka z domu, w którym Tessa wynajmowała mieszkanie. Marie współpracuje z Interpolem w sprawie przesłuchania chłopaka Julie Strass. Razem z Césarem są odpowiedzialni za przygotowanie portretu pamięciowego sprawcy na podstawie zeznań panny Artonso. Prócz tego... - Spojrzał Fauquartowi prosto w oczy. - César pilotuje wszystkie działania.

- Pilotuje? - Fauquart złośliwie się uśmiechnął.
- Masz jeszcze jakieś pytania? - zapytał sucho Vincent. - Jeśli nie, możecie wracać do swoich zajęć.

Co o tym myślisz? - zapytała Marie, która postanowiła towarzyszyć Césarowi w drodze do jego pokoju.

- Straszne gówno - odparł szorstko, nie patrząc jej w oczy.

- Dlaczego tak mówisz? - Na jej twarzy widać było zdziwienie. Weszła za nim do jego „królestwa” i zamknęła za sobą drzwi.

- Sama widziałas. Fauquart czepia się wszystkich i wszystkiego. Wyjątkowo ciężki przypadek... - westchnął César.

Usiadł w obrotowym fotelu i zaczął się niespokojnie kręcić to w jedną, to w drugą stronę. W palcach zdrowej dłoni trzymał długopis, którym bawił się nerwowo.

- Z jednej strony masz rację. Ale z drugiej... - Marie usiadła na krześle po drugiej stronie biurka. - Wiesz, mam wrażenie, że obecność Fauquarta może pomimo wszystko... - spojrzała bystro na kolegę - ...wnieść coś dobrego do sprawy. Uważam, że facet ma naprawdę duże doświadczenie. Poza tym patrzy na to z innej perspektywy niż my.

- Nie wydaje mi się, żeby jego obecność wpłynęła pozytywnie na wynik śledztwa. Nawet w minimalnym stopniu... - odrzekł sceptycznie César. - Co najwyżej może spowodować kilka klótni i zepsuć atmosferę w wydziale. Zresztą, sama widziałas. Już o mały włos się nie pogryźli ze Starym w konferencyjnej.

- Co ci się stało? - Wskazała brodą obandażowaną dłoń Césara.

- Skaleczyłem się - odparł wymijająco.

Marie oparła się łokciami na biurku, położyła głowę na splecionych dłoniach i przyglądała mu się spod oka. Wyglądała teraz bardzo pociągająco.

- Jakoś ci nie wierzę...
- Tak? - zdziwił się César, umykając szybko wzrokiem.
- Spójrz mi w oczy - poprosiła.

César odłożył długopis, oparł się łokciami na biurku, ale w przeciwieństwie do Marie mógł podeprzeć głowę tylko jedną, zdrową ręką.

- Proszę bardzo. No i co? Prześwietlisz mnie? Zajrzysz do mojego mózgu i wyczytasz w nim coś straszego? Dobra, to powiem ci od razu, że zakatrupiłem własną babkę. Pasuje?

Uśmiechnął się zadziornie. Przez chwilę milczeli, nie spuszczać z siebie wzroku. César poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach, kiedy tak patrzy Marie prosto w oczy. Było mu przykro, że musi kłamać. Miał wrażenie, że rumieniec oblewa mu twarz. Speszony spuścił wzrok i odsunął się od niej jak najdalej, moszcząc się w fotelu.

- Nie chcesz mi powiedzieć. Trudno. - Marie wstała powoli, jakby się ociągała. - Myślałam, że masz do mnie więcej zaufania. - Wsunęła krzesło. - W każdym razie, gdybyś chciał kiedyś pogadać, to pamiętaj... Zawsze chętnie cię wysłucham.

Wychodząc, uśmiechnęła się do niego i dopiero wtedy zamknęła za sobą drzwi. César cisnął długopisem o ścianę. Sam nie wiedział, dlaczego jest taki zdenerwowany.

Przejrzał pobieżnie akta i postanowił zadzwonić do Loli. Miała zaspany głos.

- Cześć, kochanie, tu César - powiedział nienaturalnie wesołym głosem. - Nie mów, że cię obudziłem.
- Nooo - Lola zamruczała jak kotka.
- Nie możesz przesypiać całego dnia. Ubierz się i biegnij do sklepu po świeże croissanty i mleko. Powinnaś lepiej zaopatrzyć lodówkę.
- Skąd wiesz, że jest pusta? - zdziwiła się Lola.
- César ugryzł się w język.
- Bo dobrze cię znam, kochanie.
- Proszę, mów do mnie po imieniu.
- Oczywiście... Nadiu. Przepraszam. - W dalszym ciągu miał z tym pewien kłopot. I wcale nie dlatego, że nie podobało mu się to imię. W myślach zawsze nazywał ją Lolą i choćby pękł, nic nie mógł na to poradzić. - Jak wczoraj wróciłaś? Wzięłaś taksówkę?
- Kolega mnie podwiózł... - powiedziała cicho i ziewnęła.
- Pamiętaj, pod żadnym pozorem nie wracaj teraz sama metrem. Słyszysz? Dopóki...
- Wiem, wiem. Przyjdiesz dzisiaj?
- Marzę o tym, ale chyba nie dam rady. - César spojrzał na obandażowaną dłoń i pomyślał, że chwilowo lepiej będzie zrezygnować z wizyt w starej kamienicy przy bulwarze Sébastopol. Wielka szkoda, ale ta przymusowa rozłąka miała również swoje plusy. Dzięki temu uniknie pytań, a może też podejrzeń ze strony Joan. Coś za coś. - Mam po południu dyżur - skłamał gładko. - Może jutro mi się uda.
- Jutro przyjeżdża moja siostra. Przecież ci mówiłam - naburmuszyła się Nadia.
- Ach tak, rzeczywiście - César ucieszył się w duchu z takiego obrotu sprawy. - Jak długo zostanie?

- Jeszcze nie wiem, może trzy, cztery dni.
- W takim razie zadzwonię jutro... Nadiu.
- Kocham cię, César - szepnęła.

22.

Musiał się nieźle nagimnastykować, żeby oblaskawić Constance i uzyskać jej zgodę na przyjęcie do badań noża znalezionego w mieszkaniu Loli. Znali się jak łyse konie. Od paru ładnych lat Constance Lenord matkowała Césarowi. Jednak z natury była osobą dość zasadniczą. Nie raz i nie dwa wkładała Césarowi do głowy, że mężczyzna w jego wieku musi być odpowiedzialny i dojrzały. Innymi słowy, powinien się ustatkować i założyć rodzinę. Ona sama wcześniej wyszła za mąż i żyła w bardzo szczęśliwym związku, co często podkreślała. Mimo przekroczonej dawno pięćdziesiątki i sporej tuszy wciąż była atrakcyjną kobietą. Piękny biust lubiła podkreślać odpowiednio wykrojonym dekoltem, który zazwyczaj ozdabiał jakiś elegancki wisior lub apaszka. Nie miała wielu zmarszczek. Jej oczy nieustannie się śmiały, bo też Constance była niezwykle pogodną osobą. César wiedział, że przepada za starymi komediami kryminalnymi i jest wielką admiratorką czarnego humoru. Czasami obdarowywał ją jakąś książkę wypatrzoną w antykwariacie, czym zyskiwał sobie jej przychyłność.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś ci podrzucił dowód zbrodni i dlatego nie możesz go przekazać do badań oficjalną drogą? - spytała zaraz na wstępie, mrużąc zalotnie zielone oczy.

- Coś w tym rodzaju, najdroższa - odparł César i przysiadł na blacie jej biurka. Spoglądał teraz na Constance z góry. Na przedziałku widać było już pojedyncze siwe włosy, co go odrobinę rozczuliło. Miał nieodpartą chęć pochylić się i pocałować ją w czubek głowy, ale nie zrobił tego. Constance uniosła torebkę z nożem na wysokość oczu, przyglądając się jej z uwagą.

- Wiesz, że procedura surowo tego zabrania? - zapytała, nie odrywając wzroku od zakrwawionego noża.

- W przeciwnym razie nie przychodziłbym z tym do ciebie.

- Jeśli ktoś mnie nakryje, mogę ponieść nieprzyjemne konsekwencje. - Spojrzała na niego z powagą.

- Zawsze możesz powiedzieć, że ktoś ci go podrzucił, a ciebie zżerała po prostu babska ciekawość, czy to nie krew Vincenta - szepnęła jej do ucha César.

Constance podniosła brwi. César natychmiast spuścił oczy z miną niewiniątka.

- Mogę też powiedzieć, że znalazłam go w twoim koszu na śmieci i nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby się dowiedzieć, co inspektor César Bresson jada na śniadanie.

César uśmiechnął się szeroko. Czuł, że jest w domu.

- Twoja inteligencja nie ma sobie równych. Strasznie się tutaj marnujesz... - Rozejrzał się po laboratorium i pokiwał głową. - Może uda ci się ustalić DNA. Jak sądzisz?

- Co u Joan? Jak znosi ciążę? - Constance wrzuciła torebkę z nożem do szuflady biurka i zamknęła ją na klucz.

- Świetnie - odparł wymijająco. Był to ostatni temat, na który chciał rozmawiać.

- Nadal pracuje? - Constance nie dawała się tak łatwo zbyć.

- Na razie tak.
- César, spójrz na mnie, dziecko... - poprosiła łagodnie. Westchnął. Tego się właśnie obawiał. Constance zawsze jakimś sposobem świetnie odgadywała jego nastroje. Kobięca intuicja, a może szósty zmysł? Tak czy inaczej, trudno było cokolwiek przed nią ukryć. Pod tym względem była gorsza nawet od jego matki. César popatrzył jej prosto w oczy, a ona od razu odgadła, że coś go gryzie. Ujęła jego zdrową rękę i przytrzymała ją obiema dłońmi. Były miękkie i ciepłe.
- Powiesz mi, co się dzieje?
- Nie wiem, o czym mówisz - bąknął słabym głosem. Nic innego nie przyszło mu do głowy, a za żadne skarby nie zamierzał powiedzieć jej prawdy.
- Słuchaj, mały, znamy się nie od dziś, tak czy nie? - Uśmiech zgasł na jej twarzy.
- Tak... - Teraz był to już tylko cichy jęk.
- No właśnie... - Constance pokiwała głową. - Widzę, że coś cię gnębi. Jesteś jakiś nieswój... To dziwne skaleczenie... Nóż... Co to za tajemnice? - César nie odpowiedział. - Z Joan wszystko w porządku? Pokłóciliście się?
- Naprawdę wszystko jest okej - odparł, odwracając wzrok. - Po prostu mam strasznie dużo pracy.
- Masz kogoś, tak? - zapytała cicho. César poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. - Tylko nie próbuj kłamać. Od jak dawna? Czy Joan już wie? - Potarła dłonią czoło. - Więc kiedy zamierzasz jej powiedzieć?
- César milczał. Wysunął delikatnie rękę z dłoni Constance i włożył ją do kieszeni. Nadal nie mógł spojrzeć jej w oczy.
- Będziesz tak pogrywał na dwa fronty? Podwójne życie komisarza Bressona. César! Na litość boską. Nie poznaję cię...

- To nie takie proste! - warknął i podniósł się z biurka. Zaczął chodzić po laboratorium tam i z powrotem, żeby zebrać myśli.

- Oczywiście. Takie sprawy zawsze są trudne. Sami komplikujemy sobie życie. Czasem jednak trzeba podjąć jakąś decyzję. Nie można przez całe życie uciekać przed dorosłością i bawić się w Piotrusia Pana.

- Nie mów tak! - wybuchnął, nie mogąc dłużej powstrzymać irytacji. - Nie chciałem tego. Staram się postępować tak, żeby nikogo nie skrzywdzić.

- Pobożne życzenia. - Constance pokręciła głową. - Obojętnie, co teraz zrobisz, zawsze ktoś będzie się czuł pokrzywdzony. Powinieneś raczej zastanowić się nad przyszłością. Twoją, twojego dziecka... W całej tej historii osoba twojej żony i kochanki to sprawa drugorzędna.

- Nie chcę tego słuchać.

- Ale nabroić potrafiłeś.

- Constance, jesteś niesprawiedliwa! - niemal krzyknął. - Nie wiesz wszystkiego i... wyciągasz błędne wnioski.

- To mi opowiedz. No, słucham!

- Nie mam teraz czasu.

- César... Nigdy nie ma na to odpowiedniego momentu. Albo zrobisz to teraz i nadal będziemy przyjaciółmi, albo...

- Przecież to szantaż. Grasz nie fair. W przyjaźni tak się nie postępuje. - Uśmiechnął się lekko, mając nadzieję na złagodzenie sytuacji.

- A jak się postępuje w przyjaźni? Czy okłamuje się przyjaciela? Ważny jest tylko wtedy, gdy jest nam do czegoś potrzebny...? - Constance zawiesiła głos.

César poczuł, że twarz płonie mu ze wstydu. Czuł się jak zбитy pies. Słowa Constance bardzo go zabolaly, ale dobrze wiedział, że jest jego prawdziwą przyjaciółką i ma cholerną rację.

Gdzie byłeś tak długo? - Marie spojrzała na niego z wyrzutem.

- Stęskniłaś się? - Puścił do niej oko i w tej samej chwili uzmysłowił sobie, że palnął gafę.

- Od godziny jest tutaj Jessica Artonso - odparła z wyrzutem. - Zapomniałeś?

- Miałem coś ważnego do załatwienia - powiedział wymijająco.

- Jak zawsze - westchnęła. Widać było wyraźnie, że nie zadowolilo jej mętne wyjaśnienie Césara.

- Co z Jessicą? - zapytał szybko, żeby zmienić temat.

- Zaprowadziłam ją do Stéphane'a. Chwilę z nimi posiedziałam, ale mam wrażenie, że złapali dobry kontakt, więc zostawiłam ich samych. Powinni niedługo skończyć. - Marie zerknęła na zegarek.

- Świetnie. Zajrzyjmy do nich. Po drodze napijemy się kawy. Pasuje? Dla ciebie bez cukru, oczywiście. - César przepuścił Marie w drzwiach na korytarz. Spojrzała na niego przez ramię i pokręciła głową. Nie mógł odgadnąć, czy przyjaźnie, czy też raczej podejrzliwie...

Marie zapukała w szybę drzwi prowadzących do pokoju policyjnego rysownika, potem weszła do środka. Za nią wślizgnął się César. Stéphane i Jessica odwrócili głowy w ich stronę. Dziewczyna ocierała lzy chusteczką. Stéphane był wyraźnie

zakłopotany. Co chwilę przeczesywał dłonią krótką grzywkę. Na ekranie wyświetlał się zarys pustej twarzy. Brakowało brwi, nosa i ust. Widać było jedynie oczy, ale całkiem przezroczyście, jakby mężczyzna z portretu miał bezbarwne tęczówki. César w lot pojął, że rysowanie portretu pamięciowego nie poszło jak trzeba. Więc jednak mieli problem...

- Witam, panno Artonso. - Uśmiechnął się przyjaźnie, wyciągając rękę do dziewczyny.

Jessica spojrzała na jego opatrunek i dotknęła ostrożnie koniuszków jego palców, które wystawały z bandaża.

- Dzieeeń doobry, inspektoorze - szepnęła.

- Jak wam idzie? - zapytała łagodnie Marie, choć ona również domyśliła się, co jest grane.

- Powoli - odparł Stéphane, wzruszając ramionami, po czym odwrócił się w stronę monitora.

- Mamy czas - powiedziała z uśmiechem Marie. - Przynieść pani coś do picia? - zwróciła się do Jessiki.

- Wo-oody, popro-oszę.

- A dla ciebie, Stéphane?

- Nie, dzięki - mruknął, nie odwracając się do swoich gości.

Po wyjściu Marie César przysunął sobie wolne krzesło i usiadł obok Jessiki.

- Czy nie jest pani zmęczona? Może pięć minut przerwy...?

Jessica uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Wszystko w p-porządku.

- To dobrze. Widzę, że zaczęliście już odtwarzać oczy. Jakiego były koloru? - Stéphane westchnął. Jessica spuściła głowę.

- N-nnie pamięta-am - szepnęła i znów podniosła do oczu chusteczkę.

- Nic nie szkodzi - powiedział łagodnie César. - W takim razie skupmy się na brwiach. Były gęste czy wąskie? Ciemne czy raczej jasne? - César popatrzył pytająco na Jessicę.

Dziewczyna ciągle wpatrywała się w ekran nieruchomym wzrokiem.

- Stéphane, pokaż pani, co mamy do wyboru.

Rysownik spojrział na niego z lekką irytacją. Nic nie mówiąc, zaczął nanosić na ekran różne modele brwi. Począwszy od ciemnych i krzaczastych, poprzez regularne, niczym skrzydła ptaka, aż do wąskich, wygiętych w luk. Jessica wciąż milczała. Stéphane znów spojrział na Césara, tym razem bardzo wymownie.

- To może przejdźmy do nosa - zaproponował César. - Brwi zrobimy na samym końcu.

- Próbowaliśmy. Też nic... - bąknął niewyraźnie rysownik.

- W takim razie...

- Usta też...

- Aha. - Césarowi powoli kończyły się pomysły. Nie zamierzał jednak tak szybko składać broni. - A znaki szczególne? Broda, wąsy, okulary?

- Daj spokój - westchnął Stéphane. - Pytałem o wszystko.

- Jessico, wiem, że miała pani dobre chęci - zaczął dyplomatycznie César. - I jestem pani za to bardzo wdzięczny. Ale... bez rysopisu sprawcy utknijemy w martwym punkcie. Dlatego chciałbym poprosić panią o zgodę na sesję z doktor Stewart. Z jej pomocą... - urwał, widząc przerażenie w oczach dziewczyny.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Marie, niosąc butelkę wody mineralnej. César spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: Poddaję się. Znów miałaś rację.

Dziękuję - powiedziała cicho, kiedy kelner postawił przed nią talerz z sałatą. Mechanicznie rozłożyła serwetkę na kolanach i podniosła sztućce do ust. Nie była jednak w stanie niczego przelknąć, nawet kęsa. Odłożyła sztućce na obrus.

Kobieta siedząca obok wsypała cukier do kawy i zamieszała łyżeczką aromatyczną zawartość filiżanki.

- Wiedziałam, że się kiedyś spotkamy - stwierdziła, kładąc łyżeczkę na spodek. Anna nie odpowiedziała. Spoglądała niewidzącymi oczami przed siebie, gdzieś w dal. - Ile to już lat upłynęło od naszego ostatniego spotkania?

- Nie wiem - odrzekła ledwie słyszalnym głosem Anna.

- Byliśmy wtedy nastolatkami... - westchnęła melancholijnie jej sąsiadka, podniosła do ust filiżankę i upiła łyk kawy.

Zapadła cisza. Anna zerknęła na talerz, znów podniosła sztućce, usiłując jeść sałatę. Poczula, jak jedzenie rośnie jej w ustach.

- Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę - powiedziała cicho i odsunęła talerz. Podniosła szklankę z wodą i zaczęła obserwować załamujące się w niej światło.

- Myślałaś, że masz mnie już z głowy? Tak byłoby najprościej, prawda?

Anna odwróciła głowę i obie patrzyły sobie teraz prosto w oczy.

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz? - zapytała, czując rosnącą irytację. Dziewczyna z sąsiedniego stolika przyglądała się jej bez uśmiechu.

- A jak myślisz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Chcę poznać prawdę. Chcę się wreszcie dowiedzieć, co się wtedy wydarzyło.

- Naprawdę nie masz dosyć? To było tak dawno. Powinnaś była o tym zapomnieć, dla własnego dobra.

- Nie masz pojęcia, jak ciężko mi było z tym żyć... - Głos jej się załamał. Odwróciła głowę. Anna przyglądała się jej uważnie, czując ogarniające ją wzruszenie.

- Co chcesz konkretnie wiedzieć... Soniu? - To było takie dziwne, wymawiała jej imię po tylu latach.

- Wszystko. - Zosia wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nos. - Chcę wiedzieć, co się z tobą stało. Dlaczego mnie zostawiłaś. I dlaczego później nie chciałaś ze mną rozmawiać.

- Byłam głupia - zripostowała natychmiast Anna. - Nie miałam pojęcia, że sprawy tak się potoczą.

- To mi nie wystarcza. - Zosia przesunęła okulary na czoło i odgarnęła włosy spływające na ramiona. Anna zauważyła, że jej oczy posmutniały.

- Masz rację. Powinnyśmy sobie wszystko wyjaśnić. Może właśnie po to los nas tutaj zetknął? - Anna sięgnęła po szklankę i wypila duszkiem wodę. - Nie wiem, od czego zacząć...

- Może od tego, co się z tobą działo, kiedy zasnęłam w pociągu. Pod tym śmierdzącym wucetem...

- Ach tak. No więc... - urwała po chwili, jakby brakowało jej słów. - To żalosne - dodała, wbijając wzrok w blat stołu.

- Co według ciebie jest żalosne? - zapytała z niedowierzaniem Zosia. - Że będąc moją najlepszą przyjaciółką, zostałam mnie samą na pastwę jakichś bandziorów? Że mimo woli stałam się świadkiem morderstwa? Że jeden z tych... tych oprawców mnie zgwałcił? - Mówiąc to, spojrzała w dal niewidzącymi oczami. - A może to, że potem nieudolnie próbowałam sobie odebrać życie? No, powiedz! - niemal krzyczała.

- Słuchaj, ja... ja naprawdę nie zdawałam sobie sprawy...

- Daj spokój. Widziałas, co się ze mną działo.

- Zrozum, to... to nie takie proste.

- Więc wytłumacz mi.

- Wtedy, w pociągu... to był... no, taki żart. Głupi kawał. Wierz mi, nikt nie chciał cię skrzywdzić.

- O czym ty mówisz? - Oczy Zosi robiły się coraz większe i coraz bardziej okrągłe.

- Boże... nie wiem, jak ci to powiedzieć. - Anna oparła się łokciami o stolik i schowała twarz w dłoniach. - Wszystko wyszło nie tak... nie tak, jak miało być - westchnęła ciężko.

- Czy możesz przestać mówić zagadkami?

- Zanim zasnął... Pamiętasz, sama mi powiedziałaś, że w tym ostatnim wagonie ktoś jest. Że tak ci się wydaje...

- No i? - Zosia zawisła wzrokiem na ustach przyjaciółki sprzed lat.

- Tam naprawdę ktoś był. A właściwie byli. Cała grupa. Uczniowie wracający z warsztatów aktorskich. Trochę sobie popili i... postanowili się zabawić. Chcieli zrobić nam kawał, coś w rodzaju performance'u. Wciągnęli mnie do ostatniego

wagonu, kiedy spałaś. W pierwszej chwili się przestraszyłam, ale kiedy zobaczyłam mojego kuzyna, zrozumiałam, że to tylko taka gra. Wpadli na pomysł, żeby cię trochę postraszyć. Kiedy się obudziłaś i poszłaś mnie szukać, buchnęli twój plecak. Potem mieli odegrać przed tobą jakąś scenkę. Nie powiedzieli mi, co to będzie. Słowo...

- Chyba żartujesz?
- Przysięgam, że to prawda.
- Chcesz powiedzieć, że... to nie było prawdziwe morderstwo? - Sonia wpatrywała się w siedzącą naprzeciwko kobietę, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu.
- Oczywiście, że nie - powiedziała cicho Anna. Twarz Zosi stężała.
- Nie wierzę.
- Naprawdę, bardzo mi przykro.
- Ale przecież... ja widziałam na własne oczy, jak oni dusili tę kobietę.
- To była ich koleżanka. Nie zrobili jej krzywdy. Udawała.
- Nie, to niemożliwe. Więc dlaczego... Przecież wiesz, że jeden z nich mnie potem zgwałcił?
- Sama tego chciałaś.
- Co?! - jęknęła Zosia, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.
- Powiedział, że to się stało zupełnie nieoczekiwanie, kiedy poszedł ci wytłumaczyć, że to był tylko żart.
- Uwierzyłaś obcemu facetowi? - zapytała Zosia z wyrzutem.

Anna wzruszyła ramionami.

- Nie krzyczałaś. Poza tym nie był obcy. To mój kuzyn - odrzekła cicho Anna. Policzki jej płonęły. Wzrokiem wędrowała po placu, w stronę fontanny.

Anna spojrzała na Zosię i powróciła znów do swojej opowieści.

- Po naszej rozmowie... Powiedziałam mu, co o tym myślałam. Był zszokowany. Zrozum... On nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Był wtedy pijany. Bardzo mu się spodobałaś. Poza tym nie broniłaś się... Myślał, że ty też... Że tego chciałaś. - Anna nie miała śmiałości spojrzeć Zosi w oczy. - Nie mógł cię nawet przeprosić, uwierz mi! Jego ojciec usłyszał przez przypadek naszą rozmowę. Powiedział, że za gwałt wsadzą go do więzienia. Kazał nam obojgu milczeć. Sama widzisz... Z początku miałam do ciebie żal. Widziałam, jak całowałaś się z Piotrkim, gdy byliśmy u twojej ciotki. Potem ta historia w pociągu... Sądziłam, że zwiódłaś mojego kuzyna. Bardzo mi się podobał. Byłam zazdrosna i wściekła na ciebie. A później, kiedy zrozumiałam, co się naprawdę stało... Cóż, wtedy zwyczajnie się przestraszyłam, że jak zacznę z tobą rozmawiać, to wszystko się wyda.

- Łatwo ci to przyszło - powiedziała z sarkazmem Zosia. - Przez te wszystkie lata żyłam z poczuciem winy. To było takie straszne... Takie niesprawiedliwe.

- Masz rację. - Anna kiwnęła ze smutkiem głową. - Wiem, że nic mnie nie usprawiedliwia. Jednak co do mego kuzyna, to bardzo się mylisz.

- To znaczy?

- On naprawdę nie mógł się z tym pogodzić. Wiele razy do mnie dzwonił. Wypytywał o ciebie. Byłam wściekła, że tak bardzo się tobą interesuje. Zbywałam go pierwszą lepszą wymówką. Powiedziałam, że nie mamy ze sobą kontaktu. Strasznie się gryzł. Wyjechał za granicę. Od tamtej pory się z nim nie

widziałam. - Anna umilkła. Na horyzoncie pojawił się kelner, żeby pozbiierać naczynia.

- Czy jeszcze coś podać?

- Martini bianco z cytryną. Podwójne - poprosiła Anna.

- Dla mnie to samo - dodała Zosia, po czym spojrzała z uwagą na Annę. - Zmieniłaś się.

- A mimo to mnie rozpoznałaś. - W głosie jej koleżanki pobrzmiwało coś jakby cicha nadzieja.

- Poznałabym cię nawet w piekle...

Anna nie odpowiedziała. Ciarki przeszły jej po plecach. Kelner postawił przed nimi szklaneczki z alkoholem. Piły w milczeniu.

- Posłuchaj, Soniu...

- Przystań mnie nazywać Sonią. Mam na imię Zofia. Od kiedy umarła mama, nikt mnie już tak nie nazywa.

- Przepraszam. Nie wiedziałam.

- Nie szkodzi.

- Mieszkasz na stałe w Paryżu? - Najwyraźniej Anna miała dość wspomnień i za wszelką cenę pragnęła zmienić temat. Zosia potwierdziła skinieniem głowy.

- A ty?

- Przyjeżdżam na szkolenia i zatrzymuję się w tym hotelu. - Wskazała napis „Select Hotel” na końcu budynku.

- Muszę już iść - powiedziała Zosia, wyjmując z torebki portfel. Odliczone banknoty położyła przy rachunku.

- Słuchaj... tu jest mój numer telefonu. - Anna podała jej wizytówkę. - Zadzwoń, może się umówimy.

Szła przygarbiona, z pochyloną głową. Jak ktoś przegrany, który stracił wszystko w ciągu jednej sekundy. Czula się

stłamszona, przybita i brudna od wspomnień, które tak długo, z takim wysiłkiem starała się wymazać z pamięci. Znowu była tamtą Sonią sprzed lat. Wykorzystaną, wyszydzoną, a w końcu odsuniętą na boczny tor. Łzy napłynęły jej do oczu. Świat dookoła niej wydawał się daleki i obcy. Marzyła już tylko o tym, żeby znaleźć się w swoim mieszkaniu i położyć się do łóżka. A potem spać, spać, spać...

23.

Przez kilka dni César skupił się całkowicie na śledztwie, zapominając o całym bożym świecie. Właśnie przeglądał jeden z raportów, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo! - warknął niechętnie do słuchawki.
- Cóż za miłe powitanie. Dzień dobry, panie inspektorze.
- Lola zaśmiała się po swojemu. Uwielbiał jej wibrujący śmiech.
- Ach, to ty... Przepraszam, skarbie, nie spojrzałem na numer. - Oparł się wygodnie w fotelu. - Co słychać?
- Jest tu ze mną ktoś, kto bardzo chciałby cię poznać. - W słuchawce słychać było teraz śmiech na dwa głosy.
- Słyszę, że jesteś w dobrym humorze. Co tam tak wesoło?
- Przyjedź, to sam zobaczysz.
- Chciałbym, nawet nie wiesz, jak bardzo.

César spojrział na zegarek. Miał ochotę także i dziś popracować dłużej. Tym bardziej że na popołudnie zaplanowana była sesja Jessiki z doktor Stewart. Skąd mógł wiedzieć, że właśnie dziś Lola się odezwie i pomimo wizyty siostry zechce się z nim spotkać.

- Dzisiaj niestety nie dam rady, ale co powiesz na jutro? Mógłbym się urwać z pracy na godzinke... a może nawet dłużej. Spotkalibyśmy się na późnym lunchu w tej samej knajpce co ostatnio. Zdążymy trochę pogadać przed twoim występem. Co ty na to?

- Będziemy na ciebie czekać. Dina i ja, dwie najpiękniejsze ukraińskie siostry... - Znow usłyszał dźwięczny śmiech. - W takim razie do zobaczenia jutro, César. Już nie mogę się doczekać.

- Do zobaczenia... Nadiu. - O mały włos nie powiedział „Lolu”

César wrócił do przerwanej lektury. Był to protokół z przesłuchania Briana Groesta, chłopaka Julie Strass. Odnalezienie go trochę trwało, ponieważ jak się okazało, parę dni po powrocie do domu pojechał z paczką przyjaciół w głąb wyspy. Odnaleziono go na uczelni, jak tylko rozpoczęły się zajęcia. Musiał się najeść wstydu, kiedy dwóch mundurowych wyprowadzało go z zajęć - wprost do policyjnego samochodu. Podczas jazdy zdenerwowany Brian bąknął coś o kilku jointach wypalonych podczas ostatniej wycieczki i zapewnił panów policjantów, że to był ostatni raz. Jego szczerą i sympatyczną skądinąd twarzą zmieniła się diametralnie, gdy w komendzie poinformowano go o śmierci Julie. Prawdziwe zaskoczenie przeszło w rozpacz na wiadomość o tym, że dziewczyna była w ciąży. Dopiero po rozmowie z policyjnym psychologiem uspokoił się na tyle, że był w stanie złożyć zeznania. Okazało się, że nie miał pojęcia ani o tym, że zostanie ojcem, ani o zamordowaniu przyjaciółki. Wprawdzie dziwiło go trochę, że dziewczyna się nie odzywa, ale podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej. Zaraz po

powrocie z wyjazdu planował zrobić Julie niespodziankę, wybierając się na weekend do Paryża. Tak więc zarówno zachowanie, jaki zeznania Briana wykluczyły go z kręgu podejrzanych. Tym bardziej że miał alibi. W czasie morderstwa Julie był w Wielkiej Brytanii.

César zamknął teczkę z dokumentami i odłożył ją na bok. Wziął do ręki następny plik raportów, które Pierre przyniósł mu z samego rana. Były to zeznania personelu i tancerek z Crazy Horse pracujących razem z Katią Miloux, a także wywiady przeprowadzone z sąsiadami. Przejrzał pobieżnie nagłówki raportów, szukając zeznania Loli. Jest. Nazwisko: Terniev. Imiona: Nadieżda Rusłana. Cóż to za dziwaczne imiona? Pewnie ukraińskie. Kiedy w myślach nazywał ją Lolą, wydawała mu się tajemnicza. Jakby pochodziła z innej planety. Dotychczas nie zastanawiał się nad tym, jakie są jej korzenie, w jakiej rodzinie się wychowała ani jaki jest jej język ojczysty. Teraz zrozumiał, że nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją o to zapytać. Wolał żyć w niewiedzy, w ułudzie i karmić się iluzją, którą sam sobie stworzył. Przez tyle czasu upajał się bezkrytycznie jej wymagowanym obrazem. A może również... wyidealizowanym? Wzdrygnął się mimowolnie. Tak czy inaczej, wina leżała wyłącznie po jego stronie.

Wrócił do dokumentów. Nadia urodziła się w 1981 roku w szpitalu w Saint-Germain-en-Laye pod Paryżem. Matka nie żyje. Ojciec przebywa w domu opieki w Le Tap-Cul, niedaleko Calais. Jak to? Przecież wyraźnie mówiła, że oboje rodzice zmarli. Le Tap-Cul... Co to za dziura? Nigdy nie słyszał o takiej miejscowości. Poczul dziwny niepokój.

Z zapartym tchem czytał kolejne rubryki. Siostra, Dina Aurora de Raboutin, z domu Terniev. Bezdzietna, rozwiedziona. Obecnie mieszka na Ukrainie. No, chociaż tutaj coś się zgadza. Z niewielką poprawką: Lola nie wspomniała ani słowem, że siostra zdążyła wyjść za mąż i się rozwieść. W dodatku za francuskiego arystokratę. Ciekawe, czy skorzystała na tym finansowo?

Na pytanie: „Co pani robiła w dniu zabójstwa Catherine Miloux?” Nadia odpowiedziała: „Jak co wieczór o 1930, byłam w swojej garderobie. Godzina przed występem to minimum, żeby się przebrać i zrobić makijaż. Razem z Katią, Alice i Rose mamy wspólny pokój. Wszystkie bierzemy udział w numerze otwierającym przedstawienie, o 20.15. Potem Alice i Katia mają kilka minut na zmianę kostiumów, ponieważ grają razem w numerze westernowym. Rose wychodzi dopiero w finale. Ja mam jeszcze trzy występy. Dwa grupowe, jeden solowy. Ale ten ostatni, solówkę, dopiero pod sam koniec. Spektakl kończy się o 21.15 i mamy około godziny przerwy do następnego”

Kolejne pytanie: „Czy w dniu popełnienia morderstwa panna Miloux zachowywała się normalnie, czy też może było coś dziwnego w jej zachowaniu?”

Odpowiedź: „Była taka jak zawsze. Profesjonalna, miła i ciepła”

Pytanie: „O której godzinie się rozstałyście? Czy widziała pani, jak panna Miloux opuszcza teatr?”

Odpowiedź: „Po drugim spektaklu było małe przyjęcie z okazji urodzin Sébastiena. Wszyscy zebraliśmy się na zapleczu, żeby złożyć mu życzenia i wręczyć prezent, który wspólnie kupiliśmy. Był tort i szampan. Nie wiem dokładnie, o której

wyszła Katia. Wspomniała mi tylko, że bardzo się spieszy. Musiała wymknąć się podczas imprezy. Mnie odwiózł Sébastien. Wypiłam parę kieliszków szampana i trochę szumiało mi w głowie. Kiedy wróciłam do domu, było już chyba po drugiej. Może wpół do trzeciej. Nie patrzyłam na zegarek”

Pytanie: „Czy mieszka pani sama?”

Odpowiedź: „Tak”

Grzeczna dziewczynka, ucieszył się w duchu César. Nie wspomniała ani słowem o pożyczeniu płaszcza ani o tym, że na klatce schodowej, a ściślej mówiąc, na wycieracze, ktoś na nią czekał.

Pytanie: „Czy próbowała pani skontaktować się później z panną Miloux?”

Odpowiedź: „Następnego dnia źle się poczułam. Złapałam grypę i musiałam zostać w łóżku. Miałam gorączkę, spałam przez cały dzień. Nie przyszło mi do głowy, żeby dzwonić do Katii. Nie sądziłam, że mogło się jej stać coś złego. Dopiero po powrocie do pracy dowiedziałam się, że nie żyje”

Pytanie: „Czy panna Miloux miała wrogów? Może skarżyła się pani, że ktoś ją śledzi?”

Odpowiedź: „Nic mi o tym nie wiadomo. Katia była cudownym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał ją skrzywdzić”

Pytanie: „Wiadomo coś pani na temat jej związków? Czy miała stałego partnera?”

Odpowiedź: „Z tego, co wiem, Katia rozstała się ze swoim chłopakiem pół roku temu. Był dziennikarzem. Wyjechał do któregoś z krajów afrykańskich. Związki na odległość... cóż, raczej się nie sprawdzają”

Pytanie: „Czy orientuje się pani, z kim panna Miloux mogła pójść do kina w dniu zabójstwa? W kieszeni jej płaszcza znaleźliśmy dwa bilety”

Odpowiedź: „Nie mam pojęcia. Nic mi o tym nie wspominała”

César odetchnął z ulgą. Zuch dziewczyna. Nie zdradziła się do samego końca.

Zaczął przeglądać pobieżnie pozostałe protokoły przesłuchań. Jedna z tancerek, Alice Dragon, zapytana o ewentualnych wrogów Katii, powiedziała: „Ja nic nie wiem. Niech pan zapyta lepiej Nadię. Przyjaźniły się od dawna. I znały różne swoje tajemnice. Jeśli ktoś coś wie, to właśnie ona”.

Na samym końcu raportu César znalazł zeznanie Sébastiena Goquart, trzydziestodwuletniego szefa gastronomii. Stanu wolnego. Posiadacza nowego sportowego porsche. Z raportu wynikało, że Sébastien znał Katię od dwóch lat, odkąd pracował w Crazy. Spotykali się nawet przez kilka tygodni po jej rozstaniu z narzeczonym dziennikarzem, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Sébastien potwierdził zeznania Nadii. Rzeczywiście, odwiózł ją do domu, ponieważ dziewczyna nie miała płaszcza, a było zimno i padał deszcz. César aż podskoczył na krześle. Czuł, że twarz mu płonie. Cholera, jeżeli ktoś skojarzy te fakty...

Odłożył przeczytane dokumenty na teczkę z zeznaniem Briana Groesta. Pozostało mu jeszcze zapoznać się z raportem François, któremu wreszcie udało się odnaleźć ostatniego przyjaciela Tessy van Graaf, niejakiego pana de Grimmau. Był to mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, przykładowy mąż i ojciec czwórki dzieci. Pracował jako dyrektor eksportu w jednej z

firm bieliźniarskich. Na stare lata mu odbiło i zaczął się interesować młodymi kobietami. Dwa lata wcześniej omal nie wyleciał z pracy, oskarżony o molestowanie podwładnej. Jednak ze względu na to, że ów niechlubny incydent wydarzył się w jednym z państw Europy Wschodniej, łatwiej go było zatuszować. Od tamtej pory, nauczonego smutnym doświadczeniem, Alonso de Grimmau zaczął lokować swoje uczucia gdzie indziej. Obiektem jego zainteresowań stały się teraz kobiety nieco lżejszych obyczajów, dla których słowo „molestowanie” miało wyłącznie pozytywny wydźwięk. Tak trafił do jednej z rewii na Montmartrze, gdzie poznał Tessę van Graaf. Kilka dni przed jej śmiercią wyjechał służbowo do Dubaju, a kiedy stamtąd wrócił, natychmiast pobiegł do teatru, żeby się z nią przywitać i wręczyć prezent, który jej przywiózł z dalekiej podróży. Ale już przy wejściu powiedziano mu o tragicznej śmierci przyjaciółki. Długo się tam nie pokazywał, oplakując przedwczesną śmierć ukochanej. Dopiero spotkana przez niego przypadkiem na ementarzu konsjerżka z budynku, w którym mieszkała Tessa, poinformowała go uprzejmie, że jest poszukiwany przez policję. Dla własnego dobra, a ściślej mówiąc po to, by żona nie dowiedziała się o jego nieformalnym związku, postanowił zgłosić się na komisariat i poddać przesłuchaniu.

To wszystko. Czyli nic, co rzuciłoby jakieś nowe światło na prowadzone śledztwo. Znowu utknęli w martwym punkcie. César zamyślił się i zapatrzył w przestrzeń.

- Dobrze, że jesteś! - przerwała mu rozmyślania Marie, wsuwając głowę do jego pokoju. - Przyszła doktor Stewart.

César spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Co? Ach tak. Już idę. - Podniósł się niechętnie zza biurka.

- Spróbujmy wybadać, jaki będzie jej tok postępowania z Jessicą - zaproponowała Marie.

César skinął głową. Szli korytarzem w stronę sali konferencyjnej. Za oknami było już ciemno. W szybach odbijało się światło latarń oraz reflektory przejeżdżających w oddali samochodów. Nagle przyszło mu do głowy, że do świąt Bożego Narodzenia pozostały jeszcze tylko dwa miesiące.

- Co chciałabyś dostać na Gwiazdkę? - zapytał pod wpływem impulsu.

- Słucham? - Marie zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na Césara ze zdziwieniem.

- Nie myślałaś o tym, co ci przyniesie Mikołaj?

- Owszem, ale... - Uniosła brwi. - Co cię to właściwie może obchodzić?

- Sama mówiłaś, że... - Zrobiło mu się głupio. W zasadzie prawie się nie znali. Dopiero sprawa seryjnego mordercy zbliżyła ich trochę do siebie, i to wyłącznie w sensie zawodowym. Nie miał pojęcia, jakim człowiekiem Marie jest poza pracą. Czy ma chłopaka. Jak wygląda jej życie rodzinne. Nie wiedział nawet, jakiego jest wyznania. Cholera, ale ze mnie cymbał, znowu dałem plamę. Zrozumiał, jak bardzo się ośmieszył. - Tak tylko pytam... - bąknął.

- To żadna tajemnica. Halo, Święty Mikołaju! Czy mnie słyszysz? - Marie zaśmiała się wesoło i spojrzała na sufit, jakby chciała tam wypatrzeć dobrodusznego jegomościa w czerwonej czapie i z długą białą brodą. - Marzę o nowej desce snowboardowej. Stara

jest już do niczego - wyjaśniła, przenosząc wzrok na Césara.

Nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ z drugiej strony korytarza energicznym krokiem nadchodziła właśnie doktor Stewart. Przesunął wzrokiem po jej sylwetce, zlustrował zgrabne nogi, a potem zatrzymał się na niebotycznie wysokich obcasach. Znowu założyła te swoje szcudła. Jak można w ogóle chodzić w czymś takim?

- Witam państwa. - Już z daleka wyciągała do nich rękę, uśmiechając się sztucznie.

- Dobry wieczór. - Marie pierwsza uściśniła jej dłoń.

- Pani doktor. - César uklonił się szarmancko. - Zapraszam. - Otworzył przed nią drzwi do sali konferencyjnej. - Później pogadamy - szepnął Marie do ucha, przepuszczając ją przodem. Po raz pierwszy poczuł delikatny zapach swojej koleżanki. Ledwo wyczuwalny, ale bardzo zmysłowy. Zmrużył oczy i wyobraził sobie Marie nago, jedynie w czarnych pończochach i z kaburą pistoletu. Podniecająca wizja, bez dwóch zdań. Musi mieć sprężyste ciało, jędrne piersi i okrągłe pośladki. Co też mu przyszło do głowy? Przyłapał się na tym, że śledzi wzrokiem jej pupę. Zamknął za sobą drzwi i usiadł wygodnie na krześle. Marie zerknęła na niego przez ramię i nawet się nie zdziwiła, widząc filuterny uśmiech na twarzy Césara.

Tego dnia po raz pierwszy nie odebrała telefonu od Krystiana. Nie odpowiedziała też na jego esemesy i nie włączyła komputera, żeby porozmawiać z nim przez Skype'a. Wylączyła telefon, a głowę nakryła poduszką. Powoli zapadała się w czarną dolinę, której dna nie było widać. Niczym stop- klatki migają jej przed

oczami dawno zapomniane obrazy ze szkolnych lat. Potem skupiła się już tylko na obrazie umierającej matki. Oczami wyobraźni widziała jej wątłe ciało i wychudzoną, przeraźliwie bladą twarz. Nie mogła znieść tego widoku. To wspomnienie spowodowało, że wstrząsnął nią konwulsyjny szloch. Tak bardzo pragnęła ją uratować, zatrzymać przy sobie...

24.

Na sesję z panią doktor Stewart Jessica przyszła z „obstawą” to znaczy ze swoim psychologiem. Była to kobieta dobrze już po czterdziestce, w okularach, bez makijażu. Typ szarej myszy. César zauważył, że doktor Stewart nie była zachwycona jej obecnością, ale dość szybko postarała się zatrzeć to wrażenie. Chyba nie miała wyboru. W pewnej chwili powiedziała nawet, że to naprawdę znakomita decyzja, ponieważ Jessica będzie się czuła bezpieczniej, przez co będzie mniej skrępowana. Marie zadzwoniła do sekretarki, prosząc, żeby przyniosła napoje i ciasteczka. Przez kilka minut rozmawiali o fatalnej pogodzie i o korkach. Jedynie Jessica przysłuchiwała się im w milczeniu. Kiedy sekretarka postawiła na stole plastikowe kubeczki, termos z kawą, butelki z wodą oraz talerzyk z herbatnikami, doktor Stewart zwróciła się do dziewczyny.

- Moja droga, bądź tak dobra i usiądź tutaj. - To mówiąc, wskazała jej krzeselko ustawione na samym końcu stołu, tyłem do wszystkich, a przodem do okna. Jessica spojrzała pytająco na panią psycholog, ale tamta dała jej głową znak,

żeby wykonała polecenie. Jessica usiadła posłusznie na wskazanym jej krześle. Doktor Stewart stanęła przed nią i poprosiła łagodnie:

- Spójrz mi w oczy, kochanie. Wiem, że trochę się boisz. Czujesz się zagubiona. Chciałabyś jak najszybciej stąd wyjść i wrócić do domu, w miejsce przytulne i dobrze ci znane.

Jessica zamrugła oczami. W pokoju zapadła cisza.

- Świetnie cię rozumiem. Co więcej, daję ci słowo, że już niebawem tak właśnie się stanie. Czas spędzony tutaj ze mną minie tak szybko, że zanim się obejrzysz, będziesz już w swoim mieszkaniu, pośród bliskich.

Jessica nie odrywała wzroku od doktor Stewart, która wpatrywała się w nią z jakimś niesamowitym napięciem.

- Spróbuj teraz przez chwilę o niczym nie myśleć. Absolutnie o niczym. Postaraj się skupić przez moment tylko na mnie i na tym, co do ciebie mówię. Oczyść swoją głowę, pozwól, by opuściły cię wszystkie myśli, wspomnienia i przemyślenia... Robisz się teraz lekka, coraz lżejsza i lżejsza... Czujesz, że twój umysł się oczyszcza. Jest ci dobrze, błogo, sennie. Tak. Chce ci się spać. Nie walcz z tym. Pozwól, by twój organizm się zregenerował. Daj mu odpocząć.

Głowa Jessiki powoli opadła na pierś. W pokoju zapanowała całkowita cisza. Wszyscy patrzyli na jej odbicie w szybie. Dziewczyna oddychała spokojnie i miarowo. Doktor Stewart przyglądała się jej przez chwilę, potem dyskretnie zerknęła na zegarek.

- Bardzo dobrze, moja droga. A teraz porozmawiajmy. - Jessica podniosła głowę, ale nie otwierała oczu. Marie chwyciła dłoń Césara i zacisnęła na niej palce. César spojrział ukradkiem na koleżankę, ale nie cofnął ręki, żeby nie zepsuć tej wyjątkowej

chwili. - Jest 17 grudnia 2007 roku. Wracasz do domu metrem. Dojeżdżasz właśnie do stacji, na której masz wysiąść. Co czujesz? Opowiedz mi o tym, proszę.

- To dziwne, ale czuję, że ktoś bez przerwy mi się przygląda - odpowiedziała cicho Jessica. - Tak, wciąż nie spuszcza ze mnie wzroku.

Nie jąkała się i nie przeciągała sylab. César wstrzymał oddech. Niesamowite.

- Kto to jest? - spytała doktor Stewart.

- Nie wiem. Siedzi na końcu przedziału.

- Widzisz go?

- Przed wyjściem z metra spojrzałam w jego stronę. Ma kaptur i słuchawki. Wygląda, jakby słuchał muzyki.

- Co robisz?

- Pociąg zatrzymuje się na stacji. Wsiadam. Ze mną jakaś starsza pani w czarnym futrze i dwie nastolatki. Z innego wagonu wychodzi trzech mężczyzn. Chyba robotnicy. Wyglądają na Arabów. Mówią w jakimś obcym języku.

- A ten w kapturze?

- Nie wiem. Nie widzę go. Staram się iść blisko kobiety w futrze. O, już prawie widać ulicę. Dzwoni moja komórka. Gdzie ja ją schowałam? Kurczę, nie mogę znaleźć. Wciąż dzwoni. Muszę się zatrzymać. No, wreszcie jest. To moja przyjaciółka, Marie-Anne. Nie zdążyłam odebrać. Starsza pani przede mną zniknęła mi z oczu. Trudno. Będę musiała iść sama. Oddzwonię tylko do Marie-Anne. Och nie! Co się dzieje? Czuję ból. Coś mnie ściska za gardło! Boże, jak to boli! Nie wytrzymam! To ten typ w kapturze. Zarzucił mi coś na szyję i ściska. Dłużej tego nie wytrzymam! - Jessica pisnęła. Doktor

Stewart podniosła rękę i dała znak, żeby nikt z widzów nie przerywał seansu.

- Jak wygląda ten człowiek? Czy możesz opisać jego twarz?

- Ma takie straszne oczy... - Dziewczyna zacharczała. - Granatowe... prawie czarne.

- Czy ma jakieś cechy szczególne? - zapytała Angélique. - Wąsy, okulary? Może pieprzyk na policzku...

- Boooliiii... - jęknęła Jessica. - Ma takie dziwne usta. To chyba szminka... Strasznie mnie szarpie, kaptur mu się zsuwa. Ojej, ma... taką dziwną twarz, jak...

- Czy to kobieta?

Jessica nie odpowiedziała. Dyszała i jęczała, jakby naprawdę szamotała się z napastnikiem.

- Czy coś mówi? - pytała dalej doktor Stewart.

Pani psycholog zerkała to na nią, to znów na swoją podopieczną, wierząc się niespokojnie na krześle. Widać, że chciały już przerwać ten niezwykle trudny dla dziewczyny seans.

- Słyszysz jego głos?

- Oooch... - stęknęła Jessica. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. - Neeee... Śmieje się... Śmieje... Śmieje się ze mnie...

Wszystkim przeszedł dreszcz po plecach. Chyba czas już było zakończyć przesłuchanie. César uniósł rękę, dając milcząco znak, że przedłużanie badania nie ma sensu. Angélique zmarszczyła brwi z niezadowolenia.

- Widzisz coś jeszcze? Co się teraz dzieje?

- Ktoś nadchodzi... on zakłada kaptur, podnosi moją rękawiczkę i chowa ją do kieszeni. - Widzowie zeszytnieli. Marie spojrzała na Césara i pokiwała w milczeniu głową. Oboje pomyśleli o tym samym.

- Wystarczy, moja droga - powiedziała spokojnie doktor Stewart. - Odpocznij teraz.

Jessica wzięła głęboki oddech, a jej głowa ponownie opadła na pierś. Angélique zerknęła na zegarek, po czym zmieniając tembr głosu, zwróciła się nieco głośniejszym głosem do dziewczyny: - Jessi-co! Wróć do nas.

Dziewczyna wyprostowała się i otworzyła oczy.

- Jak się czujesz?

- Dooobrze - rzekła Jessica. - Czy długo ttoo jeszcze potrwa?

- Nie, kochanie. Właśnie skończyliśmy. - Pani doktor pochyliła się nad zdumioną dziewczyną i przyglądała się jej z uwagą. Potem uśmiechnęła się lekko i zwróciła się do pozostałych. - Mam nadzieję, że są państwo zadowoleni z rezultatu, bo ja osobiście... bardzo...

Psycholożka podeszła do Jessiki. Kucnęła przed nią, dopytując się z troską o jej samopoczucie. Dziewczyna zaczęła cicho płakać. Pani psycholog przytuliła ją do siebie, starając się jej coś wytłumaczyć. César i Marie zaczęli gratulować doktor Stewart.

- To niesamowite. Jestem pełna podziwu dla pani umiejętności - powiedziała z przekonaniem Marie. - I talentu, oczywiście...

- Dziękuję - odparła chłodno doktor Stewart.

- Mamy wreszcie absolutnie wiarygodne zeznanie świadka opisujące mordercę. Nareszcie będziemy mogli sporządzić portret pamięciowy - ucieszyła się Marie.

- Tak... Dziewczyna zauważyła i zapamiętała sporo szczegółów - stwierdziła w zamyśleniu Angélique. Jej oczy błędziły w przestrzeni.

- Czy sądzi pani, że mordercą była kobieta? - zapytał César, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

- Słyszeliście, co powiedziała Jessica. Sami musicie wyciągnąć wnioski.

- Umówię Jessicę z naszym rysownikiem - postanowiła Marie. - Trzeba jak najszybciej sporządzić portret pamięciowy napastnika.

- Obawiam się, że to nic nie da - zgasiła ją natychmiast Angélique, wracając wzrokiem do swojej rozmówczyni. - Gwarantuję państwu, że Jessica nie pamięta już niczego, co przed chwilą nam opowiedziała.

- Naprawdę?

- Moja droga... Tylko w transie jest w stanie powiedzieć nam o pewnych rzeczach, które widziała. To tak jakby na moment przeniosła się w przeszłość, w tamtą konkretną chwilę. Widzi to, co się wydarzyło, nawet wydaje jej się, że to odczuwa. Zaraz po zakończeniu sesji jej świadomość powraca do stanu obecnego.

Wypowiedziała to z pewną wyższością, sztywno wyprostowana. W kącikach jej umalowanych ust pojawił się złośliwy uśmieszek.

- Zresztą sama może ją pani zapytać.

Angélique pochyliła się nad stołem i zaczęła pakować swoje notatki do eleganckiej zamszowej torby. Marie przyglądała się jej w milczeniu.

- Pani doktor... - César zdecydował się przerwać niezręczną ciszę. - Chciałbym podziękować za wszystko, co pani dla nas zrobiła. Dziękuję w imieniu całego wydziału. Także w imieniu naszego szefa, komisarza Vincenta. - Ujął zimną dłoń

Angélique obiema rękami, głównie dlatego, że jego prawica była obandażowana i mniej sprawna.

- To miłe, inspektorze. - Doktor Stewart poprawiła ręką kok, odchylając do tyłu głowę. - Najlepszym podziękowaniem będzie przelew na konto mojej fundacji. Proszę, oto rachunek. - Podała Césarowi złożoną na pół kartkę. - Żegnaj państwa.

Stukając obcasami, opuściła z podniesioną głową salę konferencyjną. César i Marie popatrzyli za nią zaskoczeni.

- Nie wierzę - powiedziała Marie ni to do siebie, ni do Césara, który stał oniemiały z fakturą w rękę.

- Trzeba przyznać, że ma baba tupet - szepnęła César. - I wiesz, co ci powiem? Chyba to dobrze, że Stary dał sobie z nią spokój.

- Nie zaprzeczysz jednak, że bez niej nie mielibyśmy aż tylu informacji na temat zabójcy.

- Fakt. No i potwierdziła się twoja teoria, że dusiciel zabiera coś każdej ofierze. - César popatrzył z uznaniem na Marie. - W żadnym z raportów nie było o tym słowa.

- Dobrze byłoby poprosić ją o tę drugą rękawiczkę. Jeśli oczywiście jeszcze ją ma. - César i Marie odwrócili się w stronę Jessiki. Stała gotowa do wyjścia. Psycholożka trzymała ją pod ramię.

- Pragnę poinformować państwa, że zamierzam złożyć oficjalną skargę w imieniu mojej pacjentki - zakomunikowała tonem niewróżącym niczego dobrego. - Jestem zbulwersowana metodami, jakimi posłużyła się policja do przesłuchania Jessiki. To wysoce nieetyczne...

- Chwileczkę! - przerwał jej bezceremonialnie César, urażony jej wypowiedzią. - Czy to pani zdanie, czy pani pacjentki? Nie wydaje mi się, żeby Jessica...

- Co pan może wiedzieć o tym, co przeżywa Jessica?! Nie zdajecie sobie sprawy, jaką szkodę wyrządzacie jej psychice. - Psycholożka była bardzo zdenerwowana. Przytuliła mocno swoją pacjentkę, która zaczerwieniła się i spuściła wzrok. - Nie wyobraża sobie pan, jak szalenie trudno było pomóc temu biednemu dziecku powrócić do normalności... Uwolnić ją od demonów, które prześladują ją co noc...

- Zdziwi się pani, ale jakoś mogę to sobie wyobrazić - odparował César. - Mając na uwadze dobro pani pacjentki, sądzę, że powinniśmy odbyć tę rozmowę bez jej udziału. Zapraszam do mojego gabinetu. Będzie tam pani mogła od razu złożyć pisemną skargę. W tym czasie moja współpracownica dotrzyma Jessice towarzystwa - rzekł spokojnie, sam się sobie dziwiąc, skąd u niego nagle aż tyle opanowania.

Jak ci się udało udobruchać tę kobietę? - spytała Marie po wyjściu Jessiki i jej rozsierdzonej towarzyszki.

- Urokiem osobistym - odparł z uśmiechem.

- Nie wątpię. - W jej oczach pojawił się dziwny błysk. - A poza tym?

- Powiedziałem, że jesteśmy pod wrażeniem tego, co zrobiła dla Jessiki, i zapytałem, czy w przyszłości nie zechciałaby współpracować z ofiarami podobnych przestępstw, które moglibyśmy do niej kierować.

- Rozumiem, że była zachwycona twoją propozycją?

- Uhm - przytaknął César, udając, że nie słyszy ironii w głosie koleżanki. - Powiedziała nawet, że sama jest zaskoczona metodami i doświadczeniem doktor Stewart, nie mówiąc już o wynikach tego seansu. Uniosła się, a właściwie tylko zdenerwowała, bo przeraziła ją reakcja Jessiki.

- Mnie też było przykro.

- Mam nadzieję, że szybko jej przejdzie. Naprawdę szkoda mi tej dziewczyny... - westchnął César. - Co za nieszczęście.

- Masz słabość do ładnych kobiet - powiedziała cicho Marie.

César spojrział na nią zdziwiony.

- No wiesz... Zwyczajnie mi jej żal. Czy to takie dziwne? I wcale nie dlatego, że jest tak hojnie obdarzona przez naturę, tylko dlatego, że padła ofiarą tego skurwysyna! Normalny ludzki odruch...

- Nie unoś się, proszę. I jeśli możesz, przestań kłąć jak szewc. Twoje emocje potwierdzają tylko moją teorię. - Marie uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Odwal się! - warknął César. - Wszędzie tylko te idiotyczne podejrzenia... - Obrócił się ostentacyjnie w fotelu w stronę ciemnego okna.

Zapadła cisza. César poczuł, że przesadził ze swoim wybuchem.

- Przepraszam - powiedział zmieszany i odwrócił się do Marie. Miał ochotę pogłaskać ją po rękę, ale zrezygnował z tego pomysłu, nie wiedząc, jak zareaguje.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała, nie patrząc na niego. Udawała, że przegląda notatki. - Zapytałam Jessicę o tę rękawiczkę. Możliwe, że jeszcze ją ma. Da mi znać.

- Świetnie - ucieszył się César. Był zadowolony, że burza w szklance wody minęła tak szybko.
- A teraz podsumujmy: Jessica powiedziała, że morderca ma oczy granatowe, prawie czarne.
- Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne? Widziałaś kiedyś oczy w takim kolorze? - zastanawiał się głośno César.
- Może nosić szkła kontaktowe - odpowiedziała mu Marie. Wodziła wzrokiem po pokoju, jakby próbowała coś sobie przypomnieć.
- Możliwe - podchwycił César. - No i ta szminka... Ciekawe... Szkoda, że doktor Stewart nie pociągnęła jej bardziej za język - westchnął.
- Nie żartuj. Jeszcze ci mało? - Marie zmarszczyła brwi.
- Wydusiła z niej tyle, że aż sama się zdziwiłam.
- Co myślisz o napastniku?
- Mnie też nie daje on spokoju. - Marie westchnęła głośno. - Cały czas zastanawiam się, czy napastnikiem nie była kobieta...
- Jessica sama nie była pewna...
- Wiesz co, César? - Marie wzdrygnęła się mimowolnie. - Mów, co chcesz, ale to było niesamowite przeżycie. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, chyba bym nie uwierzyła...
- Niezła jest ta doktor Stewart.
- I chyba też niezłe kosztuje?
- To już nie nasz problem. Niech Vincent się z nią targuje - zachnął się César. - Może trochę zejdzie z ceny po starej znajomości... - dodał zgryźliwie.
- Co w takim razie dalej?

- Dobre pytanie. Kochanek Tessy został wykluczony z kręgu podejrzanych. Był w tym czasie za granicą. To samo dotyczy przyjaciela Julie. On również ma żelazne alibi. Właściwie sam już nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Nadal nie mamy żadnego podejrzanego, który mógłby znać więcej niż jedną ofiarę. A między nimi też nie ma żadnych powiązań. Myślę, że mordercą nie jest osoba z najbliższego otoczenia którejś z zamordowanych kobiet, ale ktoś, kto... - César na chwilę zawiesił głos - ma po prostu obsesję na punkcie tancerek. I ten ktoś, ten maniak wybiera losowo teatr, a potem jedną z dziewczyn, która tam pracuje. I która oczywiście przedstawia bardzo określony typ urody. Młodą, ładną blondynkę około trzydziestki. Wyjątek stanowi kloszard, który był przypadkowym świadkiem mordu jednej z kobiet i być może ostatnią ofiarą, której tożsamości jeszcze nie ustalono. *À propos*, nie widziałaś Jean-Marca? Miał sprawdzić wszystkie informacje na ten temat.

- Rano siedział jeszcze przy swoim biurku, ale od przerwy na lunch już go nie widziałam. - César podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny. Odczekał kilka sygnałów, ale nikt się nie zgłosił.

- Pewnie już wyszedł - stwierdził niezadowolony, spoglądając na zegarek. - Jest po szóstej. W każdym razie jedno jest pewne: jeśli ta teza się potwierdzi, czego sobie akurat nie życzę, będzie nam znacznie trudniej dopaść sprawcę.

- Uważam, że w pierwszej kolejności powinniśmy sporządzić jego portret psychologiczny. Być może dzięki temu zrozumiemy wreszcie, dlaczego morduje te kobiety. - Marie najwyraźniej przychyliła się do zdania Césara. - Zastanawiam

się, czy i w tej sprawie nie powinniśmy poprosić o pomoc doktor Stewart.

- Daj spokój. Nawet o tym nie myśl. Już widzę minę Starogo. Biedaczysko wścieknie się nie na żarty. Jeszcze jeden taki słony rachunek i... zawał serca gotowy. - Zaśmiał się głośno.

- Czyli miałam rację? Pięćset... czy może więcej? - zapytała ze śmiechem Marie.

César spoważniał, nie chcąc odpowiadać wprost.

- Tym razem będziemy musieli poradzić sobie bez niej. Spróbujmy zaangażować policyjnego psychologa.

- Ty tutaj rządzisz.

- Co jeszcze możemy zrobić? - César podrapał się po głowie. - Zastanówmy się. Sprawca kolekcjonuje drobiazgi skradzione swoim ofiarom. Wiemy, że zabrał rękawiczkę Jessiki i pantofel Katii. Warto byłoby się dowiedzieć, co takiego zwędził Tessie, Julie i tej ostatniej, bezimiennej. Bo pewnie im też nie odpuścił...

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - powiedziała nagle Marie z dziwnym błyskiem w oku. - Że on zabiera wyłącznie jedną rzecz od pary. Pomyśl, jeden pantofel, jedna rękawiczka... Zostawia przy ciele ofiary drugi przedmiot, jakby to był jego podpis. Albo wizytówka. No, w każdym razie coś w tym rodzaju.

- Rzeczywiście - przyznał César. - Chociaż... - Potarł w zamyśleniu nos. - Biorąc pod uwagę, że na miejscu zbrodni rysuje literę, to byłby już jego drugi znak rozpoznawczy. Nie za dużo tego?

- Z początku nie wiedzieliśmy o żadnym z nich. Pierwsze litery były zamazane, umieszczone w słabo widocznych

miejscach. Poza tym w przypadku Tessy i Julie nie wiemy, czy w ogóle coś zginęło.

- Ciekawe, czy w miejscu, w którym napadł Jessicę, również napisał jakąś literę.

- Tego już się pewnie nie dowiemy, niestety. Ona pamięta tylko to, co się wydarzyło, zanim straciła przytomność. Zresztą sam widziałeś... Poza tym ktoś musiał wtedy spłoszyć napastnika, i bardzo dobrze. - Marie uśmiechnęła się lekko.

- Drań nie zdążył zabić dziewczyny, więc raczej nie miał też czasu na napisanie litery.

- Ciekawe, że od pierwszej, nieudanej zbrodni do drugiej upłynął prawie cały rok, a potem sprawca mordował kolejne ofiary w coraz krótszych odstępach czasu - zamyśliła się Marie.

- Policzmy. - César wziął długopis i zaczął notować daty na kartce. - Jessica została napadnięta w grudniu ubiegłego roku. Tessę znaleziono w sierpniu tego roku, Julie zginęła na początku września, Katia w październiku, a bezimienna na Dworcu Wschodnim została zabita pod koniec listopada. Rzeczywiście zwiększył tempo.

- Fakt. Od pierwszej napaści do drugiej upłynęło osiem miesięcy. - Marie podniosła obie dłonie i pokazała na palcach ósemkę. - A następne zdarzały się już właściwie co miesiąc. To by znaczyło, że...

- Że piątej tylko patrzeć... - dokończył grobowym głosem César, czując na plecach zimny dreszcz. - Chociaż wołałbym nie krakać - dodał na wszelki wypadek.

- Co mogło spowodować tak długą przerwę między pierwszym a drugim atakiem tego zwyrodnialca? Pobyt w więzieniu? Wyjazd? No, César, ruszże głową!

- Jeżeli wyjechał, to znaczy, że mógł mordować gdzie indziej... - César wpatrywał się z natężeniem w jeden punkt na ścianie. Nagle wyprostował się i spojrział na Marie. - Nie sądzisz, że powinniśmy to sprawdzić?

- Skontaktować się z Interpolem i dowiedzieć się, czy w innych krajach nie było podobnych morderstw? - Marie w lot chwyciła jego myśl.

- Chodzi wyłącznie o okres od grudnia ubiegłego roku do września tego roku.

- Dlaczego tylko ten? - zdziwiła się Marie. - Przed grudniem też mógł zabijać, tylko... gdzie indziej. - Popatrzyli sobie w oczy.

- W takim razie... morderca może być cudzoziemcem.

- No jasne! Że też sama na to nie wpadłam. - Marie zaczerwieniła się lekko, przygryzając dolną wargę. César zatrumfował w duchu.

- Nie gryź się - powiedział z uśmiechem. - Ta teza może się nie potwierdzić.

- Nie o to chodzi. Przecież nie będziemy się licytować, które z nas jest lepsze - odpowiedziała lekko naburmuszona. - Po prostu powinnam była wcześniej wysnuć taki wniosek. Słuchaj, to może oznaczać, że wyraz, którego poszczególne litery morderca maluje w miejscach zbrodni, pochodzi z innego języka. Niekoniecznie francuskiego... - Césarowi wydało się, że zobaczył błysk w oczach koleżanki.

- Możliwe. - Zasłonił usta dłonią, tłumiąc ziewnięcie.

- Idę przygotować listę pytań do Interpolu. Jak skończę, podeślę ci cały tekst, żebyś rzucił okiem. Tylko mi tutaj nie zasypiaj.

Od kilku dni nie była w stanie się zmobilizować i pójść do pracy. Zadzwoniła do znajomej lekarki, mówiąc, że źle się czuje, i poprosiła o kilka dni zwolnienia. Lekarka zgodziła się, pod warunkiem jednak że chora pozwoli się zbadać i weźmie leki, które jej przepisze. Przyszła jeszcze tego samego popołudnia. Po jej wizycie Zosia zaciągnęła zasłony, żeby uwolnić się od natrętnego światła, które wpadało przez okno, potęgując jej irytację. Już miała się położyć, kiedy w głowie zaświtała jej jeszcze jedna myśl. Sięgnęła po telefon. Podniosła słuchawkę i wybrała numer widniejący na otrzymanej niedawno wizytówce. Po kilku sygnałach usłyszała głos Anny.

- Halo?

- Cześć, tu Zosia - zachrypiąca do słuchawki. I zaraz odchrząknęła.

- Miło, że dzwonicz - ucieszyła się Anna. - Czy coś się stało? Głos masz taki jakiś...

- Boli mnie gardło... - skłamała. - Słuchaj... zapomniałaś mi powiedzieć, jak nazywał się twój kuzyn. Ten, no wiesz...

- Wiem.

- No więc? - ponagliła. Jej serce waliło jak młot. W głowie szumiało.

- Bo nie pytałaś. - Anna wydawała się zdziwiona.

- No więc... jak on się nazywał?

- Kris.

- Słucham?

- Krystian. Krystian Waszak.

Zosia osunęła się na łóżko, ciężko dysząc. Słuchawka wypadła jej z ręki i uderzyła o podłogę.

- Halo? Jesteś tam? Soniu... to znaczy Zosiu, jesteś tam?
- Z dołu dobiegał zaniepokojony głos Anny. - Co się z tobą dzieje?...

25.

César miał mieszane uczucia przed spotkaniem z Lolą i jej siostrą. Sam nie mógł zrozumieć, dlaczego na myśl o Dinie ścisną go w żołądku. Tak jakby podświadomie się bronił przed jej poznaniem. Poza tym w dalszym ciągu dręczyła go sprawa noża znalezionej w kuchni pod zlewem oraz kwestia ojca, który zgodnie ze słowami Loli miał już dawno nie żyć, a tymczasem okazało się, że wcale nie odszedł w zaświaty, tylko przebywa gdzieś na północy Francji. Wszystkie te myśli nie dawały mu zasnąć wczorajszego wieczoru i powróciły jak bu-merang, kiedy się tylko obudził. I pewnie zaprzętałyby sobie nimi głowę przez resztę dnia, gdyby nie nowina, którą mu przyniósł Jean-Marc, gdy tylko César przestąpił próg biura.

- Zidentyfikowałem denatkę!
- Brawo - pochwalił go César beznamietnym głosem.

W dalszym ciągu był pochłonięty myślami o własnych problemach.

- Wczoraj zgłosiła się jej siostra. Rozpoznała zdjęcie w gazecie - pospieszył z wyjaśnieniem Jean-Marc, nie zrażając się kiepskim nastrojem kolegi. - Przed chwilą Pierre pojechał z nią do kostnicy.

- Aha. - César powiesił kurtkę i usiadł za biurkiem. Włączył komputer i spojrzął na stojącego przed nim kolegę. - Masz jeszcze coś ciekawego?

Wydawało się, że Jean-Marc tylko czeka na to pytanie. Usiadł szybko na krześle przed biurkiem i rozłożył przed Césarem swoje dokumenty.

- Zamordowana nazywała się Lydie Carel. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Nigdzie nie pracowała. Mieszkała sama. Jej siostra, Marie-Anne Pierelot, jest tancerką w nocnym klubie Belle Epoque, na Petits Champs. Ma trzydzieści dwa lata, występuje w kabarecie już siódmy rok. W dniu zabójstwa Lydie przyszedła do klubu, żeby pożyczyć od Marie-Anne pieniądze. Podobno miała komuś oddać dług. Komu? Nie wiadomo. Z początku siostra nie bardzo chciała uwierzyć w tę historię, ale Lydie strasznie nalegała, mówiła, że ma nóż na gardle, więc po kilku dniach się zgodziła. Ostatecznie Marie-Anne pożyczyła jej siedemset euro, które miała odłożone na wakacje.

- O której Lydie wyszła z Belle Epoque?

- Marie-Anne dokładnie nie pamięta, ale zaraz po spektaklu. Prawdopodobnie kwadrans po północy. Tego wieczoru odbywała się tam impreza zamknięta dla grupy turystów z... - Jean-Marc urwał, zdenerwowany, że coś mu mogło umknąć. Podrapał się za jednym uchem, potem za drugim, krzywiąc się przy tym niemilosiernie. W końcu machnął ręką i mówił dalej: - Nieistotne. Formuła spektaklu była trochę inna niż zazwyczaj. Z tego, co mówiła, w takich sytuacjach szli trochę na żywioł, w zależności od tego, jak rozkręcała się zabawa. Zmieniona w ostatniej chwili kolejność numerów, przyspieszone wyjścia, brak antraktów. Kiedy Marie-Anne wyszła na scenę, Lydie została w jej garderobie. Zwykle dostawała coś do jedzenia z kuchni.

- Z teatru wyszły razem? - César popatrzył z napięciem na kolegę.

- Tak. I poszły do metra. Dojechały do stacji przy Dworcu Wschodnim, na której Lydie się przesiadała, a Marie-Anne pojechała dalej.

- To już coś - ucieszył się w pierwszej chwili César, ale zaraz mina mu zrzędła. - Rzecz jasna, o ile Marie-Anne potwierdzi, że w kostnicy leży ciało jej siostry. Czy Lydie też była tancerką?

- Nie. W dzieciństwie często chorowała. Była wątła i słabego zdrowia, pewnie dlatego nie rozwijała się prawidłowo. Matka, która samotnie wychowywała dzieci, robiła, co mogła, żeby wyleczyć młodszą córkę. Na szczęście Marie-Anne okazała się bardzo zdolna i dostała stypendium w szkole tańca. Jak tylko zaczęła występować, regularnie pomagała matce i siostrze. Moim zdaniem to bardzo ładny gest z jej strony, nie uważasz? - Spojrzał na Césara, który skinął w milczeniu głową.

- No, w każdym razie dopóki matka żyła, utrzymywała Lydie, która w żadnej pracy nie mogła długo zagrazać miejsca. Imiała się różnych zajęć. Pracowała w piekarni, w kiosku, w sklepie warzywnym, w fabryce zabawek, w pizzerii i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Najczęściej jako pomoc, sprzątaczką lub na zmywaku. Wszędzie ją zwalniano albo sama porzuciała pracę.

- Leniwa czy konfliktowa? - zapytał César.

- Myślę, że i jedno, i drugie. - Jean-Marc westchnął, po czym referował dalej. - No, tak czy inaczej, Marie-Anne była bardzo przybita, kiedy się dowiedziała o śmierci siostry, i starała się nie mówić o niej źle.

- Zastanawiam się, na co były potrzebne Lydie te pieniądze. W końcu to spora suma.

- Mówiła o jakimś długu. Marie-Anne nie wie dokładnie, o co chodziło. Może po prostu potrzebowała ich na swoje utrzymanie? Z czegoś musiała przecież żyć, płacić rachunki. Skoro sama nie zarabiała... to może pożyczała?

- Czy Marie-Anne nie wspominała nic o ewentualnych wrogach siostry?

- Nie, ani słowa.

- Dziwne... - zamyślił się César. - Taka konfliktowa osoba na pewno niejednemu zalazła za skórę.

- Wiesz... - Jean-Marc nachylił się nad biurkiem w stronę Césara, jakby chciał mu przekazać coś bardzo poufnego. - Odniosłem wrażenie, że Marie-Anne traktowała swoją młodszą siostrę jak niedorozwinięte dziecko. Kapujesz? - Ostatnie słowa niemal wyszeptał.

- A co powiesz o samej Marie-Anne? Tylko krótko i na temat!

- Była mężatką. Przez półtora roku. Jak się wyraziła, była to jej młodzieńcza i nie do końca przemyślana decyzja. Obecnie jest stanu wolnego. Dzieci nie ma. Mówię ci, César, jaka to fantastyczna kobieta... - rozmarzył się Jean-Marc. - Zresztą, sam za chwilę zobaczysz.

- No, no, tylko mi nie zaczynaj romansować ze świadkiem. - César pogroził mu palcem. Jean-Marc zaczerwienił się po same uszy, a César poczuł się odrobinę zażenowany. Odchrząknął głośno i żeby zatuszować to wrażenie, powiedział służbowym tonem: - Zadzwoń do Pierre'a i dowiedz się koniecznie, czy potwierdziła tożsamość denatki. Jeżeli tak, niech ją przywiezie z powrotem. I nie zginie gdzieś po drodze...

Chciałbym ją osobiście przesłuchać.

Marie-Anne Pierelot ocierała chusteczką łzy napływające jej do oczu. Rzeczywiście była niczego sobie, jak mówił Jean-Marc. Ale żeby od razu fantastyczna? Szkoda, że nie widział Loli. To by dopiero szczęka mu opadła, uśmiechnął się w duchu César, spoglądając na kobietę, która właśnie weszła do pokoju. Wysoka, ładnie zbudowana tleniona blondynka. Może tylko makijaż miała nieco zbyt mocny jak na tę porę dnia. Łzy wymieszane z czarnym tuszem do rzęs pozostawiały ciemne smugi na policzkach, rozmywając grubą warstwę fluidu, którym Marie-Anne usiłowała zakryć niezbyt ładną cerę. Poza tym nie było się do czego przyczepić. Ubrana była raczej skromnie, bez specjalnej ekstrawagancji, w ciemne spodnie, szary sweterek z dekoltem w łódeczkę i zamszowe mokasyny na płaskiej podeszwie, przez ramię przerzuciła granatowy plecaczek. Poruszała się z gracją, kręcąc zalotnie biodrami. César obserwował z pobłażliwym uśmiechem Jean-Marca, który dosłownie pożerał wzrokiem Marie-Anne, jakby chciał ją schrupać na śniadanie. Odnosił się do niej z przesadną atencją, wręcz jej nadskakiwał. Zapropo-nował jej kawę i przyniósł pudełko jednorazowych chusteczek, a w końcu położył przed nią czekoladowy batonik, zapewne z dystrybutora. Prawie się rozpląkał ze szczęścia, kiedy bąknęła „dziękuję” Chyba skonom, pomyślał César, ubawiony tymi umizgami. Kiedy dołączyła do nich Marie, César uznał, że pora zakończyć ów taniec godowy, który zaczął go powoli irytować, i dał Jean-Marcowi znak, że jego rola skończona i może sobie iść. Ale młody policjant nie miał ochoty opuszczać sali i

pochyliwszy się nad Césarem, szepnął mu do ucha:

- Czy to naprawdę konieczne? Może przydałbym się wam podczas przesłuchania?

A kiedy César pokręcił przecząco głową, dodał szybko:

- Mógłbym na przykład przysiąc sobie w kącie i robić notatki.

- Dziękujemy za twoje dobre chęci - odparł głośno César.

- Myślę, że jakoś sobie poradzimy. - A widząc, że Jean-Marc nadal nie rusza się z miejsca, dodał tonem nieznośnym sprzeciwu: - Zajmij się, proszę, raportem. Chciałbym go przeczytać jeszcze dziś po południu.

Jean-Marc już otwierał usta, żeby głośno zaprotestować, ale César burknął:

- No już, spadaj!

Tym razem poskutkowało. Zganiony Jean-Marc położył uszy po sobie i wyniósł się jak niepyszny, przedtem jednak zdążył jeszcze rzucić Marie-Anne wymowne, pełne uwielbienia spojrzenie.

César odetchnął z ulgą i spojrzał ukradkiem na Marie. W jej oczach pojawił się na moment wesoły błysk.

- Czy mogłaby pani opisać swoje relacje z siostrą? - poprosi! César, starając się z całych sił przybrać poważny wyraz twarzy.

- Jak już powiedziałam panu Jean-Marcowi, bardzo ją kochałam. - Marie-Anne spojrzała na Césara zaczerwienionymi oczami.

- Proszę zapomnieć o tym, co mówiła pani naszemu koledze - rzekł łagodnie César. - Chciałbym, żeby teraz spróbowała nam pani opowiedzieć o tym, jak wyglądało życie Lydie.

- Ja... - zaczęła ostrożnie - miałam z nią bardzo dobre relacje. Naprawdę...

- Nikt w to nie wątpi. Żeby jednak odnaleźć mordercę Lydie, musimy jak najwięcej się dowiedzieć o niej samej. O jej życiu, znajomych, przyzwyczajeniach.

César zrobił zatroskaną minę. Marie-Anne zaczerwieniła się lekko. Pociągając nosem, opuściła głowę.

- Domyślamy się, że pani siostra była człowiekiem zupełnie innego pokroju niż pani - wtrąciła szybko Marie. - Podobno od najmłodszych lat pomagała jej pani, a później opiekowała się nią po śmierci waszej matki.

Marie-Anne zakryła twarz dłońmi, a całym jej ciałem wstrząsnął szloch. César i Marie wymienili zakłopotane spojżenia.

- Marie-Anne, proszę się uspokoić... - powiedział César łagodnym tonem. - Niech pani spróbuje zrzucić z siebie ten ciężar. To naprawdę pomaga.

- Ale to przecież moja siostra... - Marie-Anne załkała. - Nie powinno się mówić źle o zmarłych.

- Przeciwnie - odparła zdecydowanym głosem Marie. - Teraz, kiedy już jej tutaj nie ma, nie może jej pani przecież zaszkodzić. A prawda pomoże odnaleźć jej mordercę.

- Tak pani sądzi? - Marie-Anne podniosła głowę i utkwiała wzrok w Marie. Po chwili znów ogarnęły ją wątpliwości. - Ale czy to naprawdę konieczne?

- Tak. - Marie pogłaskała ją delikatnie po ramieniu.

- No dobrze. Tylko bardzo proszę, niech to zostanie między nami. Mama nigdy by mi nie wybaczyła...

- Nic, co pani teraz powie, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju - uspokoił ją César.

- Dziękuję - chlipnęła Marie-Anne. - Od czego by tu zacząć? - zastanowiła się, kręcąc się niespokojnie na krześle, jakby ją coś uwierało.

César obserwował ją dyskretnie.

- Najlepiej od samego początku. Proszę nam opowiedzieć, jak wyglądało wasze życie, kiedy byliście jeszcze małe. Dzieciństwo zawsze odciska na naszej psychice niezatarte piętno.

- Ojciec nas zostawił, kiedy ja miałam osiem, a siostra pięć lat.

- Dlaczego odszedł? - zapytała Marie z troską w głosie.

- Miał inną kobietę. Mama nigdy nie chciała o tym rozmawiać.

- Więc nie wie pani dokładnie, w jakich okolicznościach rodzice się rozstali?

- Nie.

- A ten wypadek, któremu w dzieciństwie uległa pani siostra? Czy to było coś poważnego? - Marie przyglądała się badawczo przesłuchiwanej.

- Dokładnie nie wiem. To zdarzyło się przecież tak dawno. Bawiłyśmy się na podwórku. Pamiętam, że było tam dużo innych dzieci. Lydie oddaliła się nie wiadomo kiedy. Po jakimś czasie w bramie pojawiła się sąsiadka, pani René, niosąc ją na rękach. Pani René była okropnie zdenerwowana, zaczęła krzyczeć, żeby zawołać moją matkę. Mama zaraz zbiegła na podwórko. Ktoś w międzyczasie zadzwonił na pogotowie. Zabrali Lydie do szpitala. Mama pojechała razem z nią. Wróciła późnym wieczorem, bo moją siostrę zatrzymali na kilka dni. Spytałam, co się stało, ale mama powiedziała, żebym się tym za bardzo nie interesowała, że to nie moja sprawa.

- Nigdy później już o tym nie rozmawiałyście? - zdziwiła się Marie.

- Mama unikała tego tematu jak ognia. Najpierw, kiedy ją pytałam, mówiła, że jestem za mała, żeby to zrozumieć. Potem, gdy już dorosłam, za każdym razem, kiedy chciałam o tym porozmawiać, zbywała mnie, mówiąc, że rozdrapywanie ran nie przyniesie niczego dobrego. Zakazała mi kategorycznie rozmawiać z kimkolwiek na ten temat, zwłaszcza przy siostrze.

- Więc nie wie pani, czy Lydie wpadła pod samochód, czy może ktoś ją pobił?

- Nie mam pojęcia, naprawdę. Pamiętam tylko, że w jakiś czas po tym wypadku, kiedy było nam bardzo ciężko, dostaliśmy większą sumę pieniędzy, podobno było to odszkodowanie... - Marie-Anne westchnęła ciężko, po czym opowiadała dalej. - Mama powiedziała mi wtedy, że zawsze ktoś musi zapłacić za krzywdę, którą wyrządził bliźniemu. Większą część tej sumy odłożyła w banku, a za resztę żyliśmy skromnie, dopóki nie znalazła pracy. Część tych pieniędzy poszła na moją naukę tańca. Resztę dostała siostra po śmierci mamy.

- Rozumiem, że to właśnie w następstwie owego tajemniczego wypadku pani siostra nie rozwijała się normalnie, tak jak inne dzieci?

- Niezupełnie - sprostowała szybko Marie-Anne i wytarła nos w chusteczkę. - Lydie nie była opóźniona w rozwoju. Miewała tylko czasem takie dziwne lęki... Nie wiem, jak to nazwać. Może fobią? Albo manią prześladowczą... Coś jej się wydawało, zachowywała się, jakby się kogoś bała... Chowała się po kątach. Czasem, kiedy wracałam ze szkoły, ona siedziała

skulona pod stołem. Nie odzywała się do mnie ani słowem. Prosiłam, żeby wyszła, wołałam ją, obiecywałam cukierki, za którymi przepadała, a ona nic, tylko patrzyła tak jakoś dziwnie... Jakby się chciała upewnić, że jest bezpieczna, że nikogo obcego nie ma w domu. Dlatego mama tak bardzo jej folgowiała. Lydie często opuszczała szkołę. A potem miała problemy z nadrobieniem materiału i z wielkim trudem zdawała z klasy do klasy. Nauczyciele traktowali ją ulgowo, bo matka tłumaczyła wszystko jej chorobą.

- Uważa pani zatem, że siostra wykorzystywała mamę? - César musiał zadać to przykre pytanie.

- Och, nie... Tego nie powiedziałam - zaoponowała szybko Marie-Anne. - Sądzę, że naprawdę miała problemy... Muszę jednak powiedzieć uczciwie, że wielokrotnie nadużywała dobroci matki. Ale... Mama chciała mieć ją zawsze blisko siebie. Mnie pozwoliła szybko się usamodzielić, ale Lydie nie spuszczała z oczu. Nie wiem, czy mnie państwo dobrze rozumieją?

- Oczywiście - przytaknęła Marie. - Chciała ją w ten sposób zatrzymać przy sobie jak najdłużej.

- Yhm. Szczerze mówiąc, dopóki mama żyła, jakoś nie-specjalnie w to wnikałam. Miałam już swoje dorosłe życie. Zaczęłam pracować, odnosiłam pierwsze sukcesy. Poznałam Charles'a, za którego później wyszłam za mąż. W tamtym czasie to on był dla mnie najważniejszy... - Spojrzała na Marie, która pokiwała ze zrozumieniem głową. - Nie mogłam się jeszcze do tego wszystkiego zajmować Lydie.

- Dlaczego się pani rozwiodła? - zapytał César.

Marie-Anne zawahała się krótko.

- Nie układało się nam, po prostu. Z perspektywy czasu tak sobie myślę, że to była jedna wielka pomyłka. - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Charles był moim kolegą z zespołu. Czuł się prawdziwym artystą, miał swoje chimery. Oczekiwał, że zrezygnuję z pracy i będę mu już tylko gotować obiady i prasować koszule. Miał dla mnie gotową rolę: kury domowej. A ja chciałam się rozwijać, tańczyć... Po roku niekończących się kłótni postanowiliśmy się rozstać. Jedyne, co mi po nim zostało, to nazwisko.

- Może wody? - César podsunął jej skwapliwie butelkę i plastikowy kubek. Marie-Anne pokręciła przecząco głową. - Powiedziała pani dziś rano, że Lydie nigdzie nie pracowała. Dlaczego?

- Miała duże trudności z przystosowaniem się do nowego otoczenia. W domu zawsze robiła to, co chciała. Mama na wszystko jej pozwalała. Kiedy poszła do pracy, okazało się, że musi wykonywać czyjeś polecenia, robić to, czego nie lubi. Myślę, że ta całkiem nowa sytuacja ją przerosła. Lydie nie była w stanie wykonywać jednej i tej samej, monotonnej pracy przez osiem godzin. Zapominała się, zostawiała niedokończoną robotę. Raz, drugi jej się upiekło... Ale w końcu prawda zawsze wychodziła na jaw. Jeśli ktoś znał naszą sytuację rodzinną, to czasem przymykał oko. Właściciel piekarni trzymał ją przez trzy miesiące, chociaż żona codziennie suszyła mu głowę, że Lydie to leń i obibok. Kiedyś spotkałam go przypadkiem na ulicy. Podszedł do mnie, żeby się wytłumaczyć, że musiał ją zwolnić. Doskonale go rozumiałam i nie miałam do niego żalu. Powiedział, że trzymał ją tak długo przez wzgląd na moją zmarłą mamę. Wiedział o wypadku Lydie, o tym, że ma problemy, i

chciał jej jakoś pomóc. W gruncie rzeczy to bardzo poczciwy człowiek.

- Z czego zatem utrzymywała się pani siostra?

- Jak już wspomniałam, mama odłożyła dla niej dość pokaźną sumę w banku. Kiedy nie pracowała, wypłacała co jakiś czas mniejsze lub większe kwoty. Potem, jak jej konto okazało się puste, pożyczala ode mnie.

- Czy nigdy nie zastanawiała się pani, żeby ubezwłasnowolnić siostrę i oddać ją do domu opieki?

- Nie było powodu. - Marie-Anne rozłożyła ręce. - Lydie nie była chora psychicznie. Po prostu nie potrafiła dobrze gospodarować. - Zamyśliła się. - Zwyczajnie sobie nie radziła. Mogłam oczywiście sprzedać mieszkanie po matce i zabrać ją do siebie, ale wtedy już do końca życia musiałabym ponosić za nią odpowiedzialność i opiekować się nią jak dzieckiem. Cóż... teraz myślę, że być może źle zrobiłam - powiedziała, głośno wdychając.

- Jak to się stało, że ostatnio zgodziła się pani jednak pożyczyć Lydie tak dużą sumę? - zapytał César.

- Nie chciałam... Wiedziałam, że nigdy nie odda mi tych pieniędzy. - Marie-Anne zaczerwieniła się, uciekając wzrokiem.

- Więc dlaczego?

- Miała długi. Pożyczyła pieniądze od jakiegoś znajomego. W końcu zaczął się niecierpliwić. Coraz gwałtowniej domagał się zwrotu pożyczki. Lydie przysięgała, że jej groził. Była bardzo wystraszona. I chyba nie kłamała. Widziałam to w jej oczach...

- Jak się nazywa ten znajomy? - César nie odrywał wzroku od przesłuchiwanej.

- Nie wiem - wyszeptła Marie-Anne, ocierając łzy. César patrzył na jej twarz i czuł, że kobieta nie mówi całej prawdy.

Krystian miał złe przeczucia. Od kilku dni nie mógł skontaktować się z Zosią. Nie odbierała telefonu, nie odpowiadała na jego esemesy i mejle. Musiało się stać coś złego. W pracy nie mógł sobie znaleźć miejsca. Co chwilę spoglądał na wyświetlacz komórki. Regularnie sprawdzał pocztę. Nic. W końcu zaczął sobie wyrzucać, że w gruncie rzeczy tak mało o niej wie, co istotnie było świętą prawdą, bo nigdy nie zadał sobie trudu, by poznać jej sąsiadów lub przynajmniej zapytać ją o numer telefonu do pracy. No jasne, praca! Dlaczego dopiero teraz na to wpadł? Wszedł w Google i drżącymi palcami wpisał nazwę firmy, w której pracowała. Po chwili miał już adres i numer telefonu. Zadzwoił na recepcję. Przedstawił się krótko i poprosił o połączenie z Sophie Dembicka. Recepcjonistka poprosiła go o chwilę cierpliwości. Po kilku taktach muzyki klasycznej zgłosiła się ponownie i poinformowała go, że mademoiselle Dembicka jest chora i że przez najbliższych kilka dni zastępuje ją Audrey Lebrun. To wszystko. Zaklął siarczyście w duchu.

26.

Obraz, jaki nakreśliła Marie-Anne, stawia Lydie w niezbyt korzystnym świetle - stwierdziła Marie po zakończeniu przesłuchania.

- Ale, ale, nie za wcześnie na wnioski? - obruszył się niespodziewanie César. - Przecież to nie wina Lydie, że była taka, a nie inna, tylko jej matki. Jak się nad tym lepiej zastanowić, właściwie niczego nie wymagała od swojej młodszej córki. Co gorsza, we wszystkim ją wyręczała. Koniec końców była jej służącą, opiekunką, przyjaciółką... A po jej śmierci Lydie nie umiała sobie sama poradzić. Proste - podsumował.

- Masz rację. - Marie podniosła do góry ręce. - Zastanawia mnie jedno: co to za wypadek, któremu uległa Lydie, oraz dlaczego ich matka zrobiła z tego wielką tajemnicę.

- Dziwna historia. Mnie też to intryguje. Jeżeli dziewczynkę zabralo pogotowie, sprawę z pewnością zgłoszono policji. To obowiązkowa procedura. Gdzieś powinny być jeszcze jakieś dokumenty na ten temat. Może pogrzebałabyś w archiwum?

- Poszukam - zgodziła się Marie, która była dziś zdumiewająco spokojna.

- A co sądzisz o samej Marie-Anne?

- Cóż, nigdy nie byłam w podobnej sytuacji... - zaczęła ostrożnie. - Nie winiłabym jej. Dziewczyna chciała się usamodzielnąć. To przecież normalne. Zdrowy egoizm jest jak najbardziej okej. Nurtuje mnie tylko sprawa tych pożyczonych pieniędzy i rzekomego długu.

- Mnie też nie przekonało jej tłumaczenie - przytaknął szybko César. - W końcu takich pieniędzy nie pożyczają się na piękne oczy. Zanim je wręczyła siostrze, musiała się upewnić, na co są jej potrzebne. Nie wierzę, że Marie-Anne była aż tak naiwna.

- Zastanawiające, że pieniądze zginęły. Nasz morderca do tej pory nie okradał swoich ofiar. - Marie spojrzała w zamyśleniu na Césara.

- Z wyjątkiem rzeczy od pary.

- Ale to co innego. Miały dla niego wartość nie materialną, tylko...

- Symboliczną - dokończył z uśmiechem.

- Gdyby tak nam jeszcze udało się skojarzyć, co znaczą te litery...

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale cały czas o tym myślę. ...ERAS to chyba jednak nic nie znaczy. - César wzruszył ramionami.

- Nie poddawaj się, drogi kolego. Może po prostu to, tak jak ci już mówiłam, nie jest francuskie słowo. Może litery trzeba ułożyć w innej kolejności...

- W ten sposób możemy siedzieć tutaj do późnej nocy. - Uśmiechnął się do Marie. - Zajmij się lepiej archiwum. Aha, i sprawdź, czy nie przyszła już odpowiedź z Interpolu. Ja spróbuję przycisnąć panią Pierelot w sprawie tego długu. - Spojrzał na zegarek. - O cholera, muszę już iść. No to cześć. Widzimy się jutro rano.

Marie posłała mu spojrzenie wyrażające dezaprobatę. César złapał kurtkę i pobiegł do windy. Musi się pospieszyć, jeśli nie chce się spóźnić na spotkanie z Nadią i jej siostrą Diną.

Kobieta, która wyciągnęła do niego rękę, była zjawiskowo piękna. Przypominała młodą Liz Taylor. Czarne lekko falujące włosy opadały jej na ramiona, otaczając małą, trójkątną twarz o regularnych rysach. Wielkie hipnotyzujące oczy o niespotykanym ciemnofioletowym kolorze przysłaniały długie rzęsy.

Nawet brwi miała takie same jak słynna hollywoodzka gwiazda - czarne i wygięte niczym skrzydła jaskółki. Zgrabny nos i karminowe usta dopełniały całości. Kleopatra, najpiękniejsza kobieta świata. Także figurę miała podobną. Dina była nieco niższa od Loli i nie tak szczupła jak siostra. Miała za to wydatne piersi i biodra, które wspaniale kontrastowały z wąską talią, co powodowało, że jej sylwetka przypominała kształtem klepsydrę. Przez chwilę César nie mógł oderwać od niej wzroku, co oczywiście nie uszło uwagi Nadii. Zaraz też pomyślał, że doskonale rozumie monsieur de Raboutina, który wziął sobie za żonę tę piękną ukraińską dziewczynę. Jednak już po kilku minutach rozmowy poczuł bijący od niej dziwny chłód, ale nie potrafił go bliżej zdefiniować. Uśmiechała się przecież raz po raz, prezentując nieskazitelnie równe i białe zęby.

- Świetnie, że przyjechałaś - powiedział. - Przy tobie Nadia odżyła. - Dina uśmiechnęła się nieznacznie i spojrzała na siostrę.

- *Ja wiżu, szto on tiebia lubit* - szepnęła do ucha Nadii i cmoknęła ją w policzek. Nadia zarumieniła się jak pensjonarka. - Więc jesteś policjantem? - zwróciła się do Césara. Uśmiech znów przykleił się do jej twarzy. - Ścigasz groźnych przestępców, tak? - Mówiła po francusku z lekkim wschodnim akcentem.

- Staram się, Dino - odpowiedział z uśmiechem. - Choć muszę przyznać ze smutkiem, że nie zawsze mi się to udaje. Czasami to oni depczą mi po piętach.

- *Da, da...* Zabawny jesteś.

- A ty, czym się zajmujesz? - zmienił szybko temat. Postanowił jak najmniej mówić o swojej pracy. - Podobno robisz jakieś interesy? Bizneswoman ze Wschodu, czy tak?

- Daj spokój. Nadieżda jak zwykle przesadziła. Ot, takie tam... drobne interesiki. - Pokazała znowu rząd białych zębów.

- A konkretnie w jakiej branży działasz? - dopytywał się bardziej z grzeczności.

- Trochę tu, trochę tam... Ostatnio ropa naftowa i gaz ziemny. Słowo klucz: koniunktura...

César omal się nie zakrztusił.

- Co ty powiesz? To takie... raczej męskie tematy.

- *Nu, da, da...* Ale jak to u nas mówią, gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. - Dina puściła do niego oko.

César odniósł naraz wrażenie, że rozmawia z silnym, budzącym respekt mężczyzną, a kobieta, która przed nim siedzi, jest tylko jego fizyczną powłoką.

Wzdrygnął się mimowolnie i od razu poczuł wielką chęć na papierosa.

- Przepraszę was na chwilę, moje panie. Wyjdę zapalić - powiedział, wstając. Przepchnął się między stolikami ustawionymi jeden przy drugim i wyszedł na dwór. Już po chwili pożalował, że nie zabrał ze sobą kurtki. Wprawdzie wypogodziło się nieco, jednak w dalszym ciągu było dość chłodno. Najwyżej dziesięć stopni. Drzwi skrzypnęły cicho i obok niego stanęła Dina. Wyciągnęła papierosa w jego stronę. César podał jej ogień.

- Nie wiedziałem, że palisz - usprawiedliwił się.

- Nic nie szkodzi. Skąd miałeś o tym wiedzieć? Chociaż... - spojrzała na niego wyzywająco - ...jesteś przecież policjantem. Wyszłam pogadać.

- Trochę tu zimno - odparł, przestępując z nogi na nogę.

- Może porozmawiamy w środku?

Zaczął ostentacyjnie rozcierać ręce, jakby od godziny stał na mrozie.

- Sądziłam, że jesteś bardziej rozgarnięty. - Dina uśmiechnęła się drwiąco. Lśniące białe zęby nie pasowały do kogoś, kto jest nałogowym palaczem. Zresztą po chwili skrzywiła się i upuściła papierosa na chodnik, przydeptując go czubkiem buta. - Chcę wiedzieć, jakie masz plany wobec mojej siostry - powiedziała otwarcie. - Wiesz, że ona cię kocha.

- Ja też ją kocham... - zaczął César, choć poczuł się niekomfortowo. - Myślę jednak, że to sprawa między Nadią i mną, więc nie powinnaś...

- Uważasz, że nie mam prawa się wtrącać? - Spojrzała na niego wyzywająco, marszcząc brwi, a jej fiołkowe oczy pociemniały.

- Nie to chciałem powiedzieć... - César zawahał się.

- Możesz mówić, co ci się podoba. Ja też. Chcę, żebyś znał moje zdanie. Dlatego że jestem starszą siostrą Nadii i poza mną ona nie ma nikogo, kto mógłby się za nią ująć. Rozumiesz?

César pomyślał o ich rzekomo nieżyjącym ojcu, ale nie chciał o tym teraz wspominać, żeby nie zaognić sytuacji. Skiniął więc tylko głową i pstryknął palcami. Niedopałek z żarzącym się koniuszkiem zatoczył łuk i upadł na ziemię.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał wprost.

- Kiedy się rozwiedziesz? - odpowiedziała bez owijania w bawełnę. - I czy w ogóle zamierzasz się rozwieść, żeby być z moją siostrą?

- Słuchaj, to nie jest takie proste... - zaczął niezręcznie César.

- Bla, bla, bla... Te gadki zostaw dla Nadii, mojej małej siostrzyczki. Naiwna dziewczuszka. Jej możesz mydlić oczy, nie mnie. Jasne?! - Zabrzmiało to niemal jak wojskowa komenda. César wyprostował się bezwiednie, jakby stawał na baczność. - Ja chcę znać prawdę. Tylko tyle.

- Moja żona jest w ciąży. Nie mogę jej teraz zostawić - usprawiedliwił się szybko.

- A jak już urodzi twojego dzidziusia, to będziesz mógł? Pomyśl... Wróci ze szpitala z twoim synkiem. Będzie go nosić na rękach, przewijając, karmić... Będzie wstawać do niego w środku nocy. A ty powiesz jej wtedy: Kochanie, muszę was zostawić, bo mam inną kobietę...? Uważasz, że wtedy będzie ci łatwiej to zrobić?

César zamarł. Ta cholerna, wścibska Dina miała rację. Nie zrobi tego. Ani teraz, ani potem. Postanowił przejść do ataku.

- Uważasz, że powinienem rzucić ją właśnie teraz?

- Nagle zainteresowało cię moje zdanie? Chcę wiedzieć, co planujesz. W końcu jesteś facetem, dla którego moja siostra straciła głowę.

- Hej, nie jest wam zimno?! - krzyknęła Nadia, wychylając się przez drzwi restauracji. Oczy jej się śmiały.

- Tak, kochanie. Właśnie mieliśmy wracać. - César pomachał do niej uszczęśliwiony, że wyratowała go z opresji. - Panie przodem, bardzo proszę. - Przytrzymał drzwi Dinie, która spojrzała na niego z taką nienawiścią, że aż ciarki mu przeszły po grzbiecie. Przystanęła na chwilę, żeby zwiększyć odstęp między sobą i siostrą, zachodząc równocześnie drogę idącemu za nią Césarowi. Bardzo sprytnie. Udając, że poprawia wielki czerwony szal z kaszmiru, wycodziła przez zęby:

- Pamiętaj! Jeśli skrzywdzisz moją siostrę, nie daruję ci tego. Będziesz gorzko żałować, że ją w ogóle poznałeś...

Ruszyła energicznie do stolika. César powlókł się za nią. Reszta popołudnia minęła wprawdzie w całkiem sympatycznej atmosferze, ale dla Césara nie miało to większego znaczenia. Był przybity, zgnębiony i żaden żart nie był w stanie zmienić jego kiepskiego nastroju. I nic dziwnego. W głębi duszy czuł, że Dina ma rację. Postępował, oględnie mówiąc, nie fair. I wobec swojej żony, i wobec kochanki.

Do głowy przyszedł mu jeszcze jeden pomysł. Ostatnia deska ratunku. Marek. Może jest właśnie w Paryżu i mógłby sprawdzić, co się dzieje z Zosią? Bez namysłu wybrał jego numer. O dziwo, zgłosił się już po pierwszym sygnale.

- Fajnie, że dzwonisz - ucieszył się.

- Słuchaj, czy przypadkiem nie jesteś w Paryżu? - zapytał z nadzieją, przyciskając mocniej ucho do słuchawki.

- Przedwczoraj wróciłem z Lizbony i jestem w Warszawie. Czy coś się stało? Cienko jakoś śpiewasz... - zażartował dawny szkolny kolega.

- Nie... mam nadzieję, że nie... - westchnął Kris, chociaż sam nie był tego pewien.

- Wal śmiało, stary. Może będę ci mógł jakoś pomóc - zaofiarował się natychmiast Marek.

Krisowi serce zabiło mocniej.

- Zosia nie odbiera moich telefonów. Nie odpowiada na mejle. Sam już nie wiem, co robić. Nie mam z nią żadnego kontaktu.

- Pokłóciliście się?

- Nie!

- No wiesz, to się zdarza...
- Gdy wyjeżdżałem, między nami wszystko było w porządku.
- Może kogoś poznała. - W głosie Marka usłyszał dziwną wesołość. - Teraz wstydzi się przyznać. - Krisa na moment zatkanęło. Dotychczas nie brał takiej ewentualności pod uwagę.
- Nawet jeśli... - wydukał - to przecież nie może ukrywać się wiecznie. Poza tym, ona jest zbyt odpowiedzialna, by tak postąpić.
- Nie znam jej aż tak dobrze jak ty. Ale wiem jedno: kobietom nie wolno ufać. - Marek się roześmiał.
- Ty i te twoje teorie... - Krystian był wyraźnie poirytowany. - Myślałem, że mi pomożesz, a nie dobijesz.
- Bardzo mi przykro. Wprawdzie szykuje mi się wyjazd do Francji, ale nie znam jeszcze konkretnej daty.
- W takim razie będę musiał jakoś sam sobie poradzić.
- Czekaaj, czekaaj... jeśli dobrze pamiętam, chciałeś się ze mną spotkać. Sprawa nadal aktualna?
- Jasne. Ale w tej sytuacji muszę najpierw załatwić wyjazd do Paryża. Mam nadzieję, że dostanę parę dni wolnego. Jak tylko coś ustalę, zadzwonię i się umówimy.

27.

Wreszcie przyszła odpowiedź z Interpolu. Marie przyniosła ją Césarowi z wypiekami na twarzy.

- Słuchaj i ciesz się, ponieważ szczęście się wreszcie do nas uśmiechnęło! - krzyknęła już od progu, zamykając za sobą drzwi. Usiadła na krześle, na wprost Césara. Przed sobą na

biurku położyła plik dokumentów. Wzięła głęboki oddech, jakby szykowała się do recytacji bardzo długiego wiersza. César patrzył na nią ze zdumieniem.

- Po pierwsze, dostaliśmy całe mnóstwo odpowiedzi. Musiałam je dokładnie sprawdzić, żeby porównać cechy wszystkich opisanych morderstw z tymi, które są dziełem naszego sprawcy... - spojrzała triumfalnie na Césara. - No i bingo!

- Spokojnie, bo mi jeszcze zemdlejesz z wrażenia. Chcesz powiedzieć, że znalazłaś wśród nich takie, które pasują do naszego dusiciela?

- Tak! - pisnęła Marie.

Zachowywała się jak dziecko. César nigdy wcześniej nie widział u niej takiego entuzjazmu. Bawiło go to i rozczulało zarazem.

- No to dawaj - powiedział z uśmiechem.

- Chodzi o cztery przypadki z Polski. Proszę, oto one. - Podała mu plik kartek. César uśmiechnął się szeroko i natychmiast zaczął je przeglądać. - Pierwszy zdarzył się w nocy z 19 na 20 czerwca 1998 roku.

- Dawno temu - mruknął odrobinę rozczarowany.

- Dziesięć lat.

- Czyżby nasz sprawca zaczął tak wcześnie? - César odłożył na chwilę papiery. Marie wzruszyła ramionami.

- Wysłuchasz mnie do końca czy od razu będziesz wydawał werdykt? - burknęła zirytowana.

César zobaczył na jej twarzy rozczarowanie i pomyślał, że lepiej było ugryźć się w język.

- Przepraszam. Mów dalej, mów, bo aż mnie skręca z ciekawości.

- Ofiarą była siedemnastoletnia Maryla Karska. Udu-
szoną dziewczynę wyrzucono z nocnego pociągu. Sprawcy nie
schwytano.

- Czy poza uduszeniem jest jeszcze coś, co łączyłoby tę
sprawę z naszą? Jakaś cecha wspólna?

- Była uczennicą szkoły baletowej w Warszawie.

- Okej. Całkiem niezły początek...

- Następne morderstwo popełniono w Warszawie na po-
czątku stycznia 2005 roku.

- Czyli po siedmiu latach przerwy - obliczył szybko.

- W wynajmowanym mieszkaniu została uduszona
dwudziestodwuletnia Ludmiła Likus. Pracowała jako stripti-
zerka w jednym z nocnych klubów. Teraz uważaj! Obok ofiary,
na podłodze i na ścianach, morderca powypisywał czerwonym
flamastrem literę L. I to nie jedną, ale całe mnóstwo. Litery
były różnej wielkości, napisane różnymi stylami.

- Fiu, fiu, to by mogło pasować do naszego sprawcy.
Choć równie dobrze LL to inicjały zamordowanej - powiedział
César. - Czy coś zginęło z jej mieszkania?

- Nie wiem.

- Szkoda. Mielibyśmy jeszcze jeden punkt zaczepienia -
zmartwił się.

- Ale jest coś innego, o czym powinieneś wiedzieć. Lud-
miła miała siostrę bliźniaczkę. Były do siebie podobne jak dwie
krople wody. O, tu masz zdjęcie obu dziewcząt, proszę. Nieste-
ty, niezbyt dobrej jakości.

- Siostra nadal żyje?

- Tak.

- Rozumiem, że sprawcy nie odnaleziono?

Marie pokręciła przecząco głową.

- 4 października tego samego roku została zabita dwudziestoczteroletnia Dagmara Rusino. Tancerka klubu go-go. Udużona w przejściu podziemnym Dworca Centralnego w Warszawie. Wokół zwłok ktoś rozlał czerwoną farbę.

- Litera?

- Niewykluczone. Czwarty przypadek to morderstwo na dworcu w Aninie, willowej dzielnicy Warszawy. W listopadzie 2006 roku. Zwłok nie udało się niestety zidentyfikować. Interesujące, że ofiara miała na sobie tylko jedną pończochę - powiedziała dobitnie Marie. - Na ścianie peronu była namalowana litera T. W tym wypadku sprawca użył czerwonego sprayu.

- *Wow!* - wykrzyknął César, co miało wyrażać pełne uznanie dla śledztwa przeprowadzonego przez Marie. - No, coś się zaczyna krystalizować. A już myślałem, że znowu będzie kicha... - Odetchnął z ulgą.

- Doszło nam kilka nowych puzzli do tej układanki. Może wreszcie uda się ją rozwiązać.

- Zastanawiam się, czy wszystkie te cztery przypadki powinniśmy przypisywać naszemu sprawcy. - César potarł w zamyśleniu czoło.

- Dlaczego? - zdziwiła się Marie.

- Pierwsze morderstwo popełniono w 1998 roku. Odstęp między tą a drugą zbrodnią jest bardzo długi w porównaniu z kolejnymi.

- Weź pod uwagę, że mogła to być pierwsza zbrodnia naszego sprawcy. Przygrywka, że się tak wyrażę. Spowodowana jakimś silnym przeżyciem... Być może zabił pod wpływem impulsu. Ofiara była bardzo młoda. Miała siedemnaście lat. Może to jego pierwsza niespełniona miłość.

- Czy ja wiem? - César nie był do końca przekonany.
- Jeżeli wtedy morderca miał... powiedzmy, dwadzieścia kilka lat, to teraz byłby po trzydziestce.
- Czy wiesz coś jeszcze na temat tych zbrodni? - César spojrzał pytająco na panią detektyw. - Masz kontakt z kimś, kto prowadził w tych sprawach dochodzenie?

- Jestem w kontakcie z osobą mówiącą dobrze, a nawet bardzo dobrze po angielsku, która przesłała mi dane. Nazywa się Stanisław... Kzysss... Kryszzz... Cholera, nie jestem w stanie tego wymówić - zirytowała się Marie. - Zresztą sam zobacz.

Podsunęła mu kartkę pod sam nos.

- O cholera! Faktycznie, nie da się tego wypowiedzieć. - Na kartce widniało nazwisko Krzysztoforski. - Czy on, ten Stanisław, prowadził wszystkie sprawy?

- Tylko dwie, które zdarzyły się w 2005 roku. Zostały umorzone po dwóch latach.

- Warto byłoby się z nim spotkać, nie sądzisz?

- Koniecznie!

César z miejsca zapalił się do tego pomysłu.

- Myślisz, że Stary się zgodzi, żebyśmy polecili do Polski? Byłoby super... - rozentuzjasmował się, ale już po chwili ogarnęły go wątpliwości.

- Mogłoby nam to bardzo pomóc w śledztwie. Widziałas, co wypisują o nas gazety? Że policja znowu sobie nie radzi, że siedzą w niej sami nieudacznicy, a seryjny morderca jest wciąż na wolności. A wracając do tematu... - César spojrzał uważnie na Marie, ponieważ w tej samej chwili zaświtała mu pewna myśl - przyszło mi do głowy, że jeśli te cztery wybrane przez ciebie ofiary rzeczywiście uśmiercił nasz paryski dusiciel, to

moglibyśmy wstępnie założyć, że facet jest Polakiem.

- Też o tym pomyślałam. Zaczął mordować na rodzimym gruncie, a później prawdopodobnie przeniósł się do nas...

- Chyba że nadal mieszka w Polsce, a do Paryża przyjeżdża tylko na, nazwijmy to, gościnne występy.

Kochanie, masz już dla mnie wyniki analiz? - powiedział do słuchawki słodkim jak miód głosem.

- Cholera, César! Wpakowałeś mnie w niezłą kabałę - syknęła Constance po drugiej stronie. - Od dwóch dni przeprowadzają u nas kontrolę. Trzymam rękę na pulsie. Całe szczęście, że twój nóż leży sobie grzecznie w szufladzie mojego biurka... Gdyby, nie daj Bóg, ktoś tam przypadkiem zajrzał, byłby niezły pasztet.

- Ależ najdroższa, wyluzuj. Przecież jeszcze nic się nie stało. W najgorszym przypadku powiesz, że tym nożem kroiłś mięso, którym zatrul się twój małżonek. - Zaśmiał się do telefonu.

- Baran - szepnęła Constance, ale jej głos nie był już tak groźny jak na początku.

Zaczyna mięknąć, ucieszył się w duchu César.

- To jak będzie? Mogę liczyć, że się tym zajmiesz, jak tylko skończą się naloty na twoje laboratorium?

- Nie dajesz za wygraną, co? - przekomarzała się Constance. - Zawsze byłeś uparty jak osioł.

- Skarbie, dobrze wiesz, że bez twojej pomocy nie dałbym sobie rady.

- Jasne, jasne...

- Zrobisz to dla mnie? - nalegał. - Czy mam paść przed tobą na kolana i błagać cię o zmiłowanie? Zrobię to, przysięgam.

- Zajrzyj do laboratorium za kilka dni.

- Jesteś cudowna. Masz u mnie pięć najbardziej czarnych komedii w historii kinematografii - wyszeptał do słuchawki. Mimo że Constance już się rozłączyła, dałby głowę, że usłyszał jej perlisty śmiech.

Schował komórkę do kieszeni i spojrzął na monitor komputera, na którym wyświetlona była mapa. Przez chwilę przyglądał się z uwagą maleńkiej miejscowości Le Tap-Cul. Położona mniej więcej w połowie drogi między Dunkierką a Calais, niedaleko morza. Można do niej dojechać drogą krajową D940, kierując się do Oye-Plage. Na północ od centrum znajdowało się jezioro Ardres. César domyślił się, że miejscowość podlega prefekturze Pas-de-Calais. Postanowił natychmiast tam zadzwonić, żeby zasięgnąć informacji na temat domu opieki, w którym miał przebywać ojciec Nadii. W wewnętrznym spisie telefonów znalazł numer i już po kilku sygnałach usłyszał młody sympatyczny głos. Bez wątpienia kobiecy...

- Prefektura Pas-de-Calais, słucham.

- Dzień dobry pani, kłania się inspektor César Bresson, Wydział Kryminalny, Paryż. Chciałbym rozmawiać z kimś, komu podlega obszar na wschód od Calais. Chodzi o miejscowość Le Tap-Cul.

- Proszę zaczekać. - Przez krótką chwilę w słuchawce panowała cisza. - Łączę.

- Leduc, słucham - odezwał się niski męski głos.
- Bresson, Wydział Kryminalny Paryż - przedstawił się ponownie César.
- W czym mogę pomóc? - Z drugiej strony wyczuł lekkie zaniepokojenie.
- Potrzebuję informacji na temat domu opieki w Le Tap-Cul.
- W Le Tap-Cul? Chwileczkę. - W słuchawce słychać było szelest papierów i klikanie komputerowej klawiatury. César westchnął. Ile to jeszcze będzie trwało? Mijały minuty.
- Wreszcie z oddali dobiegł ten sam niski głos.
- Tak, mam adres tego szpitala. Podać go panu?
- Powiedział pan szpital? Myślałem raczej o domu spokojnej starości... czy czymś w tym rodzaju - powiedział zawieszony César.
- O ile mi wiadomo, w Le Tap-Cul nie ma żadnego domu opieki. Znajduje się tam jedynie oddział szpitala psychiatrycznego - odpowiedział szorstko Leduc.
- Zapadła chwilowa cisza. César poczuł się skonsternowany.
- Halo, jest pan tam jeszcze?
- Tak, przepraszam. Czy ma pan dostęp do listy pacjentów, którzy tam teraz przebywają? - zapytał z nadzieją César.
- Nie.
- Cholera - zaklął César pod nosem i zaraz dodał głośno: - Muszę ustalić, czy przebywa tam pewien mężczyzna. Strasznie mi się spieszy. Mam go przesłuchać, a nie chcę jechać na próżno. Z Paryża to jednak kawał drogi.
- Rozumiem. - Leduc zastanowił się przez moment. - Spróbuję panu jakoś pomóc. Jak się nazywa ten mężczyzna?

- Terniev. Igor Terniev.
- Proszę zostawić mi swój numer telefonu. Odezwę się do pana.

Po półgodzinie César otrzymał informację zwrotną. Od ośmiu miesięcy na zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego w Le Tap-Cul przebywał sześćdziesięcioletni pacjent o nazwisku Igor Wasyliwicz Terniev. Jeśli nic się nie zmieni, miał doczekać tam końca swoich dni. César zdążył już wpisać jego dane do systemu. Pod koniec lutego bieżącego roku Terniev został oskarżony o zamordowanie swojej żony Elizawiety Pawłownej. Zespół biegłych uznał go jednomyślnie za niepoczytalnego, co spowodowało, że karę odbywa w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

César spojrział na zdjęcie starszego mężczyzny o łagodnym spojrzeniu, bujnych siwych włosach i pucołowatej twarzy, tak niepodobnego do Nadii. Do Diny też nie. Dziwne. Jak to możliwe, że ten dobroduszny staruszek z zimną krwią zabił swoją żonę?, pomyślał ze zdziwieniem César. Po czterdziestu wspólnie przeżytych latach... Muszę koniecznie porozmawiać o tym z Nadią.

Kiedy wieczorem znalazł się wreszcie w mieszkaniu Loli, było już dobrze po dziesiątej. Po drodze kupił kilka produktów, przeczuwając, że lodówka znów będzie pusta. I była... prawie. Nie licząc słoika musztardy i jednego zeschniętego plasterka szynki. Czym ta dziewczyna żyje? Chyba powietrzem. I miłością, rzecz jasna, pomyślał z uśmiechem César i nalał sobie kieliszek czerwonego cotes du rhône, po czym zabrał się do przyrządzania sałatki. Zajęło mu to niecałe dwadzieścia minut.

W tym czasie zdążył wypić drugi kieliszek wina i nalać sobie trzeci. Kiedy skończył zmywać naczynia, był już na lekkim rauszu. Poczuł ssanie w żołądku i spojrzał na zegarek. O tej porze Lola była jeszcze w teatrze. Potem przeniósł wzrok na miskę z sałatą. Czekać czy nie? Ciche burczenie w brzuchu przyspieszyło podjęcie decyzji. Siadać do stołu i wcinać! Jego bogini nie wróci wcześniej niż o drugiej. Nałożył sobie wielką porcję sałaty. Kiedy się już najadł, zostawiając - ma się rozumieć - stosowną porcyjkę dla Loli, przypomniał sobie, że w lodówce schował dwa gatunki swoich ulubionych serów. Wyjął bleu d'auvergne i coulommiers. Oba pleśniowe, z tym że pierwszy miał w środku niebieskozielone żyłki, a drugi był miękki, kremowy, z pleśniową skórką. Wsmarowywał je w bagietkę i kęs za kęsem wkładał do ust. Przymknął powieki, delektując się bajecznym smakiem. Dopił przy tym kolejny kieliszek wina. Przez jakiś czas oglądał telewizję. Film jednak szybko go znużył. Jeszcze jedna łzawa szmira zza oceanu. Postanowił się zdrzemnąć. Chociaż minutkę...

Z błogiej drzemki wyrwał go zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, gdzie jest. Usiadł na łóżku i przetarł piekące powieki. W półmroku przedpokoju zobaczył smukłą sylwetkę Loli. Zsunęła pantofle, a torebkę i płaszcz rzuciła na podłogę, po czym wbiegła do sypialni.

Kochali się jak za dawnych dobrych czasów. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy wszedł do jej małego mieszkanka. Mój Boże. Kiedy to było? Miał wrażenie, że od tego czasu upłynęły całe lata świetlne...

- Poczęstujesz mnie papierosem? - spytała Nadia, kiedy nadzy i spoceni leżeli na łóżku.

César chyba jeszcze niezupełnie wrócił na ziemię. Wciąż był w rajcu, do którego zabrała go ze sobą Nadia. Sięgnął do kieszeni spodni leżących na podłodze przy łóżku i wyjął paczkę marlboro. Zapalił jednego, a potem wetknął go Nadii do ust. Zaciągnęła się dwa razy i oddała mu papierosa. Zawsze tak robiła. César przekręcił się na brzuch. Palił w milczeniu, przyglądając się twarzy kochanki. Przed wyjściem z kabaretu nie zmyła scenicznego makijażu. Jej błękitne oczy były okolone grubymi czarnymi obwódkami, a brwi przyciemnione. Na ustach pozostała resztką krwistoczerwonej szminki. Piersi, choć niewielkie, były jędrne, a sutki sterczące. Brzuch płaski, bez najmniejszej fałdki.

- Jesteś idealna - westchnął César. - Czy to możliwe, że śpiam z boginią?

Nadia zachichotała.

- Zgadłeś. I mam nad tobą pełną władzę, biedny śmiertelniku...

César znów poczuł wzbierającą ochotę na pieszczoty. Zgasił szybko papierosa i pochylił się nad Lolą, żeby ją pocałować. Przyciągnęła go do siebie z prowokującym uśmiechem.

Gdy wzięli prysznic i położyli się spać, César coś sobie przypomniał. Właściwie przez cały czas siedziało mu to w głowie, ale nie było jakoś okazji...

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że twój ojciec żyje?

W ciemności dostrzegł, że Nadia otworzyła oczy i patrzy na niego z przerażeniem.

- Skąd wiesz? - Jej głos był inny niż zwykle. Drżący i zaniepokojony.
 - Jestem policjantem - odparł sucho. - Kochanie, dlaczego to przede mną ukrywałaś? Nie ufasz mi?
 - Nie, nie o to chodzi. - César zobaczył, że jej twarz dziwnie posmutniała.
 - A o co? Możesz mi powiedzieć? Tylko szczerze.
 - To takie... strasznie skomplikowane. Trudno mi o tym mówić.
 - Ale opowiesz mi, prawda?
 - Czy naprawdę musimy teraz o tym rozmawiać? - zapytała z goryczą.
 - Jeśli nie teraz, to kiedy? Kiedy według ciebie będzie odpowiedni moment? - Wpatrywał się w nią z napięciem. Leżała nieruchomo. Westchnęła ciężko.
 - Nie chcę teraz o tym mówić, i już! - W jej głosie brzmiała stanowczość przemieszana z irytacją. I chyba z żalem.
 - W takim razie odłożmy tę rozmowę na później - odparł zrezygnowany. Wiedział, że nic więcej dziś nie zwojuje, a nie chciał się z nią kłócić. - Dobranoc, kochanie.
 - Dobranoc. - Odwróciwszy się do niego plecami, Lola zwinęła się w kłębek.
- Oboje długo nie mogli zasnąć.

Jego kolejna prośba o urlop wywołała ironiczne uwagi na temat niskiego poczucia odpowiedzialności za sprawy służbowe - szalenie ważne, ma się rozumieć! - a w dalszej kolejności ostentacyjny chłód. Mętne tłumaczenia, że „sytuacja jest naprawdę wyjątkowa, by nie rzec, dramatyczna...” spotkały się z sarkazmem i ogólnym brakiem zrozumienia. Koniec końców

udało mu się uzyskać pozwolenie na kilka wolnych dni, ale dopiero od pojutrze, ponieważ jego nieobecność na jutrzejszej naradzie byłaby równoznaczna ze śmiercią lub złożeniem wypowiedzenia. Chwilowo żadnej z tych alternatyw nie brał pod uwagę. Dlatego postanowił stawić się w wielkiej sali konferencyjnej.

Zaraz potem wykupił w internecie elektroniczny bilet lotniczy. Potem zadzwonił do Marka. Ponieważ nikt nie odbierał, zostawił tylko wiadomość.

28.

Zanim zdążył dojechać do biura, zadzwoniła Dina. Bez grzecznościowego „dzień dobry” bez żadnych wstępów, od razu przeszła do rzeczy.

- No, mój drogi, nie tak się umawialiśmy - usłyszał w słuchawce jej niski aksamitny głos, który teraz drżał ze zdenerwowania.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odparł nonszalancko César, czując, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Wyszedł właśnie ze stacji metra i kierował się w stronę La Cité.

- Nie strugaj wariata. Dobrze wiesz, o co mi chodzi - zasyczała Dina. - Po co się wtrącasz w nie swoje sprawy? Pilnuj lepiej swojego nosa i zajmij się wreszcie rozwodem. Chyba nie chcesz, żeby ktoś inny cię w tym wyręczył?

- Grozisz mi? - César nie posiadał się ze zdumienia. Zaraz potem poczuł, że ma spocone dłonie. Nie do wiary! Czyżby tchórz go obleciał? Nie mógł pojąć, dlaczego boi się Diny, ale

miał przecucie, że ta wojownicza Ukrainka nie rzuca słów na wiatr.

- Mój drogi, jeżeli nie potrafisz sam załatwić najprostszycich spraw, ktoś będzie musiał ci w tym pomóc. - Nieprzyjemnie się roześmiała.

Césarowi bynajmniej nie było do śmiechu. Zebrał się w sobie po chwilowym szoku i postanowił przejść do ataku. No, to teraz się zdziwi...

- Dlaczego ukrywacie, że wasz ojciec żyje? - wypalił z grubej rury.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Nie twój interes! - warknęła w końcu Dina.

- Skarbie, po co te tajemnice? Prędyzej czy później i tak bym się dowiedział. W końcu jestem policjantem - powiedział dobitnie. - Nie lepiej było mi o wszystkim powiedzieć? - W słuchawce padło chyba jakieś ukraińskie przekleństwo. César nie zrozumiał wprawdzie słów, ale domyślił się, że nie były one cenzuralne. Po chwili Dina odezwała się po francusku:

- Zabraniam ci, słyszysz, zabraniam ci rozmawiać o tym z Nadią! Jeśli chcesz się z nią nadal spotykać, przestań się tym zajmować. Zrozumiano?!

- Kochanie, nie jesteśmy w wojsku. Więc nie wydawaj mi rozkazów. Zrozumiano? - Tym razem to on się roześmiał.

- Niech cię szlag! - krzyknęła Dina i natychmiast się rozłączyła.

César wpatrywał się przez chwilę w wyświetlacz. A ja ci życzę dla odmiany jak najlepiej. Tylko trzymaj się ode mnie z daleka i wszystko będzie okej. Uśmiechnął się pod nosem. Właśnie się zbliżał do budynku prefektury, więc przed wejściem

postanowił zapalić jeszcze papierosa. Na poprawę nastroju...

Mamy zgodę na wyjazd do Polski! - krzyknęła Marie, wbiegając za Césarem do jego gabinetu. Dyszała jak po biegu maratońskim, ale jej twarz promieniała.

- Uff, ale się zasapałam. Sprawdziłam połączenia do Warszawy. Moglibyśmy polecieć jutro o dziewiątej trzydzieści pięć. W Warszawie będziemy około dwunastej. A o dziewiętnastej mielibyśmy powrót.

- Strasznie mało czasu, nie uważasz? Dopiero około pierwszej będziemy mogli się spotkać z tym, jak mu tam...

- Stanisławem.

- Właśnie. Na lotnisku trzeba być minimum godzinę przed odlotem. Plus dojazd. Byłaś już kiedyś w Warszawie?

- Nie.

- Ja też nie. Nie wiadomo, czy lotnisko jest bardzo daleko od centrum, mogą być korki... Krótko mówiąc, mielibyśmy w sumie jakieś niecałe pięć godzin. Myślisz, że to wystarczy?

- Jak na pierwszy raz...

- Obawiam się, że drugiego nie będzie... - powiedział w zamyśleniu César, a widząc na sobie zdziwione spojrzenie Marie, wyjaśnił: - No, co się tak patrzysz? Po prostu nie sądzę, żeby Stary zgodził się na więcej takich kosztownych podróży.

- Wszystko zależy od wyniku tego spotkania. Jeśli będą efekty, to kto wie...

- No dobrze, bukuj te bilety.

W Warszawie przywitał ich śnieg. Stanisław Krzysztoforski okazał się wysokim, przystojnym brunetem około czterdziestki. Ubrany w wełniany płaszcz i elegancki garnitur zrobił zaskakująco dobre wrażenie na Marie, która patrzyła na niego jak urzeczona. Tym bardziej że mówił biegle po angielsku i zachowywał się wobec niej szarmancko. Prawdziwy dżentelmen, bez dwóch zdań.

César czuł się trochę nieswojo, widząc, jak Marie i Stanisław szczebioczą przez całą drogę, nie zwracając na niego uwagi. Szedł kilka kroków za nimi, a kiedy wsiadali do samochodu, Marie została zaproszona na miejsce obok kierowcy. Stanisław raz po raz zerkał kontrolnie we wsteczne lustro, żeby zobaczyć, jak się miewa jego drugi gość, ten jednak w dalszym ciągu milczał uparcie, pochłonięty własnymi myślami o Nadii, Dinie i ich ojcu.

Budynek policji, w którym pracował Krzysztoforski, nie był tak okazały jak ten w Paryżu, gdzie urzędował César. Sala konferencyjna, do której ich wprowadzono, była niewielka i skromnie urządzona. Kawa, którą ich poczęstowano, okazała się ohydną lurą, ale przez grzeczność wypili kilka łyków.

- Tutaj mam wszystkie materiały dotyczące interesujących was morderstw, które udało mi się zebrać - powiedział Stanisław, wskazując kilka pękatek teczek. Spojrzał na Marie, potem na Césara, i spytał rzeczowym tonem: - Od czego zaczynamy?

- Najpierw omówimy wszystkie przypadki w kolejności chronologicznej, a potem może pokazałbyś nam miejsca zbrodni? Jeśli to możliwe, oczywiście - odparła Marie, z miejsca przejmując inicjatywę.

- To nie takie proste. - Krzysztoforski się uśmiechnął. - Maryla Karska została wyrzucona z pociągu jakieś dwieście kilometrów od Warszawy. Ludmiłę Likus znaleziono w mieszkaniu, które wynajmowała. Nie wiem, czy obecny lokator będzie akurat w domu i zechce nam je pokazać. Ale możemy pojechać na Dworzec Centralny i do Anina.

- Okej. Wobec tego zobaczmy to, co się da - zgodziła się Marie. - A teraz do rzeczy. Omówmy pierwsze morderstwo. - Spojrzała na obu panów. César skinął głową potakująco.

Stanisław otworzył jedną z teczek. Przez chwilę przeglądał dokumenty.

- Zanim zaczniemy... - popatrzył na nich Stanisław - ...mam dla was pytanie za sto punktów. Czy mogę liczyć, że nasza współpraca będzie obustronna?

- To znaczy? - zapytała Marie, zerkając na Césara.

- Chodzi mi o to... - zastanowił się - czy kiedy już wam przedstawię wszystkie szczegóły tych morderstw, które miały miejsce w Polsce, czy zapoznacie mnie z waszą sprawą? Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o zbrodniach dokonanych w Paryżu. Taka wewnętrzzbranżowa wymiana informacji. - Nieznacznie się uśmiechnął. - Po pierwsze dlatego, że być może mógłbym wam w czymś pomóc, po drugie, jeśli się okaże, że morderca jest obywatelem Polski, to zapewne wystąpimy o ekstradycję.

Marie spojrzała wymownie na Césara, który po raz pierwszy zabrał głos.

- Dla dobra śledztwa cenny jest każdy nowy punkt widzenia. Jeżeli będziesz mógł wnieść coś ciekawego, co przyspieszy namierzenie, a w konsekwencji ujęcie sprawcy, to czemu

nie. Ale ja też mam pytanie: dlaczego z góry zakładasz, że zabójca jest Polakiem?

- Sądząc z waszego zainteresowania, morderca dokonał więcej niż jednej zbrodni we Francji. Stąd zapytanie przez Interpol. Połączenie tego z morderstwami sprzed lat w Polsce nasuwa jeden wniosek: zabójca jest Polakiem. Według mnie jest to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie - wyjaśnił Stanisław.

- My też tak uważamy - wpadła mu w słowo Marie.

- Przejdźmy do konkretów - zarządził César.

- W nocy z 19 na 20 czerwca 1998 roku ginie Maryla Karska, siedemnastoletnia uczennica Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Warszawie. Dziewczyna jechała nocnym pociągiem relacji Warszawa-Świnoujście. Jej stacją docelową był Szczecin Główny. Tam mieszkała jej rodzina, którą Maryla zamierzała odwiedzić. Pociąg odjechał z Warszawy Centralnej o dwudziestej pierwszej trzydziści, w Szczecinie był o szóstej trzydziści rano. Maryla wykupiła bilet w wagonie z kuzetkami. Nic dziwnego. Miała przed sobą długą podróż. Z akt wynika, że w przedziale jechało z nią jeszcze troje pasażerów. Dwie kobiety i mężczyzna. Dwoje z nich odnaleziono i rzecz jasna przesłuchano. Starsze małżeństwo wracało do Świnoujścia z kilkudniowego pobytu w Warszawie. Kobieta chorowała na raka. Mąż przywiózł ją na wizytę u znanego profesora do centrum onkologii. Drugiej kobiety, która jechała w tym samym przedziale, nie udało się niestety odnaleźć... - Marie i César spojrzeli na siebie równocześnie. Stanisław nie zwrócił na to uwagi. - Małżeństwo zeznało, że owa trzecia pasażerka nie była zbyt rozmowna. Często wychodziła z przedziału, najprawdopodobniej,

żeby zapalić, bo kiedy wracała, czuć było od niej papierosami.

- Mówili coś na temat Maryli? W jakich okolicznościach zginęła?

- Tego dokładnie nie wiedzieli. Ale zapamiętali, że na stację ktoś ją odprowadzał. Jakiś mężczyzna. Nie potrafili jednak opisać dokładnie jego wyglądu ani też określić wieku. Wiedzieli tylko, że dźwigał jej torbę. Położyli się spać około dwudziestej drugiej trzydzięści. Wszyscy pasażerowie byli w przedziale. Starszy pan, który jak sam powiedział, bardzo nie lubi podróży pociągiem, nie mógł zasnąć i przez jakieś pół godziny rozwiązywał krzyżówkę. Potem przysnął. W nocy niczego nie słyszeli. Tak w każdym razie zeznali. Maryla musiała po cichu wyjść z przedziału. Obudziła ich trzecia pasażerka, która wysiadła w Stargardzie Szczecińskim o piątej pięćdziesiąt dwie. Kiedy już wyszła, spostrzegli, że Maryli nie ma w przedziale, ale są za to jej rzeczy. Zgłosili to konduktorowi. O morderstwie dowiedzieli się z gazet.

- Jak to się stało, że nie odnaleziono trzeciej pasażerki? - zapytał César, patrząc spod oka na Stanisława.

- No, cóż... Na nasz apel w mediach zgłosiło się tylko małżeństwo, o którym wam przed chwilą opowiadałem. Nikt więcej. Być może kobieta, która była wtedy z nimi w przedziale, wyjechała z kraju, a może po prostu nie skojarzyła, że jest świadkiem w sprawie. Chociaż... - Stanisław urwał na chwilę - istnieje jeszcze inna hipoteza, według której była zamieszana w tę zbrodnię. Moim zdaniem, dość ryzykowna...

- Gdzie znaleziono zwłoki?

- Przy torach kolejowych, mniej więcej w połowie drogi między dwiema małymi miejscowościami: Trzcianką i Siedliskiem Czarnkowskim.

Słyszac te tak swojsko brzmiące dla Polaków nazwy, Marie i César uśmiechnęli się. I chyba pomyśleli to samo: za nic w świecie tego nie wymówię!

Krzysztoforski kontynuował:

- Karska została wyrzucona z pociągu między stacjami Piła Główna, skąd pociąg odjeżdżał o drugiej pięćdziesiąt sześć, a Krzyż, gdzie planowo powinien zatrzymać się o trzeciej pięćdziesiąt dwie.

- Jak to: planowo? - zdziwiła się Marie.

- Cóż, w końcu to żaden sekret, że w Polsce nie można raczej regulować zegarka według rozkładu jazdy. - Stanisław się uśmiechnął. - Nasze pociągi mają to do siebie, że niestety zwykle się spóźniają. Stwierdzono, że zmarła około trzeciej trzydzieści nad ranem.

- Coś jeszcze istotnego w tej sprawie?

- Niestety nie. Przesłuchani zostali zarówno nauczyciele ze szkoły, jak i uczniowie, a także rodzina oraz sąsiedzi. Teoretycznie więc wszyscy. Nikt niczego nie podejrzewał, nikt niczego dziwnego nie widział. Wszyscy byli wstrząśnięci i uważali, że Maryla padła ofiarą jakiegoś psychopaty.

- A co z tym mężczyzną, który ją odprowadzał? Czy udało się go odnaleźć?

- I tu zaczyna się tajemnica. Jedna z koleżanek Maryli stwierdziła, że Karska miała jakiegoś cichego wielbiciela. Zapytana, co przez to rozumie, wyjaśniła, że kilka tygodni wcześniej dziewczyna zwierzyła się jej, że poznała kogoś, kto platonicznie się w niej kocha. Podobno ów tajemniczy Romeo przychodził

na przedstawienia, w których czasami występowała, przysyłał jej kwiaty, pisał liściki. Jednak żadna z koleżanek nigdy go nie widziała, więc podejrzewały, że ten wielbiciel był tylko wytworem fantazji Maryli.

- To ciekawe - szepnęła Marie, która przez cały czas robiła notatki.

- Jeśli chodzi o drugie morderstwo, to akurat tutaj mam nieco więcej informacji. - Stanisław usiadł wygodniej na krześle. - Jest to jedna z dwóch spraw, które sam prowadziłem. W nocy, z 6 na 7 stycznia 2005 roku została zabita Ludmiła Likus, dwudziestodwuletnia tancerka klubu nocnego Sofia, gdzie wykonywała striptiz. Pochodziła ze wsi Leginy w województwie warmińsko-mazurskim. Do Warszawy przyjechała półtora roku wcześniej. Miała pracować jako kelnerka, ale została striptizerką. Cóż, w życiu różnie bywa... Tak czy inaczej, Ludmiła wynajęła niewielkie mieszkanie w centrum stolicy, gdzie została zamordowana.

- Byłeś na miejscu zbrodni? - Marie podniosła głowę znad notesu.

- Tak. I muszę wam powiedzieć, że chociaż wiele już widziałem w mojej policyjnej karierze, był to wstrząsający widok. Dziewczyna leżała skulona na łóżku. Wyglądała tak, jakby spała. Żadnych śladów pobicia, żadnej krwi. Twarz zasłonięta długimi jasnymi włosami. O proszę, tutaj są zdjęcia. Dopiero później, kiedy przyjechał lekarz sądowy, zobaczyliśmy tę fioletową pręgę na szyi.

- Czy została zgwałcona?

- Nie. Prawdopodobnie spała albo zasypiała, kiedy zarzucił jej pętlę na szyję. *À propos*, czy udało się wam ustalić narzędzie zbrodni?

Marie pokręciła przecząco głową.

- Nasz specjalista twierdzi, że mógł to być rodzaj sznurka zrobionego z jakiegoś miękkiego włókna. Możliwe również, że morderca użył mocno skręconej pończochy.

- Też o tym myśleliśmy.

- Czy drzwi nosiły ślady włamania?

- Nie. Żadnych śladów tego rodzaju.

- W takim razie ofiara musiała znać mordercę, skoro wpuściła go do środka.

- Jest jeszcze inna ewentualność. Możliwe, że wszedł przez okno w kuchni. Było uchylone, gdy przyszliśmy. Sam to sprawdziłem. - Stanisław znów spojrzał na Marie. - Ktoś wysportowany mógł się tam dostać z klatki schodowej, idąc po wystającym gzymsie na zewnątrz budynku aż do kuchennego okna. I wrócić tą samą drogą.

- Chyba że miał swoje klucze - wtrąciła szybko Marie.

- Jak wyglądało mieszkanie? - zapytał César.

- W pierwszej chwili wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przedpokój, kuchnia i łazienka wyglądały tak, jakby nic się nie stało. Ale ściany, sufit i podłoga pokoju były gęsto pokryte różnej wielkości literą L. Spójrzcie na to zdjęcie. O, proszę. - Podsunął im jedną z fotografii. - Zabójca zastosował wiele różnych stylów, o tutaj na przykład są takie fantazyjne zawijasy, a tam zupełnie proste drukowane litery. Najwyraźniej mu się nie spieszyło...

- Czego użył do ich napisania?

- Czerwonego flamastra. Niestety, musiał go zabrać ze sobą. Przeszukaliśmy potem zsyp i wszystkie śmietniki w okolicznych budynkach, ale niczego takiego nie znaleźliśmy.

- Co się udało ustalić na podstawie zeznań świadków?
- Niewiele. W rodzinie nikt nie wiedział, czym naprawdę zajmuje się Ludmiła. Mówiła, że pracuje jako kelnerka. Wysyłała regularnie pieniądze. To im wystarczało. W klubie nie miała przyjaciółek. Jedna z tancerek zeznała, że kręcił się koło niej jakiś facet. Podobno przychodził czasami na jej występ, ale siadał daleko, więc nie była w stanie rozpoznać jego twarzy.
- A ty, Stan, co o tym sądzisz? - zapytała Marie, spoglądając z uwagą na polskiego kolegę.
- W trakcie śledztwa przyjąłem założenie, że facet zobaczył ją w klubie, potem przychodził kilka razy na jej występy. Śledził ją. Być może starał się ją poznać. Mogli się nawet zaprzyjaźnić. Frapuje mnie tylko jedna kwestia: dziewczyna nie została zgwałcona, nie było śladów po stosunku, a znaleźliśmy ją w seksownej nocnej koszulce. Co to za facet? Jak to możliwe, że nawet jej nie dotknął? Tego rodzaju zbrodnie mają zazwyczaj podłoże seksualne. I wiecie, co mi przyszło do głowy? Że to mogła być kobieta. - Marie i César znów popatrzyli na siebie z minami konspiratorów. - Uważacie, że się mylę?
- Nie. My też rozpatrujemy taką możliwość - odparła Marie.
- Czy z mieszkania ofiary coś zginęło? - zapytał César.
- Trudno powiedzieć. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że nie. Rzeczy były na swoich miejscach. Szafki pozamykane, wewnątrz wszystko równo poukładane. Rodzina nie była w stanie stwierdzić, czy coś zginęło, ponieważ przez cały ten czas, gdy mieszkała w Warszawie, odwiedzili denatkę tylko raz. Jedyna rzecz, która zwróciła moją uwagę, to przewrócona ramka ze zdjęciem i pękniętą szybką. Tylko to...

- Co było na tej fotografii? - Marie nie odrywała wzroku od Stanisława.

- Zdjęcie było przedarte na pół. W ramce została ta część, na której jest siostra Ludmiły. Poprosiłem rodzinę o dodatkową odbitkę. Wysłałem wam to zdjęcie mejlem. Są na nim obie bliźniaczki.

- Opowiedz nam teraz o kolejnym morderstwie - poprosił César, spoglądając na zegarek.

- Pewnie jesteście głodni? - Krzysztoforski klasnął w dłonie. - Że też o tym nie pomyślałem. Bardzo przepraszam. Czy zamówić jakieś kanapki? - zaproponował.

- A może zjemy coś razem na mieście, w drodze na oględziny miejsc zbrodni? - zapytała nieśmiało Marie. Po parszywej kawie, którą im zaserwowano, miała niebezpieczne obawy, że z kanapkami może być podobnie.

- Świetny pomysł - odparł Stanisław, otwierając kolejną teczkę. - Na szczęście niewiele nam już zostało. 4 października 2005 roku w przejściu podziemnym Dworca Centralnego została uduszona Dagmara Rusino, dwudziestoczteroletnia tancerka klubu go-go. Kobieta udała się na dworzec, żeby odebrać swoją znajomą, która miała tego wieczoru przyjechać z Białorusi. Sądzimy, że obie panie zamierzały razem pracować. Urodziwe dziewczęta zza naszej wschodniej granicy są bardzo chętnie zatrudniane w takich przybytkach. Jednak Dagmara nie dotarła na peron. Narzędzia zbrodni nie odnaleziono. Nie było żadnych świadków. Wokół zwłok została rozlana czerwona farba. Niestety, funkcjonariusze, którzy przyjechali na miejsce, narobili wiele śladów i rozdeptali napis, czy też literę, jeśli cokolwiek było tam namalowane.

- Jakież poszlaki co do ewentualnego sprawcy? - zapytał César.

- Kompletnie nic. Pozostałe tancerki z klubu i cała reszta personelu nabrali wody w usta. Nikt nic nie widział, nikt nie wie. Podejrzewam, że to sprawka dyrekcji, która wywierała na nich nacisk, żeby śmierci Rusino nie łączyć w żaden sposób z klubem.

- Miała chłopaka?

- Z tego, co udało się nam ustalić, to nie. Jej eksnarzeczony wyjechał rok wcześniej do Wielkiej Brytanii i tam pozostał. Sąsiedzi i rodzina twierdzili, że Dagmara nikogo innego nie miała.

- No to pozostała nam tylko do omówienia ostatnia zbrodnia - westchnęła Marie. Była już bardzo głodna i chciała, żeby Stanisław jak najszybciej zabrał ich na lunch.

- 9 listopada 2006 roku w godzinach rannych na stacji podmiejskiej kolei w Aninie znaleziono zwłoki kobiety. Miała około dwudziestu pięciu lat. - Stanisław otworzył ostatnią teczkę. - Nie miała przy sobie żadnych dokumentów ani pieniędzy. Zarówno wygląd, jak i ubiór denatki przemawiały za tym, że pochodziła z jednego ze wschodnich krajów sąsiednich, Ukrainy lub Białorusi, oraz że pracowała jako prostytutka. Potwierdziły to późniejsze badania. Tożsamości nie udało się ustalić. Nikt jej nie poszukiwał, nikt nie odpowiedział na apel policji w mediach.

- Miała jakieś znaki szczególne? - zainteresował się César.

- Nie. Ale jak już mówiłem, brakowało jej jednej pończochy.

- To interesujące - wtrąciła Marie.
- Z materiałów wynika, że przeszukano miejsce zbrodni i najbliższą okolicę. I nigdzie tej brakującej pończochy nie znaleziono. Szczerze mówiąc, bardzo mnie to dziwi, zwłaszcza że pończocha była w kolorze czarnym, więc... - spojrzał bystro na swoich francuskich kolegów - kobieta musiałaby być bardzo roztargniona, wychodząc z domu tylko w jednej.
- A litera? - zapytał na koniec César.
- Na ścianie wiaty ktoś namalował czerwonym sprayem literę T.

29.

A zatem, moi drodzy - zaczął César - podsumujmy, co udało się nam do tej pory ustalić.

Marie i Stanisław skinęli głowami. Siedzieli w przytulnej knajpce na placu Konstytucji. Zdążyli już zjeść suty obiad, a teraz delektowali się pyszną kawą z ekspresu. Marie żywiła wprawdzie pewne obawy, kiedy kelnerka postawiła przed nimi filiżanki, ale już po pierwszym łyku wyraźnie się uspokoiła. - Mamy w sumie dziewięć morderstw - referował César, odkładając serwetkę na śnieżnobiały obrus. - Cztery popełnione w Polsce i pięć we Francji. Pierwsza zbrodnia wydarzyła się w czerwcu 1998 roku, druga i trzecia w 2005, czwarta w 2006. Potem sprawca przeniósł się do Paryża, gdzie prawdopodobnie po raz pierwszy odstawił fuszerkę, jeśli mogę się tak wyrazić, ponieważ jego ofiara przeżyła, a napaść miała miejsce w grudniu 2007 roku. Następnie zaatakował ze skutkiem śmiertelnym

w sierpniu oraz wrześniu, październiku i listopadzie 2008 roku.

- Zastanawia mnie, dlaczego właśnie w tym roku częstotliwość jego zbrodni wzrosła - dała im pod rozwagę Marie. - Ostatnie cztery popełniono w regularnych, niemal miesięcznych odstępach.

- Rzeczywiście. Coś się musiało wydarzyć. - Stanisław pokiwał głową.

- Przy pierwszej ofierze, którą wyrzucił z pociągu, nie znaleziono żadnej litery... - kontynuował swój wywód César. - Pojawiła się dopiero przy drugiej i była to litera L.

- Przy trzeciej znaleziono rozlaną farbę, ale nie wiemy, jaką literę chciał zostawić sprawca - wpadł mu w słowo Krzysztoforski. - Jeśli w ogóle zamierzał to zrobić...

- Przyjmijmy, że to x - powiedział César. - Na miejscu czwartej zbrodni była litera T, tak samo jak w piątym przypadku. Przy szóstej zamordowanej namalował literę E, przy siódmej R, przy ósmej A, natomiast przy dziewiątej, i jak dotąd ostatniej, S.

- Jak myślicie? Czy da się z tego ułożyć jakiś wyraz? - zainteresował się Stanisław.

Wszyscy wpatrywali się jak zaczarowani w serwetkę, na której César wypisał wszystkie litery po kolei.

- LxTTERAS - przeczytał powoli César. - Cholera, co to może być?...

- *Litteras!* - wykrzyknął triumfalnie Stanisław. - Drugą literą powinno być I.

- *Litteras...* - powtórzyła w zamyśleniu Marie.

- *Littera* to z łacińskiego litera. *Litteras del alphabeto* oznacza litery alfabetu. Liczba mnoga. *Esser scribite in litteras*

-

de auro: być zapisanym złotymi zgłoskami. - Stanisław miał okazję zabłysnąć znajomością łaciny.

César skrzywił się lekko. Strasznie przemądrzały... Ciekawe, jaki ma iloraz inteligencji?

- *Esser scribite in litteras de sanguine*, być zapisanym krwawymi literami - dodała Marie z błyskiem w oku.

Wszyscy troje spojrzeli na siebie.

- Sądzicie, że morderca zna łacinę? - zapytał z niedowierzaniem César.

- A dlaczego nie? - odparli równocześnie Marie i Stanisław.

- Miałem łacinę w liceum. Pamiętam jeszcze to i owo - wyjaśnił Krzysztoforski. - Mówią, że to martwy język, ale jak widać, czasem się przydaje. Choć umarłym życia nie zwróci... - dodał filozoficznie.

César spojrział pytająco na Marie.

- Uczyłam się na studiach. - Wzruszyła ramionami.

- Więc waszym zdaniem, co by to miało konkretnie oznaczać? - César podchodził sceptycznie do nowego odkrycia. Jego wrodzona przekora znów dawała o sobie znać.

- *Ad futuram rei memoriam*, czyli na wieczną rzecz pamiętkę. Użył jakiejś łacińskiej sentencji, żeby coś przekazać - powiedział Stanisław. - Coś bardzo dla niego ważnego, jak podejrzewam.

- Ale jakiej? I właściwie dlaczego po łacinie? - zdziwił się znowu César.

- O Boże, chłopie. Rusz wreszcie mózgownicą! - zirytowała się Marie. - I odpowiedz sobie na pytanie, jaki może być inny ponadczasowy międzynarodowy język?

- Angielski - odparł bez namysłu César.
Stanisław i Marie roześmieli się głośno.
- Wyobrażasz sobie Polaka zabijającego kobiety we Francji i piszącego na murach wersy z angielskich piosenek? - zapytał z uśmiechem Stanisław.
- Czemu nie? To bardziej prawdopodobne niż założenie, że jakiś Polak morduje Francuzki i podpisuje się łacińskimi sentencjami, nie sądzisz? - César bronił dzielnie swoich racji, chyba już bardziej dla zasady.
- Nie wszystkie zabite tancerki były z pochodzenia Francuzkami - sprostowała Marie. - Na przykład Tessa van Graaf była Holenderką, a Julie Strass Polką. No i co teraz powiesz?
- Julie Strass? Dziwne nazwisko... - zastanowił się Stanisław. - Jak na polskie oczywiście.
- To jej pseudonim artystyczny. Naprawdę nazywała się Strzałkowska. Ale we Francji nikt by tego nie wymówił. Zresztą sam słyszysz, jak to brzmi w moich ustach...
- Bardzo ładnie... - Stanisław uśmiechnął się na myśl, jaki kłopot musiało im sprawić jego nazwisko. Prawdziwe fonetyczne wyzwanie. Zapisał w notesie nazwisko Julie. - Czy moglibyście mi przesłać dokładne dane zabitych w Paryżu tancererek?
- Już się robi - przytaknęła skwapliwie Marie, otwierając małego laptopa.
- Sprawdzę, czy nie miały powiązań z polskimi ofiarami
- dodał szybko Stanisław, widząc dezaprobatę w spojrzeniu, które César posłał w kierunku koleżanki.

Tak jak przypuszczał Stanisław, w mieszkaniu zajmowanym kiedyś przez Ludmiłę Likus nikogo nie było. Nawet nie bardzo rozczarowani postali trochę pod drzwiami i w końcu sobie poszli. Obejrzelili tylko okno w korytarzu, z którego ewentualnie można się było dostać do kuchni. Dworzec Centralny nie zrobił na nich, delikatnie mówiąc, dobrego wrażenia, choć César stwierdził taktownie, że wszystkie dworce w dużych miastach, i to na całej kuli ziemskiej, wyglądają równie obskurnie. Zatrzymali się na chwilę w przejściu podziemnym, gdzie znaleziono zwłoki Dagmary Rusino. O tej porze było tam pełno ludzi, więc z trudem mogli sobie wyobrazić moment zabójstwa. Nie zdążyli już pojechać do Anina, żeby obejrzeć tamtejszą stację, ale Stanisław uspokajał ich, zapewniając z uśmiechem, że co się odwlecze, to nie uciecze. Zobowiązał się, że do końca tygodnia prześle im komplet zdjęć z miejsca zbrodni. Na lotnisko dotarli niemal w ostatniej chwili, chociaż Stan robił, co mógł, manewrując niczym rajdowiec służbowym samochodem, żeby precyzyjnie się w potwornym korku na Okęcie.

Kiedy samolot Air France już wystartował, César przyjrzał się z uwagą siedzącej obok koleżance. Marie była zamyślona. Spoglądała przez okno z taką miną, jakby już tęskniła...

- Spodobał ci się, co?
- O czym mówisz? - zapytała nieprzytomnie, jakby wyrwana ze snu.
- Nie o czym, tylko o kim. Miałem na myśli Stana - wyjaśnił z przekąsem César.
- Sympatyczny i inteligentny facet - powiedziała z cichym westchnieniem, które utwierdziło Césara w jego podejrzeniach.

- I taki szarmancki wobec kobiet... - dodał z wymownym uśmiechem.

- Do czego pijesz? - spytała ostro.

- Nie udawaj, złotko. Widziałem, jak się wobec ciebie zachowywał. Nadskakiwał, drzwi otwierał, puszczał przodem...

- Jak prawdziwy dżentelmen. - Marie się uśmiechnęła. - A co, tak bardzo cię to denerwuje?

- Ależ skąd. Po prostu zazdroszczę temu szczęściarzowi...

- Myślałby kto. - Odwróciła głowę w stronę okna i zamilkła.

César wiercił się przez chwilę w swoim fotelu. Wreszcie nie wytrzymał.

- No dobra. Koniec żartów. Co sądzisz o naszej wizycie?

- Jestem bardzo zadowolona.

- Chodzi mi o efekty, dziecino.

- César!

- Myślisz, że nasze śledztwo ruszy teraz do przodu?

- Mam nadzieję - powiedziała, rumieniąc się.

- Wierzysz w koncepcję Stana, że morderca układa z liter jakąś łacińską sentencję?

Marie odwróciła się od okna i spojrzała Césarowi prosto w oczy.

- Jestem o tym przekonana. Dzięki temu zawężimy krąg potencjalnych sprawców. Pomyśl tylko, kto w dzisiejszych czasach, zdominowanych przez wszechobecną angielszczyznę, amerykański styl życia i komputery, posługuje się łaciną?

- Ty i Stan - odparł z rozbrajającym uśmiechem César.

Marie zachichotała i poklepała go przyjacielsko po ramieniu.

- A ile jest jeszcze takich dinozaurów jak my? Gdyby tylko udało nam się ustalić wiek tego gościa...

- Wiec wykluczasz kobiety?

- Ależ skąd. Biorę pod uwagę wszystkie ewentualności. Powinniśmy się nad tym lepiej zastanowić. Ot, chociażby niezidentyfikowana pasażerka wagonu sypialnego, w którym podróżowała ta, jak jej tam... - Marie otworzyła notatnik - Maryla. Nie wydaje ci się trochę dziwne, że kobieta, która być może była świadkiem morderstwa, której poszukiwała policja, o której pisały gazety, nie zgłosiła się na najbliższy posterunek, żeby złożyć zeznania?

- A co z innymi morderstwami? Tam nie pojawiały się żadne tajemnicze kobiety... - westchnął César, który jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że za wszystkimi tymi popełnionymi z zimną krwią zbrodniami może stać przedstawicielka jego ulubionej płci...

- Przeciwnie. Dagmara Rusino pojechała na dworzec, żeby odebrać koleżankę, która później rozplynęła się w powietrzu jak kamfora. - Marie spojrzała znacząco na swojego towarzysza. - Nikt z klubu nie wiedział, co to za dziewczyna, czy rzeczywiście przyjechała tego dnia do Warszawy i gdzie się zatrzymała. A przecież miała podobno tańczyć w tym samym klubie.

- Faktycznie. - César zamyślił się. - Stan ma rację, trzeba koniecznie sprawdzić ewentualne powiązania ofiar. Może znajdą się jakieś punkty wspólne... Sherlock Holmes znał Wisły ma łeb na karku.

- Jest inteligentny. - Marie uśmiechnęła się z zadowoleniem, jakby to ją pochwalono. - Mamy szczęście, że trafiliśmy akurat na niego.

- To prawda. - César patrzył na jej rozpromienioną twarz i wciąż nie mógł uwierzyć. Miłość od pierwszego wejrzenia, czy co?... - Ile lat miała ta dziewczyna... Maryla, ta właśnie, którą wyrzucono z pociągu?

- Siedemnaście.

- Czekał, czekał, jeśli w 1998 roku miała siedemnaście lat, to znaczy, że urodziła się...

- W 1981 - dokończyła Marie.

- A Julie Strass?

- W tym roku obchodziła dwudzieste siódme urodziny.

- A więc ona też urodziła się w 1981.

- I też ukończyła szkołę baletową w Warszawie!

- Bingo! - wykrzyknął César i aż podskoczył na siedzeniu. Kilku pasażerów natychmiast obejrzało się ze zdziwieniem, szukając źródła tego nieoczekiwanego hałasu. - Sorry - powiedział z przepaszającym uśmiechem.

Po wylądowaniu na lotnisku Charles de Gaulle Marie odsłuchiwała wiadomość, którą zostawił jej Stanisław.

„Mam nadzieję, że doleciałaś szczęśliwie. I twój kolega również, oczywiście. Dzwonię, żeby cię poinformować, że Julia Strzałkowska i Maryla Karska chodziły do tej samej klasy w szkole baletowej w Warszawie. Sprawdziłem listy uczennic z ich rocznika. Myślę, że to kolejny istotny ślad w naszym... to jest chciałem powiedzieć w waszym śledztwie. Pozdrawiam i życzę ci miłego wieczoru!”

Marie uśmiechnęła się z zadowoleniem, po czym wyjęła z torebki kosmetyczkę, przejrzała się w lusterku i dopiero potem przekazała tę wiadomość Césarowi, który przyglądał jej się przez chwilę w dość szczególny sposób.

- O co ci chodzi? - zapytała w końcu, zirytowana tymi przedłużającymi się oględzinami.

- O nic. - Jakoś dziwnie się roześmiał. - Po prostu widzę, że moja teoria się sprawdza. A swoją drogą... - zawiesił głos - może należało zapytać, czy nie jest przypadkiem żonaty. Byłoby trochę głupio, gdyby...

- Zamknij się wreszcie, ty moralisto od siedmiu boleści - zasyczała. Najwyraźniej miała serdecznie dość jego docinków. César położył uszy po sobie i posłusznie umilkł. Jeszcze nigdy nie widział jej tak wkurzonej.

Brawo! - pochwalili ich Stary, kiedy następnego dnia zdali mu szczegółową relację z wyjazdu do Warszawy. - Nareszcie coś się ruszyło. Mamy konkretny ślad. Zamordowana dziesięć lat temu w Polsce Maryla Karska oraz uduszona w tym roku w Paryżu Julie Strass znały się.

- Morderca mógł znać obie kobiety już wtedy w Polsce, gdy zamordował Marylę.

- A co z tym... wątkiem łacińskim? - dopytywał się Vincent. - Jak zamierzacie go rozpracować? - Spojrzał z uwagą na Marie. - Czy macie już może jakiś pomysł, jak go ugryźć?

- Myślałam o tym, żeby poprosić Stana o sprawdzenie następującej rzeczy: w jakich liceach i na jakich wyższych uczelniach w Warszawie wykładano łacinę w 1998 roku. Zakładam oczywiście, że sprawca wszystkich tych zbrodni nauczył się jej w szkole. Więc albo kończył wtedy liceum, albo był już na studiach.

- Taaak, to chyba najbardziej prawdopodobne... - przytaknął komisarz.

- Mam jeszcze coś ciekawego. Otóż... - César zrobił tajemniczą minę - sprawdziłem, że jeszcze jedna z polskich ofiar urodziła się w 1981 roku, podobnie jak Maryla Karska. - Vincent i Marie spojrzeli na niego zaskoczeni. - Dagmara Rusino.

- Nieźle. - W piwnych oczach Marie pojawiło się coś na kształt uznania.

- Poproś Stana, żeby ustalił, do jakich szkół chodziła. To po pierwsze, a po drugie - podniósł do góry palec jak nauczyciel - czy łacina należała tam do przedmiotów obowiązkowych.

- Dobrze. - Marie uśmiechnęła się lekko.

- Możliwe, że sprawca znał Dagmarę ze szkoły. Warto byłoby odnaleźć również jej nauczycieli i dawne koleżanki. Kto wie, może jeszcze pamiętają, z kim się wtedy spotykała.

- Szkoda, że nie mówię po polsku. Chciałabym osobiście ich przesłuchać - westchnęła Marie. - *À propos*, nie słyszeliście o jakimś przyspieszonym kursie języka polskiego?

Vincent spojrział pytająco na Césara, który usiłował dawać mu jakieś znaki, przewracając przy tym oczami.

- Jeżeli uważasz, że twoja obecność w Warszawie mogłaby w jakiś sposób pomóc w rozwiązaniu tej sprawy, to po prostu powiedz. Wierzę w twój analityczny umysł i wspomniały policyjny nos - zażartował. - Więc niewykluczone, że jeszcze raz tam pojedziesz.

- Naprawdę? - ucieszyła się Marie. Zaraz potem zaczerwieniła się jak piwonia i spuściła wzrok. - Przemyślę to.

- Trzeba koniecznie sprawdzić ewentualne powiązania pozostałych ofiar. Być może jeszcze któraś z kobiet zabitych w Paryżu zetknęła się z którąś z dziewczyn zamordowanych w Polsce - zastanowił się Stary.

- Też o tym myśleliśmy - odparł César.
- No, to bierzcie się do roboty - zakończył spotkanie komisarz. - I oby tak dalej. Trzymam kciuki.

Marie zebrała swoje notatki i szybko opuściła jego pokój. César zatrzymał się na progu.

- No proszę, jak to jej spieszno dzwonić do tego dżentelmena znad Wisły - powiedział z sarkazmem, patrząc na korytarz za oddalającą się koleżanką.

- O kim mówisz? - zapytał ze zdziwieniem Vincent.

- O polskim inspektorze, Stanisławie Krzyś... Krzysz... - Machnęła niecierpliwie ręką. - Za cholerę tego nie wymówię.

- Denerwuje cię, że przypadli sobie do gustu, co? - Stary uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Skądże znowu. Ja tylko... - César stropił się lekko.

- Z tego, co zrozumiałem, to bardzo pomocny facet.

- Niezły policjant, to fakt - przyznał César. - I on, i my wpadliśmy niezależnie na ten sam trop.

- Sam widzisz. Nie ma się o co wściekać. Taka współpraca może przynieść naprawdę świetne efekty. A... - Stary ściszył mimowolnie głos - tak między nami, bardzo nam ich teraz trzeba, oj bardzo. Fauquart ciśnie niemiłosiernie. Co drugi dzień łązi do dyrekcji i skarży się, że śledztwo nie posuwa się naprzód.

- Chyba nie zamierzasz mu się zwierzać i opowiadać o naszym odkryciu, tylko zreferujesz je osobiście szanownej górze? - zaniepokoił się César.

- Chciesz, żeby Alfred dostał zawału?

- Mam w dupie Fauquarta i jego fochy! Chcę, żeby wreszcie przejrżeli na oczy, kto tu odważa czarną robotę! - parsknęła César, trzęsąc się ze złości.

Po południu do jego pokoju zajrzała Marie. Oczy jej się śmiały.

- Nic nie mów, tylko słuchaj i podziwiaj. Mam nowe informacje na temat Lydie Carel! - powiedziała z triumfem.

- Zamieniam się w słuch - odparł César, siadając wygodniej w fotelu.

- Udało mi się pogrzebać trochę w archiwum i...

- Lepiej się przyznaj, że masz tam jakąś wtyczkę, która poszperała za ciebie... - powiedział, puszcżając do niej oko.

Marie zaczerwieniła się lekko i zaraz go ofuknęła:

- Chcesz się dowiedzieć czy nie?

- Jasne! Umieram z ciekawości.

- Otóż z badania lekarskiego, jakie przeprowadzono w szpitalu, wynikało, że Lydie została w dzieciństwie zgwałcona.

- Co takiego?!

- Mówiłam, że będzie ciekawie... - westchnęła. - Otóż bawiącą się na podwórku dziewczynkę najprawdopodobniej zwabił jakiś mężczyzna, zabrał w ustronne miejsce niedaleko budynku, w którym mieszkała, i zgwałcił. Na wieść o tym matka Lydie wpadła w histerię i zaczęła wykrzykiwać w szpitalu, że wie, co to za kanalia, i że mu nie daruje. Przysięgała na wszystkie świętości, że facet pójdzie siedzieć do końca swoich dni. Takie słowa zapisał funkcjonariusz, który przyjechał do szpitala, zgodnie z procedurą wezwany przez dyrekcję placówki. Zanim jednak zdążył ją przesłuchać, roztrzęsionej kobiecie podano już środki uspokajające, po których zasnęła jak kamień. Kiedy kilka dni później ten sam policjant przesłuchiwał matkę Lydie w komisariacie, ta stwierdziła, że nie pamięta, co mówiła

po przywiezieniu córki do szpitala, ponieważ była w szoku. Wyjaśniła, że nie ma pojęcia, kto mógłby tak strasznie skrzywdzić jej dziecko, i w ogóle była bardzo małowówna.

- To ciekawe. - César zamyślił się. - Uważasz, że wiedziała, kto to zrobił?

- Podejrzewam, że zmieniła zdanie z jednego jedyne go powodu: ponieważ udało się jej przekonać sprawcę, żeby zapłacił odszkodowanie.

- Szantaż?

- Tak sądzę.

- Może powinniśmy jeszcze raz przycisnąć siostrę zmarłej? Już wtedy wydawało mi się, że nie chce nam wyśpiewać wszystkiego - zastanowił się César.

- Gdzieś tu miałam jej numer - powiedziała Marie, przeglądając swój notes.

- Zapytaj Jean-Marca. Założę się, że zna go na pamięć. - César roześmiał się.

- Co? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Idę o zakład, że spotyka się z nią potajemnie, a kiedy wreszcie zakończy się śledztwo, ogłoszą światu, że są razem. - César spojrział spod oka na swoją koleżankę i zaczął nucić marsza weselnego.

- Złośliwiec. - Marie stłumiła śmiech. Sądząc jednak po jej minie, miała podobne zdanie na ten temat, wołała jednak taktownie milczeć. Jean-Marc musiał ją niezłe zmęczyć swoimi zalotami na początku jej pracy w wydziale.

Za oknami było już ciemno. Zmierzch zapadał teraz wcześnie. W mieszkaniu panował mrok. W pokoju bałagan. Niepościelone łóżko, stolik zarzucony gazetami, pustymi butelkami i

niedopitymi szklankami, na środku dywanu podróżna sportowa torba, a wokół niej stos kartek i brudnych ubrań, które przydałoby się wreszcie uprać. Było cicho. Jedynie z góry czasami słyhać było pojedyncze słowa, zbyt głośno wypowiedziane. Ściany w budynkach takich jak ten, z lat siedemdziesiątych, były niestety bardzo cienkie i „przepuszczalne”

W fotelu siedział mężczyzna. Delektował się samotnością. Oddychał ciężko, jakby nabranie powietrza do płuc sprawiało mu trudność. W rękę obracał kolczyk z błyszczącym niebieskim kamykiem. Po chwili wsunął srebrny drobiazg do kieszeni. Poklepał ją dłonią, jakby chciał się upewnić, że kolczyk leży na swoim miejscu. Podszedł do drzwi balkonowych i przez kilka minut patrzył w okna przeciwległego budynku. Zaciągnąwszy zasłonę, wymacał kontakt. Lampa stojąca w kącie pokoju zajarzyła się słabym światłem. Mężczyzna wrócił do fotela. Podniósł jedną z leżących na podłodze kartek i przebiegł oczami odręcznie zapisany tekst.

Dla N.

Igrasz z grawitacją.

Falujesz na wietrze.

Twe ciało niczym piórko

wznosi się, opada.

Skrzydłami ramion

przecinasz powietrze.

Śmiesz cię beztroska,

taneczna zabawa.

*Lecz co to? Nagle
zmienia się muzyka.
Tłum wirujących cieni
Tańczy na polanie.*

*Zaciskając pętlę
Na twej labędziej szyi,
Rozpoczynają ostatni,
makabryczny taniec.*

Mężczyzna zmiął kartkę i cisnął ją w kąt pokoju.

- Nie była warta tego tekstu - powiedział do siebie na głos. - Głupia suka!

30.

Podinspektor Krzysztoforski po raz kolejny przeglądał akta domniemanych ofiar „francuskiego dusiciela” jak nazywał go w myślach. Właśnie zatrzymał się po raz kolejny na aktach sprawy Dagmary Rusino i przeczytał, że dziewczyna chodziła do liceum imienia Narcezy Źmichowskiej w Warszawie.

- Ależ ze mnie dureń! - wykrzyknął nagle, podrywając się z miejsca. Właśnie sobie uzmysłowił, że łacina musiała być jednym z przedmiotów wykładanych w klasie humanistycznej, którą kończyła Dagmara. A jeśli morderca chodził do tej samej szkoły? Trzeba koniecznie zbadać ten trop, lak najszybciej. Zganił się w myślach za to, że dopiero teraz go olśniło. Cóż, lepiej późno niż wcale. Zajrzał do internetu, odnalazł adres i

numer telefonu do tego szacownego warszawskiego liceum, żeby już po chwili połączyć się z sekretariatem. Przedstawivszy się, krótko wytłumaczył konieczność pilnego spotkania z dyrektorką szkoły.

Wchodząc do budynku, przyglądał się z ciekawością uczniom, a zwłaszcza uczennicom, które były tutaj w zdecydowanej przewadze. Prawdziwa rewia mody. Patrzył, patrzył i nie mógł się nadziwić. Gdzie się podziały tamte dziewczyny w granatowych spódniczkach, z tarczami na rękawach? Od tego czasu, gdy on sam uczęszczał do pobliskiego liceum imienia Czackiego, tyle się zmieniło. Nawet szkolny dzwonek dźwięczał jakby nieco inaczej... Zaraz jednak drogę zastąpił mu tęgi siwowłosy osobnik w granatowym mundurze ochrony, który przerwał nieoczekiwanie jego sentymentalne wspomnienia, lustrując go podejrzliwie od stóp do głów. Godna uznania czujność. W końcu zapytał, dokąd to się z łaski swojej pan szanowny wybiera. Stanisław uśmiechnął się lekko i wyjaśnił, że jest umówiony z panią dyrektor. Mężczyzna natychmiast wyprężył się służbiście i oświadczył, że zaprowadzi go do gabinetu przełożonej.

Dyrektorka była sympatyczna, ale traktowała Stanisława z dystansem. Chyba nie bardzo przepadała za kontaktami z przedstawicielami władzy. zaproponowała mu herbatę, po czym rozsiadła się wygodnie w fotelu i pozwoliła mu przedstawić sprawę, z którą przyszedł.

- Dagmara Rusino, rocznik osiemdziesiąty pierwszy - powtórzyła w zamyśleniu, wpisując nazwisko do komputera. Po chwili otrzymała informację. - Rzeczywiście, taka uczennica

chodziła do naszego liceum. - Podniosła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny. - Pani Wando, proszę o wydruk spisu uczniów klas humanistycznych z lat 1996-2000. Tak, tak, dokładnie. Aaa, pani Wandeczko droga, jeszcze jedna sprawa. Jeżeli uda się pani znaleźć jakieś dodatkowe materiały, na przykład zdjęcia klasowe, albumy, informacje o wycieczkach, to też proszę przynieść. Co takiego? Tak, tak, oczywiście.

Mniej więcej po dwudziestu minutach ktoś zapukał do drzwi. Dyrektorka powiedziała głośno „proszę” i zaraz potem do gabinetu wsunęła się puszysta niewiasta w nieokreślonym wieku, między czterdziestką a sześćdziesiątką. Wyglądziła pulchną dłonią granatową spódnicę w drobne pliski, uśmiechając się przymilnie.

- To wszystko, co udało mi się znaleźć, pani dyrektor. O, tutaj, bardzo proszę... - powiedziała, kładąc na biurku stos papierów i szarych kopert opatrzonych datami.

- Dziękuję. - Dyrektorka skinęła głową, biorąc do ręki kilka zadrukowanych kartek.

Kiedy pani Wandeczka znikła za drzwiami, dyrektorka podała mu plik dokumentów.

- Oto alfabetyczne spisy nazwisk wszystkich uczniów chodzących do klasy z Dagmarą. A tutaj znajdzie pan nazwiska nauczycieli.

- Jest szansa, że ktoś z nich nadal pracuje? - zapytał.

- Oczywiście - odparła ze zdziwieniem. - Przecież to wcale nie było tak dawno. Zaledwie dziesięć lat temu... No, może trochę więcej. W naszej szkole nie ma dużej rotacji personelu. - Umilkła, po czym, jakby chcąc się usprawiedliwić, dodała: - Ja sama niestety nie pamiętam tej dziewczyny.

W tym czasie uczyłam w klasach o profilu matematyczno-fizycznym.

- Rozumiem. - Krzysztoforski uśmiechnął się grzecznie.
- A co jest w pozostałych kopertach?

Dyrektorka otwierała je kolejno i podawała inspektorowi ich zawartość po uprzednim przejrzaniu.

- Zdjęcia klasowe. Na odwrocie ma pan nazwiska uczniów. - Krzysztoforski przyjrzał się jednemu ze zdjęć z napisem „klasa III”. Dziewczyna siedząca pośrodku od razu przykuła jego uwagę. To była ona... Miała piękne włosy o barwie miedzi i uśmiechała się wdzięcznie. Jakie to smutne, że skończyła tak marnie. Niezbadane są wyroki Opatrzności, westchnął w duchu Stanisław.

- Chciałbym wypożyczyć te dokumenty. Przyrzekam, że jak najszybciej je odeślę. - Dyrektorka pokręciła głową.

- Nie. Wolałabym je zeskanować i przesłać panu mejlem.

- Bardzo dziękuję. - Stanisław oddał jej koperty ze zdjęciami.

- Dam panu znać, którzy z nauczycieli uczących Dagmarę nadal u nas pracują.

Następnego dnia rano w swojej skrzynce mejlowej znalazł zeskanowane zdjęcia, a także kontakt do nauczycielki języka polskiego i nauczyciela geografii, którzy uczyli Dagmarę Rusino. Do południa żadne z nich nie było uchwytne. Zostawił więc informacje w poczcie głosowej. Pierwszy oddzwonił wykładowca geografii. Chętnie umówił się na popołudniowe spotkanie w kawiarni na Krakowskim Przedmieściu. Nieco później zadzwoniła polonistka. Tłumaczyła, że jedzie właśnie na zajęcia w szkole wieczorowej i zapytała na koniec, czy nie mógłby wpaść

wieczorem do jej mieszkania. Zgodził się bez namysłu, ponieważ bardzo zależało mu na czasie.

Profesor Romuald Maria Kowalski był mężczyzną starej daty. Niewysoki siwowłosy staruszek ubrany w elegancki czarny garnitur, białą wykrochmaloną koszulę ozdobioną złotymi spinkami i nienagannie zawiązanym krawatem oraz lśniąco czarne lakierki. Siedział w najdalszym kącie kawiarni Batida, zajadając się torcikiem Romantica. Stanisław natychmiast go dostrzegł. Takiej postaci po prostu nie sposób przeoczyć. Zwłaszcza że był to jedyny samotny mężczyzna w kawiarni... Od razu zwrócił uwagę na wytworny strój profesora. Dokonali wzajemnej prezentacji i po kilku zdawkowych uprzejmościach inspektor przeszedł do sedna sprawy.

- Pan zdaje się pamiętać uczennicę Dagmarę Rusino... - zaczął taktownie Stanisław, podając mu klasowe zdjęcie.

Profesor wyjął z kieszeni czarne etui z lakierowanej skóry, włożył na nos okulary w rogowej oprawce i przez chwilę przyglądał się twarzom uczniów.

- Ładna z niej była dziewczyna, ale też niezłe ziółko. - Zmrużył nieznacznie oko, uśmiechając się do Stanisława.

- To znaczy?

- Nie lubiła się za bardzo uczyć, ot co - odparł profesor, zabierając się za resztkę ciastka. Stanisław pomyślał, że jeśli to już wszystko, co starszy pan ma mu do powiedzenia na temat Dagmary, to szkoda się było fatygować.

- Żle się uczyła? - starał się uściślić.

- Ano słabo, słabiotko... A mówiąc bez ogródek: bez nadziejnie. Wie pan, jak to jest, gdy młodość szumi w głowie,

brakuje czasu na zdobywanie wiedzy. Ma się rozumieć, bywają wyjątki od tej reguły. Niezwykle rzadkie, niestety...

- Oczywiście. - Stanisław uśmiechnął się grzecznie ze zrozumieniem. On sam też nie należał do gorliwców i wołał kopać piłkę, niż wkuwać matkę albo... geografię. - Ostatecznie jednak Dagmara ukończyła liceum.

- Z marnym skutkiem. Co roku była zagrożona. Od pierwszej do ostatniej, maturalnej klasy. Dopiero na sam koniec semestru brała się ostro do pracy i na samych słabych dostatecznych kończyła.

- Czy pamięta może pan profesor, z kim się przyjaźniła?

- Mój chłopcze, to było tyle lat temu... - westchnął Kowalski.

- A z kim siedziała w ławce?

Profesor jeszcze raz przyjrzał się bacznie zdjęciom. Potem zamknął oczy i przez kilka minut siedział nieporuszony. Stanisław taktownie milczał. Zerkał tylko na niego raz po raz, modląc się w duchu, żeby nie zasnął.

- Z tą oto szczebiotką. - Palec profesora wylądował na twarzy jednej z uczennic widniejących na fotografii. - Karolina jej było, czy jakoś tak.

Krzysztoforski spojrział na twarz dziewczyny, a potem wyjął listę uczniów.

- Karolina Jasińska? - upewnił się na wszelki wypadek, choć była tylko jedna Karolina na liście.

- W rzeczy samej. - Profesor kiwnął głową, spoglądając tęsknie w stronę przeszklonej ludy z ciastkami. - Może zjemy po ciasteczku?

- Na co ma pan ochotę, profesorze? - zapytał grzecznie Stanisław, wstając od stolika.

Gdy dojeżdżał do mieszkania pani Olgi Drabickiej-Łackiej, był kwadrans po dwudziestej. Otworzyła mu szesnastoletnia na oko dziewczyna.

- Mamy jeszcze nie ma - powiedziała z lekkim wyrzutem. Skonsternowany Stanisław spojrzął na zegarek. - Uprzedzała, że pan przyjdzie. Mam na imię Sylwia.

- Krzysztoforski. - Podał dziewczynie rękę.

- Proszę, niech pan wejdzie. - Zaprowadziła go do jasnego przytulnego salonu, gdzie druga dziewczynka, pewnie jej młodsza siostra, oglądała telewizję. - Wyłącz to natychmiast - powiedziała do małej, wyraźnie niezadowolonej z tego polecenia. - Pan przyszedł do mamy. - Wskazała mu ręką fotel. - Napije się pan czegoś?

- Jeśli można, to... - zawahał się krótko - ...szklankę wody poproszę.

- Słyszałaś? Idź i przynieś wodę - rozkazała dziewczynce Sylwia. Jej młodsza siostra wzruszyła ramionami i niechętnie poszła do kuchni. Sylwia usiadła na kanapie naprzeciwko gościa i przyglądała mu się z zaciekawieniem. - Jest pan znajomym mamy?

- Raczej nie... - odpowiedział wymijająco Stanisław. - Czy mama mówiła, o której wróci z pracy? - Najważniejsze to nie pozwolić tej małej, żeby go przesłuchiwała.

- Zaraz powinna być. Jest bardzo punktualna - dodała z powagą.

- Proszę. - Młodsza dziewczynka, która właśnie wróciła z wodą, podała mu szklankę, po czym usiadła naprzeciwko i również zaczęła się w niego wpatrywać.

- Jak masz na imię? - zapytał inspektor, by przerwać jakiś krępującą ciszę.

- Zuza - odparła z uśmiechem dziewczynka.
- Często zostajecie same?
- A dlaczego pan pyta? - Starsza z siostr wydała się zaniepokojona tym pytaniem.
- Ponieważ widzę, że świetnie sobie radzicie. Mam nadzieję, że gdyby mama was nie uprzedziła, w żadnym razie nie wpuściłybyście do mieszkania nikogo obcego.
- Oczywiście, że nie - odpowiedziała z dumą Sylwia. - Naiwne dziewczyny źle kończą. Poza tym ja jestem prawie dorosła. Za półtora roku będę obchodzić osiemnastkę.
- Wspaniale. Na pewno będzie superimpreza. Z wielkim tortem i... butelką szampana. W końcu to początek dorosłości.
- Stanisław się uśmiechnął i zaraz mina mu zrzędła. Ale się wygłupiłem z tym szampanem. W końcu to też alkohol, chociaż niskoprocentowy. Strasznie niepedagogicznie wyszło, psiakość.
- A twoja siostra?
- Ja mam trzynaście - odrzekła nieco ciszej Zuza. W tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.
- Ja otworzę! - Zuza natychmiast poderwała się z miejsca.
- To jeszcze dzieciak - szepnęła do niego Sylwia, uśmiechając się pobłaźliwie, po chwili jednak sama zerwała się z kanapy, żeby pobiec na przywitanie matki.
- Bardzo przepraszam, ale tak to już jest, kiedy człowiek pracuje na dwóch etatach - tłumaczyła pani Olga, zdejmując pospiesznie płaszcz. - Mąż wyjechał w delegację. Taką ma pracę, że często przebywa poza domem, i jakoś muszę sobie radzić sama.
- Postaram się zająć pani jak najmniej czasu - uspokoił ją Krzysztoforski. Chciałbym porozmawiać o Dagmarze Rusino.

- Tak, wiem. Pani dyrektor wspomniała mi o tym. Co za nieszczęście, mój Boże. Sama mam dwie córki, jak pan widzi. Nie wyobrażam sobie, żeby którąś z nich spotkał podobny los. Serce by mi pękło...

- Tak, to smutne... - przytaknęła jej Stanisław i natychmiast przeszedł do konkretów. - Więc pamięta pani Dagmarę?

- Uczyłam ją w liceum. W 1997 zaczęłam pracę w Żmichowskiej. Pierwszy rok w tej szkole, dlatego dobrze za pamiętałam większość uczniów.

- Jak by ją pani scharakteryzowała? - spojrzał bacznie na swoją rozmówczynię.

- Cóż... to była naprawdę bardzo ładna dziewczyna... - nauczycielka zamknęła na chwilę oczy, jakby chciała sobie lepiej przypomnieć swoją dawną uczennicę - i świadoma swojej urody. Miała piękne włosy. O tak, nieprawdopodobnie gęste i rude. Wielu chłopców się nią interesowało.

- Czy któryś z nich jest tutaj na zdjęciu? - Stanisław podał swojej rozmówczyni fotografie klasowe.

- W klasie było niewielu chłopców, to typowe dla klas humanistycznych - wyjaśniła z uśmiechem pani Olga - i oczywiście podobała się wszystkim. Ale zaraz, zaraz, był taki jeden ze starszego rocznika. Przystojny brunet.

- Jak się nazywał?

- Miał rzadko spotykane imię. Nie pamiętam... Muszę pomyśleć, ale... - popatrzyła na swojego gościa - ...na pewno sobie przypomnę.

- A koleżanki? Czy przyjaźniła się z którąś z dziewcząt?

- Owszem. Miała taką przyjaciółkę od serca, blondynkę.

- Pani Olga zerknęła na zdjęcie. - Też zresztą bardzo ładną.

O proszę, to ta, Karolina. Nazwiska niestety nie pamiętam.

- Jasińska. Profesor Kowalski również ją wskazał.

- Rozmawiał pan z Romualdem? Ależ ten staruszek ma pamięć, nieprawdaż? Tylko pozazdrościć.

- Czy Dagmara przyjaźniła się wyłącznie z Karoliną?

- Chyba tak. Wie pan, ona była taka... Jak by to panu powiedzieć? Specyficzna. O właśnie! - ucieszyła się nauczycielka. - Większość uczniów przychodzi do tej szkoły, żeby się czegoś nauczyć. Poziom mamy naprawdę wysoki, to jedna z najlepszych szkół średnich w Warszawie - powiedziała z dumą. - Poza tym Żmichowska zapewnia swoim wychowankom niezły start na studia. Cóż, Dagmara chyba o tym nie myślała. Uczyla się raczej słabo, co nie znaczy, że nie była zdolna. Stanowiła raczej typ wiecznej imprezowiczki. Interesowało ją wszystko, tylko nie nauka. Karolina starała się jej dzielnie dotrzymywać kroku. Dlatego trochę odstawały od reszty klasy, w której mieliśmy nawet kilku finalistów olimpiad z różnych przedmiotów. Nie tylko z ojczystego języka... - pochwiliła się na koniec pani Olga.

- Dziękuję za wszystkie informacje. Jestem pani niezmiernie wdzięczny. - Stanisław uśmiechnął się do swojej rozmówczyni. - Nawet nie wie pani, jak bardzo mi pomogła.

- Szczerze mówiąc, gdybym tylko mogła w jakiś sposób przyczynić się do odnalezienia sprawcy... Dagmara nie była złym dzieckiem. Po prostu lubiła się bawić. To normalne w jej wieku. Z dzisiejszą młodzieżą jest zresztą bardzo podobnie... Myślę, że rodzice nie poświęcali jej zbyt wiele czasu. - Zerknęła w stronę drzwi do pokoju córek.

- Gdyby sobie pani przypomniała, jak nazywał się ten chłopiec... a właściwie ten młodzieniec - poprawił się szybko - z którym spotykała się Dagmara, bardzo proszę dać mi znać. Oto moja wizytówka. I proszę pożegnać ode mnie dziewczynki. Może być pani dumna ze swoich córek.

Dawna przyjaciółka Dagmary, Karolina Jasińska, obecnie Wilson, również potwierdziła słowa pani Oli.

Siedzieli w ogromnym salonie jej dwupiętrowego domu w Józefowie. Piękna szczupła blondynka z długimi włosami trzymała na kolanach ośmiomiesięczną córeczkę. Salon państwa Wilsonów urządzony był z przepychem. Ciężkie klasyczne meble z ciemnego dębu kontrastowały z jasnymi tapetami w podłużne pasy. Biedermeier w najlepszym wydaniu, bez dwóch zdań. Co jakiś czas do salonu zaglądała gosposia, pytając, czy nie trzeba podać jeszcze czegoś do picia albo czy nie powinna zająć się dzieckiem. Dopóki mała gaworzyła i uśmiechała się słodko, prezentując swój pierwszy ząbek, Karolina podrzucała ją w górę jak lalkę. Jednak kiedy tylko dziecko zaczęło płakać, natychmiast oddała je opiekunce.

- Sprawdź, czy nie ma mokro, nakarm ją i połóż spać - poleciła sucho kobiecie w białym fartuszk. Potem zwróciła się do inspektora. - Nie miałam pojęcia, co się stało z Dagi - powtórzyła już po raz trzeci. W czasie tej rozmowy na jej twarzy malował się szczery smutek. - Udusił ją na dworcu?

- W przejściu podziemnym.

- Boże... To takie straszne.

- Wiedziała pani, że Dagmara pracowała w klubie gogo?

- Ależ skąd! - obruszyła się natychmiast, krzywiąc się z niesmakiem, a Stanisławowi przemknęło przez głowę, że nie

tylko meble w tym bogatym domostwie są na wskroś mieszczańskie. - Po skończeniu szkoły nasze drogi się rozeszły. Rodzice zapisali mnie na prywatną uczelnię. Poznałam nowe towarzystwo. Dagi wyjechała w tym czasie do Stanów. Ojciec załatwił jej tam jakąś pracę.

- Wróciła po kilku miesiącach - wyjaśnił Stanisław.

- Nie odzywała się do mnie. Nawet jej później szukałam. Byłam ciekawa, co u niej słyhać... - powiedziała w zamyśleniu. - Chciałam ją zaprosić na ślub, ale jej rodzice nie mieszkali już tam, gdzie kiedyś. Zmieniła numer komórki. Wie pan, jak to jest...

- Tak, oczywiście. Proszę mi powiedzieć, czy Dagmara miała w szkole jakąś sympatię? To znaczy... jak by tu powiedzieć... czy spotykała się z kimś?

- Cóż, niebrydkie z nas były dziewczyny, a tak między nami: najładniejsze w całej szkole, więc zawsze kręciło się wokół nas wielu facetów. Mam podać nazwiska wszystkich? - Roześmiała się trochę za głośno.

- Podobno Dagmarą interesował się jakiś brunet ze starszego rocznika. Pamięta go pani? - Stanisław patrzył w napięciu na siedzącą przed nim kobietę.

- Mówi pan o Krystianie? Oczywiście, że go pamiętam. Takiego chłopaka nie sposób zapomnieć. Marzenie wszystkich nastolatek - wyjaśniła z błyskiem w oku. - Miał zdawać do szkoły aktorskiej razem ze swoim przyjacielem. Niestety, nie pamiętam jego imienia.

- A jak miał na nazwisko Krystian?

- Zimerman... - Krzysztoforski zamarł w bezruchu. - Żartowałam! Nazywał się Krystian Waszak.

- Jaki charakter miała ich znajomość?

- Ach, spotkali się raptem parę razy i zaraz wszyscy okrzyknęli ich parą. Ale tak naprawdę to oni się tylko kolegowali. Owszem, Krystian bardzo podobał się Dagmarze. Być może nawet się w nim zakochała, chociaż czy ja wiem... W każdym razie robiła wszystko, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Jaki on był? Czy wyróżniał się w jakiś sposób?

- Był bardzo przystojny, nieźle się uczył. Poza tym miał zostać aktorem. Szczerze mówiąc, nie tylko Dagmara była nim zainteresowana. - Mówiąc to, Karolina puściła oko do inspektora.

- Czy pamięta pani jeszcze innych chłopców, z którymi Dagmara się spotykała?

- Och, było ich wielu... Ale to były raczej krótkotrwałe i nic nieznaczące przyjaźnie.

- A czy Dagmara miała jakichś wrogów?

- Czy pyta pan poważnie? - Karolina zastygła na moment. - Nie... Chyba że jakieś zazdrosne koleżanki... Tych nie brakowało.

Wracając z Józefowa, zadzwonił do Marie, żeby zdać jej relację ze swoich poszukiwań. Za każdym razem, kiedy do niej telefonował, czuł przyspieszone bicie serca. W jej głosie słyszał wibrujące drgania, które powodowały, że dreszcz przechodził mu po plecach. Bardzo przyjemny, by nie rzec rozkoszny. Kiedy skończyli już rozmawiać, Stanisław obiecał sobie, że najbliższe wakacje spędzi w Paryżu.

31.

Kolejne godziny upłynęły mu na ustalaniu miejsca zamieszkania Krystiana Waszaka. Kiedy miał już w ręku adres, postanowił niezwłocznie przesłuchać tego tajemniczego bruneta, za którym szalały niegdyś licealistki.

Dwukrotnie nacisnął dzwonek przy drzwiach, czekając, aż usłyszy jakiś szmer po drugiej stronie. Niestety, w mieszkaniu panowała kompletna cisza. Zadzwoił jeszcze kilka razy, ale nic to nie dało. Westchnął ciężko i miał już odejść, kiedy naraz przyszło mu do głowy, że może warto popytać sąsiadów. Zadzwoił do drzwi naprzeciwko. Usłyszał hałas i szczenie psa. Jakiś wysoki głos zapytał, o co chodzi. Wyjął legitymację służbową i przyłożył ją do wizjera.

- Jestem z policji. Szukam pani sąsiada, pana Waszaka.

Skrzypnęły cicho drzwi, otwierając się nie więcej niż na centymetr. Od środka zabezpieczał je gruby łańcuch. Godna podziwu przezorność, uśmiechnął się w duchu Krzysztoforski.

- Proszę pokazać odznakę - odezwała się zadziwiająco stanowczo starsza pani. W szparze widział jej lustrujące go baczenie oczy oraz kudłatą mordkę pupila, który w dalszym ciągu wściekle ujadął. Wspaniały pies stróż, bez dwóch zdań. Wsunął do szpary legitymację.

- Chciałem rozmawiać z pani sąsiadem, ale niestety go nie ma. Czy wie pani może, co się z nim dzieje? - powiedział bardzo głośno, mając na uwadze, że starsze osoby często niedosłyszą.

- Na litość boską, niech pan tak nie krzyczy! Przecież nie jestem głucha - obruszyła się starsza pani, zatrzaskując mu

drzwi przed nosem. Już miał się odwrócić na pięcie i wynieść jak niepyszny z tego niegościnnego domu, kiedy drzwi otworzyły się nieoczekiwanie. Pies wybiegł na korytarz, by go obwąchać, a charakterna staruszka zaprosiła do środka. - Proszę wejść. Nie będziemy przecież rozmawiać na korytarzu.

Wszedł za nią do środka. Starsza pani wskazała mu krzesło przy stole nakrytym pięknym haftowanym obrusem. Sama usiadła naprzeciwko. Kundelek przycupnął przy jej nogach.

- Co przeszkobał? - zapytała ze złośliwym uśmieszkiem.
- Dlaczego tak pani myśli? - zdziwił się Stanisław.
- Skoro policja go poszukuje... - odparła rezolutnie. Kąciki jej oczu nadal się uśmiechały, choć twarz za wszelką cenę starała się przybrać wyraz obojętności.

- Chciałem z nim tylko porozmawiać. Możliwe, że mógłby mi pomóc w pewnej ważnej sprawie. Szukamy świadków zdarzenia - skłamał, żeby uniknąć dalszych pytań. - Czy nie wie pani, o której wróci?

- Nie wiem. Nie opowiada mi się. - W jej głosie zabrzmiewał lekki zawód.

- Szkoda. W takim razie nie będę pani przeszkadzał. - Krzysztoforski podniósł się z krzesła.

- Może napije się pan herbaty? - usłyszał niemal w tym samym momencie.

- Nie chciałbym robić pani kłopotu - powiedział grzecznie Stanisław.

- To żaden kłopot. Pan tu sobie chwilkę zaczeka, a ja zaraz przyniosę herbatkę. - Mówiąc to, gospodyni podniosła się

z krzesła. Spojrzała na psa i poleciła: - Brutus, dotrzyмай towarzystwa panu pułkownikowi.

- Jestem podinspektorem! - krzyknęła w stronę oddalającej się żwawo staruszki.

- Ja jeszcze całkiem dobrze słyszę - rzuciła przez ramię. - Tak, tak, młodzi nie mają teraz tyle zdrowia co my, stare grzyby... - Zachichotała.

Zrobiło mu się głupio. Już po raz drugi zwróciła mu uwagę. Powinienem wiedzieć, że przedwojenny materiał jest nie do zdarcia, uśmiechnęła się w duchu. Kiedy kilka minut później pili malinową herbatę z porcelanowych filiżanek, dowiedział się, jakim wspaniałym człowiekiem był jej mąż, świeć Panie nad jego duszą, żołnierz Armii Krajowej odznaczony wieloma medalami, które przechowywała na pamiątkę w szufladzie filigranowego biureczka, też jeszcze przedwojennego, a także jakie seriale telewizyjne najchętniej ogląda i jak sprawuje się jej pupilek. Po półgodzinie stwierdził, że powinien już się zbierać. Podziękował staruszce za gościnę i ucałował ją w rękę.

- Było mi szalenie miło panią poznać.

- Mnie również, panie pułkowniku, mnie też... A wie pan, teraz mi przyszło do głowy, że ten pan z naprzeciwka to musiał chyba wyjechać. Z walizką go widziałam... parę dni temu.

- Ach tak. To by tłumaczyło jego nieobecność. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością do swojej informatorki, myśląc, że warto było jednak zostać te pół godzinki.

- Zwykle to on wyjeżdża na kilka dni. Dwa, trzy... czasem tydzień.

- Jak często?

- Różnie.

- Bardzo mi pani pomogła, naprawdę. I... mam jeszcze jedną prośbę. - Odwrócił się, stojąc już na progu drzwi wejściowych. - Oto moja wizytówka. Czy mogłaby pani do mnie zadzwonić, kiedy pani sąsiad wróci? Będę bardzo zobowiązany.

- No... czy ja wiem? - Kobieta spojrzała podejrzliwie na karteczkę.

- Oczywiście, tylko pod warunkiem że nie sprawi to pani kłopotu. Ma się rozumieć, zajrzę, żeby osobiście podziękować.

Istotnie, tak jak ją poprosił, zadzwoniła, gdy tylko Waszak pojawił się w domu. Stanisław kupił pudełko czekoladek nadziewanych wiśniami i zanim poszedł do Waszaka, wstąpił do starszej pani, żeby jej podziękować. Na szczęście tym razem miał wymówkę, by skrócić wizytę do niezbędnego minimum. Musiał koniecznie porozmawiać z Waszakiem. Staruszka była niepokieszona, ale cóż... Służba nie drużba.

Stanisław życzył jej zdrowia, pogłaskał kudłacza, a potem podszedł do drzwi naprzeciwko i nacisnął dzwonek. Był pewien, że starsza pani obserwuje go przez wizjer. Minęła chwila, ale nikt nie otwierał. Zadzwonił ponownie. Po chwili w mieszkaniu dał się słyszeć szmer. Drzwi uchyliły się.

- Słucham? - zapytał młody przystojny mężczyzna.

- Podinspektor Krzysztoforski z policji. - Stanisław pokazał legitymację. - Możemy chwilę porozmawiać?

- Jest pan pewien, że chodzi o mnie? - zdziwił się mężczyzna.

- Pan Krystian Waszak? - spytał na wszelki wypadek Krzysztoforski.

- Tak. Czy mogę wiedzieć, o co chodzi?
- Naturalnie. Chodzi o Dagmarę Rusino.
- Rusino? Nie znam - odparł pewnym głosem. Zza sąsiednich drzwi dał się słyszeć szelest i szczeknięcie psa. Krystian spojrział w tamtą stronę.
- Będziemy rozmawiać tutaj czy zaprosi mnie pan do środka? - Inspektor wykorzystał okazję.
- Proszę. - Krystian otworzył drzwi szerzej. Krzysztoforski wszedł do mieszkania. Zatrzymał się w salonie, w którym panował artystyczny nieład.
- Chodziliście do tego samego liceum. Dagmara była dwie klasy niżej - wyjaśnił Stanisław, zatrzymując się na środku, ponieważ nie było gdzie usiąść.
- Ruda z zielonymi oczami? - zapytał Waszak, jakby zaczął sobie coś przypominać. - O przepraszam, zaraz zrobię panu miejsce. - Rzucił się, żeby pozbierać ubrania leżące na kanapie.
- Dziękuję - odparł podinspektor i usiadł. Krystian zajął miejsce w fotelu. - Tutaj mam jej zdjęcie. Poznaje ją pan?
- Podał mu fotografię.
- Chyba tak... - powiedział niepewnie Kris, drapiąc się w głowę.
- Więc tak czy nie?
- Tak, teraz rzeczywiście poznaję.
- Podobno w czasach szkolnych byliście parą? - Stanisław nie spuszczał z mężczyzny wzroku.
- Parą? Nie-e... To stanowczo za dużo powiedziane. Spotkaliśmy się kilka razy. Była bardzo ładna, miała w sobie coś z gwiazdy filmowej... - Krystian westchnął.
- I?

- I nic. Poza tym, że była ładna, nie należała niestety do najmądrzejszych... - Spojrzał znacząco na Krzysztoforskiego. - Nie chciałbym oczywiście jej obrazić. Pewnie od tamtej pory się zmieniła. Wydorosłała, spoważniała. Pewne rzeczy przychodzą dopiero z wiekiem... - westchnął cicho.

Waszak odpowiadał tak, jakby istotnie nic nie wiedział o śmierci Dagmary. Stanisław pomyślał, że facet sprawia wrażenie prawdomównego. Budził sympatię. Dziwne. Był raczej przygotowany na to, że mężczyzna będzie kłamał.

- Czy po ukończeniu liceum utrzymywał pan z nią kontakt? - zapytał, obserwując bacznie Krystiana. Może zdradzi go wyraz twarzy, jakiś gest. Wiedział dużo o mowie ciała i bardzo liczył na to, że w końcu go zdemaskuje.

- Nie. Przepraszam, ale czy teraz ja mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi? Dlaczego mnie pan wypytuje o to wszystko? - W jego głosie czuło się lekką irytację.

- Dagmara Rusino nie żyje. Została zamordowana. Próbujemy ustalić sprawcę.

- O cholera. Bardzo mi przykro. Nie miałem pojęcia. - Krystian wyraźnie posmutniał. - Ale dlaczego zgłosił się pan do mnie? Od skończenia szkoły nie widziałem jej ani razu.

- Badamy wszelkie możliwe poszlaki. To standardowa procedura - wyjaśnił Stanisław.

- Ach tak.. Obawiam się jednak, że niestety nie będę mógł panu pomóc... - Spojrzał przeproszająco na Stanisława.

- Mimo wszystko chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań.

- Oczywiście. Może wody? - Mężczyzna wskazał butelkę mineralnej stojącą na stole.

- Nie, dziękuję - odparł podinspektor, wyjmując notes. -
W jakich okolicznościach poznał pan Dagmarę Rusino?

- Nie pamiętam... - Krystian zastanowił się przez chwilę.
- Ale na pewno spotkałem ją w szkole. Wie pan, jak to jest z ładnymi dziewczynami... szybko wpadają w oko. Chyba... poznaliśmy się chyba na próbie kółka teatralnego.

- Jak długo uczęszczaliście na zajęcia?

- Ja przez całą szkołę. To była moja pasja... - przerwał nagle, po czym wrócił do tematu. - Ona przyszła kilka razy, żeby popatrzeć. Była z jakąś koleżanką. Nie pamiętam jej imienia. Taka długowłosa blondynka. Nazywali ją Barbie.

- Karolina Jasińska?

- Możliwe.

- Co było dalej?

- Cóż, nauczycielka proponowała im, żeby do nas dołączyły, nawet próbowały, ale okazało się, że nie mają tego czegoś... Krótko mówiąc, talentu. - Uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Spotykaliście się poza szkołą?

- Jakżeby inaczej. Chodziliśmy wtedy całą paczką do kina, na koncerty, na imprezy... One także przychodziły.

- Rozumiem, ale mnie interesuje co innego - czy spotykał się pan z nią sam na sam. Na randkach. - Podinspektor zauważył, że mężczyzna lekko się zaczerwienił.

- No, może raz czy dwa.

- Więc to była przelotna znajomość?

- Nigdy nie traktowałem jej serio. Ja... miałem w tym czasie inne plany - odparł wymijająco, szybko odwracając wzrok.

- Jakie? Jeśli można wiedzieć... - zainteresował się Krzysztoforski.

- To żadna tajemnica. Chciałem zdawać na aktorstwo. Dużo się uczyłem. Niestety, los zdecydował inaczej... - odpowiedział, całkiem już czerwony.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Miałem problemy... związane z wiekiem dorastania. Chciałem się usamodzielnąć, pokazać rodzicom, że mogę sam o sobie decydować. Wie pan, takie tam typowe dla tego wieku dążenia i ambicje. - Nieznacznie się uśmiechnął. - Zamiast iść do szkoły aktorskiej, wyjechałem za granicę. Najpierw do Niemiec, potem do Wielkiej Brytanii. Błąkałem się tu i tam, miałem się różnych zajęć. Pracowałem na budowie, na zmywaku. No i... poznałem smak dorosłości, który wcale nie okazał się taki wspaniały, jak to sobie wyobrażałem. - Uśmiechnął się smutno. - W pewnym momencie było mi tak ciężko, że myślałem, że już nie wytrzymam... Dopiero wtedy doceniłem to, co wcześniej dostawałem od rodziców. Postanowiłem wrócić do domu. Aktorstwo przestało mnie już interesować. Skończyłem finanse i bankowość na SGH, a potem jeszcze zrobiłem MBA. Pod koniec studiów wygrałem staż w firmie, w której pracuję do dzisiejszego dnia. To chyba wszystko...

- Często pan wyjeżdża?

- Mam sporo wyjazdów służbowych. Głównie do Londynu i Paryża. Czasami do Szwajcarii.

- Na jak długo?

- Kilka dni. Maksimum tydzień.

Odpowiedzi zgadzały się z tym, co powiedziała jego sąsiadka.

- Czy przypomina pan sobie coś dziwnego, niepokojącego... może coś, co wydarzyło się podczas znajomości z Dagmarą, kiedy chodziliście jeszcze do szkoły?

- Nie - odparł natychmiast Krystian.

Twarz mu się ściągnęła, a dobrze widoczna grdyka na opalonej szyi poruszała się w górę i w dół, wskazując, że nerwowo przelyka ślinę. Teraz to już na pewno kłamie. Mowa ciała zawsze zdemaskuje człowieka.... pomyślał Stanisław, ale nie miał żadnego pomysłu, jak by tu pociągnąć faceta za język.

- Gdyby jednak pan sobie o czymś przypomniał... - podinspektor wyjął wizytówkę i podał ją Krystianowi.

- To oczywiście do pana zadzwonię - dokończył za niego Waszak. Nawet nie starał się udawać, że mu ulżyło, iż przesłuchanie dobiegło końca.

Następnego dnia rano zatelefonował do Marie. Czuł rozchodzące się po całym ciele przyjemne ciepło, kiedy pochwalila go za wyniki. Rzecz jasna, nie omieszkał podzielić się z nią swoimi spostrzeżeniami na temat Krystiana Waszaka, który nie dość, że znał Dagmarę Rusino, to jeszcze miał w liceum lekcje łaciny i w dodatku często wyjeżdżał do Paryża. Opis ten pasował jak ulał do ich sprawy. Ale czy rzeczywiście przystojny Kris jest dusicielem, którego tak długo już szukają? Postanowili, że Stanisław jak najszybciej przygotuje w tej sprawie raport i wspólnie z Marie wystąpią do władz o zgodę na śledzenie podejrzanego.

Po wyjściu policjanta Krystian czuł się fatalnie. Był na siebie wściekły, że nie odpowiadał dostatecznie przekonująco. Przez

długi czas trawił tę rozmowę niczym tłustego schaboszczaka, przypominając sobie wszystkie pytania, które mu zadał wnikliwy pan podinspektor, i kolejno analizował w myślach swoje odpowiedzi.

32.

Dopalał właśnie papierosa, gdy przed wejściem do budynku prefektury podeszło do niego dwóch barczystych mężczyzn. O rany! Na sam ich widok nóż się w kieszeni otwiera, przemknęło mu przez głowę.

- Inspektor Bresson? - zapytał jeden z nich, choć César czuł przez skórę, że to pytanie jest tylko czystą formalnością. Mężczyźni zbliżyli się do niego, dotykając barkami jego ramion. - Jesteśmy od komisarza Fauquarta. Pójdzie pan z nami.

- Mowy nie ma! - burknął zdenerwowany César. - Niech sam się do mnie pofatyguje.

Mężczyźni natarli na niego całym ciałem. Jeden z nich złapał go za ramię, a zaraz potem wykręcił mu do tyłu rękę.

- Puszczaj, bydlaku! - syknął z bólu César, próbując się oswobodzić.

- Nie szarp się, bo pożałujesz. - Drugi mężczyzna z uśmiechem zacisnął mu na karku palce swojej ciężkiej dłoni. César musiał się mimowolnie schylić. Przez chwilę stał spokojnie. Wyglądało, jakby poddał się ich woli.

- Do samochodu! - rzucił komendę jeden z osiłków. César zrobił posłusznie kilka kroków, a gdy tylko poczuł, że

ucisk na jego ręce i szyi nieco zelżał, zerwał się w bok do ucieczki.

Nie miał szczęścia. Mężczyźni byli równie szybcy, co silni. Natychmiast pochwycili go w swoje łapy, zadając przy okazji kilka celnych ciosów. Na chodnik wjechał z piskiem opon czarna peugeot 607, do którego César został brutalnie wepchnięty.

O co jestem oskarżony? - zapytał hardo César, kiedy przyprawiono go na przesłuchanie. Zdążył już nieco ochłonąć po krótkiej bijatyce i godzinnym pobycie w celi. Czuł opuchliznę nad górną wargą, którą co rusz oblizywał językiem. Starał się uspokoić i zebrać myśli, choć nie było to łatwe, zważywszy na okoliczności. Niestety, zabrano mu komórkę, nie miał więc możliwości skontaktowania się z kimkolwiek, kto mógłby mu pomóc. Siedział teraz na niewygodnym krzeselku dla przesłuchiowanych, a na wprost niego rozwalił się w fotelu Fauquart. Któż inny mógłby stać za tym bezczelnym uprowadzeniem? Na dzielącym ich biurku leżała cienka szara teczka, w której znajdowały się prawdopodobnie jakieś dokumenty. Tylko jakie? Prawdziwa zagadka. Ponieważ Fauquart nie odpowiadał, przyglądając się z uwagą swoim paznokciom, César powtórzył głośno:

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego zostałem zatrzymany?
- Wszystko w swoim czasie, mój mały. - Komisarz uśmiechnął się zjadliwie. Z leżącego na parapecie czarnego skózanego płaszcza wyjął napoczętą paczkę papierosów i zapalił. Dmucnął dymem wprost w twarz Césara. Błękitno-biała smuga oplotła jego głowę. César poczuł nieprzyjemny skurecz w

przełyku. Strasznie chciało mu się palić. Spojrzał łakomie na pudełko leżące na biurku, ale nie poprosił o papierosa. W końcu miał swój honor. Nie będzie żebrał o kawałek szluga u tego lamusa...

- Jak będziesz grzeczny, to może dam ci zapalić. Może...
- powiedział Fauquart, zaciągając się z uśmiechem. Odchylił się w fotelu, unióśł nogi i oparł je na biurku. César odsunął się z krzeselkiem od biurka. Było mu niewygodnie. - Ej, ty, nie próbuj żadnych sztuczek! - Zarechotał. - Nie tacy cwani jak ty się na mnie przejechali. - Rozejrzał się za popielniczką, a ponieważ żadnej tutaj nie było, zagasił niedopałek o parapet, po czym upuścił go niedbale na podłogę.

César milczał. Wiedział, że jego spokój wyprowadza Fauquarta z równowagi.

- Jak długo się z nią spotykałeś? - ryknął nagle komisarz. César poczuł lekki dreszcz, ale nie ze strachu przed podniesionym głosem Czarnego Płaszczka, tylko z obawy, że jego romans z Lolą wyszedł w końcu na jaw. Cholera, jakim cudem do tego doszli.... pomyślał w popłochu. Postanowił grać na zwłokę.

- Z kim, komisarzu? Bo jakoś nie kojarzę...

- Nie rób głupa. Z tą... jak jej tam było... Catherine Miloux.

César odetchnął. Zwykle nieporozumienie. Błąd w sztuce. Zdarza się nawet takim superfachowcom jak Fauquart... Przecież nie miał nic wspólnego z Katią.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł pewnym głosem. - Nigdy nic mnie nie łączyło z tą kobietą. Poza tym, że znalazłem na peronie jej zwłoki. Widziałem ją wtedy po raz pierwszy w życiu.

- Tak mówisz? Ciekawe, bardzo ciekawe... - Czarny Płaszcz spojrział na niego przenikliwie. Potem otworzył teczkę i wyjął z niej kilka zdjęć. Rzucił je na biurko w stronę Césara. - Masz pecha, chłopcze. Sfilmowano was na parę dni przed jej zabójstwem. Zgadnij, gdzie to było? Nie wiesz? To ja ci powiem: na stacji metra. Kiedy tak na was patrzę... - uśmiechnął się po swojemu - to muszę przyznać, że *Love Story* wysiada. Co za miłość, niech mnie kule biją. Chyba się rozplaczę...

César przysunął się z powrotem do biurka. Wziął do ręki leżące przed nim fotografie. O cholera. Facet nie kłamał. Rzeczywiście pochodziły z kamery umieszczonej nad peronem i rzeczywiście przedstawiały parę splecioną w miłosnym uścisku. Kobieta była szczupła, miała jasne włosy, ciemne pantofle i płaszcz, w którym zamordowano Katię. Stała odwrócona tyłem do oka kamery, więc nie było widać jej twarzy. Za to mężczyzna był doskonale widoczny i César nie miał żadnych wątpliwości, że na zdjęciu widzi siebie.

- Nieźle mnie wtedy nabrałeś, kolego. Nie dałeś po sobie poznać, że znałeś ofiarę. I jeszcze ta historyjka o mordercy w tunelu. Koń by się uśmieł. Owszem, uciekał tam taki jeden, ale nie morderca, bo byłeś nim ty, tylko biedny śmierzący klo-szard, który przypadkiem był świadkiem twojej zbrodni. Teraz już mi się, bratku, nie wywiniesz. Mam cię w garści! - prawie krzyczał Fauquart.

- To jakieś nieporozumienie - westchnął César, przelżykając głośno ślinę. - To nie jest Katia Milouxi... - spojrział spod oka na komisarza - jestem w stanie to udowodnić.

- Daj spokój. Masz mnie za głupca? Nie uwierzę już w ani jedno twoje słowo - parsknął Czarny Płaszcz.

- Przecież pan wie, że mam alibi na czas morderstwa. Byłem wtedy z kumplem na piwie. Mówiłem, że...

- Funta kłaków niewarte to twoje alibi - przerwał mu ostro Fauquart. - Tak się składa, że twój koleś był w tym czasie zupełnie gdzie indziej. Oto dowód. - Komisarz wyjął z teczki jakąś kartkę i położył ją Césarowi przed nosem. Był to wydruk z policyjnego radaru. César ujrzał na nim twarz Jeana Breteila sfotografowaną przez przednią szybę samochodu. W dolnym prawym rogu widniała data i godzina. Zdjęcie zrobiono na autostradzie, osiemdziesiąt kilometrów od Paryża.

- Cholera - zaklął cicho.

Fauquart przez cały czas obserwował swojego jeńca, jakby ten był muchą, którą uwięził w szklanym słoju. Musiał się przy tym niezłe bawić.

- Sam widzisz, że łiesz jak pies. Prędzej czy później prawda wychodzi na jaw. A ja jestem tutaj od tego, żeby wyszła jak najprędzej - zabłysnął dowcipem. - Mamusia cię nie uczyła, że kłamstwo ma krótkie nogi? Powinna była częściej w dupę lać... - Zaśmiał się szyderczo.

César odłożył dokument na biurko. Oparł na nim łokcie, a twarz zakrył dłońmi. Sytuacja wydawała się beznadziejna. On, inspektor wydziału kryminalnego paryskiej policji, oskarżony o zabójstwo tancerki. Bez sensu. Po co miałyby to robić? Ale zaraz, przecież to było jedno z seryjnych morderstw. Podniósł wzrok na Fauquarta. Tamten patrzył wyczekująco.

- Mogę papierosa? - zapytał César, spoglądając na paczkę leżącą na biurku. Fauquart bez słowa popchnął w jego kierunku pudełko i zapalniczkę. César wyjął papierosa i przez

chwilę pocierał go w palcach. Następnie włożył go do ust, przypalił i się zaciągnął. Dym przyniósł przyjemne ciepło i rozluźnienie. - Naprawdę uważa pan, że to ja zabiłem Katię Miloux? - Spojrzał na komisarza, mrużąc oczy od dymu. Tamten lekko skinął głową. - Przecież Katia to ofiara seryjnego mordercy. Została zabita w dokładnie taki sam sposób jak pozostałe tancerki. Chyba nie sądzi pan, że jestem sprawcą tych wszystkich zbrodni?

- To się jeszcze okaże. Jeśli twoje alibi na pozostałe dni będą tak samo dobre... - odparł z uśmiechem Fauquart.

Zapadła cisza. César nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Póki co wystarczy, że przyznasz się do tej jednej zbrodni - powiedział komisarz.

- Po co miałbym to robić? To już wolę od razu strzelić sobie w łeb... - w głosie Césara pobrzmiwała desperacja.

- Jest pan żonaty, inspektorze?

Fauquart zaczął nieoczekiwanie zwracać się do niego per pan, jakby w ten sposób chciał zwiększyć między nimi dystans. César skinął powoli głową.

- Pańska żona spodziewa się dziecka?

César musiał znów przytaknąć.

- Ano właśnie. I tu jest pies pogrzebany... - Spojrzał przeciągle na przesłuchiwanego. - Ale nie przeszkadzało to panu bynajmniej gzić się z tancerką z nocnego klubu. Być może ta dziewczyna chciała czegoś więcej, niż być tylko pańską kochanką. - Czarny Płaszcz miał już najwidoczniej gotowy scenariusz. - Może zaczęła przypierać pana do muru, nalegała na rozwód. Postawiła panu ultimatum... A przecież pan, szanujący się policjant, przykładowy mąż, nie chciałby, żeby taka śmierdząca

sprawa wyszła na jaw. Afera, skandal... No i dobrą opinię diabli wzięli - westchnął głośno.

- Naprawdę uważa pan, że to wystarczy, by zabić?

- Jest pan nie od dziś w policji i dobrze wie, że ludzie mordują z bardziej błahych powodów - odparł filozoficznie Fauquart. - A pan miał prócz tego ułatwione zadanie, mógł zataić sprytnie swoją zbrodnię. Prowadzi pan przecież śledztwo w sprawie seryjnych morderstw. Cóż prostszego, niż dopisać kolejną literę. W końcu Katia też była tancerką. I to nawet w typie naszego dusiciela. Komu przyszłoby do głowy, że zabił ją policjant, a nie seryjny dusiciel?

- Panu - wypalił César.

- Brawo! Tak się składa, że trafiłeś na mnie, chłopcze - powiedział z wyższością Fauquart. - W przeciwnym razie mógłbyś jeszcze długo działać bezkarnie. Ale nie udało się... I bardzo dobrze. - Posłał Césarowi jeden ze swoich zjadliwych uśmiezków.

- Gdyby pan tylko wiedział, jak bardzo się myli. Nie mam z tą sprawą nic wspólnego - oświadczył César. - Absolutnie nic.

- Czyżby? A ten nóż, który schowałeś u pani doktor Lenord? Czy nie jest to przypadkiem brakujące ogniwo w naszym łańcuszku? No co się tak gapisz? Znowu nie wiesz, o czym mówię? O narzędziu zbrodni popełnionej na naszym kloszardzie.

César jęknął w duchu i zaczerwienił się po same uszy. Jak pech, to pech. Musieli zrobić drugą kontrolę w laboratorium C. Boże, żeby tylko móc się dowiedzieć, jakie były wyniki badań tego nieszczęsnego noża. Jeżeli się okaże, że krew na nim zasznięta pochodziła od kloszarda... Na samą myśl o tym

zrobiło mu się słabo. Czyżby groźby Diny zaczynały się właśnie spełniać?

- Nic nie wiem o żadnym nożu - skłamał, patrząc komisarzowi prosto w oczy. - To zwykłe pomówienie.

- Cóż, Constance dzielnie pana broniła. Jak lwica swoje młode. Do czasu...

Zapadła chwilowa cisza. César dopalił papierosa. Przydeptał niedopałek końcem buta.

- Daj spokój, chłopcze - powiedział wesoło Fauquart. - Twoja sytuacja jest tak gówniana, że oburzanie się i zgrywanie świętoszka jest co najmniej zabawne.

- Chcę rozmawiać z komisarzem Vincentem - rzekł twardo César. - Inaczej guzik ze mnie wyciągniecie...

- Z Vincentem? A po co, jeśli można spytać... Twój dobroduszny pryncypał i tak ci nie pomoże. - Fauquart zdjął nogi z biurka i pochylił się do Césara. Jego głos był spokojny, a wzrok przenikliwy. - Nie masz już na co liczyć, bratku. Najlepiej dla ciebie będzie, jeśli...

- Chcę się widzieć z Vincentem - przerwał mu César. - Od tej pory będę rozmawiał tylko z nim. Z nikim innym.

Fauquart wstał, odsuwając z hukiem fotel. Nietrudno było zgadnąć, że jest zły jak diabli. Jak sto diabłów. Porwał z parapetu czarny płaszcz i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi. Jego skórzany pasek smagnął przypadkiem (czy aby na pewno przypadkiem?) policzek Césara, który nie zdążył się uchylić.

- Otwierać! - krzyknął Fauquart, waląc pięścią w drzwi. Zazgrzytał klucz. Drzwi otworzyły się gwałtownie. - A tego tu... z powrotem do pudła. Niech tam gnije... bestia - syknął przez ramię do strażnika. - To było moje ostatnie słowo...

33.

Minęły chyba więcej niż cztery godziny, nim Vincentowi udało się wreszcie załatwić widzenie z Césarem. Czekał w tym samym pomieszczeniu, w którym César wcześniej rozmawiał z Fauquartem. On też siedział w fotelu za biurkiem, zwrócony twarzą w stronę zakratowanego okna. Kiedy wprowadzono Césara, komisarz odwrócił się i podniósł ciężko z fotela. Przez chwilę stali obaj w milczeniu, patrząc sobie w oczy. César przy drzwiach, Vincent na końcu pokoju, pod oknem. Potem César zrobił kilka kroków w stronę biurka, przystanął jednak niepewnie, nie wiedząc, co dalej zrobić i czy wypada mu usiąść. Od rana nic nie jadł i nie pił. Był o jednym tylko papierosie, którym poczęstował go Fauquart. Czuł coraz silniejsze ssanie w żołądku, a wysuszone na wiór gardło domagało się jakiegoś płynu.

- Siadaj - powiedział sucho komisarz i opadł na fotel, jakby mówienie strasznie go męczyło. Twarz miał dziwnie zszarzałą, oczy podkrążone. Wyjął z kieszeni nową paczkę marlboro i zapalniczkę. Położył je na biurku przed Césarem. - Masz, zapal.

César bez namysłu sięgnął po papierosa.

- Szeffie, chyba mu pan nie wierzy? - Popatrzył na niego z ufnością.

- A nie powinienem? - Stary miał nieodgadnioną minę, co trochę zbiło Césara z tropu. Do tej pory był pewien, nie, nawet więcej, dałby sobie rękę uciąć, że Vincent będzie trzymał jego stronę. A teraz... Teraz odnosił wrażenie, że Stary nie jest do końca przekonany o jego niewinności.

- Chyba nie myśli pan, że ja... - jęknął nieszczęsny aresztant.

- Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - odparł z goryczą Vincent i znów odwrócił się do okna. César nie widział teraz jego twarzy. - Jedno ci mogę powiedzieć: dowody przemawiają przeciwko tobie.

- Jeśli da mi pan pięć minut, zaraz wszystko wytłumaczę - poprosił błagalnym tonem César.

Był tak zdesperowany, że gdyby tylko trzeba było, całowałby Starego po rękach.

- Dobrze. - Vincent odwrócił się w jego stronę. - Ale pod jednym warunkiem. Od tej chwili masz mówić wyłącznie prawdę. Zrozumiano? Jeżeli przyłapię cię na kłamstwie, natychmiast wychodzę. I nie próbuj mnie brać na litość. Potem będziesz się tłumaczył Fauquartowi.

- Tak jest - odparł César służbiście, przydeptując niedopałek rzucony na podłogę.

- No to słucham. - Stary patrzył na niego wyczekująco. - Co cię łączyło z Katią Miloux?

- Nic. - Vincent skrzywił się lekko. - Nie znałem jej - dodał szybko César. - Pierwszy raz zobaczyłem ją na peronie metra, kiedy już nie żyła.

- Pieprzysz! - warknął Stary. - Widziałem film, na którym ty i Katia obejmujecie się jak para zakochanych. I całujecie się, a jakże... Jeśli tak ma wyglądać twoja szczerza spowiedź, to pozwolisz, że na tym skończymy rozmowę.

- Nie! Przysięgam. Mówię prawdę. To nie była Katia! Dziewczyną, z którą byłem wtedy na peronie i z którą rzeczywiście się całowałem, jest Nadia Terniev. Koleżanka Katii z teatru. Jeśli się pan dokładnie przyjrzy, to sam pan zobaczy, że na żadnym ujęciu nie widać jej twarzy. Obie były podobnie zbudowane, szczupłe, wysokie i miały jasne włosy. Fauquart

uznał, że na filmie stoję z Katią, ponieważ w chwili śmierci miała na sobie płaszcz pożyczony od Nadii. Oliwkowy trencz. Ten sam, który widać na filmie. Cholera, ja to mam jednak szczęście... - westchnął ciężko.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie zameldowałeś? - Vincent pokręcił głową, patrząc z wyrzutem na Césara.

- A jak miałem to zrobić? No jak? - César prawie krzyczał. - Przyjść i powiedzieć: szefie, mam romans z tancerką z Crazy Horse? To przyjaciółka jednej z zamordowanych przez tego szaleńca... Przecież z miejsca odsunąłby mnie pan od tej sprawy. Aż takim naiwniakiem nie jestem. - Sięgnął po następnego papierosa.

- Ale przynajmniej nie gnijbyś w pierdłu, ty kretynie! Jeszcze trochę, a przestanę cię żalować, idioto skończony!

Zapadła chwila ciszy. Obaj siedzieli zamyśleni. Pierwszy odezwał się Vincent.

- Jak długo się spotykacie?

- Długo.

- Konkrety! - krzyknął komisarz ze wściekłością. - Chcę znać daty, szczegóły...

- Poznaliśmy się w dniu mojego wieczoru kawalerskiego - powiedział cicho César. - Chłopaki kupiły bilety. Poszliśmy na spektakl. Zobaczyłem ją na scenie i... sam nie wiem, co się ze mną stało. Urwałem się koleżkom i poszedłem na tyły teatru. Czekałem, aż wyjdzie.

- Warto było?

- Nie wiem... Kocham ją, komisarzu. Po prostu. Ludzka rzecz. Zwyczajnie się zakochałem. A panu to się czasem nie zdarzało?... - Spojrzał ze smutkiem na szefa.

- Mam nadzieję, że ta Nadia potwierdzi twoje zeznania - odparł szorstko Stary i szybko odwrócił wzrok.

- Ja też... ja też mam taką nadzieję - wyszeptał César.

- No dobra, bo mi się zaraz rozbeczysz jak baba. Po co ta ściema z fałszywym alibi?

- Wkurzyłem się, i tyle... Fauquart chciał mnie przyprzeć do muru. Nie mogłem mu powiedzieć prawdy, bo dopiero wtedy przyczepiłby się jak rzep psiego ogona i już nie odpuścił. Przecież sam pan powiedział, że to twardy zawodnik. W końcu musiałbym się przyznać do romansu z Nadią. Powiedziałem byle co, żeby tylko coś powiedzieć. Zyskać na czasie...

- A nóż? Skąd go, u licha, wytrzasnąłeś? Zdajesz sobie sprawę, że to cię stawia w bardzo niekorzystnym świetle?

- Komisarzu, ja... Ten nóż nie ma żadnego związku ze sprawą dusiciela. Znalazłem go przypadkiem w mieszkaniu Nadii. Przy okazji się nim skaleczyłem. A potem poprosiłem Constance, żeby go zbadła.

- Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Jak to: nie ma związku?

- Vincent zaczął krążyć po pokoju, coraz szybciej i szybciej. Widomy znak, że przeistoczył się w tygrysa, porzucając skórę leniwca... - Znalazłeś go w mieszkaniu przyjaciółki jednej z ofiar seryjnego mordercy. Jak rozumiem, nóż był ukryty. Nie dała ci go sama. Są na nim ślady zaschniętej krwi, niekoniecznie kurczaka, tylko twojej. Być może są też odciski palców. Tak się składa, że przy okazji zabito kłoszarda. Prawdopodobnie nożem. Narzędzia nie odnaleziono. I ty mi mówisz, że ten nóż nie ma związku? Cymbał jesteś, czy chcesz ze mnie zrobić idiotę?

- Ma pan rację. Od razu skojarzyłem te fakty. Jednak żeby dać oficjalnie nóż do badania, musiałbym się przyznać, skąd go mam.

Komisarz nic nie odpowiadał. César czuł, że tłumaczy się jak ostatni dureń. Jak mógł być tak nierozważny, by sądzić, że sprawa nie wyjdzie na jaw? Gdzieś w środku przecież czuł, że te dwie sprawy łączą się ze sobą, tylko nie chciał się do tego przyznać.

- Jestem idiotą - wyszeptał z opuszczoną głową. Nie miał odwagi spojrzeć komisarzowi w oczy.

- Słucham?

- Nie wiem, co mnie opętało. Chciałem to wszystko sprawdzić sam. Przekonać się, że Nadia jest niewinna. Że ten nóż... że nie ma żadnego związku ze sprawą dusiciela. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że może być inaczej. - Vincent westchnął. César mówił dalej. - I wie pan co, przesłałem to wszystko...

- Weź się w garść, chłopie. I módl się do Pana Boga, żeby krew na nożu nie należała do tego nieboraka kloszarda, którego znalazłeś w tunelu. Jadę przesłuchać tę twoją ślicznotkę. Jeśli potwierdzi twoje zeznania, pomogę ci. Jeśli nie... nie chciałbym być w twojej skórze. - Vincent spojrzał groźnie na Césara. - Tymczasem nie rozmawiaj z nikim. Zwłaszcza z Fauquartem. Gęba na kłódkę, kapujesz?

- Dziękuję, komisarzu.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie... Chociaż, przydałaby się jakaś bułka. Nawet czerstwa... I papierosy. - César spojrzał wymownie na leżącą na stole paczkę.

- Weź - odparł Vincent. - Każę ci przysłać kolację. Żebyś mi tu nie padł z głodu.

- I jeszcze jedno. Proszę nie zawiadamiać mojej żony. Błagam... Może któryś z chłopaków mógłby do niej zadzwonić i przekazać, że pracuję non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę? - Czuł, że twarz mu płonie.

- Jak chcesz - powiedział komisarz, krzywiąc się z niesmakiem.

34.

Zgodnie z obietnicą komisarza Vincenta César otrzymał wieczorem paczkę, dzięki czemu nie był skazany na więzienne jedzenie. W wiklinowym koszu znalazł kilka kanapek z szynką, kawałek sera brie owinięty w aluminiową folię, jogurt, dwie butelki wody mineralnej, jabłko, a także paczkę swoich ulubionych papierosów i pudełko kawowych cukierków. César zastanawiał się, kto przygotował dla niego te pyszności, bo pomyślał naprawdę o wszystkim. Kanapek wystarczy mu na śniadanie, a cukierki zastąpią kawę, której tutaj nie podają. Oprócz koszyka strażnik podał mu jeszcze koc. Ciepły, wełniany. César mógłby przysiąc, że koc miał zapach Marie. Dziwne, że właśnie o niej pomyślał. Dlaczego nie o Loli? No jasne. Jakim cudem zdążyłaby to wszystko przygotować? Przecież o tej porze była już w teatrze i szykowała się do przedstawienia. Poza tym jej lodówka była wiecznie pusta. Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie jej mansardy. Zjadł trzy kanapki i ser, popił wodą. Potem położył się na łóżku. Przykryty miękkim kocem palił

papierosa, wyobrażając sobie przygotowania do spektaklu. Kiedy zasypiał, miał pod powiekami niebiańsko piękne ciało Loli leżącej na czerwonej kanapie w światłach reflektorów.

Obudził go chłód wczesnego poranka. Nieosłonięte niczym okno wpuszczało do celi snop białego światła. Naciągnął koc i spróbował ułożyć się wygodniej na twardej, śmierdzącej pry-czy. Jego ubranie przesiąknięte było zapachem papierosów i niemytego ciała. Dość nieciekawa mieszanka, nawet dla za-prawionego w bojach policyjnego nosa. Wiercił się przez chwile, ale nie znalazł sobie żadnej wystarczająco wygodnej pozycji do spania. Mówi się trudno. Otworzył nową paczkę z papiero-sami, z której na podłogę wypadła maleńka karteczka. Sięgnął po nią zdziwiony. A to co? Rozprostował złożony na czworo kawałeczek papieru i wtedy zobaczył drobne, ale wyraźne pi-smo. Od razu zrobiło mu się ciepłej. Zwłaszcza na duszy... „NA-DIA POTWIERDZIŁA TWOJE ZEZNANIA. CZEKAMY NA WYNIK BADA-NIA KRWI Z NOŻA. JESTEŚMY Z TOBĄ. TRZYMAJ SIĘ, M”. César miał ochotę ucałować tę pomiętą kartkę. A więc jednak! Lola przy-znała, że to ona jest dziewczyną, z którą sfilmowano go w me-trze. Musiała również złożyć wyjaśnienie, że płaszcz, w którym znaleziono Katię, był jej własnością. Ciekawe, czy pytali ją o nóż? Chyba jej nie zamknęli?! Cholera, a jeśli tak... César przy-palił papierosa. Wiedział, że dla Nadii byłby to straszny cios. Jest taka wrażliwa, taka delikatna. Tak łatwo się załamuje. Przypomniał sobie jej nieudaną - na szczęście - próbę samo-bójczą. Czy ta tupecziara Dina nie ma na nią przypadkiem złego wpływu? Może Nadia jest tak bardzo niestabilna emocjonalnie właśnie z powodu siostry? Są jak dwa bieguny. Jak ogień i woda.

Dina to prawdziwy taran, silna, zdecydowana, nieustraszona, a nawet agresywna. Aż trudno uwierzyć, że są dziećmi tych samych rodziców.

Skąd u Loli wziął się ten cholerny nóż? Niemożliwe, żeby próbowała kogoś zabić. A jeśli jest chora psychicznie? Cierpi na rozdwojenie jaźni? Doktor Jekyll i mister Hyde w kobiecym ciele? Może w nocy zmienia się w krwiożerczego potwora, śledzi inne tancerki i dusi je... Nie, to bez sensu. Do uduszenia kobiety o tej samej co ona posturze potrzebowałyby cholernie dużo siły. Poza tym morderstwa wydarzyły się w innych dzielnicach, daleko od Crazy Horse. Lola nie zdążyłaby tam dojechać po spektaklu. Musiałaby wyjść przed zakończeniem przedstawienia, o czym wszyscy w teatrze doskonale by wiedzieli. Natychmiast odrzucił taki scenariusz, świetnie nadający się wprawdzie na mroczny thriller, ale w życiu raczej karkołomny. Ale co z nożem? Skąd się wziął w jej mieszkaniu? A jeżeli ekspertyza wykluczy krew kloszarda... Co wtedy?

Strasznie dużo tych pytań, głowa może od tego wszystkiego spuchnąć. César westchnął ciężko. Nagle przypomniała mu się rozmowa z Diną, która zabroniła mu kategorycznie mieszać się w ich sprawy rodzinne. A ściśle mówiąc, nie drążyć tematu ich ojca. Pytanie brzmi: dlaczego? Co się za tym kryje? A może ten nóż to jej sprawka? Przecież ich matka została dźgnięta nożem przez niepoczytalnego ojca, a narzędzia zbrodni nigdy nie odnaleziono... Zaraz, zaraz... Czyżby to był ten nóż? Siostry mogły być świadkami zbrodni i schowały nóż pod zlewem w kuchni, żeby... Klepnęła się w czoło otwartą dłonią. No jasne. Więc może ich ojciec nie jest wcale niepoczytalny. Mógł przyjąć taką linię

obrony i udawać wariata, żeby uniknąć więzienia. Brak dowodów w śledztwie z całą pewnością byłby jego kartą przetargową i wpłynąłby ostatecznie na korzystny dla niego wyrok sądu. Pewnie głowiliby się nad tym do samego wieczora, gdyby w południe strażnik nie wyprowadził go z celi. Po raz trzeci César znalazł się w pokoju przesłuchań. Tym razem za biurkiem siedział Fauquart, a zaraz za nim, oparty o framugę okna, stał Vincent. César zatrzymał się przy krzeselku. Przez chwilę wszyscy trzej patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie komisarz Vincent postanowił przerwać krępującą ciszę.

- Nadia Terniew potwierdziła wczoraj twoje zeznania. - Vincent odwrócił się powoli do okna, a następnie zdjął z parapetu kilka drobiazków należących do Césara, które mu wczoraj odebrano. - Tu są twoje rzeczy. Sprawdź, czy niczego nie brakuje.

César odetchnął z ulgą. Dzięki Ci, Boże! Rzucił okiem na swoje skromne mienie. Portfel i klucze schował do kieszeni. Telefon także. Skontrolował wcześniej, czy bateria się nie wyladowała. Miał siedemnaście nieodebranych połączeń i kilka wiadomości. Trochę się tego nazbierało, to fakt. Sprawdzi je później.

- Nie ma mojej legitymacji - stwierdził, patrząc z niepokojem na szefa.

- Legitymację i broń zatrzymaliśmy do czasu ostatecznego wyjaśnienia twojej sprawy. To jeszcze nie koniec. Zostałeś zawieszony w obowiązkach służbowych pod zarzutem utrudniania śledztwa i zatajenia dowodów - odparł zimno Czarny Płaszcz. - Masz być do dyspozycji prokuratury, gdyby zaszła konieczność złożenia dodatkowych wyjaśnień. Nie wolno ci opuszczać Paryża bez powiadomienia i zgody...

- Przykro mi, César - powiedział cicho Vincent - ale taka jest procedura. Zresztą, co ja ci tam będę gadał. Sam przecież wiesz.

Stary zaproponował, że go odwiezie do domu. Dzięki temu mogli przez chwilę porozmawiać na osobności. Koszyk i pleś César położył na tylnym siedzeniu.

- Niech pan podziękuje Marie. - Spojrzał spod oka na Starego.

- Skąd wiesz, że to od niej? - zdziwił się Vincent.

- Wydukałem - odparł wymijająco César. Nie chciał zdradzać Marie, jego cichej sojuszniczki, i wspominać o napisanej jej ręką informacji. - Są już wyniki badania noża?

- Tak. Szczerze mówiąc, tylko dlatego Fauquart zgodził się cię wypuścić.

- To znaczy?

- Krew zaschnięta na ostrzu miała grupę o. Mogła być twoja, ale nie kloszarda. On miał ARh+. To wykluczyło nóż jako ewentualny dowód w sprawie. Constance prosiła, żeby cię pozdrowić.

- Dziękuję. Kiedy będę mógł wrócić do pracy? - Vincent ostro zahamował.

- Nie słyszałeś, co powiedział Fauquart? Jesteś podejrzany o umyślne utrudnianie śledztwa. Dopóki nie oczyścisz się z zarzutów...

- Kto w takim razie przejmie dochodzenie?

- Nie ma ludzi niezastąpionych - westchnął komisarz.

- Kto?!

- Marie. Która to ulica? - Wjechali właśnie z obwodnicy do Gentilly.

- Druga w lewo. To ten szary budynek. O tam! - César pokazał ręką dom, w którym mieszkał.

Vincent zatrzymał samochód przed wejściem na klatkę schodową.

- Nie pytasz o żonę?

- Domyślam się, że któryś z chłopaków zadzwonił do niej wczoraj, tak jak prosiłem.

Komisarz nie odpowiedział. Tylko twarz ściągnęła mu się prawie niezauważalnie.

Wszedł do mieszkania, w którym przywitała go cisza. Zrzucił brudne ubranie i z radością wskoczył pod prysznic. Chyba pół godziny stał pod natryskiem, żeby zmyć z siebie cały brud i zapach celi. Wytarł się do sucha szorstkim ręcznikiem i ubrał się w dres. Dotknął zarostu. Psiakrew, trochę tego za dużo... Nie miał ochoty się golić. Wyjął ze spodni telefon. Brudne ubranie wrzucił do pralki. Poczował, że jest głodny jak wilk. W kuchni stał garnek z resztką makaronu w sosie bolognese. Odgrzał go i wrzucił na talerz. Zerwał kilka listków bazylii z doniczki stojącej na parapecie. Opłukał je pospiesznie i jeszcze wilgotne podarł palcami, posypując makaron. Ale zapach... Znowu zaburczało mu w brzuchu. Usiadł przy stole i zaczął przeglądać nieodebrane połączenia w telefonie, przez cały czas wymachując rażno widelcem. Część pochodziła od Joan, część od Nadii, część od Marie. Same kobiety. Dobrze to czy źle?, przemknęło mu przez głowę. Połączył się z pocztą głosową.

Pierwsza odezwała się Marie:

„César, co się z tobą dzieje? Narada już się zaczęła. Stary jest wściekły, że cię nie ma. Daj znać, co się stało... Jeśli swoim

zwyczajem masz zamiar się spóźnić, to dzisiaj lepiej nie przychodź. Cześć”

Drugą wiadomość nagrała Lola:

„César... tu Nadia. Głupio tak jakoś wczoraj wyszło. Przepraszam. Trudno mi o tym... o tej sprawie rozmawiać. W końcu to nic przyjemnego... Chyba sam rozumiesz? Oddzwoń, jak tylko odsłuchasz. Całuję”

Trzecie nagranie również zostawiła Lola. Teraz jednak w jej głosie słyhać było zdenerwowanie. Mówiła bardzo szybko:

„César, wiem, że dzwoniła do ciebie Dina. Kochanie, bardzo cię przepraszam. Niepotrzebnie jej powiedziałam o naszej rozmowie. Strasznie się zdenerwowała. Proszę cię, oddzwoń. Oddzwoń jak najszybciej. Kocham cię”

Potem nagrała się Marie:

„Co się z tobą dzieje? Odezwij się, do diabła. Stary chodzi wkurzony, jakby go giez ukąsił. Wścieka się o byle co. Fauquart nie stawiał się na zebraniu. Czuję przez skórę, że coś wisi w powietrzu. Czekam na pilny kontakt od ciebie”

Piątą i jeszcze trzy następne wiadomości zostawiła Joan. Wszystkie były do siebie podobne:

„Dlaczego do cholery, nie odbierasz moich telefonów?! Mam tego dość! Przestań mnie wreszcie oszukiwać! Nie wierzę w te twoje głupie dyżury. Masz natychmiast oddzwonić. Słyszysz? Natychmiast! Inaczej z nami koniec. Tym razem nie żartuję”

Ostatnie nagranie pochodziło znów od Marie:

„Cześć, to znowu ja. Mam nadzieję, że dostałeś... że znalazłeś moją kartkę. Strasznie mi przykro... Jak tylko odsłuchasz tę wiadomość, zadzwoń. Trzymam kciuki”

Skasował wszystkie odsłuchane nagrania i wybrał numer Marie. Po czterech sygnałach połączenie zostało odrzucone. Spróbował jeszcze raz. Znow to samo. Co jest? Postanowił zaczekać. Zdążył dojeść chłodny makaron. Po chwili zadzwonił telefon.

- Przepraszam, nie mogłam odebrać - usłyszał jej stłumiony głos. - Jesteś już w domu?

- Tak. Dlaczego mówisz szeptem?

- Nie bardzo mogę rozmawiać. Spotkajmy się dziś wieczorem. - Zabrzmiało to dość tajemniczo i César poczuł natchmianst dziwny skurcz w żołądku.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek. Gdzieś między La Cité a Gentilly. - Rozześmiała się cicho.

- Plac przy Panteonie? - Było to jedyne, co przyszło mu do głowy.

- Okej, może być.

- O dwudziestej będę czekał w bistro na rogu.

- Zatem do zobaczenia.

35.

Kiedy Joan wróciła, spał jak suseł. W zasadzie plan miał taki, że zdrzemnie się tylko chwilkę, ale stres i nieprzespana noc w celi spowodowały, że w ciepłej i ciszy sypialni odpłynął na dobre. Przetarł piekące powieki. W sypialni panował mrok. Z przedpokoją sączyła się smuga światła. Spojrzał odruchowo na zegarek. Dochodziło wpół do siódmej. Przeciągnął się i wstał z łóżka, myśląc o tym, że niedługo będzie musiał iść na spotkanie

z Marie, co z pewnością nie ucieszy Joan. Nie odbierała dziś od niego telefonu i nawet nie oddzwoniła, chociaż zostawił jej wiadomość, że jest już w domu. Wszedł do kuchni. Joan krzątała się przy zlewie. Była ubrana w luźną bawełnianą bluzkę, pod którą rysował się wyraźnie okrągły jak piłka brzuch. Zaczynał się szósty miesiąc ciąży. Joan robiła swoje, nie zwracając na niego uwagi.

- Nie oddzwoniłaś - powiedział cicho César i usiadł przy stole.

- Ty też nigdy nie oddzwoniasz - mruknęła. Pod bieżącą wodą płukała sałatę. W dalszym ciągu stała do niego tyłem.

- Dostałaś wiadomość od Vincenta?

- Wiesz co? Naprawdę mnie zadziwiasz... - Zakręciła wodę, zroszone wodą listki przełożyła na sitko i dopiero wtedy się do niego odwróciła. Wytarła dłonie w ściereczkę, po czym oparła się plecami o zlew i skrzyżowała ręce na piersi. Też bardzo się zaokrągliły. - W te twoje podłe gierki udało ci się wciągnąć nawet przełożonego. Trzeba mieć tupet...

- Nie rozumiem. - César spojrział na nią ze zdziwieniem. Już wiedział, że ta rozmowa nie skończy się dla niego pomyślnie.

- Wychodzisz o różnych porach dnia i nocy, nie mówisz dokąd... Nie dzwonisz. Nie odbierasz telefonów. Namawiasz kolegów, żeby cię kryli. Mało tego, żeby oszukiwali... Mój Boże, co z ciebie za człowiek. W życiu bym na to nie wpadła... Ale żeby wpakować w to bagno własnego szefa? To się, cholera jasna, w głowie nie mieści! - Spojrzała na niego z wściekłością w oczach. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Kochanie, to nie tak...

- A jak?! Jak?! - Głos jej się łamał. - Ciekawe, że zawsze, kiedy ty jesteś na jakiejś superważnej, cholernie tajemniczej akcji, Pierre jest w tym czasie w domu i nie ma zielonego pojęcia, co się z tobą dzieje. A przecież to twój przyjaciel i najbliższy współpracownik...

- Już nie.

- Aha, bo przestał cię kryć. No jasne...

- Nieprawda.

- Daj spokój. Jesteś żaloszny. Ża-łos-ny... - powtórzyła, sylabizując. - Już dawno się domyślałam, ale miałam nadzieję, że to coś krótkotrwałego, że to taki skok w bok, bo ja jestem w ciąży, nowa sytuacja i tak dalej. Ale nie. To trwa i trwa. Przychodzisz do domu tylko po to, żeby wziąć czyste rzeczy i się przespać... A i to nie zawsze. - Westchnęła ciężko. Oczy zaszczyły jej łzami.

- Skarbie, pozwól mi, proszę, wyjaśnić, ja naprawdę...

- Nie, César. Nie chcę już tego słuchać. Rozumiesz? Już nie! - W jej głosie brzmiała stanowczość, której nie znał. - Miałaś dość czasu, żeby to wyjaśnić, zakończyć... Żeby po prostu wyjść z twarzą z całej tej historii. Nie zrobiłeś tego, twoja sprawa. Widocznie nie potrafisz... albo nie chcesz. Proszę, żebyś spakował swoje rzeczy i jak najszybciej się stąd wyniósł. Najlepiej zaraz.

- Ależ Joan...

- Dość! - krzyknęła, patrząc na niego z odrazą.

Pierwszy raz jego żona była tak nieprzejednana. Pierwszy raz postawiła sprawę na ostrzu noża. I niestety po raz pierwszy César przyznał jej całkowitą rację.

Był w restauracji pół godziny przed czasem. Torbę z rzeczami postawił pod stołem. Zamówił butelkę rosé, a ponieważ Marie się spóźniała, już kończył ją dopijać. Zdążył dotąd trzy razy wyjść na papierosa, ponieważ w lokalu obowiązywał zakaz palenia. Zamówił drugą butelkę wina, żeby Marie nie widziała, jak nisko upadł, pijąc do lustra. Gdy tylko kelner zdążył zamienić butelki, w drzwiach stanęła Marie. Rozglądała się po zatłoczonej sali, aż zobaczyła uniesioną rękę Césara. Rozpinając pospiesznie kurtkę, przeciskała się między stolikami. César wstał na jej powitanie. Marie zatrzymała się przed stolikiem i spojrzała na niego spłoszona. Dziwne. Oboje poczuli się niezręcznie, nie wiedząc, jak się zachować. Po raz pierwszy spotkali się poza pracą. César pochylił się i pocałował Marie w oba policzki. Zarumieniała się lekko, ale nic nie powiedziała. Zauważył, że ma trochę mocniejszy makijaż i głębszy dekolt. Coś podobnego! Usiedli. Poczul zapach jej perfum, tych samych, którymi pachniał koc przyniesiony mu do celi. Marie zerknęła na jego zarost, a potem niechcący kopnęła torbę leżącą pod stołem. César przesunął torbę w swoją stronę.

- Wyjeżdżasz? - zapytała.

- W pewnym sensie - odparł wymijająco. - Co tam ciekawego w pracy? Jakież newsy? - próbował żartować. - Słyszałem, że przejęłaś prowadzenie śledztwa?

- Masz mi za złe, że się zgodziłam? - Marie patrzyła na niego z napięciem.

- Ależ skąd. Nigdy w życiu... - obruszył się natychmiast, chociaż gdzieś w głębi serca poczuł leciutkie ukłucie zazdrości.
- Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? Jeśli Stary się dowie...

- Bądź spokojny. Nie dowie się. - Przerwała mu machnięciem ręki. - Ale nie o to chodzi. Po pierwsze, od początku nie wierzyłam w oskarżenia Fauquarta wobec ciebie.

- Naprawdę? - udął zdziwienie. - Wydawało mi się, że akurat ty raczej się z nim zgadzasz.

- Wyjaśnijmy coś sobie, okej? Uważam, że zrobiłeś źle, bardzo źle, nie przyznając się od razu do znajomości z Nadią Terniev. To był twój pierwszy błąd.

- Przecież dobrze wiesz, że w takim przypadku zostałbym z miejsca odsunięty od śledztwa.

- Kto jak kto, ale ty, jako doświadczony policjant, powinieneś być zdawać sobie sprawę, czym to pachnie - stwierdziła.

- Marie... - spojrzał jej głęboko w oczy - wierz mi, praca jest dla mnie wszystkim. To całe moje życie. No, może trochę przesadziłem, ale naprawdę... Bez tego śledztwa...

- Daj spokój, César. Mnie nie musisz czarować. Oczywiście rozumiem, że praca jest dla ciebie ważna, ale chyba jednak więcej dla ciebie znaczy znajomość z panną Terniev. Na dobrą sprawę poświęciłeś dla niej wszystko. Karierę... i chyba też małżeństwo. - Spojrzała wymownie na torbę leżącą pod stołem. Trudno, żeby się nie domyśliła, w końcu nie jest idiotką...

Zapadła cisza. Do ich stolika podszedł kelner, uśmiechnął się grzecznie i przyjął od nich zamówienie. César popatrzył na ludzi siedzących przy innych stolikach.

- Masz rację - westchnął. - Zrobiłem głupstwo. Ale co się stało, to się nie odstanie...

Marie nie odezwała się. César sięgnął po butelkę, po czym dołał wina do jej kieliszka.

- Mogę cię o coś prosić?
- Słucham. - Spojrzała na niego wyczekująco.
- Chodzi o nóż, który nieoficjalnie dałem Constance do badania...

- Nie ma żadnego związku z naszym śledztwem.
- Zastanawiałaś się, gdzie go znalazłem?
- A powiesz mi?
- Pomożesz mi?
- Najpierw muszę wiedzieć, co miałabym zrobić?
- Najpierw musisz przyrzec, że mi pomożesz. I że nikomu ani słowa.

- Dobra. Mów.
- Znalazłem go pod zlewem w mieszkaniu Nadii.
- Cholera, César! Czego tam szukałeś?
- Niczego... Tak tylko przypadkiem zajrzałem.
- Kłamiesz. Zaraz, zaraz... - Marie zmarszczyła czoło. -

Czy to było wtedy, kiedy skaleczyłeś się w rękę?

- Spryciara. Nieźle kombinujesz. No więc oddałem go do analizy, bo... Posłuchaj, Nadia mówiła mi, że jej rodzice nie żyją. Ale kiedy przesłuchiowano ją po śmierci Katii, zeznała, że jej ojciec żyje i że przebywa w jakimś ośrodku opieki w Le Tap-Cul.

- Gdzie to jest?
- Dziura na północy, między Dunkierką a Calais.
- Aha. Mów dalej.
- Sprawdziłem ten trop. Okazało się, że pan Terniev rzeczywiście jest w Le Tap-Cul, tylko że nie w żadnym domu opieki, ale na zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego.

- Ciekawe.

- W systemie znalazłem informację, że osiem miesięcy temu został skazany za zamordowanie swojej żony. Zadzgał ją nożem, kapujesz? A ponieważ biegli medycy orzekli, że jest nieopozytalny, wyładował w zakładzie.

- Rozumiem, że narzędzia zbrodni nie znaleziono.

- Właśnie.

- Wobec tego trzeba koniecznie sprawdzić, czy krew należała do matki Nadii.

- Nie tylko. Prosiłem też Constance, żeby o ile to możliwe, zdjęła odciski palców. Można by je porównać z kartoteką pana Ternieva.

- I co w związku z tym?

- To właśnie moja pierwsza prośba, żebyś odebrała wyniki badań i porównała je z danymi z systemu.

- Czyli działanie poza protokołem.

- Zgodziła się. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Nie wiedziałam, o co poprosisz. Przebiegle. Myślisz, że odciski należą do Ternieva? A może... do jego córki?

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ukryto nóż. Planuję wyjazd do Le Tap-Cul.

- Chcesz się zobaczyć z Ternievem? Od razu ci mówię, że cię tam nie wpuszczą. Trzeba mieć specjalną przepustkę.

- Otóż to! - ucieszył się César. - To jest moja druga prośba.

- Chyba żartujesz! - Marie podniosła głos. Kilka osób natychmiast spojrzało w jej stronę. - Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie narażasz?

- Bez ciebie nie dam sobie rady. - César położył dłoń na dłoni Marie, patrząc jej w oczy. - W tobie cała moja nadzieja. - Uśmiechnęła się leciutko, ale natychmiast cofnęła rękę.

36.

Do Le Tap-Cul przyjechał wynajętym samochodem. Nie pytał Marie, w jaki sposób udało jej się załatwić przepustkę. Ważne, że to zrobiła. I dotrzymała słowa. Poza tym dyrektorka szpitala była już powiadomiona o jego wizycie, więc nie musiał się tłumaczyć. I bardzo dobrze. Zaprosiła go do gabinetu, urządzonego gustownie, choć skromnie, i poczęstowała świeżo zaparzoną kawą.

- Myślałam, że sprawa pana Ternieva została już dawno zamknięta - raczej stwierdziła, niż zapytała na początku ich rozmowy.

Była to kobieta dobiegająca sześćdziesiątki, drobna, niewysoka i koścista. Jej skóra wydawała się nieco naciągnięta. Césarowi od razu przyszło do głowy, że akurat ta pani doktor nie ma nic przeciwko operacjom plastycznym. Przypomnił sobie Angélique Stewart i jej zmarszczki, które obnosiła z taką dumą.

- Pojawiły się nowe okoliczności. Dlatego tu jestem - odparł, nie patrząc jej w oczy, i dopił kawę.

- Na pana miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei. Pacjent przez cały czas przyjmuje leki. Jest... nieco zobojętniały na otoczenie. To typowa reakcja.

- Nie wystarczy, że przebywa w zamknięciu? - zdziwił się César.

- No wie pan? Stwierdzono u niego chorobę psychiczną. W naszych czasach to się leczy. Myślałam, że funkcjonariusze policji mają nieco większą wiedzę na ten temat. - Dama w loczkach spojrzała na niego z dezaprobatą. - Gdyby wystarczyło go tylko odizolować, siedziałby teraz w więzieniu.

- Rozumiem. - Czuł, że się wygłupił. - Czy... jest niebezpieczny?

- Słucham? - Spojrzała na niego z góry.

- Chodzi mi o to, czy mógłby być niebezpieczny dla otoczenia.

- Gdyby nie przyjmował leków, stanowiłby przede wszystkim zagrożenie dla siebie samego. Ludzie, którzy popełnili zbrodnię w afekcie, prędzej czy później zaczynają tego żałować. Zazwyczaj nie są zwyrodnialcami o psychopatycznej osobowości. - Pokiwała głową. - Odizolowani od świata zewnętrznego, od życia codziennego, samotni, nieszczęśliwi, zaczynają tęsknić. Pojawiają się wyrzuty sumienia. W większości wypadków po jakimś czasie dochodzi do próby samobójczej.

- A czy pan Terniew mógłby być groźny... na przykład dla personelu?

Pani dyrektor wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste. Wcisnęła guzik interkomu.

- Sandro, zawołaj doktor Charteuil-Lacroix. - Spojrzała na Césara. - A wracając do pańskiego pytania... Otóż człowiek niepoczytalny zawsze może być zdolny do agresji, ponieważ nie jest w stanie obiektywnie ocenić sytuacji.

- A pan Terniew? Czy zdarzyło się kiedyś, że był agresywny? To znaczy już po jego przyjęciu na oddział...?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli pukanie do drzwi i do gabinetu weszła młoda brunetka. César nie byłby sobą, gdyby nie przyjrzał jej się lepiej, zatrzymując wzrok na swoich ulubionych partiach kobiecego ciała. Nogi i biust na piątkę z plusem, a co do bioder, to mogłaby trochę potrenować...

- Proszę zaprowadzić pana inspektora do izolatki numer 427. Nasz gość chciałby się zobaczyć z panem Terniewem.

Szli jasnym korytarzem prowadzącym do drugiej części budynku. Minęli część recepcyjną, salę przyjęć i kilka innych pokoi. Korytarz ostro skręcił w lewo i zaraz potem dotarli do zakratowanego przejścia, którego pilnował strażnik w mundurze. Doktor Charteuil-Lacroix okazała identyfikator oraz przepustkę wystawioną Césarowi przez dyrektorkę szpitala. Strażnik przyjrzał się uważnie dokumentom, po czym nacisnął przycisk zwalniający blokadę metalowej bramki. Za jego plecami znajdowało się niewielkie pomieszczenie z dwoma biurkami i monitorami, na których wyświetlał się przekaz kamer zainstalowanych w różnych częściach budynku. Przy jednym z biurek siedział jeszcze inny strażnik, który obrzucił ich baczny spojrzeniem, gdy mijali jego pokój. Kawalek dalej zatrzymali się przed windą. Lekarka przyłożyła do czytnika identyfikator, potem wystukała kod, a następnie nacisnęła guzik. Po chwili winda zjechała na dół. Weszli do środka. Wjechali na czwarte piętro. Znowu weszli w długi korytarz. Po obu jego stronach mijali zamknięte ponumerowane drzwi.

- Nieźle strzeżona ta wasza twierdza. - Uśmiechnął się do miniaturowej kamery podwieszanej pod sufitem korytarza. Lekarka rzuciła mu spojrzenie przez ramię.

- Jesteśmy - powiedziała, zatrzymując się przed drzwiami opatrzonymi numerem 427. Przyłożyła identyfikator do czytnika i ponownie wystukała kod. Nacisnęła klamkę. César z ciekawością zajrzał do pokoju.

Salka była niewielka. Na wprost znajdowało się zakratowane okno bez parapetu. Po lewej stronie, pod ścianą, stało łóżko. W fotelu pod oknem siedział starszy mężczyzna. W pierwszej chwili Césarowi przyszło do głowy, że nie jest podobny do Ternieva ze zdjęcia, które widział w policyjnej kartotece. Lekarka dała mu znak, żeby wszedł do środka.

- Zostawię was teraz samych - powiedziała. - Kiedy będzie pan chciał wyjść, proszę tylko nacisnąć tutaj. O, widzi pan? - Podała mu breloczek z czerwonym guziczkiem i wyszła. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Mężczyzna w fotelu siedział nieruchomo. César zlustrował go od stóp do głów, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że ma przed sobą woskową figurę z gabinetu Madame Tussaud. Podszedł bliżej i wyjrzał przez okno. Zobaczył park okalający szpital. Niezbyt imponujący o tej porze roku. Odwrócił się i oparłszy się plecami o framugę, przyglądał się Terniewowi.

- Nazywam się Bresson. Jestem inspektorem policji. - Mężczyzna nie poruszył się, jakby nie słyszał. - Przyjechałem, żeby z panem porozmawiać. - W dalszym ciągu zero reakcji. César postanowił się tym nie zrażać i mówił dalej: - Znaleźliśmy nóż, którym zabito pańską żonę. - Nic. Żadnego ruchu. - Ktoś ukrył go w mieszkaniu pańskiej córki, Nadii. - Mężczyzna drgnął. A więc jednak. Słyszysz i rozumiesz, co się do niego mówi. Leki jeszcze nie zrobiły z niego rośliny. - Panie Terniev, jak to się mogło stać, że narzędzie zbrodni znalazło się w mieszkaniu pańskiej córki? Czy Nadia była świadkiem zbrodni? Czy wiedziała, jak zabił pan żonę, a potem, prawdopodobnie w szoku,

zabrała nóż i schowała u siebie w mieszkaniu?

Terniew nie odpowiadał. César stwierdził, że biedaczysko postarzał się o co najmniej dziesięć lat od chwili, gdy zrobiono mu zdjęcie. Miał teraz mniej włosów, a te, które mu jeszcze pozostały, były białe jak śnieg. Na twarzy przybyło zmarszczek.

- A może to wcale nie pan zabił żonę w przyprawie szału, jak to orzekł sędzia, tylko pańska córka? Zabrała ze sobą nóż, ponieważ były na nim odciski jej palców... - Césarowi wydawało się, że mężczyzna znów się poruszył. Nadal jednak milczał. Ukucnął przed nim, by lepiej mu się przyjrzeć. Jego oczy były jak ze szkła, puste i niewidzące. Twarz nieruchoma. Sztywna woskowa maska. - Proszę pana, jeżeli na nożu są odciski pańskiej córki, to ona pójdzie siedzieć. Czy pan to rozumie? Rozumie pan czy nie? - Po policzku Terniewa spłynęła łza. César wstał. - No cóż. Nie chce pan mówić, trudno. Prędzej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw. Jeśli się okaże, że to Nadia zabiła pańską żonę, pan będzie wolny - powiedział z rezygnacją.

Przycisnął guzik breloczka zostawionego mu przez doktor Charteuil-Lacroix. Podeszedł do drzwi i nasłuchiwał kroków na korytarzu. Jednak zarówno tam, jak i w pokoju panowała całkowita cisza. Żał mu było Terniewa, ale jeszcze większy smutek odczuwał na myśl o Nadii, która była być może sprawczynią zbrodni, za którą siedział jej ojciec. Nie chciał się pogodzić z tą myślą. Za drzwiami usłyszał szmer. Domyślił się, że nadchodzi doktor Charteuil-Lacroix. Nim jednak drzwi się otworzyły, z głębi pokoju dobiegł go zduszony jęk. Spojrzał szybko na Terniewa. Twarz starego człowieka wykrzywiła się dziwnie.

Jego usta powtarzały coś bezgłośnie. César skupił całą swoją uwagę, wyczuł słuch. No, powiedz, powiedz coś wreszcie... Ale dobiegł go tylko głuchy bełkot, z którego trudno było cokolwiek zrozumieć. Widać było, że Terniew strasznie się męczy. Jego wargi powtarzały jakieś słowo i Césarowi wydawało się, że mówi „To nie ona” Stał przez chwilę, nie mogąc oderwać oczu od tych poruszających się warg. Nagle za sobą usłyszał rozba-
wiony głos pani doktor.

- Skończył pan przesłuchanie, inspektorze?

Pomyślał, że już wcześniej doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że pacjent poddany tak silnej kuracji nie będzie w stanie niczego powiedzieć, ba, może nawet niczego nie zrozumie. Weselość lekarki była tu wyraźnie nie na miejscu. Odwrócił się do niej, popatrzył jej w twarz, potem przeniósł wzrok na biodra i skrzywił się krytycznie.

37.

W drodze powrotnej zadzwonił do Marie. Operacja przebiegała zgodnie z planem. Constance zdążyła już porównać odciski zdjęte z noża z tymi, które znajdowały się w kartotece. Nie były to odciski Igora Terniewa. Zbadane DNA także nie figurowało w policyjnych zbiorach. César poczuł skurecz w żołądku. Trzymając telefon w jednej ręce, drugą trzymał jednocześnie kieliszek i papierosa, którego właśnie zapalił. Omal nie skończyło się to wypadkiem. Zahamował ostro i głośno zaklął.

- Co się stało, César? Żyjesz?!

- Chyba tak... - westchnął. - Na razie. - Roześmieli się obydwójce.

- Co dalej?

- Wychodzi na to, że będę musiał jakimś sposobem zdobyć odciski Nadii. Cholera.

- No cóż, chyba się bez tego nie obejdzie. Przykro mi. Oczywiście, może się okazać, że to nie ona...

- Ale raczej w to wątpisz? Wał prosto z mostu...

- A ty?

- Sam już nie wiem. - Zjechał na pobocze, zatrzymał się i włączył światła awaryjne. - Strasznie się tego boję... - powiedział w nagłym przypiływie szczerości.

- Nie myśl teraz o tym. Co ma być, to będzie. I pamiętaj: najgorsza prawda jest zawsze lepsza od kłamstwa.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Jasne. Uważasz, że lepiej jest żyć pod jednym dachem z morderczynią i udawać, że się o tym nie wie? Jeśli raz spróbowała, kto wie, może znów to zrobi. Jak jej na przykład kupisz na urodziny nie te perfumy, które chciała... - zakończyła, pragnąc najwyraźniej złagodzić wymowę wcześniejszych słów, które zabrzmiały dość drastycznie.

- Chyba masz rację...

- Głowa do góry!

- Jest coś nowego w śledztwie?

Przez moment w słuchawce panowała cisza, potem w głosie Marie usłyszał niepewność.

- Nic specjalnego. Serio.

- Nie bujaj!

- Słuchaj... Teraz nie mogę, naprawdę. Spotkajmy się, jak wrócisz.

- Dobrze. Jak dojadę do Paryża, natychmiast dam ci znać.

Kiedy mijał granicę miasta, dochodziła druga w nocy. Uznał, że nie jest to najodpowiedniejsza pora, żeby dzwonić do Marie. Postanowił, że zatelefonuje do niej z samego rana i pojechał prosto do mieszkania Nadii. Z niejakim trudem znalazł miejsce parkingowe. Wsiadłszy, zadarł głowę i spojrzął w okno mansardy. Za zaciągniętą zasłonką paliło się światło. César poczuł przyspieszone bicie serca. Musiała już wrócić ze spektaklu. Wszedł szybko na górę, ale kiedy chciał włożyć klucz do zamka, cofnął naraz rękę. Z wewnątrz dobiegały czyjeś głosy. Przystawił ucho do drzwi. Jeden należał do Nadii, drugi do Diny. Westchnął ciężko. Marzył już tylko o tym, żeby wziąć prysznic i położyć się spać u boku ukochanej kobiety, Dina była zaś ostatnią osobą, którą chciał teraz oglądać. Zaklął cicho. Mówi się trudno. Trzeba stawić jej czoła. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Rozmowa natychmiast umilkła. Z kuchni, otoczona kłębamii papierosowego dymu, wyłoniła się Dina.

- Ach, to ty - burknęła na powitanie. Najwyraźniej on też był ostatnią osobą, którą chciała zobaczyć. Cóż za dziwny zbieg okoliczności...

- César! - pisnęła Nadia. Podbiegła do niego radośnie i rzuciła mu się na szyję. Podniósł ją do góry, mocno przycisnął i pocałował. Dina wycofała się taktownie do kuchni. - Jak dobrze, że jesteś, kochany - szepnęła. César poczuł zapach jej perfum. Zrobiło mu się dobrze i błogo. Postawił ją ostrożnie na podłodze. - Zjesz coś? - spytała.

- A co masz? - Uśmiechnął się lekko, zdejmując kurtkę.

- Zaraz sprawdzę. - Nadia pobiegła do kuchni. Słysząc było, jak otwiera lodówkę i szafki. - Jest trochę sera, pasztet, ogórek, bułka, trochę czerstwa... - wyliczyła.

- No, to będzie prawdziwa uczta we francuskim stylu - parsknęła Dina. Jej policzki płonęły ognistą czerwienią, która jak się domyślił, była skutkiem ubocznym wypitego wcześniej wina. Na stole stała pusta butelka i dwa kieliszki. Nadia grzebała w szafce na dole. Klnąc cicho pod nosem, usilnie czegoś szukała. W końcu podniosła się z klęczek z okrzykiem triumfu.

- Mam! - Postawiła na blacie nienapoczętą butelkę i spojrzała na Césara. - Napijesz się, skarbie?

- Poproszę. - Umył ręce i wytarł je w papierowy ręcznik. Wziął od Nadii korkociąg, żeby otworzyć butelkę. Rozlał wino do kieliszków. Wszyscy troje unieśli je do góry.

- Za pomyślność - powiedziała Dina.

- Gdzie byłeś? - spytała Nadia, siadając przy stole. César odstawił kieliszek, a potem urwał sobie niespiesznie kawałek suchej bagietki.

- Faktycznie, pierwszej świeżości to ona nie jest - powiedział jakby do siebie. Nie miał ochoty rozmawiać o swoim wyjeździe. W każdym razie nie teraz. Wolał z tym poczekać, aż Dina sobie pójdzie. W końcu będzie musiała to zrobić. Chce czy nie.

- Powiesz mi wreszcie, gdzie byłeś? - zapytała z niepokojem w głosie Nadia. Ona również dostała wypieków. Oczy jej błyszczały.

- Nie licz na to, moja mała siostrzyczko. Chyba że twój luby się pomyli albo skłamię... - mruknęła Dina, zapalając następnego papierosa.

- Skąd w tobie tyle złośliwości? - zapytał spokojnie César, choć w środku cały się gotował.

- Oszukujesz ją od samego początku. Zwodzisz... Dlaczego teraz miałoby być inaczej? - Spojrzała na niego swymi ciemno-fioletowymi oczami. Wyrażały pogardę.

- No cóż, moje drogie siostrzyczki... - mimowolnie wpadł w jej ton. - Wy też nie byliście ze mną do końca szczerze - powiedział.

Nadia zaczerwieniła się jeszcze bardziej i spuściła wzrok.

Dina wpatrywała się w niego z ostentacyjną obojętnością. Nawet powieka jej nie drgnęła.

- Mówiłam ci, żebyś się nie wtrącał w nie swoje sprawy! - krzyknęła naraz, waląc pięścią w stół.

Nadia wtuliła głowę między ramiona, wlepiając wzrok w podłogę.

- Tylko bez nerwów. Porozmawiajmy spokojnie. Jak cywilizowani ludzie... - Ostatnie zdanie zaakcentował.

- Nie będę z tobą gadać, ty... ty parszywa świni.

Słyszac ów epitet, który w gruncie rzeczy był dość zabawny, César uśmiechnął się mimowolnie.

- Z czego się śmiejesz, palancie? No z czego? - Już nie była obojętna i nawet nie usiłowała tego ukryć. Teraz każdy jego ruch, każde słowo wyprowadzało ją z równowagi.

- Ulżyło ci odrobinę, *madame*? - zapytał drwiąco. Zamachnęła się, żeby go uderzyć, ale César był szybszy. Złapał ją za nadgarstek, zanim dłoń Diny dosięgła jego policzka. - Tak to my się bawić nie będziemy. Albo się uspokoisz, albo zaraz cię stąd wyrzucę na zbity pysk - powiedział ostro.

- Puszczaj - syknęła ze złością. Uwolnił jej rękę, którą natychmiast zaczęła rozmasowywać. - Widzisz go? Damski

bokser się znalazł - poskarżyła się Nadii. - W dodatku bezczelnie się tutaj rządzi, jakby był u siebie. Chcę ci przypomnieć, frajerze, że to jest mieszkanie mojej siostry. Nie masz prawa mnie stąd wyrzucić - warknęła. - Swolocz...

Nadia nie odezwała się ani słowem. Skuliła się jeszcze bardziej. César patrzył na nią skonfundowany. Nie miał pojęcia, że Nadia jest tak bardzo zdominowana przez swoją starszą siostrę. A może po prostu się jej bała? Zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Teraz albo nigdy.

- Byłem w Le Tap-Cul. - Obie siostry drgnęły na dźwięk tego słowa.

- No i co z tego? - zapytała butnie Dina.

- A to, że widziałem się z waszym ojcem.

Nadia rzuciła siostrze ukradkowe spojrzenie. Tamta dała jej znak głową, jakby chciała powiedzieć: tylko spokojnie, moja mała.

- Nie wierzę ci - zaśmiała się Dina. - Jest w ośrodku zamkniętym. Gdzie nie ma widzeń.

- Chciałaś powiedzieć, że jest na oddziale szpitala psychiatrycznego - poprawił ją César. - Mają tam bardzo miłą dyrektorkę. Bardzo kompetentną. A wasz ojczulek ma świetną opiekę ze strony doktor Charteil-Lacroix. - Siostry spojrzały teraz na siebie z przerażeniem. Zapadło milczenie. Po chwili Dina odzyskała tupet.

- Ojciec jest pod wpływem silnych leków. Bardzo wątpię, żeby w ogóle był w stanie z tobą rozmawiać.

- I tu się mylisz - skłamał. Postanowił blefować, i tak nie miał nic do stracenia. - Doktor Lacroix zastosowała wobec niego nową metodę leczenia. Wasz ojciec powraca stopniowo do formy.

- Nie wierzę ci. Nie wierzę! - Dina była coraz bardziej zdenerwowana. Chciała dolać sobie wina, ale ręce tak jej się trzęsły, że część rozlała na stół. - *Job twoju mać!* - zaklęła pod nosem. - César mógł się tylko domyślać, co to znaczy. Jeszcze trochę, a nauczy się na pamięć wszystkich tych melodyjnych wiązanek.

- Bardzo mi przykro. Wasz ojciec zgodził się złożyć dodatkowe zeznania. Powiedział, że to nie on zabił waszą matkę... No cóż, osoba którą tak długo krył i za którą zgodził się odsiedzieć wyrok, jest niezwykle bliska jego sercu. - César specjalnie mówił to wszystko bardzo powoli, żeby spotęgować nastrój i lepiej się przyjrzeć reakcji siostr. Nadia nadal siedziała skulona i wystraszona. Wpatrywała się w podłogę. W przeciwieństwie do Diny, której twarz z każdym wypowiedzianym przez Césara słowem stawała się coraz bardziej purpurowa, jakby za chwilę miała eksplodować. - Na nożu, który znalazłem w tym mieszkaniu, w kuchni pod zlewem, znajdują się odciski palców jednej z was. A wy, moje drogie siostrzyczki, już najlepiej wiecie której. Przekazałem go do badań, żeby...

Nie dokończył. Dina chwyciła leżący na stole zakrzywiony nóż do sera i zamachnęła się nim na Césara. Uchylił się, ale nie zdążył uskoczyć. Ostre zębki rozdarły rękaw koszuli i zostawiły krwawą pręgę na ramieniu. Złapał Dinę za rękę, w której trzymała nóż. Zaczęli się szarpać. Przerażona Nadia wybiegła z kuchni, zanosząc się płaczem. Dina nie wypuszczała noża z ręki. César odchyłał błyskawicznie głowę to prawo, to w lewo, to do tyłu, żeby nie oberwać nożem po twarzy. Rozwścieczona kobieta była bardzo zwinna i znacznie silniejsza, niż się tego

spodziewał, a może on był po prostu zmęczony drogą z Le Tap-Cul i śledztwem, które prowadził już tak długo. Dina poczuła przypływ sił i jakimś cudem udało jej się wyrwać z uścisku Césara rękę z nożem. Krzyknęła przeraźliwie, robiąc szeroki zamach. W następnej sekundzie César zawył przeciągle, czując piekący ból. Osunął się na podłogę. Nóż tkwił w jego udzie. Z rany ciekła krew. Zrobiło mu się słabo. Próbował wyszarpnąć ostrze, na próżno. Zakrzywiony jak sierp metal tkwił głęboko w tkance. Każdy, nawet najmniejszy ruch potęgował ból. Przed oczami fruwały mu czarne ćmy.

- Nie ruszaj się! Ani kroku dalej! - krzyknęła Nadia, stając w drzwiach kuchni. W jednej ręce trzymała pojemnik z gazem, w drugiej paralizator.

- Nie ma obawy, Nadieńko - powiedziała spokojnie Dina, wskazując leżącego na podłodze Césara. - On na pewno się nie ruszy. Nawet łatwo mi poszło z tym twoim gliną...

- Mówię do ciebie! Do ciebie, słyszysz?! - krzyknęła rozpaczliwie Nadia. - Odsuń się od niego. Natychmiast. - Ruchem głowy pokazała, żeby Dina zrobiła krok w lewo.

- Co chcesz zrobić? - spytała Dina, nic z tego nie rozumiejąc. Ale wyraz jej twarzy był aż nadto czytelny: siostra przeciw siostrze?

- Powiedziałam, odsuń się! Już! - W głosie Nadii słychać było desperację.

- Ależ kochanie, on chciał zniszczyć wszystko, co mamy. Gdyby wyjawiał naszą tajemnicę, zgnilybyśmy w kiciu. Nie po to tata wziął całą winę na siebie, żeby teraz... - Trzymanymi z tyłu rękami Dina manipulowała niepostrzeżenie przy kuchennym kredensie, by po chwili wysunąć cicho szufladę ze sztuczkami.

Włożyła do środka swoje zwinne palce. César znów jęknął przeciągle. Udało mu się wreszcie wyjąć nóż z otwartej rany.

- Zamknij się - szepnęła Nadia, połykając łzy. - To za ciebie tata poszedł siedzieć. Zawsze wszystko ci wybaczał... nawet to.

- I ty to mówisz? Jak możesz... Ukochana córeczka rodziców. Tobie pozwalali na wszystko. Nigdy cię nie krytykowali, nie zakazywali niczego - odcięła się Dina.

- Bo ja nie uciekałam z chłopakami, nie upijałam się i nie szlajałam! To nie mnie zatrzymywała policja. Nie za mnie ojciec musiał się tłumaczyć. Dobrze wiesz, ile go to kosztowało.

- Tak, teraz zwał wszystkie winy na mnie. - Dina spojrzała butnie na siostrę. Przez chwilę obie mierzyły się wzrokiem.

- Ale to ty zabiłaś mamę... - powiedziała Nadia łamiącym się głosem. - Jak mogłaś? - Zaskąkała.

- Przecież wiesz, że to był wypadek. Zrobiłam to niechcący... - W dłoni Diny błysnęła klinga noża do krojenia mięsa.

- Uważaj! - krzyknął César, rzucając się na Dinę, która zamachnęła się nożem na nic nieprzeczuwającą młodszą siostrę. Nóż tępo uderzył we framugę tuż nad głową Nadii, która w tej samej chwili osunęła się na podłogę. César zdążył złapać Dinę za kolana. Zachwiała się i runęła jak długa. W następnej sekundzie już siedział na niej okrakiem. Ścisnął z tyłu jej ręce i krzyknął w stronę płaczącej Nadii:

- Daj mi jakiś sznurek! Prędko!

Dina szamotała się wściekle, mając nadzieję, że uda jej się wyrwać z rąk Césara. Nadia wstała z posadzki i rozejrzawszy

się po kuchni nieprzytomnym wzrokiem, w końcu wyjęła pasek ze spodni. Podała go szybko Césarowi. Skrępował nim ręce Diny, która zaczęła drzeć się wniebogłose. Niewiele myśląc, złapał wiszącą obok ściereczkę, zmiął ją, a potem wpakował Dinie do ust.

Leżąc na brzuchu między ścianą a stołem, ze związanymi na plecach rękami, nie miała żadnych szans, żeby się wyswobodzić.

César podniósł się z zimnej terakotowej posadzki, przytrzymując się jedną ręką blatu kuchennego stołu. Pokuśtykał do Nadii i przytulił ją mocno do siebie.

- Dzielna dziewczynka - pochwalił ją z uśmiechem. - Nie wiedziałem, że jesteś tak dobrze... uzbrojona. Zdziwiasz mnie... - Wskazał gaz i paralizator leżące na podłodze. Nadia otarła łzy.

- Tak na wszelki wypadek. Wiesz, u nas się mówi: strzeżonego Pan Bóg strzeże. A może to nieprawda?

César uśmiechnął się.

- Prawda, prawda - posadził ją przy stole i nalał wody do szklanek.

- Na dziś dość emocji. - Wyjął telefon z kieszeni spodni i wybrał numer policji.

Po dwudziestu minutach do drzwi zadzwonił Christian Deroux.

- Oho, kogo ja tutaj widzę? Sami starzy znajomi... Witam, witam pana, inspektorze. - Ucieszył się na widok Césara. - W czym mogę tym razem pomóc?

- Zapraszam do kuchni. Ta oto pani - powiedział, wskazując na leżącą w kącie skrępowaną Dinę - napadła na mnie. Ugodziła mnie nożem w dwóch miejscach.

Widząc krew na barku i udzie Césara, Christian polecił jednemu z chłopców z patrolu:

- Wezwij karetkę.

Następnie odwrócił się do Césara.

- Ktoś jeszcze został poszkodowany?

- Na szczęście nie.

Deroux skinął głową.

- Co tutaj zaszło, inspektorze?

- Mała kłótnia rodzinna... - César uśmiechnął się smutno. - Siostra mojej przyjaciółki przyznała się przed chwilą do zabicia rodzonej matki, madame Terniev. Kilka miesięcy temu winą obarczyła ojca.

Nadia przytaknęła bez słowa.

- Zabrać ją. Natychmiast - powiedział Deroux, wskazując Dinę. - Rozumiem, że knebel był konieczny, żeby ta... pani nie zakłócała ciszy nocnej. - Puścił oko do Césara. - Jak tylko opatrzy pana lekarz, zabierzemy was na posterunek, żeby spisać zeznania.

38.

Umówili się na lotnisku. Marek przyjechał pierwszy. Nie miał zbyt wielkiego wyboru. Jedynym sensownym miejscem na dłuższą rozmowę w strefie przed odprawą była kawiarnia. Panował w niej ścisk nie do opisania. Wszystkie stoliki były zajęte. Niektóre, obstawione dookoła bagażami, wyglądały jak małe fortece.

Czekał przez jakiś czas, polując wzrokiem na zwalnający się stolik. W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Kilkunastu

turystów wstało i ruszyło w stronę stanowisk rozpoczynających właśnie odprawę na lot do Tunezji. A niech lecą i na Kamiczatkę... Grunt, że zwolnili parę stolików. Zamówił kawę i usadowił się wygodnie. Krystian dołączył do niego po kilku minutach.

- Udało ci się dodzwonić? - zapytał Marek.

Kris pokręcił przecząco głową.

- Coraz bardziej się denerwuję. Sam nie wiem, dlaczego mam złe przeczucia.

- Nie zakładaj od razu najgorszego - poradził ze spokojem Marek.

- Łatwo ci mówić - westchnął Krystian, zwiesiwszy głowę. - Pierwszy raz poznałem kogoś takiego... Mam wrażenie, jakbyśmy znali się od dawna. Pasujemy do siebie. To mój pierwszy udany związek. - Znow podniósł głowę. Oczy mu błyszczały.

- Przecież jeszcze nic się nie stało. Od kiedy to zrobiłeś się taki lękliwy? - odparł chłodno Marek, odwracając wzrok.

- Do tej pory nie było dnia, żebyśmy ze sobą nie rozmawiali. Przez telefon albo przez Skype'a... W ostateczności wysyłała mejla lub esemesa. A teraz? Od kilku dni milczy jak zakłeta. Nie chodzi do pracy. Coś się musiało stać.

- Może po prostu kogoś poznała... - rzucił przez ramię Marek, nie odrywając wzroku od ponętnej kelnerki. - Sam wiesz, jakie są kobiety - dodał z przekąsem.

- Naprawdę myślisz, że Zosia mogłaby mi to zrobić...? - Krystian wpatrywał się w niego przerażony.

- Prędzej czy później sprawa sama się wyjaśni. Chłopie, głowa do góry! Nie ma tej, będzie inna. Świat pełen jest

pięknych kobiet. I łatwych, cholernie łatwych. - Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Ty zawsze traktowałeś kobiety przedmiotowo. Nie masz pojęcia, co to prawdziwy partnerski związek.

- I bardzo dobrze, wcale nie żałuję. A wiesz dlaczego? Bo dzięki temu nie przeżywam takich idiotycznych rozterek jak ty - odparował Marek. Oczy mu się zwężyły, a tęczówki pociemniały. Pobladł na twarzy, usta wykrzywił mu nieprzyjemny grymas. - Wszystkie są do siebie podobne, zaraza, tfu! Spójrz tylko na tę dziwkę kelnereczkę... Kręci tyłkiem... Wypina cycki. Wdzięczy się do każdej pary spodni. Założę się, że w domu jest szarą myszką, cichą i potulną, a jej stary ma o niej całkiem niezłe zdanie. Jak mu raz na tydzień da dupy, to cieszy się jak dziecko...

- O co ci chodzi? Uważasz, że każda kobieta to nimfomanka? Człowieku, idź się leczyć, jak Boga kocham.

- A ty co, już jej bronisz? Uważasz ją pewnie za świętą? Stary, na jakim ty świecie żyjesz? Żal mi cię, słowo daję... Kiedy byliśmy w szkole, miałem cię za równego gościa. Laski na ciebie leciały jak śmy do ognia. Mogłeś zaliczać, ile wlezie. Żadna by ci się nie oparła. Pamiętasz nasze wyjazdy? Obozy... Warsztaty teatralne? Wystarczyło, że kiwnąłeś palcem... Wszystkie te głupie cizie leżały u twych stóp. Co się stało z pożeraczem kobiecych serc, zabójczym casanovą? - Oczy mu płonęły. W tej chwili miał w sobie coś z inkwizytora, który z szatańską radością posyła na stos czarownice. Jedną po drugiej...

Krystian oniemiał. Zrozumiał, że Marek wcale nie żartuje, ale wyraża swoje prawdziwe myśli, prawdziwe uczucia. Patrzył na niego ze zdumieniem. I z rosnącą pogardą.

- Nie wierzę, że ty to mówisz. Właśnie ty. Co się z tobą stało? Przypomnij sobie wiersze, które pisałeś w liceum dla pani Niny... Listy miłosne pełne łacińskich sentencji... Co się stało z tym wrażliwym chłopcem, który kładł jej pod drzwiami róże? - zapytał Kris.

Marek odwrócił twarz w drugą stronę. Żyły na jego szyi nabrzmiały.

Krystian zauważył, że ręka kolegi niespokojnie drży. Schował ją szybko do kieszeni. Chyba popełnił błąd, odgrzebując tę starą historię.

- Zamknij się wreszcie - wycedził przez zęby Marek. - Nie wspominaj tej kurwy.

- Jak możesz mówić o niej w ten sposób? - oburzył się Krystian. - To była piękna, urocza kobieta. W dodatku mądra.

- Powiedziałem, żebyś się zamknął! - Marek zrobił gwałtowny ruch. Przysunął się do Krystiana, patrząc mu prosto w oczy. Ten wzdrygnął się mimowolnie. Rysy twarzy jego dawnego szkolnego kolegi zmieniły się nie do poznania. Miał teraz sztywną maskę, w której żyły tylko oczy, rozbiegane i świdrujące zarazem. Jak dwa sztylety. - Puszczala się na prawo i lewo, szła do łóżka, z kim popadło, a przede mną udawała niewiniątko - syknął.

- Daj spokój. Była od ciebie starsza. Miała przecież wtedy koło trzydziestki. Chyba nie sądziłeś, że zwiąże się z takim siusiumajtkiem?

- Nie twój interes. - Marek opadł na oparcie fotela. Przymknął powieki.

- A pamiętasz Dagmarę Rusino? Tę rudą? Przychodziła na nasze zajęcia teatralne. - Krystian zarejestrował, że kolega drgnął lekko na dźwięk jej nazwiska.

- Czy ja wiem? Tyle ich było... - Marek wzruszył ramionami.

- Niedawno pytał mnie o nią jeden policjant - powiedział powoli Kris. - Inspektor...

Marek powoli otworzył oczy.

Jego wzrok powędrował w stronę Krystiana i zatrzymał się na jego twarzy.

- Co ty powiesz? - zapytał z udawanym zdziwieniem. - Policjant? Ciebie?

- Wyobraź sobie, że Dagmara nie żyje. Zginęła w tajemniczych okolicznościach, a ja jestem na liście podejrzanych. - Krystian bacznie śledził reakcję Marka.

- Dopiero teraz prowadzą śledztwo? Oj, strasznie nierychliwa ta nasza policja. Ciule... - Marek uśmiechnął się drwiąco.

- Dlaczego? - zdziwił się Kris.

- Co?

- Skąd wiesz, że nie żyje od dawna? Niczego takiego przecież nie powiedziałem.

- Coś mi się tam obilo o uszy... - Marek wzruszył ramionami. - Podobno nie prowadziła się najlepiej. Wpadła w jakieś podejrzanе towarzystwo... Wiesz, jak to bywa z takimi jak ona... Często źle kończą.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie wspomniałeś?

- A jakie to ma znaczenie?

- Wiesz, że się spotykaliśmy.

- E tam, gadanie. Leciąca na ciebie tak samo jak inne. Skąd miałem wiedzieć, że coś dla ciebie znaczyła? Śmiechu warte. Zresztą, tak jakoś wypadło mi z głowy. Poza tym masz teraz chyba inne zmartwienia?

- To prawda. - Krystian spojrział na zegarek. - Będę się musiał niedługo zbierać. Rzucisz okiem na moją torbę? Skoczę na chwilę do klopa...

Szedł do toalety z mieszanymi uczuciami. Zachowanie Marka było co najmniej dziwne, a nawet podejrzane. Może naprawdę powinien się skonsultować z jakimś dobrym psychiatrą? Iść na terapię... Niepotrzebnie prosił go o pomoc w sprawie Zosi. Całe szczęście, że nie było go wtedy w Paryżu.

Kiedy wrócił do ich stolika, okazało się, że Marek już uregulował rachunek, żartując z młodą kelnerką. Najwyraźniej przestało mu przeszkadzać, że wdzięczyła się do innych facetów. Wstali, żeby się pożegnać. Marek zarzucił sobie na ramię sportową torbę.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał Kris.

- A wybieram się, wybieram... - Marek zaśmiał się głośno. - Jak sójka za morze... No, co się tak patrzysz? Tak tylko palnąłem - wyjaśnił. - Zapomniałem ci powiedzieć: lecę do Paryża.

- Żartujesz? - Zachowanie kolegi zaczęło go coraz bardziej niepokoić.

- Nie. Skąd ten pomysł?

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? - Starał się przyprzeć go do muru, choć czuł przez skórę, że to nic nie da.

- A pytałeś? Mam zlecenie, to lecę, tak czy nie? - Marek znów się zaśmiał.

- Uhm. - Krystian pokiwał głową. - No to chodźmy.

- Ja muszę jeszcze pójść do kantoru. Później do ciebie dołączę.

- Okej. - Krisowi było to nawet na rękę. Jakoś niespecjalnie się palił do kontynuowania rozmowy z Markiem, który coraz bardziej go irytował. Poza tym samodzielna odprawa zwiększała jego szanse na miejsce w samolocie z dala od kolegi, jego złych oczu i języka. A najlepiej jak najdalej...

Pożegnali się i Kris poszedł w kierunku nowego terminalu, gdzie znajdowało się stanowisko odprawy LOT-u. Z kartą pokładową w ręku skierował się do przejścia przez kontrolę bagażową. Ustawił się w kolejce. Po kilku minutach położył wreszcie swoją torbę na przesuwającej się wolno taśmie. Zdjął pasek, zegarek, wyjął portfel i klucze. Wszystko to, wraz z paszportem i biletem, włożył do plastikowej skrzyneczki. Stojąca po drugiej stronie celniczka dała mu znak, że może przejść. Naraz urządzenie zadzwięczało. Zapaliły się czerwone światelka.

- Proszę wrócić, zdjąć buty i położyć je na taśmie - powiedziała młoda kobieta w mundurze.

Bez słowa wykonał jej polecenie. Przez cały czas myślał o tym, żeby jeszcze przed lotem zadzwonić do Zosi. A nuż tym razem odbierze. Nie zauważył poruszenia wśród pozostałych funkcjonariuszy stojących przed monitorem przy taśmie. Ten, który sięgnął po jego paszport, dał znak stojącemu obok kole-dze. Tamten skinął głową i nachylił się do pracownika siedzącego przed ekranem. Krystian przeszedł przez bramkę w samych skarpetkach. Tym razem nic nie dzwięczało. Wziął z taśmy buty i pochylił się, by je założyć. Gdy zawiązał sznurówki i podniósł się, by zabrać swoje rzeczy, stojący *vis-à-vis* niego celnik wskazał torbę.

- Czy to pański bagaż?

- Tak.
- Proszę otworzyć - poprosił mężczyzna. - I wypakować wszystko ze środka.

Krystian posłusznie odsunął suwak. Przyszło mu na myśl, że może zabrał ze sobą butelkę wody albo dezodorant, który miał pojemność większą niż 100 ml. Zaczął wyjmować wszystkie rzeczy, jedną po drugiej. Nagle natrafił ręką na jakiś niewielki owalny przedmiot zawinięty w folię aluminiową. Zmarszczył czoło i wyjął go z torby, nie posiadając się ze zdumienia. Po odwinięciu folii zobaczył szklaną fiolkę zamkniętą plastikowym korkiem.

- To nie moje. Nie wiem, skąd się tutaj wzięło - wyjaśnił, kładąc buteleczkę obok torby. Celnik sięgnął po fiolkę i podniósł ją na wysokość oczu. Potrząsnął lekko. Wewnątrz zabręczały pastylki.

- Emenemsy czy tic-taki? - W jego głosie pobrzmiwał sarkazm.

- Nie mam pojęcia. Mówiłem panu, że to nie moje.

- Pozwoli pan, że sprawdzimy? - Mężczyzna łypnął groźnie na Krystiana. Wyciągnął korek z buteleczki i odwrócił się w stronę, skąd nadchodził właśnie jego kolega z psem. Kris poczuł, że oblewa go zimny pot. Funkcjonariusz podsunął otwartą fiolkę pod nos psu, który natychmiast zaczął warczeć i szczekać. Zrobiło się straszne zamieszanie. Ludzie przechodzący przez kontrolę obserwowali z zaciekawieniem całą tę scenę. Niby taki przyzwoicie wyglądający młody mężczyzna, a tu proszę...

- Pozwoli pan z nami.

Pod Krystianem ugięły się nogi.

39.

Powtarzam panu, że ten przedmiot nie należy do mnie. Pierwszy raz widzę tę fiolkę na oczy - tłumaczył po raz kolejny, ale przesłuchujący go funkcjonariusze jakoś nie chcieli w to uwierzyć. Patrzyli na niego z politowaniem. Ależ kretyn z tego gościa, uroił sobie, że kontrola nie wykryje narkotyków, które chciał przemycić. - Proszę pana... - Kris zwrócił się błagalnie do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie biurka. - Po co miałbym to robić? Przecież to istne szaleństwo. Często jeżdżę za granicę. Znam przepisy. Doskonale zdaję sobie sprawę, że z czymś takim nie przeszedłbym kontroli. Wszystko to nie ma najmniejszego sensu.

- Więc jak przewoził pan do tej pory to gównno?

- Niczego takiego nie robiłem. Przysięgam. Wiem dobrze, że to zabronione. Poza tym nigdy w życiu nie brałem żadnych narkotyków. Możecie mnie zbadać. O, proszę, proszę... - Zaczął nerwowo odwijać rękawy koszuli, żeby pokazać, że nie ma na rękach śladów nakłuć.

- To nie są dożylne środki, tylko doustne. - Pogranicznik uśmiechnął się pod nosem.

- Więc sam pan widzi... Ja się nawet na tym nie znam.

- Nie strugaj wariata. Nie takich cwaniaczków jak ty już łapaliśmy - odparł siedzący nieco dalej mężczyzna. Był zbudowany jak Arnold Schwarzenegger.

- Przecież mówię, że... - Krystian zwiesił z rezygnacją głowę. Może się tak jeszcze długo tłumaczyć, a i tak nic nie zwojuje. Uznali, że jest winny, więc pewnie jest... On, Krystian Waszak, przemycy dragi. O Boże!

Od samego początku, jak go tylko zaczęli maglować, założyli sobie, że jest dostawcą. Ale skąd to świństwo wzięło się w jego bagażu? Na to pytanie miał tylko jedną odpowiedź: fiolkę podrzucił mu Marek. Samolot do Paryża zdążył już wystartować. I znów to samo pytanie: dlaczego to zrobił? Czyżby tak bardzo miał mu za złe, że wspomniał panią Ninę? A może zdenerwowały go podejrzenia dotyczące śmierci Dagmary? Czyżby rzeczywiście miał z tym coś wspólnego? Nie, to bez sensu... A jeśli nie? Jeżeli faktycznie coś wie lub jest bezpośrednio zamieszany w to morderstwo? Poczul dreszcz. Niepotrzebnie opowiadał mu o Zosi. Po co się zwierzał? Jeszcze, nie daj Bóg, Marek wpadnie na pomysł, żeby do niej pojechać. Nagada jej na niego i oczywiście będzie kłamał jak z nut... Akurat w tym jest nie do pobicia. A jeśli zrobi jej krzywdę? Nie! Pod żadnym pozorem nie mógł do tego dopuścić.

- Proszę pana... - powiedział potulnym głosem, spoglądając na siedzącego bliżej funkcjonariusza. Aha, pacjent zaczyna się łamać, pewnie pomyślał tamten, bo wyciągnął głowę w jego stronę. - Rzeczywiście, mam coś do powiedzenia, ale zrobię to wyłącznie w obecności podinspektora Krzysztoforskiego. Jego wizytówka jest w moim portfelu. On będzie wiedział, o co chodzi.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Co to za sprawa? - spytał obojętnie drugi pogranicznik.
- Nie powiem nic więcej, dopóki nie przyjedzie Krzysztoforski.

Minęło trochę czasu, zanim zdecydowali się wreszcie zadzwonić do podinspektora. O dziwo, natychmiast zgodził się przyjechać

i rzeczywiście już po godzinie zjawił się na lotnisku. Najpierw porozumiał się z mundurowymi i zamienił z nimi kilka słów na temat zatrzymanego, a potem usiadł na wprost Krystiana.

- Dziękuję, że pan przyjechał - powiedział Kris.

- Nie wiem, czy było warto. - Podinspektor przyglądał mu się z zaciekawieniem. - Chyba że tym razem będzie pan bardziej rozmowny.

- Cóż, chyba nie mam wyjścia. Jestem w niezłych tarapatkach. - Krystian uśmiechnął się blade.

- Zamieniam się w słuch.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że nie mam absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Dagmary Rusino. Nie widziałem jej od czasu ukończenia szkoły.

- Już mi pan to mówił. - Stanisław zmarszczył czoło.

- Tak, ale wtedy nie miałem jakoś nastroju do rozmowy. Bo wie pan... - urwał na chwilę - wtedy wróciłem z Paryża, od mojej dziewczyny Zosi.

- O ile pamiętam, mówił pan, że był to wyjazd służbowy. - Podinspektor przyglądał mu się z rosnącą uwagą.

- Tak, to prawda. Do Paryża wyjeżdżałem w delegację, co nie przeszkadzało mi spotykać się z moją... narzeczoną. - Skłamał, żeby uwiarygodnić swoje zeznanie. - Zosia od wielu lat mieszka i pracuje w Paryżu. Zawsze, kiedy jadę tam służbowo, zatrzymuję się u niej i cały wolny czas spędzamy razem.

- Dlaczego pan mi to mówi? - Stanisław miał obawy, że Krystian chce sobie stworzyć alibi na czas zbrodni popełnionych na paryskich tancerkach. Musi koniecznie sprawdzić, czy terminy tych wyjazdów nie pokrywały się z datami zabójstw.

- Ponieważ ma to jakiś związek z moim dzisiejszym za-
trzymaniem. Tak czuję... - westchnął Kris. - Tak sędzę - dodał
już pewniejszym głosem.

- No to słucham.

- Jakies pół roku temu, kiedy byłem w Paryżu, spotka-
łem przypadkowo kolegę z dawnych lat. Nazywa się Marek
Porębski. Chodziliśmy w liceum do tej samej klasy. Może pan
to sprawdzić. - Podinspektor zapisał nazwisko w swoim notesie
i skinął głową. - Akurat byliśmy z Zosią na spacerze. Nie ma
pan pojęcia, jak bardzo żałuję, że go wtedy spotkałem! - wy-
buchnął nagle.

- Dlaczego?

- Przez niego tu teraz jestem. Podstępny drań. To na
pewno on podrzucił mi to świństwo, kiedy poszedłem do ubi-
kacji i zostawiłem pod jego opieką moją torbę podróżną.

- Mielicie lecieć razem? - zapytał Krzysztoforski.

- Nie miałem pojęcia, że on też ma bilet na ten sam lot.
Spotkaliśmy się na lotnisku, żeby pogadać.

- Oskarża go pan o podrzucenie narkotyków? Dlaczego
miałby to zrobić?

- Strasznie się zdenerwował, kiedy powiedziałem mu o
wizycie policji u mnie w sprawie śmierci Dagmary. Wygadał się
niechęcący, że została zabita kilka lat temu... Nic o tym nie wie-
działem. Pan mi przecież tego nie powiedział. - Kris spojrzął w
oczy Krzysztoforskiemu.

- Zgadza się. - Podinspektor trawił jego słowa. - Co jesz-
cze panu powiedział?

- Niestety nic, czego bym nie wiedział, ale starałem się o
tym zapomnieć. Teraz uprzytomniłem sobie, że to nie był nor-
malny facet. Chyba taki się stał, kiedy po raz pierwszy się

sparzył... - Kris znowu spojrział na podinspektora. - To znaczy rozczarował w miłości.

- Proszę mi opowiedzieć tę historię. - Stanisław przyglądał się Krystianowi z coraz większym zainteresowaniem.

- Właściwie to nic ciekawego. Samo życie. Marek miał hopla na punkcie swojej sąsiadki, pani Niny. To była dorosła kobieta, dobiegająca chyba trzydziestki... Bardzo ładna. Smułka. Blondynka z długimi włosami. W każdym razie Nina udzielała korepetycji z języka polskiego i łaciny. Marek chciał zrobić na niej wrażenie. Zaczął się jak wariat uczyć łaciny. Biegał do niej na zajęcia. Z kwiatami, czekoladkami i Bóg wie z czym jeszcze... Pisał wiersze... Słowem, całkiem zwariował na jej punkcie. Łudził się, że jak tylko skończy studia i zacznie pracować, natychmiast poprosi Ninę o rękę.

- I jak to się skończyło?

- Uczucie było jednostronne... Pani Nina nigdy nie brała go pod uwagę w swoich planach życiowych. Wyszła za męża i chyba wyjechała. Marek przeżył potworne rozczarowanie, kiedy odkrył, że dama jego serca, którą obdarzył tak płomienną miłością, spotyka się z kimś innym.

- Czy ta pani Nina... Czy ona była tancerką? - Krzysztoforski zatrzymał wzrok na twarzy Krystiana.

- Nie wiem... - Zamyślił się. - Chyba nie... chociaż... Przypominam sobie, że w pokoju Marka zobaczyłem kiedyś coś takiego... dziwnego. Nie wiem, jak to się nazywa. Taki bucik z materiału... Wie pan...

- Baletkę?

- Chyba tak. Tancerki w tym tańczą. Strasznie się zdziwiłem. Zapytałem go, do czego mu to potrzebne. Potwornie

się wkurzył. Wyrwał mi to z ręki i schował do szafki. Był cały czerwony.

- Wytłumaczył się jakoś?
- Burknął pod nosem, że to należało do pani Niny. Zrobił przy tym taką minę, że odechciało mi się żartować.
- Wracając do Dagmary Rusino... Sądzi pan, że mógł ją zamordować?
- Tego nie powiedziałem.
- Nieważne, co pan powiedział. Istotne jest, czy on mógł to zrobić. Jak pan uważa? Tylko szczerze.
- Naprawdę nie wiem.
- No cóż. Niewiele mi pan pomógł.
- Inspektorze...
- Tak?
- Boję się, że on może zrobić krzywdę Zosi... To znaczy mojej dziewczynie... narzeczonej.
- Skąd ta obawa?
- Zna jej adres w Paryżu. Był u niej na kolacji. Wie, że Zosia nie odzywa się do mnie od kilku dni. Sam mu o tym mówiłem. Ależ ze mnie idiota! Może pan sprawdzić mój billing, zawartość skrzynki mejlowej... Nie wiem, co się dzieje. W pracy powiedzieli, że jest chora. Boże... - Krystian ukrył twarz w dłoniach. - Co mam zrobić, żeby ją przed nim przestrec...
- Przykro mi, ale choćbym nawet bardzo tego chciał, nie mogę nic dla pana zrobić. To, co mi pan wyznał przed chwilą, nie jest dla mnie niestety żadnym dowodem pańskiej niewinności ani też nie wskazuje jednoznacznie na winę pańskiego kolegi.
- Proszę pana, ja... Zrobię wszystko, słyszysz pan? Wszystko, żeby panu pomóc. Niech pan mnie tutaj nie zostawia. Musi

mi pan uwierzyć. - Patrzył na podinspektora błagalnym wzrokiem.

- Mówi panu coś nazwisko Ludmiła Likus?
- Nie.
- A Maryla Karska?
- Maryla Karska? - powtórzył w zamyśleniu Kris. Stanisław zaczął się zbierać powoli do wyjścia. - Czy ona przypadkiem nie chodziła do szkoły baletowej?

Zaraz po przesłuchaniu Waszaka podinspektor zadzwonił do Marie. Nie odbierała. Ponownie wybrał numer, ale i tym razem po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Co za pech. Nie ma czasu. Samolot będzie za chwilę lądował w Paryżu. Przydałaby się dyskretna obserwacja Porębskiego. Później trudniej go będzie zlokalizować. Chwila namysłu. Jest! Postanowił zadzwonić do Césara.

- *Allo, oui?* - usłyszał znajomy głos w słuchawce.
- Mówi Stan Krzysztoforski z Warszawy - powiedział po angielsku.
- Stan, miło cię słyszeć. Co u ciebie? - César wyraźnie się ucieszył.
- Nie mogę się dodzwonić do Marie, a muszę wam przekazać bardzo ważną informację. Prawdopodobnie trafiłem na trop mordercy. Masz coś do pisania? Podam ci jego dane.
- Może lepiej wyślij je esemesem. Wiesz, te polskie nazwiska... - zaproponował César.
- Nie ma sprawy. Dostaniesz też namiar na pewną dziewczynę, Polkę mieszkającą w Paryżu. Może być kolejną ofiarą sprawy. Byłoby dobrze, gdybyście jak najszybciej

rozpoczęli obserwację jej mieszkania. Podejrzany będzie za chwilę lądował w Paryżu.

- Jesteś wielki, Stanisław - powiedział César z uznaniem. - Dam ci znać, jak tylko coś ustalimy. Wreszcie coś się dzieje!

Rozłączyli się. César z ulgą pomyślał, że Marie umiała trzymać buzię na kłódkę. Nie wygadała się przed Stanem, że został zawieszony.

40.

Jak przez mgłę słyszała bicie dzwonów. Lekki, które niedawno zażyła, zaczęły już działać. Zasnęła obcym, tępyim snem, nie swoim, lecz narzuconym jej przez farmakologiczne specyfiki. Właśnie szła za trumną swojej matki. Razem z nią kondukt tworzyło zaledwie kilka osób. Obok człapał stary tęgi ksiądz, raz po raz ocierając wierzchem dłoni pot z czoła. Przez korony drzew prześwitywało słońce. Przymykała oczy, czując ciepło promieni na powiekach. Nie była smutna. Raczej obojętna. Ponury orszak sunął pośród soczystej zieleni, mijając po obu stronach świeże groby obsypane kwiatami. Bicie dzwonów nasilało się z każdą sekundą. Ich dźwięk stawał się nie do zniesienia. Miała wrażenie, że rani jej uszy. Dłużej tego nie wytrzyma! Zaczęła biec przed siebie, coraz szybciej i szybciej... Ding-dong, ding-dong, dudniło jej w uszach.

Otworzyła oczy. Przez szparę w zasłonach wpadał jasny promień światła, muskając jej twarz. Ktoś dobijał się do drzwi,

maltretując przycisk dzwonka. Podniosła się z niechęcią. Wolałyby nakryć głowę poduszką i dalej spać, ale natręt za drzwiami mógłby zaalarmować jej sąsiadów, a tego wolała uniknąć. Zwlokła się z łóżka, zrzucając na podłogę koc, i poczłapała na korytarz. Zbliżyła oko do wizjera, żeby zobaczyć, kto ją tak niepokoi. W pierwszej chwili go nie poznała. Stał odwrócony plecami, jakby obserwował klatkę schodową. A ten czego tu chce?, pomyślała, gdy mężczyzna spojrzał prosto w wizjer i uśmiechnął się szeroko.

- Otwórz, Zosiu. Wiem, że tam jesteś. Na jedną minutkę...

- Czego chcesz? - burknęła nieprzyjaźnie. - Kris cię przysłał?

- Nie. Przyjechałem z wycieczką. Mam dla ciebie książkę, o którą prosiłaś.

- Książkę? - zdziwiła się Zosia.

Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek prosiła go o jakąś książkę.

- Otwórz, proszę. Bardzo się spieszę. Muszę wracać do swoich turystów... - mówiąc to, uniósł do góry opasły tom w ciemnej oprawie.

Wezmę tę cholerną książkę, to szybciej sobie pójdzie, pomyślała i otworzyła drzwi.

César przeczytał od deski do deski wszystkie informacje przesłane mu przez Krzysztoforskiego. Cholera, że też w ostatniej chwili.... piekili się w duchu. Nie miał szans zdążyć na lotnisko. O tej porze to ponad godzina jazdy, a może i półtorej. Mógł jednak pojechać do mieszkania dziewczyny, której adres dostał od Stanisława. Dobry pomysł. Niestety, zaraz po wjeździe na obwodnicę utknął w gigantycznym korku. Swoim zwyczajem

klął jak szewc, patrząc na zegarek i odliczając cenne minuty. Ale w tej sytuacji nawet Marie by mu wybaczyła... Ponad godzinę trwało, zanim udało mu się przedrzeć do mieszkania Zosi. Pod jej domem nie znalazł żadnego wolnego miejsca, więc jeszcze kilkanaście minut zajęło mu poszukiwanie skrawka jezdni, na którym mógłby zaparkować. Ostatecznie znalazł miejsce na sąsiedniej uliczce. Po trzech minutach był już na klatce schodowej. Na drzwiach windy widniała kartka z napisem „zepsuta” Nie miał pojęcia, na którym piętrze może się znajdować mieszkanie numer siedemnaście. Drugie? Trzecie? Na schodach minęła go jakaś para. W milczeniu schodzili na dół. Wdrapał się na drugie piętro i zaraz zauważył drzwi. Przycisnął dzwonek. W mieszkaniu panowała cisza. Zadzwoił ponownie. Żadnego szmeru wewnątrz. Dla pewności jeszcze raz nacisnął dzwonek. Potem rozejrzał się po klatce schodowej. Będzie musiał przyciąć się na półpiętrze i zaczekać. Może dziewczyna nie wróciła jeszcze z pracy? Kto wie, jeśli szczęście mu dopisze, może doczeka się nawet mordercy? Oby tak się stało, tyle czekał na tego drania, to może wreszcie... Już miał się usadowić na parapecie, gdy nagle coś mu zaświtało. Dziewczyna i facet, których minął na dole... Może to właśnie ona jest lokatorką mieszkania? A on... to ten podejrzany gość, o którym wspominał Stanisław. Rzucił się pędem na dół. Przeskakując po dwa schodki, zbiegł na parter. Pchnął gwałtownie drzwi wejściowe i wybiegł na ulicę. Rozejrzał się szybko. Pudło. Ani śladu po osobach, które minął na klatce. Pognał do samochodu. Właśnie miał uruchomić silnik, kiedy nagle przemknęło mu przez głowę, że w ten sposób niewiele wskóra. Jeżeli odjechali

autem, i tak ich już nie dogoni. Jedyna nadzieja w metrze! Trzasnęła drzwiami i pobiegł w stronę wejścia na stację Wagram.

Miał szczęście. Zatrzymywała się tutaj tylko jedna linia. „Trójka” I bardzo dobrze. Zdyszany wpadł na peron. Rana na udzie, w które ugodziła go nożem ta wariatka Dina, wciąż dawała mu się we znaki. Utykał. Nie był jeszcze całkiem sprawny. Zaczął przedzierać się przez tłum oczekujących, rozglądając się na wszystkie strony. Nigdzie nie dostrzegł jednak pary, którą minął na schodach. Równie dobrze mogli stać na przeciwnym peronie. Coś mu jednak podpowiadało, że jeśli rzeczywiście tutaj są, nie będą się kierować poza centrum Paryża. Na tablicach zapaliły się światelka wskazujące kolejne przystanki, na których nadjeżdżający pociąg będzie się zatrzymywał. Po chwili na peron wtoczyła się mosiężna gąsienica ciągnąca niczym odwłok długi skład wagonów. César starał się wypatrzeć tę dwójkę, której szukał. Bez skutku. Już miał dać za wygraną, kiedy naraz, niemal w ostatniej chwili, kilkadziesiąt metrów od siebie dostrzegł twarz dziewczyny z klatki schodowej. Za nią do ostatniego wagonu wchodził mężczyzna. Dzwonek oznajmił, że zaraz zamkną się drzwi. W ostatniej sekundzie César zdążył dać susa do środka. Pociąg ruszył. César zaczął przesuwać się pospiesznie w głąb wagonu. W końcu ich zobaczył. Zatrzymał się i znalazł sobie dogodny punkt obserwacyjny. Dyskretnie zerkał w ich stronę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Gdy dojechali do dworca Saint-Lazare, zwiększył czujność. Musiał być przygotowany na to, że w centrum będą chcieli się przesiąść do innej linii metra. Minęli Galeries Lafayette przy bulwarze

Haussmanna i Operę. César nie spuszczał ich z oka. Nie wysiedli na Réaumur-Sébastopol, Arts et Métiers, ani na République. Dlaczego? Zastanawiał się gorączkowo, dokąd mogą jechać. A jeśli to nie jest morderca... Może złapał fałszywy trop? Cholera! Miał coraz więcej wątpliwości.

Z każdym kolejnym przystankiem tłum w metrze stopniowo się przerzedzał. Zwolniło się kilka miejsc. César usiadł przy oknie, dostatecznie daleko, by nie być zauważonym, ale na tyle blisko, by kątem oka obserwować parę, którą śledził. W duchu kłął, że tak szybko podjął decyzję, by za nimi iść. Ale nie miał przecież wyjścia. W mieszkaniu nikt nie otwierał. Na klatce nikogo innego nie spotkał.

Kobieta była dziwnie blada i ospała. Sprawiała wrażenie trochę nieprzytomnej, jakby nie obchodziło jej to, co się dzieje wokół. Siedziała zgarbiona z głową opuszczoną na piersi. Może po prostu miała za sobą nieprzespaną noc. Albo dręczył ją kac... Mężczyzna zachowywał się spokojnie. Z początku, kiedy jeszcze stali, przytrzymał ją ramieniem. Gdy tylko zwolniło się miejsce siedzące, natychmiast posadził na nim swoją towarzyszkę. Stał w taki sposób, by ciałem odgradzać ją od reszty pasażerów. Co jakiś czas pochylał się, jakby sprawdzał, czy wszystko z nią w porządku. Nie wyróżniali się niczym specjalnym. Żadnych podejrzanych gestów, spojrzeń. Nic. Mimo to César czuł, że między nimi dzieje się coś niepokojącego, chociaż nie umiał tego sprecyzować. Umysłowił sobie, że kiedy ich mijal na schodach, facet odwrócił głowę. Jakby nie chciał pokazać swojej twarzy... Ciekawa sprawa. Bardziej zastanawiające było jednak zachowanie kobiety. Pozwalała się prowadzić jak... niewinna owieczka na rzeź. Sam się zdziwił, że takie

skojarzenie przyszło mu do głowy. Ale właśnie tak to wyglądało. Jakby wszystko było jej obojętne. A może się naćpała, lichoją wie.... westchnął w duchu.

Pociąg zatrzymał się na stacji Père-Lachaise. Mężczyzna wziął kobietę pod ramię i poprowadził do wyjścia, César odczekał chwilę, po czym poderwał się z siedzenia i wysiadł szybko drugimi drzwiami. Szczęśliwym trafem na peronie było trochę ludzi, więc nie ryzykował zbytnio. Szedł za nimi w znacznej odległości. Zdążył się zorientować, że mężczyzna kilkakrotnie zerknął do tyłu, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje. Serce zabiło mu mocniej. Postanowił działać z największą ostrożnością. Policyjny instynkt, który dotychczas jeszcze nigdy go nie zawiódł, podpowiadał mu, że ta para ma jednak coś do ukrycia.

Ze stacji, na której wysiedli, można się było przesiąść do linii numer 2, łączącej Nation z Porte Dauphine i dojechać na Montmartre. Jednak ci, których śledził, nie weszli w korytarz Correspondance, lecz skierowali się do schodów prowadzących na powierzchnię. César dziwił się coraz bardziej, idąc za nimi w bezpiecznej odległości.

Na dworze zapadł już zmrok. Deszcz na szczęście dziś odpuścił, ale było chłodno. Jakieś trzynaście stopni. Całkiem nieźle jak na tę porę roku. Można by się było od biedy wybrać na jakiś spacer, ale dlaczego na litość boską akurat tutaj? Pusto tu i ponuro. Najwidoczniej para idąca przed nim preferowała mroczne okolice, ponieważ właśnie zmierzali ku bramie cmentarza.

Też sobie wybrali miejsce na randkę, pomyślał. A może po prostu lubią takie gotyckie klimaty. Zdawał sobie sprawę, że o tej porze na cmentarzu nie będzie żywej duszy, co oczywiście w

znacznym stopniu utrudni mu akcję. Mogą go zauważyć. Fatalna sprawa. W kieszeni zadzwoniła komórka. Zatrzymał się i przytulił do cmentarnego muru. Oby się tylko nie odwrócili! Na szczęście byli od niego daleko. César spojrzął na wyświetlacz. Miał kilkanaście nieodebranych połączeń. W metrze nie było zasięgu. Odsłuchiwał nagraną przez Marie wiadomość. Zdennerwowanym głosem poinformowała go, że razem z ekipą jadą pod adres Sophie Dembickiej. Prosiła, żeby César natychmiast się z nią skontaktował.

Przez chwilę wahał się, czy powinien oddzwonić. Zerknął w stronę oddalającej się pary. Właśnie zniknęła w cmentarnej bramie. Wyłączył dźwięk w telefonie i ruszył wzdłuż muru. Doszedł do wejścia prowadzącego na cmentarz i wszedł w główną aleję obsadzoną bezlistnymi o tej porze roku drzewami. Nikogo tu nie było. César ponownie zaklął w duchu. Niemożliwe, przecież muszą być gdzieś w pobliżu.

Przystanął niezdecydowany, nie wiedząc, w którym kierunku pójść.

Zapasowe klucze do mieszkania Zofii Dembickiej były u konsjerża. Starszy jegomość z siwymi wąsami bacznie przyglądał się młodej policjantce, która dość chaotycznie tłumaczyła mu konieczność otwarcia mieszkania na drugim piętrze. Ani ona sama, ani jej legitymacja nie zrobiły na nim większego wrażenia. Staruszek wzruszył ramionami, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie takie rzeczy już w życiu widział. Ociągając się, wyjął zapasowy komplet kluczy i wręczył go kobiecie. - Proszę, żeby poszedł pan ze mną - powiedziała Marie.

Staruszek bez słowa wyszedł za nią na klatkę schodową, gdzie czekało kilku mundurowych. Idąc powoli po schodach, konserż mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem. Z jego miny można było wywnioskować, że nie mówi nic dobrego o przedstawicielach paryskiej policji.

Mieszkanie było puste i ciemne. Zaciągnięte szczelnie zasłony nie przepuszczały prawie żadnego światła. Marie nabrała powietrza, jakby chciała rozpoznać unoszący się w pomieszczeniu zapach. Przypominał mieszaninę zapachów syropu anyżowego i mięty. Skojarzył jej się ze szpitalem. Mimowolnie wzdrygnęła się. Po omacku znalazła kontakt. Snop światła rozjaśnił niewielki przedpokój.

Przeszukała pozostałe pomieszczenia. Nikogo. W salonie światło lampy rzucało mdlą smugę na stojące we wnęcie duże łóżko. Wyglądało, jakby dopiero co ktoś z niego wstał. Pościel była skotłowana, koc leżał na podłodze. Obok niego kilka rozrzuconych części damskiej garderoby. Jakby ktoś ubierał się w pośpiechu. Poza tym wszystko wyglądało normalnie. Marie ponownie obeszła całe mieszkanie. Tym razem zajrzała do szafek w łazience i w kuchni. Pobieżnie przejrzała zawartość szafy wnękowej. Nic. Wydała policjantom rozkazy, aby zajęli ustalone pozycje i prowadzili cichą obserwację budynku.

Usiadła przy stole. Pozostało już tylko zadzwonić do Césara... i do Starego. Niestety trzeba będzie przyznać się do porażki. Westchnęła. Tak, bardzo nie lubiła przegrywać. Jej wzrok powędrował po blacie stołu i zatrzymał się na leżącej na nim grubej książce. Łaciński napis wydał jej się znajomy... O rany! Skąd się tu wzięła taka książka? Rozejrzała się po pokoju.

Na półce stał rząd równo poukładanych tomów. Francuskie tytuły rozpoznała od razu. Reszta książek była najprawdopodobniej w języku polskim. W każdym razie żadnego tytułu po łacinie.

Marie na chybił trafił otworzyła leżącą na stole książkę. Brzegi kartek zadrukowanych łacińską czcionką pokryte były nierównym odręcznym pismem. On tu był, pomyślała Marie, czując lekki dreszczyk. I zabrał stąd dziewczynę...

Minęło trochę czasu. César zaczął już tracić nadzieję na odnalezienie poszukiwanej pary. Przyszło mu na myśl, że zanim przeczese w całości rozległy teren cmentarza, dziewczyna będzie już martwa. Skręcił w kolejną przecznicę. Coraz bardziej odczuwał przejmujące zimno. Nie był pewien, czy rzeczywiście spada temperatura, czy też to przygnębiające, cmentarne otoczenie potęguje takie wrażenie. Nagle z oddali dobiegł go szmer. César stanął jak wryty i nasłuchiwał. Spośród drzew wyłoniła się para, której szukał. Mężczyzna mówił coś do kobiety. César nie odróżniał słów, ale domyślał się, że to nie francuski. Kobieta nie odzywała się. Szła zgarbiona, wlokąc nogę za nogą. César nie ruszał się, żeby ich nie spłoszyć.

Nigdy wcześniej tutaj nie był, choć słyszał oczywiście o sławnych ludziach pochowanych na Père-Lachaise. Nie był to jednak najbardziej odpowiedni moment na podziwianie wspaniałych monumentalnych nagrobków. Zbliżał się właśnie do alejki, w którą jak mu się wydawało, skręcili, więc postanowił wejść na wszelki wypadek we wcześniejszą. Szedł między grobami. Na razie osłaniał go rząd wysokich tui. César zerkał przez ich drobne gałązki, ale wokół nie było żywej duszy. Dziwne.

Jakby rozpląnęli się w mroku. Poczul się trochę nieswojo. Spędzanie wieczoru na cmentarzu nie należało do przyjemności. Z oddali dobiegł go trzask łamanej gałązki. Zamarł. Wyteżył wzrok. Niestety, nie mógł nikogo dostrzec. Nasłuchiwał chwilę. Znowu cisza. Pochyliwszy się nieco, zrobił dwa kroki naprzód, najciszej jak potrafił. Znowu usłyszał jakiś szmer. Przystanął. Dwie, może trzy alejki dalej coś się poruszyło. Nie widział dobrze. Po pierwsze, był zbyt daleko, po drugie, zapadł już zmierzch. Mógł się tylko domyślać. Cholera, jak do nich podejść? Rozejrzał się i odetchnął z ulgą. W odległości kilku metrów rosła kępa krzaków, za którą mógł się z powodzeniem schować. Tuż obok wznosiły się dwa pomniki nagrobne, co dawało mu szansę zbliżenia się do upatrzonego miejsca. Trzeba zaryzykować, inaczej nici z całej akcji. W kieszeni znowu zaczęła wibrować komórka, ale nie mógł jej teraz wyjąć i sprawdzić, kto dzwoni. Rozświetlony ekranik byłby aż nadto widoczny w szarówce cmentarza. Zbliżył się bezszelestnie do kępy krzaków i wychylił nieznacznie głowę. Z tego miejsca widział już nikły zarys czyjejś sylwetki. Położył się na wilgotnej ziemi i podczołgał do najbliższego nagrobka. Ból w udzie stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Wstał, zacisnąwszy zęby. Przyłgął do pionowej granitowej płyty, a potem przesunął się o centymetr. Zobaczył męczyznę odwróconego plecami. Nie widział jednak kobiety. Co się z nią stało? Wpatrując się w stojącego kilkanaście metrów dalej człowieka, César dał susa w kierunku drugiego grobu. Wydawało mu się, że zrobił to sprawnie i bezszelestnie niczym znakomicie wyszkolony wojownik ninja, ale... tak mu się tylko wydawało. Męczyzna odwrócił się raptownie i rozejrzał. Skulony za pomnikiem César stał nieruchomo

przygotowany na ewentualny atak. Nad jego głową przeleciały dwie wrony. Nic więcej się nie wydarzyło. Policzył jeszcze w myślach do dziesięciu i postanowił wyjrzeć. Zanim to zrobił, usłyszał coś, jakby szelest. Znowu zamarł. Wytężając uszy, wsłuchiwał się w ciszę cmentarza, próbując odgadnąć, czy usłyszy zbliżające się do niego kroki. Ale nie. Mężczyzna nadal coś mówił w swoim dziwnym szeleszczącym języku. César odważył się wreszcie spojrzeć w tamtym kierunku. Mężczyzna stał w tym samym miejscu, co poprzednio. Odwrócony tyłem. Nieco pochylony. Jego ręce spoczywały na ramionach siedzącej przed nim kobiety.

41.

Nadal nie rozumiem, po co mnie tutaj przyprowadziłeś - powiedziała sennie Zosia. Końska dawka lekarstwa, które zażyła, w znacznym stopniu osłabiła jej zdolność realnej oceny sytuacji. - Wracajmy już. Strasznie chce mi się spać. - Ziewnęła, zasłaniając dłonią usta.

Stojący za nią Marek wpatrywał się w napis na nagrobku. Złote litery połyskiwały w świetle zapalonego znicza.

- *Vita est iter ad mortem* - przeczytał powoli. - Życie jest drogą ku śmierci, jak powiedział Seneka. Prawda, jakie to mądre?

- Tak... rzeczywiście. Życie to pasmo cierpień i niekończących się udręków. - Zosia westchnęła. - Niekiedy myślę, że lepiej byłoby je zakończyć szybko i bezboleśnie.

- Czasem tak jest lepiej - zgodził się z nią Marek.

Spojrzał w górę na czarne korony drzew ledwo widoczne na tle ciemnego nieba. Zosia milczała, zapatrzona w migotliwy płomień świeczki. Nagle jakby ocknęła się z letargu.

- Skąd znasz łącinę? - zapytała.

- Stare dzieje - odparł wymijająco. - Kris ci o tym nie opowiadał?

- Niewiele mi mówił o przeszłości... Zresztą ja też nie lubię do niej wracać - odparła zrezygnowana. Opuściła głowę na piersi i przymknęła powieki. Marek nadal trzymał ręce oparte na jej ramionach. Czuł, jaka jest słaba i wiotka.

- Wiesz, Zosiu, życie jest jak długa, pełna stacji podróz, której celu nie znamy... a przeszłość ciągnie się za nami jak niechciany doczepiony wagon starego pociągu - powiedział. Zdania, które wypowiadał, brzmiały jak melodia. Mówił cicho, ale wyraźnie, akcentując każde słowo. - Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się od niego oderwać, ale on zawsze jest z nami. Możemy jedynie wyskoczyć w biegu, by się od niego uwolnić. - Jego dłonie przesuwają się nieznacznie w stronę jej szyi.

- Ładnie powiedziane - westchnęła cicho Zosia. - Domyślam się, że twoje życie też nie było usłane różami, prawda? - Uniosła głowę i spojrzała w górę. - Masz, masz takie dziwne oczy... Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Uśmiechnął się, a jego oczy zapłonęły przejmującym blaskiem. - Wiesz, długo nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się znamy. - Zaczął delikatnie gładzić jej włosy. - Wiedziałem tylko, wiedziałem na pewno, że już cię kiedyś spotkałem. Nie miałem pojęcia, że... - Roześmiał się w dość szczególny sposób. Jeszcze nie rozumiała... Jego śmiech

odbił się stłumionym echem w dalszej części cmentarza. - Przypomniałem sobie, kiedy Kris zaczął unikać rozmowy o naszych szkolnych czasach, i zrozumiałem, że tam tkwi haczyk. - Zosia niespokojnie drgnęła. Marek oparł się mocniej na jej ramionach, żeby nie mogła się ruszyć. - Dopiero, kiedy ten idiota zaczął mi wypominać, że źle traktuję kobiety... Kiedy zaczął mnie pouczać jak jakiś cholerny mentor, a przecież on też jeszcze nie tak dawno zachowywał się kropka w kropkę tak samo... Wtedy uświadomiłem sobie, że byłaś jedną z nich.

- Przestań! - krzyknęła. Mimo silnego naporu Marka poderwała się i stanęła przed nim, twarzą w twarz.

- Ciiichooo... - Położył jej dłoń na ustach. Zosia stała jak sparaliżowana. - Dobrze pamiętam ten wyjazd wakacyjny. A jeszcze lepiej powrót. Przypomnij sobie ostatni wagon... - Zosia opuściła głowę. Po jej policzku spłynęła łza. Marek uniósł dłoń jej podbródek. - Patrz na mnie, jak do ciebie mówię. - Zosia otworzyła posłusznie oczy. Była przerażona. Tak bardzo, że bała się nawet mrugnąć powieką. - Leciałaś na niego... Jak wszystkie. Kleiły się do niego... Mógł przebierać w brunetkach, blondynkach jak w ulęgalkach. - Opuścił rękę. Głowa Zosi opadła. - Odstawiliśmy wtedy przed tobą niezłą szopkę. Co? Może nie pamiętasz? Ale nie, takich rzeczy się nie zapomina. Nigdy. Nie wiem, czemu aż tak się dla ciebie starał. Teatr jednego widza. Ale zrobił wrażenie, co? Do tego stopnia, że zaraz potem rozłożyłaś przed nim nogi. Ha, ha, ha...

- To nie było tak - powiedziała cicho, pociągając nosem.

- Co tam szepcesz?! Nie słyszę! - krzyknął jej prosto do ucha.

- Wiesz dobrze, że to nie tak! - Zosia podniosła dumnie głowę przygotowana na cios, który mógł na nią teraz spaść.

- A jak? - zapytał drwiąco Marek,

- Był pijany. A ty... ty go podpuściłeś. Podły draniu!

- Naprawdę w to wierzysz? - Marek uśmiechnął się złośliwie. Wydawało się, że jego oczy strzelają iskrami odbitymi od płomienia świeczki.

- Wiem o wszystkim. Jego kuzynka mi powiedziała. Była tam razem z wami. - Mówiąc to, Zosia zaczęła wierzyć w swoje słowa. Z początku chciała się tylko bronić przed niesprawiedliwymi, krzywdzącymi ją zarzutami Marka, ale teraz czuła, że tak było naprawdę. - A zresztą, co cię to w ogóle może obchodzić? Nie twoja sprawa. Skończmy już tę rozmowę. Chcę wracać do domu. - Spróbowała zrobić ruch, żeby wyminąć Marka.

- Nie żartuj. - Marek chwycił ją za ramiona i z powrotem posadził przed sobą odwróconą tyłem. - Nie po to tutaj przyszliśmy.

Jedną ręką wyjął z kieszeni kurtki zrolowaną jedwabną apaszkę, po czym zarzucił ją dziewczynie na szyję.

- Co robisz? Puszczaj... - wysapała Zosia, próbując zerwać zaciskającą się na szyi pętlę.

Zaczęli się szarpać. Marek napierał na nią całym ciałem. Pod jego ciężarem Zosia wychyliła się w przód i upadła na kolana. Wiedziała, że nie ma szans. Dała się podejść temu draniowi, temu psycholowi, jak dziecko. A przecież Krystian ją ostrzegał. Dlaczego nie chciała go słuchać? Przed oczami zrobiło jej się ciemno. Ucisk na szyi stawał się coraz mocniejszy. Coraz bardziej bolesny. Wyrwanie się nic nie pomagało. W uszach słyszała szum. Nagle ujrzała jakąś postać, która zbliżała

się do niej z oddali. Nie poddawaj się! Walcz, córeczko!

Marek poczuł, że dziewczyna opada z sił, więc zwolnił nieco ucisk na jej szyi. Jej ciało stygło, przelewało się mu przez ręce. On wprost przeciwnie, poczuł przypływ gorąca i rozpieszczającej energii. Cudowna fala adrenaliny. Chwilowy przypływ szczęścia. Wtem Zosia jakby się ocknęła i ostatkiem sił próbowała się podnieść. Marek z wściekłością zacisnął mocniej pętlę. A masz, a masz, a masz...

Nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba, spadł na niego diabelnie mocny cios z tyłu. Marek wypuścił apaszkę z rąk i upadł bokiem na ziemię. Czuł, że przygniata go czyjeś ciało. Ziemia była twarda i zimna. Niespodziewany upadek odebrał mu na kilka sekund zdolność właściwej oceny sytuacji. Ta chwila wystarczyła, by César zdążył usiąść na nim okrakiem i wykręcić mu do tyłu rękę.

- Nie ruszaj się! Policja! - zawołał, dysząc. W ciemności z jego ust uniosła się biała para.

Marek spróbował spojrzeć przez ramię. Skąd się tu wzięła policja? O tej porze? Rozejrzał się wokół, oceniając własne szanse. Żadnych innych głosów, syren. Mężczyzna był sam. Może to faktycznie policjant, kto wie, a może tylko tak powiedział, żeby przeciwnik przestał się szarpać? Przez chwilę Marek zastygł bez ruchu. Przyczajony jak wąż pod kamieniem.

- O co chodzi, proszę pana? - zapytał spokojnie. - Ja i moja dziewczyna tylko się bawiliśmy. Czy to zabronione?

- Właśnie widziałem, jak ją dusiłeś. Jeszcze chwila i byłaby martwa. Chodzi mi o to, że prawo zabrania takich... zabaw.

- Nie wiem, o czym pan mówi...

- Nic nie szkodzi. Resztę opowiesz na komisariacie. - César wykręcił mocniej jego rękę i trzymając go nadal, dał mu znak, żeby się podniósł. - Jak się pani czuje? - zwrócił się do leżącej obok Zosi. Trzymała się za obolałą szyję, kaszłała i charczała. - Wszystko w porządku?

- Tak - wychrypiała Zosia. - Dziękuję, że pan...

W tej samej chwili César poczuł, że przeciwnik podcina mu nogę i zadaje cios w brzuch. Na chwilę stracił równowagę, upadł i zaczął zwijać się z bólu, a tymczasem Marek rzucił się przed siebie na osłep. César wziął głęboki oddech, podniósł się i ruszył za nim w pogoń. W ciemności obaj przeskakiwali kępki niskiego żywopłotu i biegli slalomem między nagrobkami. Mijane w biegu gałęzie drzew smagały ich po twarzach, szarpały ubranie. Marek co rusz zmieniał kierunek, wpadając w mniejsze błotniste alejki. W pewnym momencie jego stopa ugrzęzła w błocie. Ręce młóciły powietrze, jakby chciały podetrwać ciało do lotu. Stracił równowagę i upadł jak długi na ziemię. Nim zdążył się podnieść, dobiegł do niego César. Zaczęli się szarpać. Z każdą sekundą coraz gwałtowniej, coraz zacieklej. Markowi udało się wreszcie obrócić przeciwnika na plecy i wymierzyć mu silny cios. Głowa Césara odskoczyła do tyłu, lecz jego ręce nadal były sprawne i zadziwiająco szybkie. Zadały serię celnych uderzeń. Marek starał się osłonić i jeszcze bardziej przywarł do ziemi. Mężczyźni turlali się to w jedną, to w drugą stronę, zadając sobie bolesne razy. Po kilku minutach górą był Marek. Usiadł okrakiem na klatce piersiowej Césara i spróbował mu unieruchomić ręce. Jego oczy płonęły ogniem zwycięstwa. Były straszne, przerażające. César widział je wyraźnie mimo ciemności. Jak to możliwe? Czy to człowiek, czy

demon? Dreszcze przeszły mu po plecach. Przypomnił sobie słowa Jessiki o niesamowitych oczach człowieka w kapturze - granatowych, prawie czarnych. Miał coraz mniej siły. Kontuzjowane udo bolało niemiłosiernie. Rana znów się odnowiła. Poczul na spodniach wilgotną plamę krwi. Boże, jeszcze i to... Marek podążył za wzrokiem Césara. Jak szpony wbił palce w zranione udo przeciwnika, a potem wwiercił paznokcie w miękką tkankę. César zaryczał z bólu. Jego krzyk rozdarł ciszę zapadającej na cmentarzu nocy. Rozległ się łopot skrzydeł ptaków podrywających się do lotu. Marek zaśmiał się triumfalnie. Ostatkiem sił Césarowi udało się wyrwać rękę z uścisku napastnika. Dłoń opadła na wilgotną ziemię. Naraz pod palcami wyczuł coś twardego i zimnego. Coś jakby obłupany kamień albo kawałek granitowej płyty. César mocno zacisnął na nim palce i z całej siły walnął na oślep. Jedno, dwa tępe uderzenia w głowę przeciwnika... Kamień wypadł mu z ręki. Marek popatrzył na niego ze zdziwieniem. Jakby nie wierzył w to, co się stało. Twarz mu zastygła, a wraz z nią zgasł przerażający blask jego oczu. Ze skroni spływała strużka krwi. Po chwili jego ciało przetoczyło się na bok.

César nie miał siły się podnieść. Dyszał ciężko, przywalony ciałem przeciwnika. Na cmentarzu słychać było już tylko krzyk przelatujących gawronów.

42.

Paryż grudzień 2008 roku

Nie miała ochoty się budzić. Chciała, żeby sen trwał wiecznie. Leki, które jej podawano w szpitalu, nie przywoływały smutnych wspomnień. Przeciwnie. Gdy tylko zamykała oczy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przenosiła się w inne światy, do miejsc urzekająco pięknych, przepojonych ciepłem i dobrą energią. Czuła spokój, a chwilami nawet radość.

Przebudzenie traktowała jako zło konieczne. Krótką przerwę na posiłek oraz przyjęcie kolejnej porcji leków. Nie chciała wiedzieć, jak długo przebywa w szpitalu i kiedy będzie mogła wrócić do domu. Starła się też nie myśleć o tym, co wydarzyło się tamtej chłodnej nocy na cmentarzu. Zbываła ponawiane przez lekarza prośby dotyczące rozpoczęcia terapii, bez której jak twierdził, nie będzie w stanie wrócić do normalnego życia.

Pewnego razu we śnie zaczęła się krystalizować czyjaś postać. Najpierw był to tylko znajomy zapach, z czasem również głos, który dobiegał gdzieś z oddali. Uczucie nie było samo w sobie niemiłe, choć wprowadzało dziwną niepewność, lekkie podenerwowanie, może podniecenie. Głos był coraz bardziej słyszalny, ale nie nachalny, tylko spokojny i ciepły. Trochę jednostajny, jak w kółko powtarzana melodia. Otworzyła oczy. Leżała w szpitalnym pokoju. Przez okno wpadał promień grudniowego słońca. Przy niej siedziała Anka. Miała zatroskaną twarz.

- Wszystko już będzie dobrze, Soniu - powiedziała, uśmiechając się smutno. - Tylko nie możesz się poddać.

Zosia spojrzała na drobinki kurzu wirujące w świetlistej plamie słońca. Mówi jak moja mama. Zamknęła oczy. Gdzieś w oddali zobaczyła postać matki. I chyba się do niej uśmiechała.

43

Paryż, początek kwietnia 2009 roku

Wychodząc z mieszkania, cichutko zamknął drzwi. Zmęczona po wczorajszym spektaklu Nadia musiała się dobrze wyspać. Na schodach zapalił pierwszego papierosa. Odkąd zamieszkali razem już na stałe, zgodził się nie palić w mieszkaniu.

Zgasił niedopalek w drodze do metra. Starął się ograniczać palenie i bardziej dbać o tężyznę fizyczną. Dwa razy w tygodniu chodził teraz na siłownię, a w soboty grał z kolegami w kosza. W ostatniej chwili wskoczył do pociągu, zanim drzwi zamknęły się na dobre. Czyli standard. Znalazł wolne miejsce. Usiadł i zaczął przeglądać notes. Powinien pogadać ze Starym o nowej sprawie, którą zajmowali się od kilku dni. Ale... pomarzyć do-bra rzecz. Odkąd Vincent znowu pokłócił się z doktor Stewart, nic już nie było takie jak do tej pory. Stary chodził stale naburmuszony i czepiał się drobiazgów. César uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym, jak kiedyś przypadkiem podsłuchiwał ich rozmowę. Przypomniawszy sobie, że Marie nie zjawi się dziś w pracy. Wzięła kilka dni urlopu i wyjechała w niewiadomym

kierunku, nic nikomu nie mówiąc... Cóż, jej związek ze Stanem nie przetrwał próby czasu, a właściwie próby odległości.

Wychodząc z metra, odebrał telefon. Dzwoniła Yvonne. W pierwszej chwili się skrzywił, ale postanowił stawić jej dzielnie czoła.

- Joan zabrali do szpitala - powiedziała bez żadnych wstępów. - Wypadałoby, żebyś ją odwiedził.

Miał dziwne odczucie, że Yvonne i Dina konstruowały zdania w podobny sposób i wypowiadały je takim samym nieznośnym sprzeciwu tonem. Silne i władcze kobiety. A swoją drogą ciekawe, czy Yvonne też miała na sumieniu jakieś „niewinne” zabawy z nożem.

- W którym jest szpitalu?

Przez kilka minut błądził, zanim trafił na oddział położniczy. Na końcu korytarza dostrzegł dziwnie znajomą postać czarnoskórego mężczyzny w zielonym kitlu.

- Przywiozłem ją, więc postanowiłem zaczekać - wytłumaczył Pierre. César czuł, że nie ma prawa o nic więcej pytać. W końcu odszedł od ciężarnej żony, ściśle mówiąc, to ona go wyrzuciła, ale jakie to ma teraz znaczenie?

- Długo to już trwa? - zapytał. Pierre spojrzął na zegarek. Ręce mu drżały.

- Przyjechaliśmy o szóstej trzydzieści. O siódmej skurcze były regularne, o ósmej odeszły wody... - César był zszokowany precyzją Pierre'a i jego znajomością tematu. - Pół godziny temu dzwoniłem do Yvonne. Niedługo powinno być po wszystkim. - Znowu zerknął na zegarek.

Zapadła niezręczna cisza. Przez okna wpadało słońce. Słychać było brzęczenie muchy.

Chwilę potem otworzyły się drzwi i z sali porodowej wyszła położna.

- Zapraszam pana - zwróciła się do Pierre'a. - Żona była bardzo dzielna.

- Chwileczkę, to ja jestem mężem. - César zerwał się na równe nogi. Położna spojrzała na niego, unosząc jedną brew do góry.

- W takim razie proszę panów za mną - powiedziała, okręcając się na pięcie.

Poprowadziła ich w stronę zamkniętej części korytarza. Minęli wejście do sali porodowej i już po kilku krokach zatrzymali się przed drzwiami pokoju. Położna uchyliła drzwi. César zawałał się przez moment, ogarnięty dziwnym uczuciem. Pierre wszedł pierwszy, César podreptał za nim. Na łóżku pod ścianą leżała Joan oparta na poduszkach. W ręku trzymała zawiniątko, na które patrzyła z czułością. César pomyślał, że powinien być kupić kwiaty. Psiakrew, znowu dałem ciała, ale ze mnie dupa, nie chłop... Rozpromieniona Joan spojrzała na Pierre'a i niemal w tej samej chwili zauważyła Césara. W jej oczach pojawiły się łzy. Przycisnęła mocniej niemowlę do piersi, jakby się bała, że César będzie chciał jej odebrać ten skarb. Poczul ucisk w żołądku. Nie wiedział, czy to z powodu zachowania Joan, czy też ze względu na fakt, że właśnie został ojcem. Pierre przysiadł na brzegu łóżka, César zajął miejsce nieco dalej, na krześle.

- Jak się czujesz? - Pierre dotknął dłoni Joan.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Po policzkach płynęły jej łzy.

Zapadła cisza. Joan pociągnęła głośno nosem. Pierre wpatrywał się w nią jak w obrazek. César patrzył to na jedno, to na drugie, i za nic nie wiedział, jak ma się zachować.

- Chłopiec czy dziewczynka? - wykrztusił wreszcie, zdając sobie nagle sprawę z idiotyzmu całej tej sytuacji. Jak w brazylijskim serialu. Ale obciach... Joan zaczęła szlochać. Pierre głaskał ją po ramieniu. César kłął w duchu, że niepotrzebnie się odezwał.

- Chłopiec - szepnęła Joan. - César, proszę cię, nie miej do mnie żalu... - chlipnęła. - Ja naprawdę nie wiedziałam. - I znowu wybuchnęła płaczem.

- Ależ Joan, ja nie... - Chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, ale głos uwiązł mu w gardle.

Joan uniosła zawiniątko z dzieckiem i nagle odwróciła je w stronę obu zainteresowanych. César i Pierre jak jeden mąż zdołali tylko otworzyć szeroko usta.

- Uwierz mi, nie miałam pojęcia... - mówiła dalej Joan, polykając łzy. - To się zdarzyło tylko jeden jedyny raz. Jeszcze przed ślubem. Nie było cię kilka dni... A ja czułam się taka samotna... Za dużo wtedy wypłam... Proszę, Pierre, powiedz, że tak to było...

Nastąpiła chwila ciszy. César spojrział na maleńką brązową twarz noworodka i zaniemówił.